

24.

ANUNCYATA.

Ton 9

Edmund Narzkowski.

24

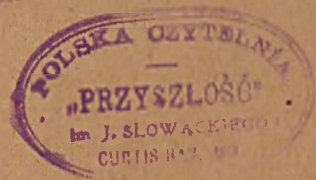
ANUNCIATA.

Tom II

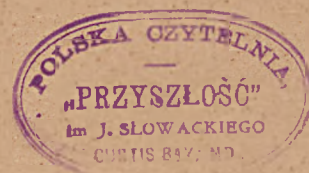
POSIADA OZYTELNIĄ  
„PRZYSZŁOŚĆ”  
Im J. SŁOWACKIEGO  
Zygmunt C. CURSKI DZIAŁAWSKI.

NO 24





№ 24.99



WYBÓR PISM ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

TOM X



48 180 24 91  
ZYG MUNT KACZKOWSKI

# WYBÓR PISM

POLSKA OZYTELNI  
Z PRZEDMOWA IGN. CHRZANOWSKIEGO  
"PRZYSZŁOŚĆ"  
J. SŁOWACKIEGO  
CURTIS BAY, MD.  
TOM X

ANUNCYATA

Część II.

Z PORTRTEM AUTORA

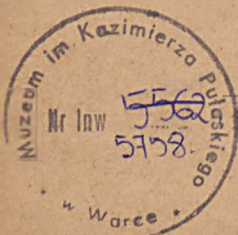
WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1900

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



Дозволено Цензурою.  
Варшава 28 Июля 1898 года.



*Paal J. Sandalgi,*  
*Rector*

Byłoby to zapewne bardzo na swoim miejscu, gdybyśmy teraz, kiedy zdarzenia i postacie naszej powieści, zaczynają się coraz wyraźniej rysować na tle konfederacyi Barskiej, rzucili choć pobieżny pogląd na całą tę sprawę. Pogląd taki byłby tu może jeszcze o tyle więcej potrzebnym, ile że przedstawiamy tu tylko pewne wypadki i pewnych ludzi na tle pewnych czasów, a nie mamy wcale zamiaru, przedstawiania dziejowej sprawy za pomocą wypadków i ludzi. Pogląd atoli taki, już to dla koniecznej swej obszerności, już dla innych nieominionych względów, jest niepodobnym. Niepodobieństwa takie bywają często dla autorów bardzo zasmucające. Jednakże tutaj może nie trudno będzie to niepodobieństwo przeboleć. Tutaj bowiem zachodzi ta okoliczność, iż lubo dzieje konfederacyi Barskiej, już dla nieprzeliczonej masy, już dla nieprzystępności materyałów, należą do najmniej rozjaśnionych epok w naszej historyi: ogólne jednak wyobrażenie o tej przeważnej sprawie, jest nie tylko jaknajpowszechniej znajome, lecz co ważniejsza, jest u wszystkich, krom może kilku, jedno i to samo odpowiednie dziejowej prawdzie. Pogląd nasz tedy, luboby może na niektóre strony tej tajemniczej sprawy trochę jaśniejsze mógł rzucić światło, jednakże w gruncie rzeczy, nie zmienia w niczem ustalonego o niej wyobrażenia. A kiedy tak jest i jest bezsprzeczne, niechże nam wolno będzie, zamiast obszernej rozprawy o stanie całej Rzeczypospolitej naówczas, przejść



natychmiast w województwo sieradzkie, które też nas najbliżej obchodzi.

...Po zawiązaniu konfederacji przez Bierzyńskiego i jego wyjściu w Krakowskie i Sandomierskie, w województwie sieradzkim nastąpiła cisza. Szlachta tamtejsza była wprawdzie zrazu z Bierzyńskiego postępku niezadowolona zupełnie i nawet dała tego niezadowolenia dosyć wyraźne dowody, nie pomagając mu prawie niczem i tylko w bardzo małej liczbie przystępując do niego. W postępku tym bowiem nie podobało jej się od razu wszystko: nie podobało się, że inicjatywa konfederacji wyszła nie od niej samej, tylko od człowieka, którego z powodu ustawicznych służb zadomowych prawie nie uważała za swego — nie podobało się dalej, że tenże człowiek samowolnie się na jej marszałka wyrzucił — nie podobało się wreszcie, że ten marszałek, zawiązawszy konfederację, zamiast stać w jego województwie i stać w jego obronie, zaraz zeń wyszedł i gdzieś zginął bez wieści. Jednakże, jak te niechęci były wpływem częścią chwilowego zapału, częścią partykularnych ambicji, a wreszcie nierozumienia dążności sprawy ogólnej, tak też i niebawem uciechły.

A kiedy się przekonano przy chłodniejszym namyśle, że to wcale źle nie jest, nie być uciskanym furazami, podatkami i przez to zyskiwać siły do mogących nastąpić ofiar późniejszych, a pomimo to przecież być godnie reprezentowanym w sprawie ogólnej; zaprzestano już nawet i mówić o rzeczach domowych, a natomiast tem więcej trudniono się wieściami, przychodzącymi skądinąd.

A tych wieści natenczas, a pomiędzy nimi i plotek, było dostatkem, a wszystkie były ciekawe i wszystkie godne najwyższego zajęcia. Zaraz bowiem po zawiązaniu konfederacji sieradzkiej zaczęły się wiązać konfederacje podobne we wszystkich ziemiach i województwach sąsiednich — a zawiązały się one nagle, występowały jak błędne ognie z pod ziemi, wyciągały natychmiast w pole i albo okrywały się zwycięstwami, albo gasły w ten moment i wkrótce znowu się pojawiały.

Tak najpierwej wybuchła konfederacja krakowska pod marszałkiem Czarnockim, tuż znowu druga pod Wielopolskim — ta zagasła natychmiast jak świeca, na którą wiatr dmuchnął zniwienacka — tamta się wzmogła i zajęła dawną krakowską stolicę.

Wkrótce potem przyszła wieść głośniejsza o Sandomierzanach, którzy skonfederowali się bardzo licznie i ogłosili marszałkiem Ossolińskiego, wojewodę wolińskiego, mieszkającego w ziemi Sanockiej na Leśku.

Wojewoda na wezwanie Sandomierzanów nie zjechał, wskutek czego ta konfederacja niebawem całkiem przycichła — ale natomiast cała ziemia Sanocka prawie jako jeden mąż wstała i pod marszałkiem Bronickim z Nowego Tańca postawiła sześć tysięcy ludzi pod Rymanowem.

Owego czasu także książę Marcin Lubomirski się zerwał i zaczął się bić zaraz, o własnych tylko, to jest z własnej szkatuły zaciężnych, siłach.

Śród rozmaitych wieści o skutkach tych bitew, staczanych po różnych miejscach, wielunianie skonfederowali się dwa razy, raz pod Ponińskim, wojewodziecem poznańskim, drugi raz pod młodym Kraśnikiem, podkomorzym wilńskim — wielkopolanie pod marszałkiem Rydzyńskim — Kaliszanie pod Michałem Skórzewskim — Kujawianie pod Stanisławem Dąbskim, starostą kowalskim — a nawet małeńkie księstwo Oświęcimskie dało wiedzieć o sobie pod Piotrem Małachowskim, starostą oświęcimskim...

Atoli ledwie te wieści miały czas rozejść się wszędzie, kiedy Kraków już upadł — konfederacja sanocka już się rozpierzchnęła, książę Marcin w górach za Gorlicami dogoniony, przypadkowo nagle wylanymi wodami obłany, osaczony i pobity został na głowę — wojewodziec poznański po równej klęsce siadł cicho w domu — młody Karśnicki, w niewolę wzięty, tylko przez osobliwszą przyjaźń nieprzyjacielskiego dowódcy rodzicom wrócony — konfederacja wielkopolska już tylko cokolwiek stała, a o innych nawet i żadne nie dochodziły już wieści.

Do tego czasu upadł już także Bar i Berdyczów, a ura-

towane szczęśliwie niedobitki konfederacyi tamtejszych, wraz ze swoimi marszałkami i regimentarzami, zaledwie siebie samych zdolały ocalić na Wołoszczyźnie — o czem stary kasztelan sieradzki, podpisawszy jeszcze w Dankowcach na granicy tureckiej manifest i stamtąd do domu wróciwszy, powziął dokładną i szczegółową wiadomość.

Śród tego natłoku codziennych wieści prawdziwych i plotek, o Bierzyńskim głuche tylko i niewyraźne dochodziły odgłosy. Jedni go powiadali już dawno pobitym i rozproszonym, drudzy ciągle zwyciężającym i wzmagającym się, to znowu powiadano go pojmanym, to rannym i gdzieś w górach ukrytym, to nakoniec poległym. Aż kiedy wieści o innych konfederacyach przycichły — kiedy już nawet manifest księcia Marcina Lubomirskiego, datowany pod Gorlicami dnia 27 września, którym książę, lubo pobity, rozproszonych swych ludzi na nowo zwołuje, po całym województwie sieradzkim obiegał — kiedy już wreszcie najdokładniejsze miano wiadomości o generalności konfederackiej na Wołoszczyźnie pod ten czas zebranej; — im mniej zaczynało dochodzić pomyślnych nowin skąd inąd, tem więcej i tem pewniejszego rozgłosu zaczął nabierać Bierzyński. Jakoż wiadano już wtedy pewnie, że żyje, i że zaledwie był wyszedł z województwa sieradzkiego, urosł był wkrótce do ośmiuset szabel i miał już armaty. Przechodząc Krakowskie i Sandomierskie wzmógł się jeszcze daleko lepiej, a kiedy w jesieni się pojawił w Lubelskiem, liczono go na tysiąc dwieście ludzi i sześć armat polowych. Postępując sobie nadzwyczajnie przezornie, miał on dotychczas jaknajstaranniej unikać walniejszych bitew, zbierając tylko broń, pieniądze i rozpraszaných gdzieindziej ludzi — lecz kiedy się poczuł na siłach, pociągnął śmiało w głąb dalszych krajów, zaczął prowadzić wojnę nadzwyczaj czynną i żywą i jeszcze przed zimą ozdobił się kilką zwycięstw tak świetnych i tak dla siebie korzystnych, że jego ówczesną siłę szacowano na dwa tysiące ludzi okładem i kilkanaście dział różnego rodzaju. Takie powodzenie szczęśliwe, zupełnie odmienne od ówczesnego szczęścia innych wodzów konfederackich, przy-

niosło mu sławę rozgłosną i bardzo świetną, która rozchodząc się po całej Małej i Wielkiej Polsce, lubo gdzieindziej, obudzając szpetne uczucia zawiści, przysposabiała mu nieprzyjaciół, wogóle jednak wywoływała wszędzie żywą dla niego sympatyę.

W województwie sieradzkim, gdzie także tacy sami mieszkali ludzie jak wszędzie indziej, objawiały się także takie same dla niego usposobienia; ale ponieważ mieszkańcy tutejsi mieli słuszne powody daleko żywiej się nim zajmować niż wszyscy inni, więc też i te niezgodne ze sobą usposobienia podnosiły się tutaj do daleko wyższego stopnia żywoci. — Wynikały też stąd nieraz zawzięte spory pomiędzy szlachtą — bo chociaż opinia powszechna chlubiła się wszędzie jego już sławnem dzisiaj imieniem i tem statecznem szczęściem, które młodego marszałka konfederacyi sieradzkiej wywyższyło niejako nad innych, jednakże byli tacy, którzy się upierali przy tem koniecznie, że ta sława i szczęście zostały osiągnięte takimi środkami, które właściwie potrzebowaliby wielu i nawet bardzo wielu objasnień. I tak utrzymywano najpierwej, że Bierzyński tak bardzo starannie unikał bitew, iż samo z siebie nasuwało się podejrzenie, że mu więcej chodziło o wzbicie się w siły, niżeli o służbę odpowiednią zamiarom. Obwiniano go dalej o to, cośmy już z ust Szadkowskiego stolnika słyszeli, to jest, o zbytne uciskanie obywateli podatkami, furazami i kwaterunkami i chciało wiedzieć o tem, że na niektóre okolice nawet po prostu kontrybucye nakładał. A nareszcie, i co może najważniejsza ze wszystkich, powiadano z pewnością, że przez cały czas swego dowództwa, działał zupełnie samowolnie, że się do żadnej wyższej władzy konfederacyi odnosić nie chciał, a nawet z kilkoma pomniejszych dowódcami miał sobie postępować nie jak towarzysz, ale jak nieprzyjaciół. Wszakże to wszystko, lubo opowiadane nieraz ze szczegółami, nie opierało się na żadnych dowodach, więc nie mogło też znaleźć i wiary publicznej.

Tymczasem Bierzyński, cokolwiekby tam o nim mówiono, wzrastał ciągle w sławę i siły. Przeszedłszy zwy-



ciężko Lubelskie, poszedł dalej, dostał się do Litwy i aż o Białystok się oparł, a walcząc ciągle z równym szczęściem, i skutkiem, z początkiem wiosny przyszedł do tego, że już nawet bajeczne wieści się rozchodziły o liczbie jego wojsk i zwycięzko stoczonych bitew. Wkrótce potem przysłała wiadomość, że już z Litwy powraca, a stąd zaczęły znowu krążyć domysły, że lada moment o jaką ważniejszą zdobycz się pokusi — mówiono nawet natenczas, że wzięwszy pod swoją komendę jakąś część ludzi Radziwiłłowskich, i porozumiewszy się z dowódcami innych konfederacji, zamysła ubiedz samą Warszawę — kiedy wtem znowu skądinąd nadeszły wieści pewne, że Warszawę ominął i na czele trzech tysięcy zbrojnego ludu ciągnie w województwo sieradzkie.

Tak codzień inne i codzień sprzeczniejsze rozsiewały się o nim pogłoski, a wśród tych pogłosek codziennie wyżej się podnosiła postać młodego bohatera w wyobraźni pospólnej, a wyobraźnia jeszcze tem wyżej nastrojała rozbudzone dla niego sympatyje — kiedy tymczasem nagle, jak stado dzikiego ptactwa spadające z powietrza na rozległe moczary, tak jego wojska zwycięzkie nie wiedzieć skąd spadły na brzegi Warty i na jakiś tydzień przed ś-tym Janem rozścieliły się obozem pomiędzy zamkiem kasztelana, a majątnością samegoż marszałka.

Oprócz późniejszych i częstokroć liczniejszych Zaremby, był to jeden z najpiękniejszych obozów, jakie miała kiedykolwiek ta pięcioletnia konfederacja. Już samo miejsce nie mało się przyczyniało do tego, było to bowiem na wysokim brzegu nad Wartą, na rozległej i bardzo pięknej równinie, która plecyma się opierała o mурowany folwark i rozległe ogrody, po obu dwóch stronach patrzała na cudownej piękności krainy Mazowsza i Wielkopolski, a tuż przed sobą miała widok starego zamku, którego jak niewzięta i doświadczonego wiekami placówka zdawał się trzymać straż u jej wstępu. Cała ta równina była już w dni kilka okopana i od strony zachodniej dosadnemi palisadami opatrzona, od północnej broniły ją mury i płoty

folwarku, od południa wał graniczny, usypany jeszcze niedługo przed laty, zapewne po ukończeniu owoczesnych między Mączyńskimi i Bierzyńskimi procesów, na granicy Gozdawki i dóbr kasztelańskich. Wewnątrz obozu dwoma szeregami od północy ku południowi rozstaczały się proste namioty, pomiędzy nimi zaś w środku rozbity był namiot duży, przeznaczony na pomieszkanie dla samego marszałka.

Namion to był paradny w bisior i złoto ozdobny, z grubej materji jak deska, a wewnątrz i zewnątrz pełen litych kwiatów i wieńców. Do niego należały różne sprzęty żelazne, do polowej wygody niezbędne, jako też jeszcze dwa namioty pomniejsze dla oficerów służbowych, co wszystko razem, niedługo na Turkach pod Wiedniem zdobyte, przysłał kasztelan Bierzyńskiemu w prezencie, jako uznanie jego wytrwałości i męstwa.

Bierzyński też zaraz swój namiot główny pomiędzy obudwoma małymi umiejętnie ustawił, a przed nim kazał wbić słup wielki, na którym osadził chorągiew z krzyżem po jednej a obrazem Matki Najświętszej po drugiej stronie. Krzątano się też w obozie i koło ozdób innych, więc budowano baraki tak wygodne jak kształtne, sporządzano żłoby dla koni zawieszane w powietrzu, wbijano pale z chorągiewkami i czyniono inne porządki — co wszystko było zrobione o tyle umiejętniej i piękniej, ile że sam marszałek całą tą robotą zarządzał i jakby jakiej najważniejszej rzeczy pilnował. Urządzeń zaś tych wszystkich dosyć zresztą kosztownych, było mu o tyle łatwiej dopełnić, ile że szlachta okoliczna, uradowana sławą, którą młody marszałek do imienia jej województwa przywiązał, już zaraz w dniach pierwszych po jego przybyciu, przysłała mu przeszło dwieście wozów najrozmaitszych prowiantów i oświadczyła się z szczerego serca zaopatrywać, przez cały czas jego spoczynku w rodzinnej ziemi, wszystkie jego potrzeby. Jednakże szlachta, lubo była niezmiernie zadowolona z tego, że mogła naocznie oglądać i ugościć u siebie tak piękny i sławny zastęp konfederacki, imię jej województwa noszący — była przytem bardzo

ciekawą tego, dlaczego właściwie Bierzyński przyszedł teraz w województwo sieradzkie i dlaczego w takim warownym się rozkłada obozie, kiedy właśnie teraz, nagromadziwszy siły tak piękne, raczejby mu dopiero o dzielnej służbie myśleć niżeli już o spoczynku? — Ciekawa tego szlachta dopytywała się o to — ale jakoś nie wiele się mogła dowiedzieć, bo bardzo różnie to tłumaczono. I tak w samym obozie była wieść taka, że żołnierze Bierzyńskiego, po tylu bitwach, trudach wojennych i marszach dalekich, tylko na oko wydają się w tej chwili tak ochotni i dzielni, lecz w rzeczy samej są niezmiernie zmęczeni, wyniszczeni na moderunkach i zdrowiu, i potrzebują koniecznie spoczynku i opatrzenia. Dowcip żołnierski tłumaczył znowu ten wypadek inaczej, odpowiadając na zapytanie:

— Ho! ho! kiedyśmy się do zamku kasztelańskiego dostali, nie lada co nas stąd potrafi wypędzić.

Oficerowie niżsi, którzy zwykle radzi przybierają miny głębokich taktyków i strategików, dawali do zrozumienia, że w tem położeniu się Bierzyńskiego nad Wartą ukrywają się plany tak wielkie, że świat zadziwia. — Tylko jeden Lenartowicz, który był zawsze regimentarzem, lubo niechętnie się wdawał w rozmowę o tym przedmiocie, kiedy już musiał, odpowiadał po prostu: że Bierzyński dla tego teraz tu przyszedł i położył się obozem pod zamkiem, ażeby się braci sieradzkiej pokazać, a ponieważ właśnie na 5 ty Jan wypada dzień kasztelana imienin, chciałby z tej szczęśliwej okoliczności korzystać, i zacnemu starcowi, tak w swoim, jak i całej konfederacyi imieniu, złożyć we własnym obozie trochę głośniejszą podziękę za jego nieprzeliczone enoty obywatelskie. Prosta ta odpowiedź trafiła najlepiej do przekonania i uspokoiła sąsiednią szlachtę. Byli wprawdzie pomiędzy nią tacy, którzy służbę około sprawy pospolitej sądząc słusznie, a więc surowo, nie pochwalali tego postępu — byli oni bowiem tego sprawiedliwego zdania, że nie jest to jeszcze pora ani na obozowe festyny, ani na głośne oddawanie czei enotom a zwłaszcza takim, które rozgłośnych nagród nie pragną,

ale ludzkie, wyrozumiałe serca ułagodziły w końcu wyrok surowych sądów, i powiadano nakoniec powszechnie: — Niechże i tak będzie! niech rozkochany młodzieniec pokaże się swojej oblubienicy w całej świetności swojej zasługi i chwały. Kto wie, jak długo nosił się z tą myślą w kochającym swem sercu? kto wie, jakimi krwawymi ją opłacił trudami? Niechże tak będzie.

Tymczasem, kiedy opinia publiczna tak wyrozumiałe sądziła Bierzyńskiego zachowanie się, w jego obozie czyniono istotnie przygotowania do jakiegoś wielkiego festynu. A w dzień 5 go Jana wszystkie te przygotowania były już zupełnie gotowe. Dnia tedy tego wszystkie namioty były ozdobione choinami i inną zielenią, z ich szczytów powiewały barwiste znaki, a dwie naprzemian kapele wygrywały różne marsze i nuty pieśni konfederackich — Świątecznie poubierani żołnierze snuli się kupkami jako mrowie po całym obozie i przedstawiali widok nadzwyczajnie zajmujący i rozmaity. Tu bowiem widzieli piechotę, ustrojoną z niemiecka, a więc w białych rejzrokach, w czerwonych kamizelach i pludrach, w butach palonych, w kapeluszach trójkątnych na głowie — dalej kawalerzyści w kontuszach krótkich granatowych, w żupanach i hajdawerach czerwonych, w czapkach wysokich z baranami, w lederwerkach łośiowych białych — inni w kurtkach paliowych a żupanach zielonych — gdzieindziej szlachta ochotnicy w swoich strojach zwyczajnych lub wedle fantazy — pomiędzy nimi gęsto rozsiani oficerowie, lśniący bogatszymi ubiorami, ozdobionymi złotem i srebrem — zgół widok najrozmaitszy, pelen fantazy, swobody i wdzięku. Kiedy zaś niższe warstwy żołnierstwa tak się zabawiały ochotnie, zwłaszcza że przy kapelach nie brakowało i na beczkach pełnych piwa i miodu — sam marszałek, w bogatych sukniach od jedwabiu i złota, w kołpaku sobolim z kitką drogimi kamieniami upiętą — na czele całej chmury oficerów, to w galonowane mundury i kapelusze, to w haftowane suknie z szarfami i kutasami ubranych — stał już w wstępu do obozu, czekając przybycia swych gości.



Patrząc dzisiaj na Bierzyńskiego, widzimy go prawie takim samym jak dawniej. Ta sama pewność siebie w wyrazie twarzy i całej postawie, ta sama powaga surowa i dumy cokolwiek, tylko wszystko to teraz stało się więcej widomem dla oka i może słusznie, bo też już było utwierdzone czynami. Co się działo w jego umyśle i sercu, któż może wiedzieć? Zdaje się że w tej chwili, w której jego najpiękniejsze i niestety! może jedyne marzenia zamieniały się w rzeczywistość, musiało tam być wiele radości, może całe niebo rozkoszy i szczęścia: ale tego wszystkiego nie było wcale widać na jego twarzy. Sztuka panowania nad sobą, sztuka milczenia i nie zdradzania swoich uczuć prawdziwych pomimo woli, była jego własnością w wysokim stopniu, i nigdy się jej nie zapierał. Toż i teraz widać było w nim tylko wyniosłość i odpowiednią jego pozycji powagę, z którą z otaczającymi go oficerami rozmawiał. I musiał on zapewne tu swoją powagą przeważny wpływ na nich wywierać, bo wszyscy jak najwyraźniejszą otaczali go cześcią i nawet przesadzali się w pochlebnej dla niego służbistości. Tylko jeden Lenartowicz stał oparty swobodnie o słup na przedzie zbudowanego tryumfalnego łuku i patrząc obojętnie na wszystkich, raczej był smutnym, niżeliby miał dzielić festynową wesołość...

Wkrótce wszakże zajechało przed bramę obozu kilka nacię powozów.

Z nich wysiadł najpierwej kasztelan, dziś jeszcze więcej przygarbiony niż kiedykolwiek i prawie już całkiem zgrzybiały. Słaby ten starzec oparł się na córki ramieniu i witając marszałka konfederacji sieradzkiej wraz z jego starszyzną, zaczął pomalu postępować we wnątrz obozu. Za nim szła matka Bierzyńskiego i panna ksieni. Za nimi dalej jeszcze kilka matron i panien, a na koniec cały pęk gości kamkowych, którzy wszyscy bogactwem i świetnością ubioru nie dali się przyćmić konfederackiej starszyźnie — a pomiędzy którymi jedna tylko Annuncyata, nie dbając wiele na lśniącej ozdoby, była ubrana w prostą białą sukienkę i wyglądała pomiędzy tą gwarną, ciężką

i błyszczącą czeredą jakby duch jaki wspanialszy, którego mieszkaniem nie ziemską jeno nadpowietrzną krainą.

Nadobna córka kasztelana nie umiała się nigdy zapierać tego, co się działo w jej sercu, i dlatego teraz na jej twarzy malowała się radość najwyższa. Widać było po niej, że usiłowała zyskać przewagę nad swoim uczuciem, ale widać było zarazem, że uczucie to było daleko silniejsze od niej... Dlatego oprócz radości, którą jej twarz cudowna była rozpromieniona w tej chwili, odbijał się tylko ów jeszcze daleko cudowniejszy wyraz pokory, z którym zdawała się mówić: „Panie! oto ja służebnica Twoja...”

Kiedy Bierzyński kasztelanowi odpowiedział na powitanie, stanął zaraz po jego lewej, i tak ich wiódł środkiem obozu, pokazując im wojsko, namioty i działa — i wlokąc za sobą długi szereg zamkowych gości, pomieszczanych z jego oficerami, gdzie znów na przodzie poważnymi postępowały krokami promieniejąca radością podstolina z obojętnie na wszystko patrzącą ksienią.

Jakoż był to pochód prawdziwie wspaniały i piękny, — widząc bowiem żołnierze tego sędziwego starca, którego cały świat znał jednym z najjaśniejszych senatorów Rzeczypospolitej, a oni jednym z pierwszych swej sprawy marszałkiem, przybliżali się do niego już pojedynczo, już całemi gronami, witając go, to mileżącemi oznakami czci i szacunku, to wykrzykami radości, to perorami ułożonemi strzępiasto i górnio. Inni przy beczkach stugłośnie spełniali wiwaty, podnosząc kubki i rzucając czapkami do góry. Przybliżających się do siebie kasztelan przyjmował jakby swe własne dzieci, jednych ścisł po bratersku za ręce, drugich za głowy, dalszych zaś witał zdaleka, błogosławiąc im ręką podniesioną do góry. Rozezuleni tą serdecznością niektórzy, rzucali się przed nim na ziemię, wołając: Ojciec! i mnie też nie mijaj! I mnie pobłogosław! — czem znowu za serce schwycony staruszek, już sam nie wiedział co mówić i tylko łzy z oczu ocierał.

Widząc wszakże marszałek, że się coraz większe tłumy przed staruszką zbierają, że już mu nawet i drogę za-



czynają tamować, podał kasztelanowi ramię i przebiwszy się przez żołnierzy, prędko go pod namiot wprowadził.

A pod namiotem była przygotowana uczta.

I była to uczta taka wspaniała, jakby ją wyprawiano nie w obozie i nie podczas wojny, ale w czasie pokoju i w urządzonym starannie, zamożnym domu. Jakoż jak z jednej strony nie brakowało na najwyborniejszych winach, miodach i petercymentach, na wykwintnych potrawach, wspaniałych wetach i misternych tortach z cyframi i herbami solenizanta: tak znowu z drugiej najswobodniejsza wszystkich obejmowała wesołość, gęste kielichy radośna przepłatała gawędka, a po każdym zdrowiu odzywały się salwy w obozie, a po każdej salwie dawały się słyszeć ustawione po obydwóch stronach namiotu kapele..

Lecz kiedy tutaj, w bogatym i obfitującym we wszystko Bierzynskiego obozie, takie wspaniało i szumne się wyprawiają festyny: w starożytnym grodzie krakowskim, zwyciężkami wojskami zalany, szumią także festyny, ale w głębokich turmach królewskiego zamczyska pleśń wilgotna okrywa konfederackich jeńców...

I kiedy tutaj wino się leje strugami a w śmiejących się ustach rozplývają się eukry francuskie i najprzedniejsze owoce: — tam gdzieś w górach dalekich, koło Muszynki i Kobyłanki, główny obóz konfederacki tuli się do skał nagich i okrywając podartymi łachmany poraione swe członki, nieraz po trzy dni czeka na kawałek czarnego chleba...

I kiedy tutaj salwy działowe wesołym towarzyszą kielichom i dwoiste kapele przygrywają toastom: — tam gdzieś za Wisłą cały powiat Pilźnieński przedstawia tylko stosy ruin i zgłiszczów, i nie widać ani jednego domu, ani jednego drzewka nawet, w całej tak pięknej i rozległej krainie...

A tutaj festyn.

I czy pomyślał kto o tem wszystkim przy tym luźnym festynie?...

To niewiadomo.

Zdaje się jednak, iż musiał pierwszy o tem pomyśleć

stary kasztelan. Jak tylko bowiem ostatnie podano wety i ostatni skończono toast, podniesiony na szczęśliwe zwycięstwo konfederacyi, on się zaraz obejrzał za gospodarzem, który wraz z innymi oficerami usługiwał damom, i zawołał do niego:

— Mości panie marszałku!

Kiedy zaś Bierzynski natychmiast pobiegł ku niemu, on powstał z miejsca i prawie temi głośno odezwał się słowy:

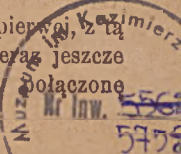
— Nie potrzebujemy ci tego powiadać, z jaką chęcią siedzielibyśmy tutaj choćby do świtu, ażeby wdzięcznym afektem odplacić ci za honory, jakie nam raczysz wyświadczać; ale podobno niewielki to czas na affekty, bo jesteśmy w obozie, a dokoła nas wojna. Może też tam niejedni krwawo się smućą, kiedy my się cieszymy, o czem potrzeba pamiętać... Niechże ci tedy Pan Bóg największem szczęściem odplaci za twoje pocziwe, które nam okazałeś serce, — a kiedybyśmy i my znaleźli się w tem położeniu, żebyśmy mogli czem twemu szczęściu dopomódz, to bądź pewny, że w nas nie znajdziesz niechęci.

Bierzynski chciał się z początku temu nagłemu zakończeniu biesiady sprzeciwiać, lecz usłyszawszy ostatnie słowa staruszka, tak zmiękł odrazu, że o wszystkim zapomniał — a natomist ze łzami w oczach rzucił się do nóg kasztelanowi.

Wszyscy też obecni zrozumieli tak samo tych słów ostatnich znaczenie i wszyscy równemu ulegli wzruszeniu — a kiedy Bierzynski ścisnął kasztelana za nogi, wymawiając mu wdzięczność swoją w niezrozumiałych wyrazach, — Annuncyata leżała już w objęciach imię pani Bierzynskiej, zalewając twarz całą niepowstrzymanymi łzami i nie umiając ani słowa wymówić.

Po tym akcie ostatnim, ubogim w słowa, lecz bogatym w znaczenie i zrozumiałym dla wszystkich, zaczęli goście wychodzić z obozu.

I szli znowu tym samym porządkiem jak pierwsi, z tą tylko różnicą, że ich pochodowi towarzyszyły teraz jeszcze głośniejsze wiwaty podochoconego żołnierstwa.





kapele grały marsz tryumfalny, a kiedy orszak cały stanął u wejścia obozu, dwanaście salw działowych dało się słyszeć jakoby na znak pożegnania.

Ale Bierzyński nie mógł jeszcze jakoś pożegnać i razem z Lenartowiczem ofiarował się odprowadzić kasztelana do zamku. Kasztelan tedy wziął ich obydwóch do swojego powozu, gdzie siedziała także i Annuncyata, i bawiać ich szczegółową o dzisiejszym festynie rozmowę, wiózł ich do siebie. Atoli kiedy ujechali pół drogi, Bierzyński prosił, aby się powóz zatrzymał, bo tylko dotąd miał zamiar odprowadzić swych gości. Kasztelan ich zapraszał do siebie, — Bierzyński, patrząc na Annuncyatę, wahał się w swoim postanowieniu, — ale trzeźwiejszy i surowszy w służbie pan Albin, oświadczył jak tylko mógł najprędzej i najwyraźniej, że właśnie dzisiaj, kiedy żołnierze są trochę podochoćeni, nie wypada im w żaden sposób zostawiać ich samych; odkładając tedy na który dzień inny odwiedziny na zamek, muszą dzisiaj powracać. Wysiadłszy tedy z powozu i pożegnawszy staruszkę wraz z jego gośćmi, puścili się pieszo na powrót do swego obozu.

Ale ledwie co uszli kilka kroków, kiedy Bierzyński stanął, spojrzał rozpromienioną twarzą i rzekł:

— No, i cóż ty na to, kochany Albinie?

— Ja? — odpowiedział Lenartowicz, nie zmieniając wcale swego melancholijnego wyrazu twarzy — zdaje mi się, że na to wszystko niema co mówić.

— Prawda, prawda! — wołał Bierzyński — na to już niema co mówić. Ale powiedzże mi, czy może człowiek śmiertelny mieć dzień szczęśliwszy, niżeli ja miałem go dzisiaj?

— Zapewne, większego szczęścia trudno sobie i wyobrazić.

— Ale bo jakoś smutno mi odpowiadasz...

— Smutno? — powtórzył Lenartowicz w zamyśleniu — oh! i dlaczegoż smutno! czyż możesz myśleć, że się twojem szczęściem nie cieszę?

— To nie, ale przecież... przynajmniej zdaje mi się, jakbyś miał jakiś ciężar na sercu.

— Nie, gdzie tam! nie nie mam — mówił regimentarz spokojnie — tylko taka jest moja natura, że zbytku szczęścia nie lubię. Kiedy gdzie widzę szczęścia tak wiele, zawsze mnie jakaś obawa przejmuję, żeby się wnet przez wierzch nie przelało. Bo szczęście ludzkie jest jako kwiat, który kiedy najpiękniej zakwitnie, to właśnie wtedy już zaczyna odkwitać; albo jako pełne naczynie, w które tylko dolać jeszcze potrzeba, aby go na nowo wypróżnić...

— Oh! już cię tego nie możesz stosować do mnie.

— Nie, ja tego nie stosuję do ciebie, ale tak... ot! tak myśl mi przyszła w tej chwili. Trudno mi jednak tego zataić, że i ty jesteś takim samym człowiekiem, jak inni...

— Oh! jakież ty dziecko jesteś, mój kochany Albinie! Nie chcę się wdawać z tobą w dysputy, ale cię proszę, tylko o mnie się nie obawiaj. A przynajmniej nie teraz! Bo kto takie zwalczył trudności, kto z niczego wzbił się do takiej siły, kto na całe setki potyczek i bitew ani jednej nie przegrał, ten już nie jest, jak to mówią, na dobrej drodze, ale na murowanym gościńcu. I słuchaj mnie, śmieję ty się nawet z tego co powiem, a ja przecież ci powiem, że teraz jestem w takiej sile i takim pędzie, że co zechcę, to zrobię! Gdybym na sto tysięcy teraz uderzył, to w puch ich rozbiję! Czy wierzysz temu?

— Nie, nie wierzę — odpowiedział Albin z uśmiechem.

— A to czemu?

— Bo gdybyś istotnie się czuł w takiej sile, tobyś tutaj nie leżał...

— Ale poczekajno, mójno cierpliwość. Bo przecież dopiero tydzień tu leżę.

— I tydzień leżeć beczynnie, kiedy można działać skutecznie, nie mała szkoda...

Na te słowa Bierzyński spojrzał ciekawie na swego przyjaciela i zapewne namyślał się nad tem, co mu miał odpowiedzieć, ale wtem zbliżyli się oni już do obozu, a tutaj inne przedmioty rozerwały ich dotychczasową rozmowę.

Wiemy, już, że z tej strony obozu ciągnął się wał wysoki graniczny, ale tego nie wiemy, że po pod ten wał biegła droga, prowadząca do przeprawy na Warcie, a na

końcu tej drogi niedaleko od brzegu rzeki, stała duża murowana karczma, należąca do kasztelana. — Z tej karczmy tedy wracały teraz ową drożyną rozmaite gromadki ludzi, po największej części z okolicznych wieśniaków złożone, którzy zapewne, przyszedłszy przypatrzyć się festynowi wyprawionemu w konfederackim obozie, a nie mając prawa należenia do niego, poszli potem do karczmy, aby się tam choć miarką piwa albo kubkiem miodu uraczyć. — Niektórzy z nich a mianowicie ci, którzy nie byli zwyczajni długiego wysiadzania w karczmie, widząc że słońce już zaszło, powracali teraz do domów. Bierzyński przypatrywał się im, czekając póki nie przejdą i odbierając od nich uniżone ukłony. Kiedy już przeszli, i on przeszedł przez drogę mówiąc coś do swego kolegi, miał już wejść w obóz, — kiedy wtem, na tejże samej drodze, zbliżający się tutaj od karczmy, dał się słyszeć śpiew głośny, basowy, męzki, ale jakby pijanego człowieka. — I słyhać było wyraźnie te słowa:

Nie wierz fortunie, choć siedzisz wysoko,  
Miej na poślednie koła pilne oko...  
Bo ta niestała pani z przyrodzenia  
Często więc rada sprawy swe odmienia..

Znajome zwrotki pieśni Kochanowskiego zwróciły uwagę tak marszałka jak i regimentarza, jakoż zatrzymali się obydwa, stanęli przed bramą obozu i patrzali pilnie, od kogo to ten głos pochodzi. Zdawało im się pewnie, że obaczą jakiegoś szlachcica, albo przynajmniej kościelnego kantora, albo może i własnego żołnierza...

Ale tymczasem drogą od karczmy szedł tylko chłop prosty. Był on dosyć tego pijany i stąd dosyć słabo się trzymał na nogach. Gdyby był sam, możeby był nawet iść nie potrafił. Ale szedł przy nim młody chłopak, w długą z ciemnego sukna uszytą kapotę ubrany, który go silnie trzymał pod ramię i dosyć prosto prowadził. Pewny więc przy tej podporze, że nie upadnie, jeszcze z tem większą fantazją przekrzywił czapkę na bakier i śpiewał dalej:

Nie dufaj w siłę i żadne pokłady,  
Każdej godziny obawiaj się zdrady...  
Fortuna co da, to zasie wziąć może,  
A u niej żadna dawność nie pomoże...

Ta zwrotka, lubo nie bardzo statecznym ale dosyć wyraźnym odśpiewana głosem, jeszcze więcej zajęła Bierzyńskiego. Zaczął się śpiewakowi przypatrywać coraz pilniej. I zdało mu się że go poznaje. Lecz nareszcie poznał go rzeczywiście. Śpiewającym bowiem nie był kto inny, jak tylko dobrze nam znany Barnaba — a tym, który go prowadził, jego syn własny, uczący się jeszcze zawsze na księdza, ale teraz już znacznie słusniejszy, Wojtek.

Obaczywszy przez całe życie trzeźwego Barnabę pijanym, a do tego jeszcze i śpiewającym, Bierzyński niesłychanie się zdziwił i zaledwie wierzył swym własnym oczom. Lecz musiał wierzyć, bo w tej chwili Barnaba się przybliżył ku niemu, patrzył przez chwilę niepoznaną oczyma na niego, a kiedy go poznał, zdjął czapkę i kłaniał mu się do ziemi.

— Jak się masz, stary Barnabo! — rzekł do niego Bierzyński — cóż? nie poznałeś mnie?

— Ledwie.. ledwie żem poznał jegomościa — mówił Barnaba niewyraźnym językiem i kłaniając mu się ciągle — tyle złota na jegomości.. ale niech Pan Bóg da szczęście.

— Dziękuję ci mój kochany — rzekł na to Bierzyński — ale powiedzże mi, coż się to dzisiaj stało, żeś sobie tak podochocił?

— Ot! tak sobie... trochem się upił.

— Ale dlaczego? czy to tak z ochoty, żeś obaczył mój obóz?

— Aha! tak... to z ochoty.

— No, nie wielki to grzech — mówił Bierzyński — a może i całkiem niema grzechu, ale przecie to dla ciebie nie ładnie...

— To nie, proszę jegomości... panu to brzydko, ale chłopu to nie.

— Ale bo to i między chłopami bywa czasem różnica.



— Różnica? — powtórzył Barnaba i przez chwilę chwiał się i niby myślał, a potem rzekł: może i tak! ale ja jej nie widzę...

— Już to dzisiaj podobno trudnoby ci było co bądź obaczyć — rzekł przez zęby Bierzyński i spytał głośnie: — no i jakże ci się powodzi?

— Mnie... dobrze... dosyć dobrze — a jegomości?

— I mnie dobrze.

— No to chwała Bogu! niechże Pan Bóg da szczęście... niechże Pan Bóg da szczęście... — powtarzał Barnaba, kłaniając mu się znowu do ziemi.

To mówiąc, oparł się nazad na swoim chłopcu i pokłoniwszy się jeszcze raz czapką, potoczył się dalej drogą ku domowi. Lecz ledwie zrobił dwa kroki, zaczął znów śpiewać:

A ci, co z tobą...

Ale chłopiec mu przerwał, mówiąc:

— Dajcież pokój tatuui. Nie godzi się hałasować tuż pod samym obozem.

— Cicho bądź, błaznie! — zawołał na to Barnaba — niechże sobie zaśpiewam!

I to rzekłszy, śpiewał dalej jak mógł tylko najgłośnie:

A ci, co z tobą teraz przestawają,  
Twój się fortunie nie tobie kłaniają...  
Skoro ta zniknie, tył każdy podawa,  
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawia...

Ta zwrotka ostatnia jakieś dziwne zrobiła na Bierzyńskim wrażenie. Oparł się o słup bramy i był zamyślony na chwilę.

Lenartowicz patrzył na niego i milczał.

Ale niebawem Bierzyński się zbudził i jak gdyby nigdy nie było, rzekł:

— Ten Barnaba, to zaprawdę dziwny jest chłop. Często bowiem powie coś takiego, nad czem nie zawadzi i do brzo pomyśleć.

— Bo każdy chłop potrafi coś takiego powiedzieć —

rzekł na to regimentarz — tylko że my na to, co mówią, nie zwykliśmy zwracać uwagi.

— I proszę cię, skąd to pochodzi? bo przecież trudno zaprzeczyć, że my wykształceni mamy pod każdym względem więcej rozumu od nich. Chcąc tedy czy nie chcąc, musimy wiedzieć wszystko i lepiej i pewniej: a pomimo to i mnie samemu już się nieraz zdarzyło, że mi tak chłop prosty natrącił myśli takie, na które bez niego byłbym wcale nie przyszedł.

— Skąd to pochodzi, trudno odgadnąć — mówił Lenartowicz, postępując z nim razem w środek obozu — ale tak mi się widzi, że winą tego jest właśnie nasze wykształcenie. Bo te szkoły, te rozmaite nauki, te filozofie przeróżne, czynią nas nadto sztucznymi, a ta sztuczność nie daje nam widzieć nie jednej rzeczy takiej, którą oni swoim prostym rozumem widzą zawsze daleko prędzej i jaśniej...

Z tego założenia byłaby się zapewne długa wywiał dysputa, ale już dzień dzisiejszy nie był jakoś do dysput. W tej chwili bowiem podbiegł ku nim jeden z oficerów dyżurnych i rzekł do Bierzyńskiego z pośpiechem:

— Jw. panie! jest tu Marta kowalka i pragnie się co najprędzej widzieć z jw. panem. Zdaje się, że jakieś ważne musi przynosić nowiny...

— A to pewnie jakieś nieprzyjacielskie wojska muszą się ku nam przybliżać — rzekł na to z radością młody marszałek — jeżeli tak jest, to w samą porę mi dzisiaj przychodzi! ani kostki z nich nie zostawię!

A wtem o kilkanaście kroków przed nimi pokazała się istotnie dawna kasztelanka piastunka, która idąc od głównego namiotu, spiesznym krokiem zbliżała się ku nim.

Bierzyński przystąpił natychmiast do niej i stanąwszy na stronie, z wielkiem zajęciem z nią przez niedługą chwilę rozmawiał. Poczem ją prędko odprowadził, a zbliżywszy się do Lenartowicza, rzekł:

— Wyobraź sobie, co to za dudek ten nasz Wścieklica! Zebrał w swojej wiosce wczorajszej nocy kilka szwadronów dragonii, pomiędzy którymi mają się znajdować dwa szwadrony złotej chorągwi z dodatkiem kilku kom-

panii pieszych z regimentu Łanowych. Z tą wielką armią czeka na jakieś posiłki z Sieradza, które jeszcze wczoraj w południe wyszły w Kaliskie, i ma zamiar dzisiejszej nocy na nasz obóz uderzyć. Nie jestże to dudek prawdziwy? a rwie się ciągle i rwie bez końca. Ale trza go już przecie raz na zawsze nauczyć, żeby też miał choć pojęcie, co to jest wojna!

To mówiąc, wziął natychmiast Lenartowicza ze sobą, ażeby zebrać starszyznę i wydać odpowiednie rozkazy.

Mając przeważniejszą siłę, niżeli podług tych wieści mógł nawet w najlepszym razie zebrać dzisiaj Wścieklica, dosyć było może, mieć się tylko na baczności w obozie, a porozstawiawszy poza obozem wedety, w razie napadu stoczyć bitwę zaraz koło obozu, gdzie wyniosła wyżyna, zastoniona samym obozem, dawała bardzo korzystną pozycję. Ale Bierzyński, wychodząc z tej staroświeckiej i wcale dobrej zasady, że *melius est praevēire quam praevēniri*, zostawił jedną trzecią sił swoich w obozie pod komendą imię pana Zembrzuskiego, który był u niego oboźnym, — a zabrawszy dwie trzecie z sobą i cztery działka, ruszył sam na Wścieklicę. Jak tylko się dobrze ściemniło, przeznaczone do bitwy wojska pod komendą samego marszałka, znającego całą tę okolicę jak własną kieszeń, ruszyły w pochód — a w obozie zaległa cisza jak w grobie.

Przejdźmyż teraz z kolei do wioski Wścieklicy, gdzie według wieści szlachcica, przyjaznego konfederatom, miały być zebrane wojska, im nieprzyjazne. Wioska ta nie leżała dalej od Bierzyńskiego obozu jak o trzy ćwierci mili. Wchodziła ona jakby klinem pomiędzy grunta a właściwie pomiędzy las Gozdawiecki i między orne pola, należące do dóbr kasztelańskich, i leżała na dole. Jadąc stąd od chaty Barnaby, można ją było już o jakie tysiąc kroków lub więcej przejrzeć zupełnie i w razie danym spaść na nią jakby z powietrza. Była to tedy bardzo niekorzystna pozycja dla majora buławy wielkiej koronnej; jednak nie myśląc zapewne tu bitwy staczać, nie dbał on o to i nawet tak dalece był nieostrożnym, a może tylko pewnym siebie w swej własnej wiosce, że nie tylko się nie kazał

z żadnej strony pilnować, ale nawet dozwolił tego, że pomiędzy zgromadzone kompanie i szwadrony kręcono się z latarniami.

Szwadrony zaś te i kompanie były istotnie tu zgromadzone i w tej chwili nawet dosyć dziwnie rozpołożone. Dwór jego bowiem, jak z jednej strony mieścił przy sobie stodoły, gumna i inne zabudowania, tak z drugiej miał bardzo obszerny dziedziniec i ogrody warzywne. Na tym tedy dziedzińcu i w ogrodach stało wszystko to wojsko. Konnica stała szwadronami przy koniach, piechota kompaniami z bronią w ręku po drugiej stronie, a we środku stał sam Wścieklica z kilkunastą oficerów różnego stroju i żywo z nimi rozmawiał.

— Anoż mnie już i niecierpliwość bierze — mówił on do swoich kolegów — czemu tamtych nie widać? Mieli być zaraz z zachodem słońca, tu już blisko jest jedynastej a ich jak niema tak niema.

— Żeby ich jeno kto nie potłukł na drodze! — odezwał się na to jeden z kolegów.

— I to być może — odpowiedział Wścieklica — bo się to kręcą tedy te konfederaty, jako cyganie. Gdzieś tu ma być i Morawski w tych stronach...

— To nie, jeżeli ich tam potłukli — mówił na to drugi kolega — ale kiedy oni tu nie nadejdą, cóż natenczas my pocniemy ze sobą?

— Owa! anoż to wielka historia! — zawołał na to Wścieklica — toż się bez nich obejdzem i sami uderzym.

— Sami? — zapytało kilka głosów z niedowierzaniem.

— A czy to nas nie dosyć na taką głupią imprezę? — zapytał major.

— Na kogo innego możeby było i nadto, ale na Bierzyńskiego...

— Już też Bierzyński to co dziwnego! — Znam tego człowieka jeszcze od tego czasu, kiedy jeździł na drewnianym koniku, alem w nim nigdy nie takiego nie widział, czego bym się miał strachać.

— Kiedy jeździł na drewnianym koniku, to zapewne że nie było czego się strachać, ale teraz jeździ na żywym,



a co gorzej, jeździ i na armatach, których powiadają go mieć ze dwadzieścia...

— A żeby też miał i ze czterdzieście, tobym dzisiaj nie brał w rachunek, bo śpią pewno tak samo, jako i jego żołnierze. Wodężto pito przy tym festynie, który dziś wyprawiano dla kasztelana? Anoż stoję honorem za to, że tam wszyscy spieci jak beły i żeby nas tylko sto ludzi wpadło, to ich wszystkich porzeżem jako baranów. Bo to z tem taka jest rzecz, jako wiem z doświadczenia.

— Dajże Boże, żeby tak było.

Wścieklica chciał jeszcze jakimś argumentem dowieść swojego przekonania, kiedy wtem drugi oficer rzekł:

— Zdaje mi się, jakobym słyszał tentent jakiś i niby wozy jadące...

— Anożto pewno nasi — rzekł major — cicho więc bądźcie, żebyśmy lepiej słyszeli.

Oficerowie przycichli i każdy wyteżył oczy jako mógł najbystrzej w nieprzedartą ciemnicę, — kiedy wtem — zamiast tententu i wozów jadących, — huknął strzał działowy, a cudnie wymierzona kula zmiotła od razu wszystkich oficerów z przed oczu majora.

Za tym strzałem padł zaraz drugi i trzeci i czwarty, — a całe wojsko, rozłożone w dziedzińcu i po ogrodach zamieszkało się z sobą jak w garnku.

Wścieklica został sam jeden na środku i w pierwszej chwili stracił całkiem przytomność.

Jednakże w tym momencie, czy to od kuli działowej, czy od ręki umyślnej, zapaliła się strzecha na jednym z gospodarskich budynków. Płomień wybuchał jasny i nagły, ogarnął zaraz dach cały i oświecił całe obejście. To otrzeźwiło Wścieklicę. Skoczył zaraz do swego konia, rzucił się na kulbakę i kilkoma skokami przeniósł się przed front swoich szwadronów, aby ich sprawić do szyku; drugi oficer skoczył ku piechocie; — i tak piechota jak jazda sprawiły się same z siebie prawie w jednym momencie, — ale już było zapóźno...

Wtem oka mgnieniu bowiem, jak lawiny alpejskie przygrzane promieniami południowego słońca, tak Bierzyńskiego

zastępy spadły nagle w dziedziniec, druzgocząc wszystko i łamiąc z gwałtownością i mocą taką, której żadna siła nie mogła się oprzeć. Przy płonących tedy stodołach i gumnach zaczęła się, nie bitwa, ale rzeź najokropniejsza, jaką kiedykolwiek widziano w tej wojnie...

Przez pół godziny nie było nic słychać, tylko chrzęst broni, łomot upadających jeźdźców i łamiących się koni, przerywane okrzyki zwycięzców i straszne jęki konających...

Ale za pół godziny już była cisza.

Przy dogasających zgłiszczach pożaru, ze drzwi i okien uratowanego folwarku, wyglądały przestraszone twarze folwarcznych parobków i dziewczek; w jasno-czerwonym zwierciadle krwi, stojącej sadzawką w dziedzińcu, odbijały się stosy trupów leżących na ziemi i dogorywające belki stodoły i gumien; dokoła dziedzińca i ogrodu biegały zdąsane konie bez wędzideł i jeźdźców; a nad to wszystko wystrzeliwały iskry z pogorzeliska, gasnące w kłębach żółtego dymu i spadające popiołem na ziemię... I owóż wszystko, co się tutaj zostało z czterech szwadronów buławy wielkiej koronnej, z dwóch szwadronów złotej chorągwi, z trzech kompanii regimentu Łanowego i z tych dopiero tak pięknych nadziei, porzeżania śpiących konfederatów jak baranów w obozie!

Ale tak to bywało wtenczas — i tak najczęściej bijał Bierzyński, który jeździł na koniu żywym i na armatach — jak powiadał jeden z oficerów Wścieklicy.

W dwie godzin potem Bierzyński już siedział w swoim obozie i pod swoim namiotem, jakby nie nigdy nie było. Przed nim na stole palił się prosty olejny kaganiec, on zaś sam siedział w krześle polowem i palił lulkę z krótkiego cybuszka. Z jego ust wylatywał dymek niebieski, a na jego twarzy malował się uśmiech, ale tak drobny i nie nie znaczący, jakby tylko dopiero wstał od maryasy i swojemu przeciwnikowi dał suchą.

W krótkiej chwili odsunęła się kotara, zastępująca drzwi w tem polowem mieszkaniu, i wprowadzony przez Lenartowicza, wszedł do namiotu Wścieklica.

Imię pan major buławy wielkiej koronnej był teraz do-

syć znacznie zmieniony. Nie miał kapelusza na głowie ani też w rękę, a jego twarz cała była zakrzepłym potem oblana; nie miał szpady obok, a jego mundur był w wielu miejscach krwią obryzany. Z całej jego postawy było widać bezsprzecznie, że lubo dał się przemódz i zabrać nareszcie, drogo jednak opłacono to jego wzięcie. To też pewnie dlatego, lubo ciężka zgryzota i prawie rozpacz malowała się w jego twarzy, stał jednak prosto i patrzył raczej z rezygnacją i zaciętością, niżeli z poddaniem się i pokorą.

Obaczywszy go przed sobą Bierzyński, nie ruszył się z swego krzesła i nawet swojej swobodnej postawy ani o cień jeden nie zmienił, tylko uśmiechnął się jeszcze wyraźniej i rzekł:

— Czołem, panie majorze!

— Czołem, jw. marszałku! — odpowiedział Wścieklica.

— No i cóż? — zawołał na to zawsze z uśmiechem Bierzyński — jakoś ci się twój zamiar nie udał? Miałeś napaść na mój obóz, miałeś już dyby i łyka gotowe na jeńców — a tymczasem sam upadłeś w swoją własną połapkę.

— Rozmaicie zdarza się w wojnie — odpowiadał na to obojętnie Wścieklica — byłem przygotowany na to i na owo.

— A! jużciż na to, co się stało, pozwól sobie powiedzieć, że nie byłeś wcale przygotowany!

Wścieklica milczał, ale zrobił przytem taką minę, że Bierzyński musiał w głos się roześmiać. Poczem wstał i przystąpiwszy do niego, zawołał:

— Już to, mój kochany Wścieklico! kto oddaje ludzi pod twoją komendę, podobno lepiejby zrobił, gdyby ich odesłał po prostu do janki. Tęgi z ciebie jest żołnierz, ale dowódca cha, cha, cha! śmiać się trza do rozpuku. Bo tak bez kozery kogoś wytatarować, jeszcze mi się też nie zdarzyło, jak długo żyję!

Bierzyński był wesół i byłby zapewne jeszcze dalej mówił w tym tonie, ale Wścieklicy było i tego już nadto, jakoż odsunął się o krok cały od niego i rzekł:

— Czy myślisz jeszcze dalej naigrawać się ze mnie?

— Naigrawać się? — rzekł Bierzyński i natychmiast ton zmienił — niechże Bóg broni. Proszę cię, siadaj. Możeś głodny? panie Albinie, proszę cię, każ nam dać wina...

— Dziękuję ci za to wszystko — odpowiedział sucho Wścieklica — bom ani głodny, ani spragniony.

— Nie? to siadaj przynajmniej.

— Nawet i siedzieć nie mam ochoty, póki się nie dowiem, co myślisz uczynić ze mną?

— Cóż myślisz? — rzekł na to z ciekawością Bierzyński — co ja uczynię z tobą?

— Nie wiem.

— Ale przecie, jak ci się zdaje?

— Zdaje mi się, że zrobisz to, co ci każe twój obowiązek.

— Butnie mówisz... a wiesz ty, co mi każe obowiązek uczynić z takim, który chciał nocą napaść na obóz?

— Nie wiem.

— Obowiązek mój każe mi takiego powiesić.

Wścieklica się zmieszał trochę, lecz zebrał się prędko i spytał:

— Czy konfederaci wieszają i takich żołnierzy, których biorą w otwartym polu i z bronią w rękę?

— A regaliści takich nie wieszają?

— Ja o tem nie wiem.

— Ale ja wiem i mógłbym ci długi szereg takich ofiar wyliczyć!

— Ja nie obwiesiłem jeszcze nikogo.

— I ja nie, ale odtąd będę wieształ, bo widzę, że nie ma na was innego lekarstwa! — odpowiedział chmurno Bierzyński i zaczął się z wyrazem gniewu na twarzy przechodzić po namiocie.

Zdaje się, że musiał sobie przypomnieć jakieś srogie postępowania swych nieprzyjaciół gdzieindziej, i to go teraz wzburzyło gniewem.

Trwała chwilka milczenia.

Przez ten czas Wścieklica patrzył ciekawie na Bierzyńskiego i niby coś myślał moralnie, a w końcu rzekł:



— Przecieżbym się tego nie spodziewał po tobie.

— Czego?

— Żebyś mnie kazał powiesić...

Bierzyński w głos się roześmiał i spytał:

— A to dlaczego?

— Bo tak rozumiem, że kiedybyś mnie już musiał zgładzić, tobyś mnie kazał rozstrzelać.

— Wolałbyś zginąć od kuli?

— Jużci zapewne.

— No! — rzekł Bierzyński, kładąc rękę na jego ramieniu — u mnie nie zginiesz ani od stryczka, ani od kuli. Ja ciebie puszcę wolno; kiedy zechcesz, nawet i zaraz; tylko mi dasz słowo, że się przeciw konfederacyi bić więcej nie będziesz.

Przy pierwszych słowach twarz Wścieklicy dziwnie się wypogodziła odrazu, lecz przy ostatnich znowu się zachmurzyła. Major buławy koronnej zaczął się kręcić w miejscu i rzucać oczyma to na Bierzyńskiego, to w ziemię, to po ścianach namiotu. Widać było, że miał coś ważnego do powiedzenia, a sam nie wiedział, jakby się miał wyśłowić. Rozum mu kazał nie psuć swej dobrej już teraz sprawy, a tymczasem sumienie nie pozwalało przystać na założony warunek. Jednakże musiał to zauważać Bierzyński, bo spytał:

— I cóż? czy jeszcze ci mało?

— Nie... nie jest mi mało, tylko zakładasz mi taki warunek, że go nie mogę dopełnić.

— Jakto? — zawołał Bierzyński — to nie dasz słowa?

— Nie dam.

— I seryo nie dasz? — zapytał po chwili milczenia marszałek.

— Nie dam.

— A to chybaś oszalał!

— Nie — odpowiedział Wścieklica — jestem całkiem przy zmysłach.

— A to dziwne jakieś masz zmysły! I dlaczegóż nie chcesz dać słowa?

— Bo nie mogę dać takiego słowa, którego bym nie był w stanie dotrzymać.

— Jakto? a od kogoż to zależy, bić się, albo też nie bić? Ja, kiedy zechcę, dzisiaj broń złożę i wszystkich moich żołnierzy rozpuszczę.

— Bo ty jesteś żołnierzem samowładnym, a ja jestem podległym. Ja, jeśli dziś wyjdę z niewoli, jutro wrócę do regimentu, a kiedy stanę pod moją chorągwią, muszę to robić, co mi rozkażą. Inaczej nie może być. Miałbyś mnie więc potem nazwać hultajem, że złamałem słowo, albo miałbym kulą w łeb dostać za nieposłuszeństwo: a to lepiej daj mi kulą w łeb zaraz, pókim jeszcze bez plamy!

Tych słów słuchał Bierzyński z uwagą, patrząc w oczy Wścieklicy; poczem się zwrócił i chodził niespokojnymi krokami w podłóż namiotu. Pasowały się tutaj znowu zapewne obowiązki żołnierskie z ludzkością i szlachetnością. Ale u konfederata prędko odniosła zwycięstwo szlachetność, z którą też Bierzyński się zwrócił do swego regimentarza i rzekł:

— Proszę cię, kochany Albinie, każ temu człowiekowi oddać jego broń, konia i co do niego należy, i każ go wyprowadzić za obóz.

— A ciebie proszę — dodał obracając się do Wścieklicy — jeżeli masz jakikolwiek wzgląd na mnie i jeżeli chcesz mieć wzgląd na siebie samego, żebyś się drugi raz ze mną nie spotkał. Bo koniec bitwy pomiędzy nami zawsze będzie taki sam, lub podobny, a jeśli ty jesteś podległy twemu generałowi, to wiedz o tem, że ja jestem narodowi podległym i także mam obowiązki takie na sobie, których dla jakiejś tam dawnej przyjaźni zapominać nie mogę.

To rzekłszy, odwrócił się całkiem od niego, dając tem do poznania, że już się posłuchanie skończyło; nie pozostało tedy nic majorowi, jak wyjść natychmiast z regimentarzem z namiotu.

## II.

A kiedy po całej prawie Rzeczypospolitej grasowała wojna tak krwawa, kiedy całe powiaty zamieniały się w składające się tylko z ruin i z gliszców pustynie, kiedy na niebie nie wygasły łuny a na ziemi groby się podnosiły na grobach: cóż się działo natenczas w stolicy? co robił król, który temu krajowi panował?

Król był na wieczorze u księcia wojewody ruskiego i bawił się przewybornie. Na tym wieczorze było dam kilka celujących niesponiewieranymi jeszcze wdziękami, było awanturników kilku, którzy się jeszcze nie wypowiedali ze wszystkich kłamstw swoich, było kilku głębokich statystów, którzy mieli w swych głowach jeszcze tajemnicą okryte plany, mające na drodze pokojowej przynieść narodowi zbawienie: król się targował o słodkie obietnice z damami, słuchał opowiadania arcyciekawych zagranicznych awantur, miódopłynną wymową swoją imponował statystom — i bawił się tem przewybornie.

Ale pomimo to, że się bawił tak dobrze, lubo nieznacznie, dość często jednak, spoglądał na małe zegareczek, który jak zwykle, tak też i dzisiaj, miał na wierzchu rękawa przyszyty. Stąd należało wnosić, że wieczór niniejszy nie miał dzisiejszych jego zajęć ostatecznie zakończyć, tylko że go czekały jeszcze jakieś daleko ważniejsze sprawy po skończeniu wieczoru.

Tak też było w istocie — i były to sprawy zaprawdę nie mało ważne.

Jego królewska mość bowiem, jak to zwykł był czynić każdego lata, tak i teraz już się był przeniósł do swoich ulubionych Łazienek. — W tym arcypięknym, wodami oblanym i klombami otoczonym pałacu, każdego roku coś przebudowywał, coś poprawiał, coś jeszcze udoskonalał. Na te doskonałości wychodziły miliony. W tym roku wszakże, ponieważ z powodu wojny i krajowych zamieszków, tak skarb publiczny, jak jego prywatna szkatuła, (co zresztą wychodziło na jedno), miał wiele nieprzewidzianych

wydatków i ucierpiał niemało uszczerbków, zaniechał on wszelkich znamienitszych na upiększenie Łazienek nakładów i tylko według nowego planu kazał przerobić swoją sypialnię.

Zaledwie król przyjechał do swego pałacu Łazienkowski, kiedy wszedł służbowy szambelan i zapowiedział: że pan podskarbi Wessel czeka od dwóch godzin w antykamerze i prosi koniecznie o posłuchanie na krótką chwilę.

— Dajcież mi pokój z tymi Wesslami! — zawołał król na to z gniewem, patrząc w oczy szambelanowi, i dodał po chwili — już mnie ten Wessel chce wyraźnie zamęczyć! Jeszcze przychodzi w nocy, żeby mi nabił głowę jakimiś nowymi strachami i żebym nie mógł zasnąć do rana!

To rzekłszy, zaczął się przechodzić po sypialni, namyślając się pewnie, czy ma mu dać posłuchanie, czy nie. A tymczasem szambelan odpowiedział powoli:

— Najjaśniejszy panie! pan podskarbi jest już tu dziś po raz trzeci, musi więc zapewne mieć jakąś ważną sprawę.

Król jeszcze myślał przez chwilę, a potem rzekł:

— To przyprowadź go tutaj.

Szambelan odszedł — a król tymczasem, myśląc zapewne, że się z Wesslem wkrótce odprawi, zaczął wyrzucać z kieszeni rozmaite gracki: lornetkę, nożyk, nożyczki, łokieć zsuwany, flakonik od spazmów, pudełeczko z cukierkami, pularsik z drewniankami do zębów, kalendarzyk małeńki i t. p., co wszystko zawsze zwykł był nosić przy sobie.

W krótkiej chwili, przez drzwi wpół otwarte, wsunął się raczej niżeli wszedł jw. podskarbi i złamawszy się prawie we dwoje po raz i drugi, stanął z pokorą przy drzwiach.

Podskarbiego Wessla widzieliśmy już na początku niniejszej powieści i wiemy o tem, że był to człowiek już nie młody, niewielki wzrostem, z dużym nosem, o małych zielonych oczach i w dużej, saskiej jeszcze, na białą pu-



drowanej peruce; ale nie wiemy o nim nic więcej. Wypada nam tedy tutaj nadmienić, że był to jeden z najprzebieglejszych intrygantów, jakich naówczas nosiła ziemia. — We wszystko się wmieszał, każdego umiał ująć dla siebie, od każdego coś dla siebie wyludził i każdego nakoniec zdradził. Tak wskutek intryg któremi służył do zawiązania konfederacji Radomskiej, uzyskał sobie pensję na następnym sejmie; od dworu pruskiego wytumaniał sobie jednorazową gratyfikację — a to wszystko nie przeskadzało mu zgola do tajemnego kokietowania z konfederacją Barską, której podawał plany opróżnienia polskiego tronu, dla osadzenia na nim familii saskiej. Przy tem wszystkim — co już zaledwie do uwierzenia, a co przecież było w istocie — waśnił pomiędzy sobą naczelników konfederacji Barskiej, siał pomiędzy nimi na nich samych potwarze, czernił ich zmyślonymi przez siebie występkami lub zamiarami występków, a utrzymując wszędzie własnych swych szpiegów i za pomocą ich wiedząc zapewne, co się gdzie działo, niejednokrotnie nawet prostemi denuncyacyami kierował piekielną nawą swych intryg. Rozpatrując się w jego niezliczonych uczynkach, które się składają na jego postać szkaradną, czasem nawet trudno zrozumieć, jakie tutaj lub owdzie mógł mieć zamiary — i trzeba sobie wtedy powiedzieć, że był to człowiek zły i podły z zasady. Pomimo to jednak, wiedział on zawsze podobno, co czynił, a lubo niektóre jego uczynki zdają się być takimi, że nie mogły mu wprost przynosić korzyści, przynosiły one jednak korzyści osobom innym, a z tych innych zlewały je potem na niego. Takim był Wessel podskarbi.

Kiedy go król obaczył, przystąpił zaraz do niego i rzekł:

— Mój kochany podskarbi! cóż cię też znowu przy-pędza do mnie? Założyłbym się o wielką sumę, że mi znów jakieś smutne przynosisz wieści...

— Najjaśniejszy panie! — odpowiedział podskarbi pół-głosem — wieści te, które przynoszę, nie są wprawdzie

wesołe, ale chwała Bogu są takie, że przy chęciach po temu możnaby je zamienić w dobre...

— A to już pewnie znowu przychodzisz mnie męczyć, abym coś zrobił z tym tam twoim Bierzyńskim, który jak powiadasz urósł do trzech tysięcy i jeszcze rośnie. Ale mój kochany! cóż ja z nim zrobię? i choćbym coś zrobił, to co to pomoże? czy to on jeden stanowi tę zaślepioną konfederację, która jak widzę już się na to uwzięła, aby mi zatruć życie?

— Najjaśniejszy panie! — mówił dalej pół tajemniczo Wessel — od dni kilku, jak miałem zaszczyt przedstawić jego kr. mości stan całej konfederacyi i w niej Bierzyńskiego pozycję, postać rzeczy się tak znacznie zmieniła, że przedewszystkiem muszę waszej król. mości, memu miłościwemu panu zdać nowy raport...

— Nowy raport! — powtórzył Stanisław August z westchnieniem, a rzucając pobieżnym wzrokiem na swoje nowe zwierciadło, dodał — mój podskarbi! a nie możnaby tego odłożyć do jutra?

— Miłościwy panie! sprawa ta jest nadzwyczajnie nalegająca... Gdyby taką nie była, czyżbym był śmiały niepokoić mojego monarchę w nocy?

— Ha! to już mów — odpowiedział król jeszcze z głębszym westchnieniem i siadłszy w krzesło, zwiesił głowę na poręcz, oddając się z taką rezygnacją Wesslowi, jakby na jakieś męki.

Tedy Wessel tak zaczął mówić:

— Otóż muszę najpierwej waszej kr. mości dowieść, że Bierzyński urósł nie do trzech tysięcy ludzi, jakieśmy przed tygodniem myśleli, ale w wigilię ś-go Jana miał ich trzy tysiące czterysta sześciudziesiąt, a dzisiaj już ich ma cztery tysiące z okładem...

— Cztery tysiące! — zawołał król — i powiedźże mi, jakim sposobem przyszedł ten człowiek do takiej siły? jakim środkami utrzymuje tak znaczne wojsko?...

— Najjaśniejszy panie! energia, osobista waleczność, znamienite militarne zdolności, o czem wszystkim już dawno waszej kr. mości mówiłem...

— No i cóż dalej?

— Otóż w sam dzień śgo Jana — powiedział dalej podskarbi — przygotował się był na niego jmé pan Wścieklica, major buławy wielkiej koronnej i zebrawszy cztery szwadrony swoje, dwa szwadrony złotej chorągwi i trzy kompanie łanowych, miał zamiar w nocy na jego obóz uderzyć i zabrać. Zdawało się, że ta impreza się uda, bo Bierzyński dnia tego wyprawiał festyn w swoim żołnierzom. Wiedziałem o tem, a chociaż Bierzyński jest moim krewnym i z całego serca mu życzę, aby się wykierował szczęśliwie, wierny jednak memu miłościwemu panu, błagałem Boga o jaknajzupełniejszą wiktoryę dla wojsk waszej kr. mości. Zwycięstwo to byłoby mogło stać się zabójczem nawet dla całej konfederacyi. Ale podobalo się Bogu jeszcze raz nas ciężko doświadczyć...

— I cóż się stało? czy zaniechał Wścieklica swego zamiaru?

— Gorzej jeszcze, miłościwy panie. Kiedy bowiem Wścieklica się zbierał u siebie i czekał na nadejście wojsk posiłkowych, które jakby umyślnie nie przysły, sam Bierzyński napadł na niego i najstraszniejszą rzeź sprawił w jego szeregach...

— Jakto? więc napadnięty wzajemnie? i nie broniłże się Wścieklica?

— Bronił się całą siłą, ale przeciwko Bierzyńskiemu rzadko skuteczna obrona. Bo uderza tylko po dokładnym namyśle i z gwałtownością zabójczą. Dlatego i tutaj trzy czwarte części wojsk jmé pana Wścieklicy legło na miejscu, a reszta wraz z swym dowódcą dostała się do niewoli...

Na tę wiadomość Stanisław August zbladł i zmienił twarz całą jak gdyby w gniewie; ale zacisnął usta i w milczeniu zaczął się przechodzić po sypialnej komnacie. Podskarbi mówił dalej:

— O tej bitwie straszliwe doniesiono mi rzeczy. Stosy trupów leżą do dziś dnia jeszcze na dziedzińcu pana Wścieklicy, a pomiędzy nimi konający i ranni, bez ratunku, bez opatrzenia, przerażającymi jękami napełniają powietrze...

Ale król zdawał się jakby nie słyszeć tego, bo w tej chwili podniósł ręce do góry i zawołał żalosnym głosem:

— O! cóż też ja mam za ludzi! co za żołnierzy!

Poczem znów chodził przez chwilę i milczał — a nareszcie przystąpił do Wessla i rzekł:

— I powiedzże mi, cóż znów za szatan opętał tego Bierzyńskiego? czym go kiedy ukrzywdził? czym mu zrobił co złego? czegoż ten człowiek się mści na mnie tak srodze?

— Najjaśniejszy panie! — mówił na to podskarbi — nie myślę ja tego, aby Bierzyńskim powodowała zemsta...

— Ale zemsta, zemsta! — zawołał Stanisław August — nie innego jak zemsta powoduje nimi wszystkimi! Tylko żeby *mnie* dręczyć, żeby się pastwić nademną, żeby *mnie* zapędzić do grobu, podnieśli oni ten bunt obrzydliwy! Ale cóż przez Pana Boga żywego! czyż mnie nie sami obrali?

Wessel milczał przez chwilę, nie chcąc zaprzeczać myśli królewskiej, który ten słaby w tym razie monarcha uroił był sobie istotnie z samym początkiem konfederacyi, i której, pomimo wszystkich uniwersałów i manifestów, nie mógł się pozbyć do końca. Nie chciał mu tedy tego urojenia zaprzeczać podskarbi, bo wiedział, żeby się to było na nic nie zdało, a wytrzymawszy chwilę w milczeniu, potem tak mówił:

— Najjaśniejszy panie! jeżeli jest kto pomiędzy naczelnikami konfederacyi, który jest tyle zbrodniczym, że chowa w swem sercu jakieś urojone do waszej kr. mości pretensye, to tego najpewniej nie można powiedzieć o jmé panu Bierzyńskim. Przeciwnie nawet, wiem to dokładnie i od niego samego, że nietylko jaknajgoręcej pragnie być wiernym swemu monarsze, ale nawet w swym szlachećnym sercu dla osoby waszej kr. mości nosi najwyższą cześć i uwielbienie...

— A to kiedy tak jest, czemu się bije przeciwko mojemu wojsku?

— Miłościwy panie! Nie mógłszy znaleźć u swego



pana odpowiedniego swoim zdolnościom urzędu, poszedł w służbę konfederacyi...

— Ale zmiłuj się, czegoż on chce odemnie? wszakżeż już dawno, o ile sobie przypominam, ofiarowałem mu przez ciebie samego szambelaństwo u mego dworu.

— Najjaśniejszy panie! — odpowiedział na to podskarbi — urząd szambelana waszej kr. mości, jakkolwiek jeden z najpiękniejszych, zwłaszcza dla młodego człowieka, nie odpowiadał jednak jego powołaniu.

— A toż przecie potem — mówił król dalej — kazałem ci go powołać do Warszawy, obiecałem rangę pułkownika natychmiast i dałem do zrozumienia, że jak tylko wart będzie, to niebawem i wyżej postąpi.

— Najjaśniejszy panie! Bierzyński wtenczas był porucznikiem chorągwi pancерnej i zastępował miejsce regimentarza; miał więc niejaką słuszność ze sobą, jeśli był zdania, że co najmniejsza należałby mu się stopień generała.

— A toż i tego nie odmawiałem, bo przecież powiedziałem ci w końcu, że za pierwszym wakanssem zostanie generałem w cudzoziemskim autoramencie.

— Miłościwy królu! Przenosić się z chorągwi pierwszej do cudzoziemskiego autoramentu, nie wiem ażali mogło być dla niego korzystnem...

— Ale zmiłuj się, czyż podobna było tak młodego i tak mało znanego człowieka podnosić ni stąd ni zowąd na stopień generała polskiego?

— Najjaśniejszy panie! jeżeli mi wolno pociągnąć porównanie pomiędzy nim a innymi...

— No to cóż? czy równy jest Potockiemu, Lubomirskiemu, Czartoryskiemu, Poniatowskiemu i tylu innym, którzy są generałami?

— Tym, najjaśniejszy panie, może nie równy, ale pan Franciszek Ksawery Branicki...

— Ale proszę cię i z Branickim mi go nie równaj, bo żaden z was niema nawet wyobrażenia, co to za człowiek!

— Nie ulega to wątpliwości, że jest to człowiek wy-

borny, żołnierz pierwszego rzędu, jak dał tego dowody pod Berdyczowem i Barem; ale Bierzyński, chociaż ze strony przeciwnej, złożył także dowody znamienitych zdolności. Śmiałym nawet powiedzieć, że jego dowody są jeszcze daleko więcej przekonujące, bo on począł z niczego, wzrastał o własnych siłach i wzrósł dzisiaj do tego stopnia, że z całej konfederacyi on tylko jeden jest dzisiaj straszny, a za dni kilka może się stać strasznym podwójnie; że nie wspomnę już o tygodniach i miesiącach, które ma także przed sobą i w których kto wie, do jakiej jeszcze siły wzrosnąć może? — A byłoby tego wszystkiego nie było, gdybyś wasza kr. mość wtedy, kiedy to śmiałem proponować dwukrotnie, był go postawił na odpowiednim stopniu i przywiązał do siebie. Byłoby to się stać mogło wtedy niewielkim kosztem, dziś... całę inny stan rzeczy...

— Dziś całę inny stan rzeczy, to prawda — mówił król na to — ale jakże rozumiesz? czy możnaby go jeszcze dzisiaj dla nas pozyskać?

— Ja tak rozumiem, że można, i „to“ jest nawet, z czem do waszej kr. mości przychodzę. Tylko jestem zdania, że z tego położenia trzeba by bez zwłoki korzystać i co ma być zrobionem, zrobić w ten moment. Ja sam się ofiaruję ze stosowną propozycją do niego pojechać...

— To wieszże, co — przerwał król prędko, ujmując podskarbiego za złoty guzik u aksamitnej sukni — to jedź do niego i powiedz mu, niechaj zaraz konfederacyę swoją rozpuści, a sam niech do Warszawy przyjedzie. Zaręcz mu przytem naszym królewskim słowem... naszym królewskim słowem — powtórzył Stanisław August, namysławiając się nad tem, co ma powiedzieć; i dodał w końcu: — że co tylko będę mógł zrobić dla niego, to zrobię.

Na taką odpowiedź podskarbi spojrzał wielkimi oczyma na króla i mimo woli cofnął się o pół kroku. Chciał coś odpowiedzieć, ale na taką obietnicę, na takie zrozumienie podanego przezeń projektu, na takie zresztą zrozumienie całej konfederacyi Barskiej, sam nie wiedział, coby odpo-

wiedzieć i milczał. Ale król patrzył na niego ciekawemi i coraz więcej zdziwionemi oczyma, a widząc wreszcie, że podskarbi ani myśli już odpowiadać, zapytał prędko:

— No i cóż? czyż to nie dosyć?

— Najjaśniejszy panie! — mówił na to podskarbi z niskim ukłonem — w każdym innym razie byłoby dosyć... ale w tym razie... obietnica tak niewyraźna...

— To czegoś chcesz? — zawołał król niecierpliwie, zapalając się w ten moment według swego zwyczaju — czy go mam *anticipative* kreować obożnym, czy pisarzem, czy może aż hetmanem polnym koronnym? Już ci to przecie niepodobieństwo.

— Najjaśniejszy panie! — mówił Wessel po malej chwili milczenia — nie moją rzeczą jest przepisywać waszej kr. mości, jak masz sobie w którym terminie postąpić. Ale jako wierna rada mojego monarchy, obyczajem dawnym i zawsze praktykowanym przez naszych przodków, mam sobie za obowiązek w sprawie takiej, która mnie jest dokładnie znajomą, złożyć u stóp tronu waszej kr. mości moją rozważną i długimi latami wiernych służb moich doświadczoną opinię...

— No więc cóż myślisz? — spytał król trochę łagodniej.

— Zważywszy dzisiejszy stan rozpierzechniony całej konfederacyi — mówił dalej podskarbi — i wziąwszy pod rozwagę tę okoliczność, że najsilniejszym i już prawie jedynym tej sprawy filarem jest jme pan Bierzyński, rozumiem tak, iż to, aby ostatnie jej siły rozbić i tak niebezpiecznego nieprzyjaciela na swoją stronę przeciągnąć, nie byłoby opłaconem za drogo nawet i tak znakomitym urzędem.

Król chodził po komnacie i milczał. Rozmyślał on zapewne nad propozycją Wessla, która jednakże musiała mu się wydawać nadzwyczaj uciążliwą i nawet przykrą.

### III.

Na zamku kasztelana było zgromadzonych kilkanaście osób z sąsiedztwa. Był więc najpierw stary przyjaciel domu Gałęcki — był ciekawy wszystkich światowych i politycznych nowinek stolnik Szadkowski — był nawet białłowski podkomorzy sieradzki, który lubo dotychczas nie miał blizkich z domem kasztelana stosunków, od czasu jednak, jak Bierzyński rozłożył się obozem pod zamkiem, prawie co drugi dzień go nawiedzał. Za jego przykładem i inna szlachta, już to powodowana przyjaznemi uczuciami dla konfederacyi, już przynosząc jej pomoc, a pragnąca przynosić i radę rzetelną, zjeżdżała się często w Bierzyńskiego obozie, skąd znowu zwykle przyjeżdżała na zamek. Oprócz nich wszakże był jeszcze Bierzyński i Lenartowicz, którzy bywali na zamku codziennie; zaś Zembruski Obożny i Smolecki, obozowy intendent albo obroczny, jak go po prostu nazywali konfederaci, którzy obadwa tylko dzisiaj z kolei byli zaproszeni na obiad.

W tej chwili wszyscy ci goście byli zgromadzeni w sali jadalnej. Właściwy obiad już się był skończył i już powstały były od stołu damy, francymier i zamkowi dworzanie; ale panowie starsi, pozostawszy jeszcze przy stole zastawionym poobiednimi winami, obyczajem dawnym odziedziczonym po Sasach, przedłużali jeszcze biesiadę coraz się więcej ożywiającą gawędką. Podczas obiadu, przez wzgląd po części na damy i młodzież, po części zaś na półmiski, rozmawiano o rzeczach powszednich i obojętnych, lecz kiedy damy odeszły od stołu a wino otworzyło drogę głębszym uczuciom i wymowniejszym słowom, to i gawędka zaczęła się przechylać na stronę spraw ważniejszych i bliższych, i nareszcie najbliższych.

Jednakże nie tak to łatwo było o tych rzeczach rozprawiać. Bo najpierw wiedzieli o tem wszyscy rozmawiający, że Bierzyński żadnej rozmowy, tak o sprawach swych własnych, jak i o innych konfederackich, w swej obecności nie znosi, a kiedy takiej rozmowy zwyczajnymi



środkami do innego przedmiotu odwrócić nie może, to czasem nawet dosyć dziwnymi sposobami nakazuje milczenie. Powtórze zaś, dzisiaj jeszcze tem trudniej było o konfederacyi sieradzkiej rozmawiać dlatego, ile że dzisiaj położenie tej sprawy stało się w oczach wszystkich jakoś tak mało zrozumiałem i tak delikatnem, że jeno sam Pan Bóg mógł wiedzieć, jakby je słusznie osądzić.

I położenie to było delikatnem istotnie. — Bierzyński bowiem, jak to już wiemy, zyskał był sobie bardzo rozgłosną sławę, nim jeszcze przyszedł w Sieradzkę; kiedy tu przyszedł i rozwinął swoje zwyciężkie wojska przed oczyma swojego województwa, sława ta jego ugruntowała się w opinii publicznej do tego stopnia, że nawet jego dawni nieprzyjaciele, porzuciwszy swoje niedowiedzione niechęci lub wątpliwości, oddali mu cześć i szacunek. Jeżeli zaś jeszcze i wtenczas znachodzili się tacy, którzy rozumieli, że Bierzyński tylko zręcznym przemysłem i więcej wyrachowanym rozumem, niż bohaterскими czynami, nabierał tyle wojska i utrzymywał przy sobie: to jego tak szczęśliwe i tak zupełne nad Wścieklicą zwycięstwo, dokonane jeszcze do tego w okolicznościach takich, w których się go nikt nie mógł spodziewać, przekonało i tych nawet inaczej. Tutaj nawet trzeba powiedzieć więcej. Jeżeli bowiem do owej chwili przekonano się tylko, że Bierzyński jest walecznym żołnierzem i roztropnym dowódcą — to owe nagłe zniszczenie Wścieklicy w chwili takiej, kiedy rozumiano, że Bierzyński jest cały zajęty tylko festynem i uczuciami swojego sereca, narzuciło wszystkim aż nadto uderzający dowód, że ten młody dowódca jest jeszcze daleko więcej niżeli tylko roztropnym, że jest genialnym, że obowiązkom dla niej umie nawet najmilsze swoje uczucia poświęcić.

Kiedy zaś byli i tacy, którzy cały ten festyn obywatelski mieli tylko za sztuczną maskę, mającą służyć do tem łatwiejszego zejścia i pobicia Wścieklicy — to Bierzyńskiego postać zaczęła się w opinii publicznej wznosić jeszcze daleko wyżej i urastać już nawet do potężnych rozmiarów. — Wszakże to wszystko, jak słusznie, obu-

dziło tylko tem większe o nim nadzieje na przyszłość. Opinia publiczna bowiem, im większe otrzymuje rękojmię możności, tem też większych domaga się skutków. Spodziewano się tedy i po Bierzyńskim teraz już bardzo wiele — a kiedy jedni rozumieli, że zaraz drugiego i trzeciego dnia drugiego i trzeciego pobije Wścieklicę, inni bujną swą wyobraźnią sięgali daleko dalej i marzyli o czynach, o jakich jeszcze nikt dotąd nie śmiał zamarzyć.

A tymczasem Bierzyński nie spełniał nawet ani najskromniejszych nadziei. Od śgo Jana bowiem miał mu dzień jeden za drugim jaknajzupełniej bezczynnie. Młody marszałek leżał sobie jaknajspokojniej obozem, rano wyprawiał musztry, południowe godziny przepędzał w zamku, przed wieczorem przyjmował gości u siebie, a wieczorami jeździł znowu na zamek i stamtąd często dopiero aż późno w nocy powracał. O zwinięciu obozu, o wymarszu z nad Warty, albo jakiegobądź innych zamiarach wojennych, ani nawet mowy nie było. I tak minął od dnia festynu tydzień cały, i pół tygodnia, i jeszcze dni parę — a w postępowaniu marszałka najmniejsza nawet nie zachodziła zmiana. Uważając to szlachta, sama nie wiedziała, co myśleć. Niepodobna było przypuścić, żeby Bierzyński chciał już spoczywać na laurach i na tem skończyć swój zawód, bo koniec taki nie mógł być czem innym, jak tylko dobrowolnym upadkiem, równającym się zdradzie — a kiedy w tym przedłużonym spoczynku nie podobna było dopatrzeć żadnego czy to strategicznego, czy politycznego celu — wpadano wreszcie na najrozmaitsze domysły, z których jednakże żaden nie był tego rodzaju, żeby go zdrowy rozsądek uznać mógł sprawiedliwym. Kwestya tedy o to, co właściwie myśli Bierzyński, była na dzisiaj nadzwyczajnie ciekawą dla wszystkich zagadką, na której rozwiązanie już kilkakrotnie Bierzyńskiego naprowadzano, ale zapewne napróżno. Ponieważ jednak kwestya ta zanadto była ważną, aby ją można było zapomnieć, chociaż prztem była także i tak delikatną, że nie można z nią było tak łatwo do Bierzyńskiego przystąpić, nie tracono jednak

jeszcze zawsze nadziei i gdzie tylko się do tego zdarzyła sposobność, zawsze na nią naprowadzano rozmowę.

Kiedy więc stary kasztelan, z każdym dniem teraz już niżej się chyłący do grobu, drzemał w swem krześle poręczowym przy stole, stary wojski zaś z panem Zembruskim, Smoleckim i inną drobniejszą szlachtą w osobnem rozmawiał kółeczku, — Jmé starosta bydgoski, wyręczający gospodarza w kółku starszyny, prowadząc dalej rozpoczętą rozmowę, tak mówił:

— Otóż to jest rzecz najciekawsza z wszystkiego, bo rozmaicie to mówią, a nie wiedzieć, co prawda. Jedni więc utrzymują, że to konfederaci tak zniszczyli ten powiat Pilzneński, następując na dyssydentów, których więc pełno tam między szlachtą, a którzy tajemnie *adhaerebant* nieprzyjaciółom. Drudzy zaś twierdzą, że to nieprzyjacieli poczynił te dewestacye...

— Mnie powiadano z pewnością — rzekł na to podkomorzy sieradzki — że to konfederaci...

— A cóż też jegomości opowiadano o panu Sawie? — zapytał stolnik Szadkowski — bo ja słyszałem od jednych, że cudów waleczności dokazał w Pilźnie; a pan starosta znów słyszał, że na głowę pobity?

— Podług wieści jakie się do mnie doniosły — odpowiedział podkomorzy — i jedno ma być prawdą i drugie. Bo i bił się walecznie w Pilźnie i potem znów *vice-versa* pobitym został pod Jodłową, jako więc o to w tej roztrzępanej wojnie nie trudno. Ale pomimo to zapewniają, że się z tej niefortunnej bitwy jeszcze dosyć szczęśliwie wywinął i połączywszy się na drodze z jmé panem Szycem pod Muszynkę i Kobylanekę do głównego obozu pociągnął.

— Jeżeli tak, to byłoby nie źle — rzekł na to stolnik — bo tym sposobem te partykularne oddziały, chociaż porozbijane każdy z osobna, jednakże połączone ze sobą, mogłyby jeszcze przecie coś zrobić. Ale to temu zaledwie można dać wiarę...

— A to dlaczego?

— Bo już to jakoś u panów dowódców konfедера-

ckich jest jak widać regułą, żeby się z sobą nie łączyć, jeno ażeby każdy działał na swoją rękę i swoim własnym rozumem...

Tu Bierzyński, który przez ten czas rozmawiał z jakimś obcym szlachcicem, spojrzał na stolnika ukośnym wzrokiem, lecz milczał — a tymczasem rzekł podkomorzy:

— Być też może, że to jest istotnie regułą. Ale jest tu pomiędzy nami także jeden dowódca konfederacki, to ten nas w tem łatwo objaśni...

— Co panowie rozkażą? — spytał na to Bierzyński.

— Mówimy o tem — rzekł na to stolnik, że z dotychczasowego prowadzenia tej naszej konfederacyi okazuje się, że panowie dowódcy jakoś wcale nie łączą się z sobą, a kiedy tak każdy działa na własną rękę, a żaden nie pomaga drugiemu, niejednokrotnie stąd wynikają klęski, bo też i muszą wynikać tam, gdzie tak porozdrabiane są siły.

— Waćpanowie to tedy konfederacyi ganiecie? — spytał surowo Bierzyński.

Trwała chwilką milczenia — a kiedy nikt nie odpowiadał, rzekł stolnik:

— My tego nie ganimy, uchowaj Boże! ano zrozumieć tego nie możemy, bo nam się zdaje, jako też i rzecz naturalna, że połączonemi siłami daleko prędzej więcej uczynić można, niżeli wtedy, kiedy te siły są rozstrzelone.

— Otóż to jest nieszczęście — rzekł na to niecierpliwie Bierzyński — że waszmość panom wiele takich rzeczy się zdaje, które są naturalnemi tylko w waszych głowach, lecz nie w naturze. Bo czyżby było co łatwiejszego, jak połączyć wszystkie siły konfederackie w jeden oddział? i czyż to myśl tak sztuczna, żebyśmy na nią, kiedyby tego była potrzeba, bez cudzej pomocy nie wpadli? i czyżbyśmy jej nie wykonali natychmiast? Ale pytam się, na co?... A jużci zapewne nie na co innego, tylko na to, żebyśmy zamiast wielu zwyciężkich, a przynajmniej wątpliwych potyczek, wydali jedną wielką, zarazem głupią i niewątpliwą bitwę, w którejbyśmy wszyscy od razu prze-



padli? Bo też innego celu tej naturalnej myśli nie widzę — a że koniec tej bitwy musiałby być takim, nikt o tem nie może wątpić, kto wie dokładnie, jak wielką siłę mogłaby zebrać na jedno pole konfederacya, a jaką siłę może jej król przeciwstawić. Czy już się waszmości teraz trochę wyjaśnia, dlaczego konfederacya się z sobą nie łączy?

— Jeszcze nie całkiem — odpowiedział upornie stolnik.

— Tedy waszmości tę sprawę cyframi dowiodę — rzekł na to jeszcze niecierpliwiej Bierzyński i spytał: — czy wiesz waszmość, jakie konfederacya posiada siły?

— A Bógże to raczy wiedzieć! ale jak słyszę, jest tego jak piasku w morzu...

— Jak piasku w morzu! Ja waszmości zliczę ten piasek. Kiedy konfederacya wybuchnęła, miała wszystkiego w Barze, licząc w to już Tatarów, Kozaków, nadworne milicje i wszystkich ciurów, ledwie dwanaście tysięcy. Ten cały korpus został, jak to pewnie i waszmości wiadomo, częścią pod Berdyczowem, częścią pod Barem, a nareszcie na Wołoszczyźnie, jak najzupełniej zniszczony. Potem zaczęły się wiązać konfederacye partykularne po województwach i ziemiach; ile ich było dotychczas trudno policzyć, ale nie trudno wiedzieć, bo o tem wie przecież świat cały, że żadna z tychże konfederacyi, wyjąwszy jednej Sanockiej, nie miała nigdy tysiąca ludzi. A i z tych jeszcze część większa, zaledwie wstała, w oka mgnieniu zginęła, nie wyjmując ani Sanockiej, ani Krakowskiej, która mogła mieć także wyżej tysiąca ludzi, ale już w samym związku rozstrzelili się była na kilka osobnych oddziałów. Dziś zaś rachunek krótki, bo dzisiaj oprócz panów Puławskich i Sawy, z których żaden niema więcej jak kilkaset ludzi, jestem tylko ja jeden, który mam parę tysięcy: a jeżeli oprócz mnie jest jeszcze może i kilkunastu drobnych dowódców, to racz się waś o tem dokładnie dowiedzieć, jakimi siłami ci ludzie się biją: a natenczas nie trudno ci się będzie przekonać, że niektórzy z nich mają ledwie po kilkadziesiąt szabel, drudzy po kilkanaście, a inni nawet się biją wcale bez szabel, jak np. Żbikowski, który

osmolonymi kijami na czele kilkunastu rzemieślników cały szwadron prusaków rozpedził. Takich sztuk dokazuje się łatwo a nawet nieraz i większych, ale li tylko wtedy, kiedy nieprzyjaciół nie wie, gdzie i jaką siłę ma przeciw sobie. Ale byłoby to wcale inaczej, gdybyśmy się wszyscy zbrali razem i przedstawili naocznie, z jakimi to siłami tak głośną i wielką utrzymujemy wojnę. Wiesz tedy waszmość, ile ludzi zbralibyśmy dzisiaj, gdybyśmy się wszyscy skoncentrowali? Ręczę waszmości, że nie więcej jak siedm do ośmiu tysięcy. — A wiesz waszmość, co może król przeciw nam stawić? Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a nawet i osmdziesiąt tysięcy. A jakiby stąd wyniknął skutek, nie potrzebuję waszmości powiadać, bo tego się przecież domyślisz. Czy więc już teraz rozumiesz, dlaczego się nie łączymy i dlaczego każdy z nas na własną wojnę rękę?

Na takie wyjaśnienie rzeczy wszyscy umilkli, a stary kasztelan, który przyłożywszy trzęsącą rękę do czoła, pilnie słuchał, co mówił Bierzyński, rzekł na to:

— Bardzo to mądrze tę rzecz wytłumaczył a co jeszcze daleko więcej warte, to to, że prawdziwie. Ale i niepotrzebnie zresztą wdałeś się w te eksplikacye, bo co tam komu do tego? Łatwo to inkulpować żołnierza, siedząc w domu na grzędzie, ale niechajno który sam tej wojny spróbuje, która prawdę mówiąc tylko cudem Boskim trwa jeszcze dotychczas, przy tej obojętności obywateli!

Uwaga ta kasztelana, do pewnego stopnia dosyć prawdziwa, a w oczach każdego konfederackiego dowódcy najsprawiedliwsza bezwzględnie, była Bierzyńskiemu w tej chwili nadzwyczajnie na rękę; jakoż natychmiast zabrał głos znowu i zaczął wywodzić bardzo wymownie i trafnie, z jakimto poświęceniem i trudem walczą konfederaci, a jak mało w tem poświęceniu doświadczają pomocy.

A kiedy tutaj Bierzyńskiego słuchano, to z rzeczywistym współczuciem, to z niechęcią, to nareszcie niestety! nawet i z oburzeniem — jak tam czyje było usposobienie: przy drugim końcu stołu, gdzie stary wojski z jme panami Zembrzuskim, Smolekim i inną szlachtą drobniejszą równie żywą prowadził gawędkę, rozmawiano także o tym samym przedmiocie, tylko

w sposób trochę odmienny. Wykształceńsza cokolwiek i większy zakres działania mająca przed sobą starszyzna, sięgała po wiadomości głębsze i rozwidniała sobie obszerniejsze widoki — młodsza zaś bracia, zajmując się tem tylko, co ją dotyczyło najbliżej, wypytywała się wzajem o szczegóły i drobniejsze i bliższe, chociaż może w tej chwili daleko ważniejsze niż tamte.

— Powiedźże mi waść, panie obożny — egzaminował dalej ciekawy wojski, nalewając obożnemu szklanicę — więc taki seryo nie kontenci z tego żołnierze, że nasz marszałek tak długo leży tutaj obozem?

— Nie można powiedzieć — odpowiadał na to półgłosem obożny, nachylając się wojskiemu do ucha — żeby to było nieukontentowanie ogólne. Bo taki ten spoczynek był koniecznie potrzebny, chociaż nie wszyscy wiedzą dla czego. Przyszliśmy tu i sprezentowaliśmy się przystojnie, aleć to nie wszystko to prawda, co widzi oko. Tak też było i u nas. Widziano pod nami konie dzielne, mundury piękne, broń lśniąca, działka przystojne; lecz nie widziano tego, że już w drugim szeregu były nie konie, jeno szkapy wychudłe, że na mundurach były łaty, a pod mundurem gdzieś gdzie i koszuli nie było, że ta i owa broń była bez kurka, u jednego łożo bez lufy, a u drugiego pochwa bez szabli; nie widziano o tem, że wszystkich armat jeno trzy było całych, a ile było pieniędzy w kasie, ile też innej biedy, niech to już powie jmé pan intendencja. A więc spoczynek był nam potrzebny. Znać go też już na nas cokolwiek, bośmy się zaopatrzyli i w konie, i mundurów nam trochę naszyto, i broni mamy już trochę więcej, i armatki niektóre się sporządziło, a i kasa się także zaopatrzyła cokolwiek, za co wszystko najwięcej mamy wdzięczności dla dwóch dobrodziejów: a to najpierwej dla waszego kochanego kasztelana, a potem dla jmé pana Wścieklicy.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to wojski serdecznie — panie bracie! a cóż też równasz mojego pocziwego staruszka z jmé panem Wścieklicą!

— A! bo oni obadwa to najwięksi nasi dobrodziejcie.

— Ba! ale cóż za porównanie?

— No! jeden jest dobrodziejem po woli, a drugi się stał po niewoli, ale dla nas to wszystko jedno.

— A prawdę mówiąc — odezwał się na to jmé pan Smolecki — to bodaj czy nie miłsze dla nas te dary, które nam przyniósł Wścieklica, niżeli te, które wy nam codziennie zwozicie.

— Wierzę bardzo — rzekł wojski — że tamte miłsze, bo krwią własną zdobyte; ale niechajże i nasze będą wam miłe, bo jak was kocham, tak ze szczerzego serca dajemy. Choć prawdę mówiąc — dodał starzec półgłosem — że od tych darów dyabło trzeszczą nasze komory. Jak was kocham serdecznie, tak to tylko takie stare gospodarstwo jak nasze może wytrzymać takie ekspensy. Drugiego szlachcica jużby dawno nie stało, a choćby go stało, to ręczę za to, że jużby był albo zamknął swe magazyny, albowy był uciekł gdzie w cudze kraje. Ale nasz staruszek to doprawdy złote ma serce. Ja go sam nieraz reflektuję, mówiąc: — Jw. panie! kiedy tak dłużej potrwa, to nie żartem źle będzie, bo potem, nietylko że nie będzie co dawać, ale i sami nie wytrzymamy przednowku. — A on mi na to: — Mój Jacusiu! jeno mnie nie chwytaj za połę, kiedy Pan Bóg dozwala postępować ku pocziwości i enocie. Łatwiej nam będzie trochę pasa przyciągnąć albo i głód przecierpieć, siedząc beczynninie za piecem, niżeli tej znacznej braci, która we krwi a trudzie służy za nas pocziwej sprawie. Otwieraj więc komory i dawaj co trzeba, a kiedy braknie, to ci dam pas mój ostatni i karabelę, abyś to u żyda zastawił, a pieniądze dał do obozu. Pochowasz mnie potem bez pasa i karabeli, co tobie będzie smutno, ale ja nad tem płakać nie będę, bo tuszę, że mnie i tak Pan Bóg nie odtrąci od siebie. — Owóż to taki zacny ten mój staruszek!

— Jużto że zacny, to i niema co mówić — ozwał się na to obożny — o czem też wiedzą nasi konfederaci i wdzięczni mu są jak trzeba. Wdzięczni jemu, wdzięczni też jejmość pani Bierzyńskiej, bo prawdę mówiąc, gdyby nie te dwa dwory, toby nam może nieraz przyszło i głodu



przymrzeć, albo magazyny zakładać, na co znów nie wiem, czyby nam wystarczyło pieniędzy. Jakoż to dobrze jest dla nas, ale nie wiem, czy nie wyniknie stąd kiedyś co złego dla was, a to z tego powodu, że nam te dary wasze przysyłacie w dzień biały, i w oczach wszystkich. Póki my tu leżymy i dopóki będziem gdzie blisko, to zapewne, że nie wam nie będzie; ale jak my odjedziem gdzie dalej, żeby nas zemsta jaka nie napotkała za to, jako to wiem, że się już stało gdzieś indziej. Anożby to o tem warto pomyśleć...

— Ba! i cóż myśleć? — zapytał wojski.

— Pomyśleć o tem, czyby tych rzeczy nie można skutecznie trochę tajemniej? Jaby był i sam na tę myśl nie wpadł, ale mnie na nią naprowadził pomimo woli jakiś szlachcic z sąsiedztwa, który wśród najciemniejszej noey z dziesięcioma wozami przed obóz zajechał, mnie sobie kazał wywołać, oddał mi ośmdziesiąt worów legumin i zniknął, nie powiedziawszy nawet swojego nazwiska. Otóż to człowiek był mądry. Mają też drudzy w tem także czasem nie złe koncepty... jeno już wy, a pani Bierzyńska stawiacie czoło otwarcie, jakby już była wygrana i żadnego strachu na całym świecie...

— Masz waszmość w tem i prawdy cokolwiek — rzekł na to wojski po niejakiem namyśle — bo o biedę nie trudno. Aleć to znowu i bieda nie zje nas przecie tak łatwo. Od czegoż zamek? od czegoż zresztą i u nas szabla przy boku, a śmigownice na baszcie?... Jakoś tak mówię, że chociażby to lepiej było się stało, gdybyśmy sobie byli postępowali ostrożnie, jednakże dzisiaj już na te ostrożności i nie czas. Niech więc tak z wami jak z nami dzieje się wola Boża — a waszmość wracaj do rzeczy. Więc tedy waszmość rozumiesz, że cokolwiek bądź tam gadają, taki ten spoczynek był wam koniecznie potrzebny?

— Że nam był koniecznie potrzebny — powiedział dalej oboźny — tego nikt nie może zaprzeczyć, a ja powiadam, że nawet jeszcze dwa trzy dni, dopóki rzemieślnicy swoich robót nie skończą, takżeby się przydało: ale znów z drugiej strony jest inna racya i to nawet wa-

żniejsza, niżeli te tam naprawy broni. A ważniejsza dlatego, bo to przecie wiadomo każdemu, że lepiej mieć dobrego żołnierza uzbrojonego miernie, niżeli największy dostatek broni a rozpuszczonych żołnierzy, albo też nawet i żadnych...

— Jakże to, panie bracie? — więc się żołnierstwo rozpuszcza?

— A jakże waść chcesz? — zawołał na to Smolecki — przecie leżym tutaj już blisko trzech tygodni: a czy to podobna, aby żołnierz się nie psuł, kiedy tak długo leży bezczynnie?

— Ej! panie bracie! — rzekł na to wojski, toż to przecie dawnymi czasy nie jeden obóz leżał i po parę miesięcy, nieraz i przez całą zimę na jednym miejscu, a przecie to jakoś nic nie szkodziło żołnierzom.

— Ba! inny obóz! — odezwał się z kolei oboźny — ale bo w innym obozie inni byli żołnierze. A u nas, czyż to waść nie wiesz? część tylko, mała część nawet żołnierzy, a reszta, to ot! sobie rozmaici ludziska ze świata. Są ludzie zacni, i nabożni, i przywiązani do sprawy, niema co mówić; ale też i wichrów jest dosyć, jako więc zwykle w takim pospolitem ruszeniu, gdzie nie było czasu przebierać. Więc który zacny, ten też myśli inaczej, ale co jest nie potem, to się haniebnie rozpuszcza. A powiem waści nawet i więcej — dodał oboźny wojskiemu do ucha — od kilku dni mamy już nawet i trochę ubytku...

— Jakżeto? — spytał wojski — dezertują?

— A jużci.

— I powiedźże mi waść, skąd to pochodzi?

— Bógże to raczy wiedzieć! Jużciż zapewne z rozmaitych powodów, ale główny podobno jest ten, że jakoś taki nie wielkie zaufanie mają do swego marszałka. Dopókiśmy byli w ciągłych marszach, codzień jakaś bitwa, codzień potyczka, często jakieś obrywki, jak zwykle w wojnie, a do tego i ciągła niepewność, co tam siedzi za górą: to się to jakoś wszystko trzymało kupy, była karność, był rygor, była i wiara. Ale jakeśmy się tylko tu położyli, Pan Bóg wie skąd, ale zawsze, w dni kilka, tysiące

wieści rozbiegło się po obozie, a jedna gorsza jak druga. A już dziś, to sam Pan Bóg wie co nie gadają...

— Proszę wasci, i coś gadają...

— Ja tam tego nie wiem — mówił dalej oboźny — bo tych plotek nikt nie powtarza przedemną, ale to wiem z pewnością, że jest takie przekonanie prawie w całym obozie: że nasz marszałek dalej się bić już nie będzie.

— A to dlaczego?

— Różni to różnie tłumaczą, a niektórzy może nawetcale nie wiedzą, dlaczego w to wierzą, ale że wszyscy w to wierzą, to pewna.

— Anoż jakaś dziwna jest wiara! — zawołał wojski — bo już to pewne, że nie oparta na niczem.

— Może więc na przecuciu — zawołał oboźny — bo żołnierze czasem dziwne miewają przecucia.

— A może też i na jakich premisach — dodał do tego Smolecki — bo i o to nie trudno.

— Anożbym to ciekawy był tych premisów! — rzekł na to wojski.

— Jeśli waś taki ciekawy — odpowiedział Smolecki — to powiem, chociaż waś sam o tem wiedzieć powinien: że kiedy żołnierz konkurować zaczyna, to już pewnie o wojnie nie myśli.

— Czy to te są premisy? — zawołał wojski — cha, cha, anoż mi się śmiać teraz z wasci do rozpuku!

— Śmieszno to wasci? — spytał Smolecki.

— A jużci śmieszno, bo kiedyby ta konkurencya miała panu Bierzyńskiemu co szkodzić w jego żołnierskim zawodzie, to byłaby mu już dawno szkodziła, boć przecie konkuruje tak samo już od lat pięciu. Jeśli zaś teraz w tej konkurencyi ma jakieś lepsze przed sobą widoki, anoż to jeszcze o tyle więcej będzie się starał o to, aby tych widoków nie stracić. — Nie prawdaż, panie oboźny?

— Może to i prawda co waszmość mówisz — odpowiedział oboźny — bo niby tak być powinno; ale i tego wprost nie można zaprzeczyć, co powiadają żołnierze, zwłaszcza też patrząc na to, co się dzieje. A zresztą, powiem ja wasci — dodał ciszej mówiący — są tu jeszcze i inne

powody, dla których rozumieją nasi żołnierze, że już to koniec tej konfederacyi sieradzkiej. A tych powodów jest aż dwa na raz...

— Powiedzże mi waszmość choć jeden.

— Anoż zaraz jest jeden ten, (tylkoż waszmość tego nie powtarzaj nikomu, bo ja sam w to nie wierzę), otóż jeden powód jest ten, że jest taka wieść w naszym obozie: jakoby imię pan marszałek, zrozumiałwszy ze stanu sprawy naszej po innych ziemiach, że już ta konfederacya do niczego doprowadzić nie może, konferował z królem o pokój...

— Ej! i coś też waś nie powiadasz! — rzekł na to wojski — a gdzieżby też nasz pan Józef mógł się wdawać w jakieś konszachty z królem? czyż to on nie wie, że niema mocy do tego? czy nie wie o tem, że konfederacya przecie ma swoją inną starszyznę i jeneralność?

— Otóż widzisz waś — ozwał się na to Smolecki — jak to waś nie znasz ani pana Józefa, ani jego właściwych stosunków, chociaż już wróble o tem śpiewają. Bo pan Józef wie o tem dobrze, że konfederacya ma jeneralność, ale tej jeneralności dawno już nie uznaje. Jeszcze od Białostockiej potyczki, gdzie dostał rozkaz połączenia się z Pułaskimi a nie połączył się z nimi...

— Ale dodajże waszmość także — przerwał w tem miejscu oboźny — od kogo dostał ten rozkaz i powiedz wyraźnie, że od tych samych Pułaskich.

— Ale nie od tych Pułaskich, tylko przez tych Pułaskich — odpowiedział Smolecki — a od jeneralności, bawiającej naówczas na Wołoszczyźnie.

— O! już co to, to przepraszam — zabrał głos znowu oboźny — bo tego rozkazu nie mógł wydać nikt inny, jak tylko sam pan Kazimierz Pułaski. Jakoż jeżeli tego rozkazu nie usłuchał Bierzyński, to już w tem wcale nie winien, jakiegokolwiek złe skutki wyniknęły stąd dla braci Pułaskich. Bo najpierwej pan Kazimierz Pułaski, jako również partykularny i całkiem równy imię Bierzyńskiemu marszałek, nie miał prawa wydawać jemu rozkazów, a potwóre, gdyby nawet ten rozkaz był wydany przez kogoś



z jeneralności, to i tak jeszcze niekoniecznie mu było go słuchać, bo kiedy wówczas pan Potocki był w jawnem nieporozumieniu z starym Pułaskim, ksiądz biskup Kamieniecki był w Węgrzech, a inni marszałkowie jeneralni w najzupełniejszej rozsypce, to nie można nawet było być pewnym, czyli jest jaka jeneralność i kogo z niej słuchać należy? Więc co prawda, to prawda, ale już o to Bierzyńskiego inkulpować nie można.

A na to rzekł mruklawie Smolecki:

— Kiedy kto chce, to wszystko na swoje nakręci, ale pomimo to będzie rzeczą pewną po wszystkie czasy, że pan Bierzyński od samego początku jeneralności uznawać nie chciał, z nią się nigdy nie znosił i zawsze działał na własną rękę.

— Trudno to teraz odgadnąć — rzekł na to wojski, istotnie trochę zafrasowany tą wiadomością, — o ile w tem prawdy; ale gdyby nawet tak było, śmiem się zapytać waszmościów czy na tem, że się pan Józef z jeneralnością nie znosił, straciła co sprawa ogólna? czy się nie bił przez to walecznie i nawet daleko waleczniej niżeli ci, którzy się z jeneralnością znosili? czy bez pomocy jeneralności nie wzrósł prawie z niczego do takiej siły? czy bez jej pomocy także nie stał się grozą i postrachem dla nieprzyjaciół tej sprawy?... A czy przy tem splamił się jakim laniebnym czynem? czy pomimo niezgody nie działał zgodnie z ogólnymi siłami?...

— No: już to o tem — rzekł na to poważnie oboźny — wieleby mówić... Cokolwiekby jednak, to jest pewna, że pan Bierzyński nie był nigdy w dobrem porozumieniu z jeneralnością. A i to pewna także, że jeneralność mu to pamięta, o czem zawsze od czasu do czasu mamy dokładne wieści. Powiem nawet waszmości i więcej — dodał znowu do ucha oboźny — bo od niejakiego czasu mamy wiadomości, że jeneralność chce go pociągnąć do odpowiedzialności. Był tu u nas jeden konfederat, który się bawi przy jeneralności od Wołoszczyzny aż do Eperies, albo li też Preszowa, jak wymawiają Polacy, a ten nam mówił, że już w Preszowie miano sąd składać na niego...

— Ot! śmiej się waszmość z tych tam sądów jeneralności! — zawołał na to wojski sieradzki — bardzo też tam ktoś się obawia sądów, kiedy stoi na czele takiego wojska? Już też się i nie mogę nadziwić waszmości, że takim plotkom a banialukom dajesz przystęp do siebie!

— Ja sam tak mówię — odpowiedział na to oboźny — że te tam sądy jeneralności, która sobie siedzi za granicą i dysponuje tymi, którzy w głodzie i trudzie krew przelewają, to jeno śmieszne są rzeczy. Ale zawsze to trudno zaprzeczyć, że starszyzna starszyzną. Jeśli więc ta starszyzna wyda dekret na niego i tym dekretem ogłosi publicznie, że go zrzuca z marszałkownictwa a na jego miejsce zanominuje innego...

— A na co tutaj i nominacyi! — zawołał na to Smolecki — jest wieść już pewna, że pan Józef Zaremba, żołnierz dzielny i doświadczony, zbiera konfederację w Rospry: niech więc tylko pan Bierzyński tu jeszcze z tydzień poleży, a niech tymczasem Zaremba nową konfederację ogłosi, to żadna bańka mydlana tak prędko się nie rozprysnie, jak te nasze obozy i nasze wojska.

— Dajcień waszmość pokój! — rzekł na to wojski i chciał mówić coś dalej, — kiedy wtem przy drugim końcu stołu Bierzyński zerwał się nagle z miejsca i obróciwszy się do Szadkowskiego stolnika, drżącym, zirytowanym, mocno wzniesionym głosem, tak mówił:

— A co mi waszmość będziesz gadał takie niedoręczności! cóż to jest? inkwizycya, czy sąd wojenny, czy już może kaptury?... Otóż powiadam waści, że będę tutaj tak długo leżał obozem, jak długo mi się będzie podobać i nikomu się z tego usprawiedliwiać nie myślę! A waszmości powiadam wyraźnie, żebyś siedział cicho w swoim zaścianku i o sprawach konfederacyi ani tehu z siebie nie puścił; bo o kimkolwiek się dowiem, że się w to miesza i sieje zatruwające wieści, tego bez względu na wiek i godność, każę porwać, osądzić i jak zdrajcę powiesić!

To mówiąc, uderzył w stół ręką tak silnie, że aż wszystkie szklance zadrżały, — co widząc kasztelan, wstał jak mógł tylko najprędzej z krzesła i przystąpiwszy do

zagniewanego marszałka, wziął go za rękę, mówiąc z pośpiechem:

— Ależ mój kochany Józefie! umitygujże się cokolwiek! bo to widzisz pomiędzy nami mówi się to i owo...

— Mój panie kasztelanie! — zawołał na to prędko Bierzyński, biorąc staruszkę za obydwie ramiona i całując go w ramię — bardzo jegomości przepraszam, że się zniecierpliwiał cokolwiek. Ale ci ludzie byliby w stanie wyrwać mi i serce z pod żeber, a nie dopiero głos z gardła! Ja się poniewieram przez piętnaście miesięcy jak Łazarz, głód cierpię, trud znoszę, krew leję, życie moje oddaję dla nich: a oni już mnie nieledwie posądzają o zdradę, że mni kilka odpoczął! Czyż można tu mieć jeszcze cierpliwość?...

To rzekłszy, pocałował raz jeszcze staruszkę w ramię i wyszedł prędko w galeryę.

Galeryę tę, która wyprowadzała z sali jadalnej i zawieszona na kamiennych kolumnach nad stromym brzegiem, dawała widok na obszerne krainy za Wartą, znamy już dawniej, — tu bowiem niegdyś, przed wielą laty, młodziutki jeszcze wtedy Bierzyński żegnał tę, która mu dawała złoty krzyżyk i błogosławiła na drogę, która mu gwiazdką białą świeciła na zamierzczłem naówczas niebie, i która miała być oświecającą drogę jego całego życia. Otóż na tej galeryi i w tym samym oddalonym odedrzwikaciku jak wtenczas, stała i dziś Annuncyata, i oparłszy się o poręcz żelazną, zdawała się być pogrążoną w jakichś dalekich może, a może blizkich, lecz nie wesółych marzeniach.

Kiedy Bierzyński zbliżył się do niej, ona spojrzała na niego wzrokiem takim pogodnym, jak słońce wychylające się z poza chmurków różowych; lecz obaczywszy twarz jego, twarz tę, którą znała daleko lepiej niż swoją własną, rzekła do niego jakby z wyrazem obawy:

— Cóż to? pan Józef jakiś zmieniony?

— Możem istotnie cokolwiek zmieniony — odpowiedział młodzieniec, usiłując uśmiechem ułagodzić zagniewany wyraz swej twarzy — ale bez słusznego powodu... Pomimo

tyloletnich doświadczeń, jestem, jak widać, jeszcze zawsze za młody na naczelnika tak ważnej sprawy, bo się oburzam takimi rzeczami, których nie powinienem nawet i słuchać. Ale przeszło już więcej, toż i to kiedyś przejdzie...

To mówiąc, oparł się o poręcz galeryi i zwiesiwszy głowę ku ziemi, patrzył w głęboką przepaść, w której wysuszona letnimi upałami Warta zaledwie się ślizgała po kamienistym dnie swego koryta.

— Cóż to było takiego? — spytała Annuncyata, zwracając się ku galeryi napowrót i opierając się także o poręcz — czyście panowie mieli spór jaki ze sobą?

— Nie, pani, sporu żadnego nie było, bo być nie mogło... Oh! gdybym ich jeszcze i do sporów dopuścił!

— Więc co? więc zapewne jakieś pretensye?

— Dziwne i krwawe pretensye gawiedzi, która czy się w rzymskich gromadzi cyrkach, czy jest przytomną sądom Płata, czy biesiaduje na zamku, czy przypatruje się wojnom i sprawom publicznym z zaścianków, zawsze jest jedną i tą samą: zawsze tylko pragnie komedii, zawsze tylko spektaklu, chociażby taki spektakl miał krew kosztować, chociażby miał kosztować życie. Gawiedź ta jest nieznośną i niecierpliwą nawet do tego stopnia, że chociaż aktor najlepiej grał swoją rolę, jeśli tylko na małą chwilę kazał spuścić kurtynę, aby po trudzie odpocząć i przygotować się do reprezentacyi następnej, to ona nawet i przez tę chwilę rzuca kamieniami w kurtynę, wołając głośno, ażeby raczej zginął w jej oczach, niżeliby ją miał nudzić oczekiwaniem!

Po tych słowach trwała chwila milczenia. Śród tego milczenia Bierzyński obrócił głowę ku Annuncyacie i patrzył na nią jakby jakimś niepewnym, zapytującym wzrokiem. — Annuncyata przechyliła cokolwiek przez poręcz, patrzyła w tej chwili w strumienie Warty i nie widziała tego wzroku, ale go czuła zapewne na sobie, bo odpowiedziała po chwili:

— Nie mogę wierzyć, żeby pan Józef powiedział to z serca lub z przekonania... Zdaniem tem bowiem ubliżał-



byś sobie, ubliżałbyś narodowi, ubliżałbyś nawet całej ludzkości. Miałebyś istotnie tych zacnych ludzi, którzy pragną jak najspieszniejszych zwycięstw dla ciebie, mieć tylko za gawiedź? a siebie, przewodniczącego tak wielkiej sprawie, tylko za gladyatora?

— Nie, tak nie myślę... ale pod pewnym względem widzę tu tylko bardzo małą różnicę.

— A mnie się zdaje, że pod każdym względem różnica jest wielką. Bo gladyatorowie i gawiedź, krwawych widowisków pragnąca, istnieli tylko w czasach pogańskich: ale od czasu, kiedy na Trupiej Górze tak krwawe i wzniosłe odegrało się widowisko, że przypadający mu się ludzie podniesieni zostali do pojęcia ofiary: od tego czasu nie masz już nigdzie gawiedzi i nie masz już gladyatorów. Tak ja pojmuję tę prawdę, która jak mi się zdaje, jest kamieniem węgielnym Chrystusowej nauki i główną podstawą tego świętego krzyża, którego znamie codzień kładziemy na piersiach: ale sądzę, że i ty jej nie pojmujesz inaczej — dodała kasztelanka z uśmiechem — i tylko to było jakieś chwilowe wzburzenie...

Bierzyński patrzył ciągle nieruchomemi oczyma przed siebie, myślał przez chwilę, a potem rzekł:

— Tak... to było tylko chwilowe wzburzenie. Miewam często takie burzliwe napady i wtenczas czasem dziwne przychodzą mi myśli, dziwniejsze jeszcze nieraz uczucia. Kiedy się później ochłodzę, myślę nad tem i gubię się w najzawiaklanych domysłach, bo zdaje mi się, jak gdybym sam dla siebie był jakąś tajemniczą zagadką. Ale podobno niema tu nad czem silić się napróżno, bo całą tą zagadką jest rzecz bardzo prosta: niecierpliwość umysłu i serca. Chciałoby się robić więcej niżeli można, — i stąd te wszystkie dziwactwa!

— Jeżeli tak jest — mówiła na to Annuncyata — to jeszcze to nie jest grzechem śmiertelnym, bo ta niecierpliwość rodzi się z gorliwości — a czyż o zbytęzną gorliwość w pocziwej sprawie można kogo obwiniać?

— Sądząc rzeczy ogólnie — odpowiedział Bierzyński — oczywiście nie można: ale w sprawach wojennych

nieogłędna gorliwość może czasem więcej narobić złego, aniżeli oziębłość lub opieszałość. Ale o tem tu niema mowy. W sprawach wojennych ja wiem, co robię. Jestem na to żołnierzem, ażebym wiedział, kiedy trzeba wyciągnąć w pole, a kiedy spocząć, ażeby się uzbroić i ubrać. Jestem zresztą na to dowódcą, ażebym nie potrzebował zdawać rachunku przed każdym, kogo zbierze ochota o to zapytać. Jakoż niech oni sobie mówią, co chcą, ja się zbije nie dam ani na jeden krok z mego toru, a jakikolwiek bądź skutek moje czyny uwieńczy, ja pewnie przed tym nie zadrzę, który będzie miał prawo mnie sądzić...

— Ja temu wierzę, bo jestem pewną, że sobie tak postępujesz, jakieś powinien i będziesz tak postępował do końca. I nie jest to tylko ta ślepa wiara, którą mi mimowolnie narzuca mego serca uczucie, bo przecież na to są tak uderzające dowody! Czyż z takimi siłami, jakie ci dano, i w tak trudnych okolicznościach, można było uczynić więcej? Czy zrobił więcej który z twych towarzyszy? — Ja rozumiem, że nie. A kiedy tak jest, to o cóż tutaj właściwie chodzi?

— Żołnierzowi, dowódcy, naczelnikowi konfederacyi sieradzkiej, o nie wcale nie chodzi, bo ten ma od tego rozum, wale, postanowienie, aby sobie na wszystko poradził: ale w żołnierzu, naczelniku, dowódcy, jest jeszcze człowiek, a ten człowiek ma serce...

— O! jakże biednym musi być nieraz ten człowiek! — zawołała Annuncyata z uczuciem — jakże pełne boleści to serce! Ja sobie to wyobrażam i Bóg tylko jeden to widzi, ile cierpień natenczas. Ale ja jestem słabą kobietą...

— O! mój aniele! mnie się dzieje daleko gorzej! Ja jestem mężem, z uśmiechem na twarzy znoszę głód, bezsenność i najcięższe trudy wojenne, jakby posąg kamienny stoję w piekielnym ogniu i z dziecinną nieraz radością rzucam się w najeżone grotami objęcia śmierci: ale gdyby kto rozdarł pancerz na mojej piersi, gdyby pierś moją kto rozdarł i obaczył, co się tam dzieje w sercu, nie wiem, czyby uwierzył, że to serce jest własnością człowieka, który żyjąc wśród ustawicznej wojny i mordów, poi się tylko krwią

ludzką i karmi stosami trupów. To też to serce podobno całkiem jest obce tym krwawym czynom! Ja nie jestem jak inny żołnierz, który się bije z potrzeby serca, sercem uderza na nieprzyjacielskie szeregi i serdecznie się cieszy, kiedy na jego stronę chyli się szala zwycięstwa: ja się biję, bo muszę, jak wyrachowany rzemieślnik prowadzę wojny, uskuteczniłam napady i sieję mordy, ale wśród najważniejszych wojen i mordów, serce moje jest obrócone gdzieindziej. Jestem tak, jakby we mnie mieszkalo dwóch ludzi: jeden ubrany w zbroję, z krwawym mieczem w prawicy, wiedzie rycerskie rzemiosło; drugi, wiotki jak powój, pnie się po murach starego zamku i nuci rzewną piosenkę najgorętszej miłości i przytłumionej nadziei. Takie rozpolowanie człowieka jest najstraszliwszą męczarnią. I dzisiaj, jeszcze mi ta męczarnia jest znośniejszą, niż kiedykolwiek. Dzisiaj ja jestem szczęśliwy. Dzisiaj stoję przy twoim boku, patrzę w twe oczy pełne tak niebieskiego spokoju, oddycham tem samem co ty powietrzem, słucham dźwięku słów twoich, miłszych mi stokroć niż najdźwięczniejsze harfy aniołów... Czyż mogłem kiedy pożądać więcej? — Ale to dzisiaj nie jest niestety wieczne, czas płynie szybko, a ja jestem żołnierzem. Chwila ta, w której z całym moim obozem skrzydła rozpuszczę i znów odlece, Bóg sam wie, jak daleko i na jak długo, już się zbliża pomału, może się zbliżyć prędzej, a i któż to wie zresztą? może jest już za progiem. A kiedy przyjdzie nareszcie i z swoją straszną, zzieleniałą od złości, zębami kłapiącą twarzą, stanie przedemną: nie! ja nie mam odwagi nawet o tej chwili pomyśleć!

Kiedy to mówił Bierzyński, Annuncyata słuchała go z rozrzwinięciem. Na jej prześlicznej twarzy odbijały się ciepłe rumieńce, w jej lśniących oczach kręciły się błędne dwie łezki. Jeszcze przy jego ostatnich słowach wstrząsła się nawet, jakby istotnie zagładnęła jej w oczy owa twarz straszną z kłapiącymi zębami. Lecz kiedy usłyszała z ust jego owe zatrważające słowa: niemam odwagi; nagle, jak gdyby jakiś duch niewidzialny nowej użyczył jej siły, sta-

nęła silna, wyprostowana, dumna i spojrzawszy surowo na niego, zapytała dobitnie:

— „Ty” nie masz odwagi!?!

Pod widoczną przemocą jej wzroku i przenikliwym dźwiękiem jej głosu, Bierzyński nagle zbladł jak ściana i zwiądlł rzeczywiście jak powój.

— Niemam — odpowiedział zbierając swe siły — ale ją mieć będę w potrzebie.

— Tego się spodziewam po tobie i ani myślę inaczej — odpowiedziała Annuncyata, oddychając z głębi piersi — chociaż nie mogę się nie przyznać do tego, że mnie ta myśl już od kilku dni prześladowuje i czasem straszny przenika dreszczem. Możeby w tedy powinna nawet tego żałować, że wyjawila przed tobą tą tajemnicę mojego serca, o której przez lat tyle nikt nie wiedział prócz Tego, który przyjmował moje modlitwy...

Po tych słowach Bierzyński spojrział na Annuncyatę takim wzrokiem, jakby jej nie rozumiał albo nie chciał rozumieć. Ona zaś wytrzymawszy chwilę w milczeniu, głosem pełnym wzruszenia, mówiła dalej:

— O! bo jakżeżto dziwni są czasem ludzie! Najniezgodniejsze z sobą przymioty łączą się w nich w jeden strój zgodny, tak jak dwa różne tony na harfie. Ty, na przykład, który się wychowałeś wśród gradu kul i szeregów oręża, który już dałeś dowody nieprzełamanej mocy duszy i wytrwałości żelaznej, który stoisz na stanowisku tak wzniosłem, że powszednie życia wypadki i ludzie powszedni powinni być całkiem niewidzialnymi dla twego oka: ty, zamiast orlemy skrzydły wzniosłe kręgi roztaczać pod niebem: łamiesz się umyślnie we czworo, ażeby z najdrobniejszym robaczkiem pełzać po ziemi, — ty, zamiast w chwili spoczynku po wielkich czynach słuchać z obojętnym uśmiechem mojego szczebiotania: dla tej właśnie rozmowy z obojętnością patrzysz na najświetniejsze swe czyny, — ty nareszcie błędniejsz jak chusta na samą myśl tę, że niebawem może będziesz się musiał odemnie oddalić! Oh! a czemuż ja jestem? Oto najnędzniejszym plaziakiem, któremu Bóg pozwolił się czołgać między swoim



stworzeniem... Ty mnie kochasz, to prawda, ty swoją miłość pielęgnowałeś lat tyle, tyś musiał czekać tak długo, nim ci wolno było tę miłość nazwać moim imieniem, — tyś jest dzisiaj szczęśliwy moją miłością wzajemną, którą dotąd musiałam tać nawet przed tobą, — to wszystko prawda! Ale z tem wszystkiem, czemuż to jest ta miłość wobec tej sławy, która już dzisiaj cię zdobi i jeszcze czeka w przyszłości? czemu wobec tych obowiązków olbrzymich, które spoczywają na tobie? czemu wobec tej roli świetnej, której spełnienia świat się spodziewa po tobie? — Miłość ta jest niczem dla ciebie — i nie powinienes o niej nawet wspominać.

Bierzyński stał z załamanymi rękami i głową schyloną. Patrzył on na Annuncyate z oniemiałym podziwem i po chwili dopiero rzekł głosem przytłumionym, urywanym i niskim:

— Wielkość, o której nie śmiałem marzyć nawet w najbujniejszych snach moich!... Wielkość, do jakiej się nie wzniosła żadna kobieta!... Oh! ale gdzież ten Bóg jest, który mnie tak wywyższył i oświecił w twych oczach! Kiedy cię słyszę tak mówiącą, zdaje mi się, jakby kto na mnie głazy walił ciosowe. Unieść je wszystkie i nie ugiąć się pod ich ciężarem, unieść je i w pochodzie nawet się nie obejrzyć ku tobie... czy to być może?

— O! na Boga żywego! tylko się nie oglądać! Myślałam dawniej, że kiedy się na mnie oglądniesz, będziesz o tyle więcej miał siły, wytrwałości, zapалу; ale dziś... dziś raz jeszcze powtarzam: miłość twoja powinna być niczem u ciebie.

— Miłość moja powinna być u mnie... — powtórzył w zamyśleniu młodzieniec i dodał śmiejąc: — Jeżeli to ma nas zbawić, to do pewnego stopnia i to się stać może; ale czy wtedy ta miłość może mieć jaką wartość u ciebie?

— U mnie? Ja co innego. Ja jestem kobietą. Dlatego u mnie miłość twoja jest wszystkim, jest całym szczęściem mojem, jest mojem zbawieniem na ziemi! Kochać ciebie, wielbić w tobie odwagę, szlachetność serca, wzniosłość

umysłu, otaczać ciebie najświeższymi kwiatami serca, gdy jesteś przy mnie, towarzyszyć ci myślą, kiedy jesteś daleko, nie odstępować cię modlitwą zawsze i wszędzie: jest najwyższą rozkoszą, o jakiej mogłam kiedykolwiek zamarzyć. W pogodnych chwilach, po dobrych wieściach, po milej Bogu modlitwie, może też czasem marzę i więcej: może natenczas zaglądam w przyszłość, może śnić długie lata cichego szczęścia, może cię wtedy kocham już takim, jakim naówczas będziesz: ale dziś, póki czas czynów, nie mogę cię kochać jak tylko w czynach! — Dlatego dzisiaj zimny dreszcz mnie przejmuję, kiedy pomyślę o tem, że moja miłość mogłaby stać się przeszkodą twym czynom. I słuchaj mnie, bo już muszę wszystko powiedzieć — mówiła dalej Annuncyata z wzrastającym zapalem — słuchaj! gdybym wiedziała, że to marne uczucie, które cię do mnie tak wiąże, zuboży Rzeczpospolitą tylko o jedno twoje zwycięstwo, — i jeszcze mniej nawet; bo gdybym wiedziała, że dla mnie wyjdzie twoje z obozu tylko o jeden dzień się opóźni: patrz! czy widzisz, kto tam siedzi w kącie galeryi?...

W drugim kącie galeryi siedziała mniszka.

— Czy widzisz, kto tam siedzi w kącie galeryi? Ona ma dawno już dla mnie przygotowane schronienie, o którym dotąd i słyszeć nie chciała: ale natenczas nie wahałabym się ani momentu, zamknąć się na wieki w tych murach, — chociaż tak straszne dla mnie tu mury i chociaż cię kocham tak bez pamięci!

— O! mój aniele! — odpowiedział na to młody marszałek — jeżeli tylko tyle jest w twojem sercu obawy, to możesz być zupełnie spokojną. Ja w moich obowiązkach pewnie się nie zachwieję, chociażby mną i najsilniejsze uczucia miotaly gdzie indziej. Serce moje potrafi się unieść do skargi, ale do buntu przeciw mej woli nigdy się nie podniesie. Uczucia moje dla ciebie, przyzwyczajone do pokory i posłuszeństwa długimi laty, ani śnią o tem w swojej niewoli, żeby mogły zrzucić ze siebie to jarzmo. A zresztą, moja jedyna! jestem żołnierzem, — a u żołnierza przyzwyczajenie do swego rzemiosła jest daleko sil-

niejsze, niżeli wszystkie inne i najgorętsze uczucia. Niech żołnierz kłęczy u nóg ubóstwianej przez siebie kochanki, niech w najtkliwszej miłości tuli do swojej piersi wielbioną przez siebie żonę i ukochane dziecięta, niechaj się rozmiłuje w pieniądzach, grze, gospodarstwie lub jakimkolwiek przemyśle, — kiedy obaczy rozwinięty sztandar swojej chorągwi i znajomy sobie głos surmy usłyszy, — kochanka, żona, pieniądze, bywajcie zdrowe! żołnierz już stoi w szeregu. Otóż tak będzie i ze mną. Dzisiaj ja stoję przy tobie i płaczę na to, że nieza długo będę cię musiał porzucić, serce moje się krwawi z żalu i zdaje mi się pod ciężarem boleści, że nie będę miał tyle odwagi, aby ciebie pożegnać: ale to tylko rozżalone serce tak mówi! Ktoregoś ranka bowiem, kiedy ze snu się zbudzisz i przystąpisz do okna, aby w mój obóz popatrzeć i posłać mi w myśli dzień dobry: na całej obozowej przestrzeni nie obaczysz ani żywego stworzenia, a wkoło tylko martwe okopy. Zerwiesz się wtedy do okna, zawołasz sług i zapytasz: Cóż się stało z tem wojskiem, które tu leżało obozem? gdzież jest mój oblubieniec, który dopiero wczoraj kłęczał przedemną i przysięgał mi miłość na wieki? — A słudzy ci odpowiedzą: Wojsko to, pani! zerwało się w nocy i poleciało preez, to ptactwo pancerne! Oblubieniec twój pierwszy rozwinął skrzydła i na czele odleciał, a kiedy leciał, widzieliśmy to na własne oczy, ani nawet popatrzył na zamek. Oblubieniec twój ciebie porzucił i może nigdy już nie powróci! — I może słudzy prawdę powiedzą. Bo czyż to zgadnąć, dokąd kogo zanicie wojna? i wojna taka, która nie zna innego hasła, tylko: zwyciężyć lub zginąć? — Więc może gdzieś tam, na którym polu, już jest grób wykopany dla niego i wtedy się stanie rzecz bardzo u nas zwyczajna: czarno ubrana kobieta kłęczy na grobie i płacze poległego na wojnie kochanka; Pan Bóg zsyła ku niej swoich aniołów, aby jej łzy zbierali i zamieniając je w kwiaty, ścielili nimi dalszą drogę jej życia. Bardzo smutna ta scena, ale za to tak piękna i tak dokończona, że już niema o niej co mówić. — Ale jeżeli żołnierz nie zginie, jeśli ta wojna trwać będzie długo i iść

temi drogami, któremi idą nasze dotychczasowe nadzieje, któż to odgadnie, co się stać może z żołnierzem? — Po latach wielu, trochę zgarbiony, trochę zsiwiały i zżelżniały w żelaznym trudzie, może też kiedy będzie siedział pod swym namiotem, aby spocząwszy przez oka mgnienie, dalsze poczynąć prace. Już może wtedy będzie hetman! tysiącom i tysiące spraw będzie miał na swych barkach; już może tury stawiać z ciosowych głazów, nawet ten stary zamek będzie mu się zdawał lepianką. Owo natenczas przejdzie koło niego kobieta, a poznawszy go mimowoli, ręce załamię przed sobą. On będzie patrzył na nią, ale ledwie sobie przypomni, czy ją znał kiedy. A ona wtedy jeszcze raz ręce załamię i rzeknie: Oh! jakżeś ty się odmienił! Wszakżeś mi tyle razy przysięgał, że każdy najdrobniejszy wieniec wawrzynu, który zdobędziesz, złożysz u moich kolan; od tego czasu tyle lat już minęło, a jam nie widziała ani twojego cienia! Czyż mnie już zapomniałeś zupełnie? — A on się wtedy pochyli ku niej i uśmiechnąwszy się jak do dziecięcia, spyta: Dziecko moje! pomnisz jeszcze do dziś dnia te sny dziecięce, któreśmy niegdyś marzyli z sobą? O! i ja je pamiętam. Były to bardzo ładne zabawki. Radbym je znowu kiedy odświeżyć w mojej pamięci, ale dziś, daruj mi, dziecię! dziś mam inne sprawy na głowie. — Ale co ona jemu odpowie na to — skończył młodzieniec, patrząc na swoją oblubienicę — tego już nie wiem.

— Ale ja wiem — odpowiedziała Annuncyata z zapalem — ona natenczas odpowie: Oblubieniec mój mnie opuścił, ale aby pojął godniejszą. Jestem wdową, — ale po wielkim człowieku! Boże! dziękuję ci za to z całego serca! i jeżeliś miłościw twym wiernym sługom, spraw, aby jak najwięcej było wdów takich w ojezynie!

Na tem skończyła się dzisiejsza oblubieńców rozmowa. W tej chwili bowiem goście w sali jadalnej zaczęli się ruszać i zabierać do domów, a w progu galerii pokazał się Lenartowicz. Bierzyński nigdy tak wcześnie nie odjeżdżał ze zamku, ale dzisiaj, pamiętny zapewne tego, że go już



i tak posądzano o opieszałość w służbie, pożegnał się zaraz i wyszedł spiesźnie z galeryi.

Po jego wyjściu Annuncyata usiadła prawie bezwładnie w krzesło i opuściła głowę ku ziemi. Jakkolwiek silną była jej dusza a serce posłuszne woli, rozmowa ta jednak musiała ją wiele kosztować. Widać też było po niej, jak pożądaną byłaby jej samotność w tej chwili. Ale nie wiedząc zapewne o tem, przybliżyła się do niej niebawem mniszka.

Panna ksieni miała dziś wyraz nadzwyczajnie łagodny na twarzy i nawet uśmiech na ustach. Jakoż przystąpiwszy do swej siostrzenicy, położyła rękę na jej gorącym czole i rzekła:

— Moje dziecko! jakoś mi smutną jesteś po tej rozmowie. Czy masz jakie słuszne do smutku powody?

— Nie, owszem, jestem tak w duszy wesolą, jak nigdy.

— To mnie niezmiernie raduje. Pogoda duszy i wesolość twojego serca jest mojem szczęściem — a twoje szczęście jest moim jedynym i ostatnim węzłem ze światem... Bóg tylko jeden to widzi, ile ja tego szczęścia pragnę dla ciebie. Dawniej chciałam ci go przysposobić na innej drodze, ale dziś... zgadzam się chętnie i na tę, na którą cię pociągnęło własne twoje przeczucie. Może to nawet jest wolą Boską! codziennie więcej w to wierzę. Przypatrywałam się zdaleka waszej rozmowie i uważałam, żeście byli bardzo sobą szczęśliwi. Musieliście sobie bardzo wiele powiedzieć. Możeś odkryła znów co nowego w usposobieniach twojego oblubieńca? Jakże więc sądzisz? czy zawsze równo okazuje się godnym być ciebie?

— O! moja ciotko! o tem nie godzi się nawet wspominać. To jest człowiek osobliwszych przymiotów. On, mnie się zdaje, nawet zgrzeszyć nie może, a jeśliby zgrzeszył kiedy, to już chyba tylko miłością!

— Tego, moje dziecko, o nikim naprzód powiedzieć nie można, bo od najsilniejszych charakterów bywają jeszcze czasem silniejsze okoliczności. Ale ja przez to nie chcę nic panu Józefowi ujmować. Przeciwnie nawet, przy-

znając ci to otwarcie, iż lubo dawniej lekko go sobie ceniałam, dzisiaj mu nie zaprzeczam bynajmniej ani cnót, ani zdolności. — Dowiaduję się także, że jest szlachetnym dla zwyciężonych, pielęgnuje rannych, każe wedle świętych obrządków grzebać umarłych, ma ołtarzyk i księdza w obozie, przestrzega pilnie pobożności żołnierzy, — wszystko to bardzo mi go zaleca. Obyż tylko przy tem wszystkim nie brakowało mu już żadnej z tych cnót nieodbitych, które zdobić powinny chrześcijańskiego rycerza!

— Ohi! to już nie wiem, której z tych cnót mogłoby mu jeszcze brakować!

— Pokory, moje dziecko, chrześcijańskiej pokory — odpowiedziała mniszka — obyż tylko przed brakiem tej cnoty nie ustąpiło błogosławieństwo Boże!

Temi słowami wzbudziwszy w rozdrażnionem sercu swej siostrzenicy nowe widziadło trwogi, poważna przełożona klasztoru założyła ręce za siebie i wyszła wolnym krokiem z galeryi.

#### IV.

Dnia następnego, o samej południowej godzinie, Bieżyński siedział samotny pod swoim namiotem, głowę opuścił na piersi i myślał. Przez cały ranek był on zajęty ekonomicznymi sprawami swojego obozu, które pomimo znacznych zasiłków otrzymywanych od kasztelana i zabieranych z Gozdawki, nie mało jeszcze nastroczały kłopotów i rozmaitych trudności, — ułatwiwszy się wszakże z niemi i wydawszy nowe rozporządzenia co do szpiechrzów i magazynów na cały tydzień, wrócił pod namiot, aby na chwilę odpocząć. W tym odpoczynku rozmaite przychodziły mu myśli, rozmaitsze jeszcze się odzywały uczucia, ale z tego wszystkiego najwięcej zajmowała go jego wczorajsza z Annuncyatą rozmowa, rozmowa taka, jakiej dotychczas nie miał z nią nigdy i z której jeszcze do tego momentu nie zdał sobie dokładnej sprawy. Przypominając więc sobie każde jej zdanie, każdą myśl, każde uczucie

przez nią wczoraj wypowiedziane, rozmyślał nad tem wszystkim dokładnie, unosząc się dla niej już nie tylko miłością, ale najgłębszem uwielbieniem i cześcią.

Ale niedługo trwały te rozmyślenia samotne, wkrótce bowiem odsunęła się drzwi zastępująca kotara i wszedł Lenartowicz. — Wszedłszy i obaczywszy marszałka pogrążonego w myślach, młody regimentarz siadł w drugim krześle i nie przerywając milczenia, patrzył na swego przyjaciela takimi oczyma, jak gdyby czekał, póki tamten się sam nie odezwie, aby z nim dłuższą zawiązać rozmowę. Bierzyński patrzył nawzajem na niego i zdawał się niby zbierać rozpierzchnione swe myśli; jakoż po chwili dopiero wyprostował się trochę i spytał:

— No i cóż tam kochany Albinie? czy jest znowu jaka niedobra nowina?

— Nowiny niema żadnej — odpowiedział pan Albin — krom wiadomości starych a podług mnie gorszych, niżeli najgorsze nowiny.

— Proszę cię, nie bądźże dzieckiem — rzekł na to łagodnie, lecz trochę niecierpliwie Bierzyński — i nie chciaj wmawiać we mnie twoich fantazyi, które, jak ciebie kocham, nie mają żadnej słusznej podstawy. Czyż chcesz żebym już zawsze liczył tylko na samo szczęście, a nie do tego nie pomagał rozumem? Dotychczas białem się jak szalony, to prawda, żołnierzem nieuzbrojonym, nieopatrzoną i gołym; alem to czynił dlatego, bom musiał. Byłbym jednak dziwnie naiwnym, gdybym się nie uzbroił i nie opatrzył jak trzeba, kiedy mam taką dobrą do tego sposobność.

— Mój kochany — zabrał głos na to pan Albin — nie ja tu wmawiam w ciebie moje fantazyje, ale ty wmawiasz w siebie sam swoje. Jakie masz do tego powody, albo czy się to dzieje mimo twej woli, już w to nie wchodzi: ale jestem pewny, bo widzę to jasnymi oczyma, że już tu twoje postępowanie nie jest takie, jakie było dotąd. Powiem ci zresztą otwarcie, iż tak rozumiem, że to nie może być, abyś ty tutaj jeszcze cały tydzień chciał leżeć — dla uzbrajania żołnierzy. Czyż to ja nie wiem, jak

ci żołnierze są uzbrojenie i jakie uzbrojenie im jest konieczne potrzebne? czyż nie wiem zresztą, że przez ten tydzień możesz najwięcej jeszcze kilka strzelb zebrać i może kilka pałaszy?... Jeśli tedy masz zamiar jeszcze tydzień tu leżeć, to musisz mieć do tego jakieś inne powody. Ja o te powody nie pytam, bo nie mam prawa do tego — jestem oficerem podwładnym — ale ponieważ oprócz oficerem twojego sztabu, jestem także i twoim przyjacielem i przyjacielem takim, przed którym nie miałem nigdy żadnych tajemnic, więc ci powiadam otwarcie, że mi to przykro, że o tych powodach nie wiem.

To szczerze i otwarte wystąpienie Lenartowicza, powiedziane jeszcze do tego z głębokim żalem, zmieszało Bierzyńskiego cokolwiek. Zdaje się, że musiał się w tej chwili sam poczuwać do winy, bo w pierwszym momencie nie wiedział, co odpowiedzieć. Jednakże czując zapewne, że milczenie, im dłuższe, tem zgubniejszemby było dla niego, zerwał się prędko i zawołał:

— Ależ mój kochany Albinie! co też ci nie przychodzi do głowy! co też ci nie przychodzi do głowy! — powtarzał dalej Bierzyński — czy już zaczynasz wątpić o mojej przyjaźni?

— Ja o twojej przyjaźni nie wątpię... ale nie mogę ci nie przypomnieć tej starej prawdy, że przyjaźń prawdziwa tylko tam istnieć może, gdzie pomiędzy przyjaciółmi istnieje ustawiczne i nieprzerwane porozumienie. Taka też przyjaźń istniała pomiędzy nami dotychczas. Ale od niejakiego czasu, jak to z wielką boleścią uważam, zaczynamy się coraz więcej nierozumieć ze sobą. Postępowanie twoje, dawniej takie rozumne, żem się mu nieraz nie mógł nadziwić, a zawsze dla mnie tak jasne, żem cię nigdy o nie nie potrzebował pytać, zaczyna być teraz dla mnie coraz zawiśszą zagadką. Nawet zachowanie się twoje względem mnie osobiste stało się takim, że już zaczyna potrzebować objaśnień... Mniejsza już zresztą o to, bo, jak to wiesz dobrze, mam nie tylko tyle przyjaźni dla ciebie, że w potrzebie potrafię się nawet za ciebie poświęcić, ale



co większa, mam tyle cześci dla ciebie, że mógłbym nawet znieść coś od ciebie...

— Mój kochany Albinie! — przerwał w tem miejscu Bierzyński, kładąc rękę na jego ramieniu — jeszcze cię raz proszę, nie bądźże dzieckiem. Zaczynasz jakieś sceny, które doprawdy już mnie i dziwią u ciebie, który przecież nie jesteś kobietą...

Tą żartobliwą uwagą chciał Bierzyński zapewne nadać inny ton tej kłopotliwej dla siebie rozmowie, ale jego przyjaciel był niewzruszony w swem zdaniu i mówił dalej:

— Ja nie jestem kobietą, to pewna, ale też nie myśl wcale, żebym chciał przed tobą wyprawiać jakieś kobiece fochy o przyjaźń... Jakoż jeszcze raz ci to mówię, że mi tu chodzi o daleko ważniejsze rzeczy niżeli przyjaźń, bo o los sprawy publicznej, a wreszcie o los twój własny, o los jednego z tych ludzi, którzy się już dobrze zasłużyli ojczyźnie, a mogą i powinni zasłużyć się jeszcze daleko lepiej. Ale jeżeli będą leżyć beczynn timerzas, kiedy jest najlepsza pora do takich zasług, to nietylko że się nie a nie nie zasłużą, ale i sami przepadną! Chciałem się tedy zapytać, jakie masz do tego powody, że chcesz jeszcze cały tydzień tutaj zmarnować? chciałem się pytać o to, bo nie chcę się domyślać powodu tak poniżającego dla ciebie, jakimby była słabość twojego serca, wynikająca z jakiegoś drobnego i dziecinnego podczas wojny uczucia... Tego powodu, którego, mówiąc nawiasem, domyślają się wszyscy, którzy cię znają tylko zdaleka, ja się domyślać nie chcę; bo cię znam, bo mam ponadto wiele szacunku dla ciebie... Musi więc tutaj być jakiś powód inny i daleko ważniejszy... Może się tymczasem porozumiewasz z generalnością? może się pragniesz połączyć z którym innym marszałkiem i czekasz odpowiedzi od niego? Może chcesz na Warszawę uderzyć, może na Kraków i czekasz jakich o tych miastach relacji? Nie wiem — ale już o to nie pytam. Na Warszawę, na Kraków, na piekło samo, pójdę z tobą dziś i jutro i zawsze, bo wierzę, że gdziekolwiek bądź postanowisz uderzyć, tam będzie pewno przynajmniej podobieństwo wygranej. A jeśli zginę, to i tego nie będę

żałował, jeżeli tylko zginę, pracując dla pożytku ojczyzny i rozszerzenia twej sławy. — Tego wszystkiego możesz być pewnym. Ale dlatego właśnie nie miej mi za złe, jeżeli żądam wyjaśnienia od ciebie rzeczy takiej, której zrozumieć nie mogę. Pytam cię więc krótko i węzłowato: czy masz rzeczywiście jakiś słuszny powód do trawienia tu czasu beczynnie?

Tak przyparty Bierzyński, znalazł się w dziwnym kłopotcie.

Była też ta chwila w samej istocie niezmiernie ważną i daleko ważniejszą niżby się mogło wydawać na oko. Nie pozostawało tu bowiem Bierzyńskiemu, jak tylko dwie drogi. Trzeba więc było — albo otworzyć swoje serce przed przyjacielem i wypowiadać się przed nim z tego uczucia, które go trzymało na uwięzi pod zamkiem — albo w tymże momencie zgnieść to uczucie, kazać otrąbić pobudkę i wyruszyć z obozu. I byłoby to bezzawodnie odpowiedzią najlepszą.

Ale Bierzyński miał za wiele ambicyi, aby się zdobyć na pierwsze — a za wiele miłości, aby się zdobyć na drugie.

I dlatego upadł natenczas tak nisko, że się kłamstwa uchwylił i rzekł:

— Ale proszę cię, cóż to znaczy? czyż straciłeś już wszelką ufność we mnie? czy sądzisz, że ja byłbym w stanie marnować czas tak drogi, gdybym nie miał ważnych do tego powodów?

Ta odpowiedź była niestety! ze wszystkich możliwych najgorszą. I nie dlatego najgorszą, żeby się Lenartowicz nie dał jej uwieść, ale, jak się to niżej pokaże właśnie dlatego, że jej zupełnie uwierzył. Lenartowicz nie miał najmniejszego powodu Bierzyńskiemu nie wierzyć — jakoż rzekł na to:

— Więc są istotne powody. Więc czekasz na coś, co ma nasz wymarsz zdecydować, albo jego kierunek oznaczyć?... Przepraszam cię tedy, że ci się stał tak dalece natrętnym... Ale nie miej mi tego za złe, bo widzisz mnie, i ja także nie robię nic bez powodu. Leżymy tutaj tak

długo i tak bezczynnie, że to musi każdego uderzać, i rzeczywiście uderza. Szlachta okoliczna przypatruje się temu ciekawie, a nie mogąc zrozumieć, wpada na najrozmaitsze domysły. Te domysły są czasem ubliżające dla ciebie i już dlatego samego nie obojętne dla mnie, a o ileż jeszcze dotkliwsze przez to, że przecież i ja się liczę do naczelników konfederacyi sieradzkiej i, jako rzeczywisty członek jej sztabu, jestem także w części odpowiedzialnym za jej czynności. Oprócz tego i w naszym obozie nie dobrze się dzieje... Żołnierstwo się rozpaja, rozpuszcza i nawet trochę rozłazi. Dobry duch, rygor, uczucie obowiązków, przywiązanie do sprawy słabnie — a kiedy ludzie złych usposobień starają się fałszywemi pogłoskami twoją wziętość i twoje znaczenie podkopać — najlepsi nawet wruszają ramionami na obecny stan rzeczy, bo nie wiedzą, co myśleć...

— Proszę cię, czy istotnie takie usposobienie panuje w obozie? — spytał w zamyśleniu Bierzyński.

— Istotnie takie — odpowiedział pan Albin — ja nic nie dodaję. I jeżeli chcesz, to jest jeżeli musisz tu jeszcze tydzień przeleżeć, to trzeba będzie koniecznie coś przedsięwziąć takiego, czemby nietylko obóz trochę otrzeźwić, ale czemby też także i szlachcie okolicznej wpoić to przekonanie, że nasz spoczynek nie jest dobrowolnym, tylko koniecznym.

Lenartowicz umilkł, a Bierzyński przechadzał się po szczupłej przestrzeni namiotu i myślał. Nareszcie przystąpił do niego, położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

— No, kochany Albinie, bądźno tylko spokojnym. Jeszcze najwięcej dni kilka trwać będzie ten nasz spoczynek, a potem, ani się nikt nie spostrzeże, kiedy znikniemy z nad Warty i kto wie, gdzie się oprzemy. Ja mam nadzieję, że jeszcze to wszystko jest niczem, co o nas dotąd słyszano — nie potem jeszcze znać będzie nas potomność! — A że tam żołnierstwo trochę się niecierpliwi i, jak powiadasz, psuje się nawet, to ja tu na to w okamgnieniu poradzę. Wiesz przecie dobrze, że niesubordynacyi nie było nigdy w moich chorągwiach, bo być nigdy

nie może. Ja jestem wyrozumiałym i każde złe znoszę do czasu, ale jak powiem: dosyć! — to już się wcale nie waham, jakimi argumentami mam sobie posłuszeństwo uzyskać — i dlatego z tej strony wcale się niczego nie boję. Ale trza będzie wejrzeć w to bliżej... niema co mówić.

Lenartowicz słuchał Bierzyńskiego z uwagą i wierzył temu wszystkiemu, ale przecież patrzył na niego z takim wyrazem na twarzy, jak gdyby pomimo to wszystko miał mu jeszcze wiele do powiedzenia. Tak też było w istocie. Jakoż rozmowa ta, pomimo to, że ją Bierzyński już niby zakończył, byłaby się z woli Lenartowicza rozpoczęła na nowo — byłaby weszła na najdrażliwsze dla Bierzyńskiego przedmioty i kto wie, jak ważne skutki byłaby wywarła na wzajemny stosunek obudwóch przyjaciół, a może i na całą konfederację sieradzką — ale w tym właśnie momencie dał się słyszeć przed namiotem ruch jakiś, jak gdyby zajeżdżających powozów i koni.

W tej samej chwili wbiegł oficer służbowy i zameldował Bierzyńskiemu: że pan podskarbi Wessel zajechał.

Bierzyński wybiegł w ten moment przed namiot i ujrzał istotnie czterokonną karetkę, z której właśnie wysiadał zapowiedziany dygnitarz, zstępując z stopnia na stopień po mału i przeglądając uważnym wzrokiem cały tłum oficerów i żołnierzy, którzy zwabieni ciekawością oglądania tak wysoko stojącej, a tak mało tu spodziewanej figury, bardzo licznie się zgromadzili koło marszałkowskiego namiotu.

— Ach! czy też to być może — zawołał obaczywszy podskarbiego Bierzyński — żeby pan wuj aż tu znalazł swego siostrzeńca!

— Ale nietylko być może, jeno jest rzeczywiście — odpowiedział na to podskarbi, obejmując go zlekka w ramiona — bo i jakżeżby to być mogło, żebym do ciebie nie wstąpił, kiedy jestem tak blisko? Wiedz bowiem o tem, żem się wybrał do dóbr moich do Wielkiej-Polski, gdzie jak słyszę, trochę mi szkody poczynili panowie regaliści, zapewne za to, że od lat tyłu jestem w służbie królewskiej...



Te słowa ostatnie powiedział podskarbi tak głośno, że go musieli słyszeć wszyscy otaczający — poczem witał konfederatów, kłaniając się im głową i chustką — byłby może nawet mówił co do nich — ale gościnny marszałek wziął go zaraz pod ramię i pod namiot wprowadził.

— No, jakże się masz, mój Józiu kochany — rzekł podskarbi do gospodarza, kiedy już byli sami — rad jestem niezmiernie, że cię raz widzę.

— Ja się mam nieźle — odpowiedział Bierzyński — i nawet zapewne daleko lepiej, niżeliś się wuj spodziewał mnie widzieć.

— Ale cóż też nie gadasz! czyż myślisz, że my już nie nie wiemy w Warszawie? Otóż ci powiem, że od pierwszego wystąpienia twojego wiem o każdym twym kroku, o każdym najdrobniejszym zwycięstwie, zgola o wszystkim; oprócz o klęskach, boś też żadnej nie poniósł. Jakóż muszę ci wyznać otwarcie, że byłem w ciągłej admiracyi dla ciebie: bo tak po prostu z niczego... wzrósł do takich sił znacznych i takie sobie wywalczył znaczenie, to jest doprawdy imponujące. Czegóżbyś też nie zrobił, gdy byś miał siły i środki dane gotowe, tak jak je miewały zwykli wszyscy wodzowie!

— Ba! — rzekł na to Bierzyński — kiedy zawistny los kazał mi koniecznie z niczego poczynać!

— Proszę cię tedy — mówił dalej podskarbi — i masz istotnie tak znaczne siły, na jakie cię liczą w Warszawie?

— Na ileż mnie tam liczą?

— Tak, około pięciu tysięcy.

— To widzę nie złe tam mają relacye — odpowiedział z uśmiechem Bierzyński, bo liczba ta była przesadzona — i to mnie cieszy, bo muszą tam przecież i respekt mieć dla mnie.

— Ale mają, i jaki! Żeby ci prawdę powiedział — dodał ciszej podskarbi — a nie słyszy nas kto tutaj? bo to jakieś ściany płócienne.

— Płócienne, ale podwójne; nikt tu nie słyszeć nie może. A zresztą niewolno nikomu stać koło namiotu.

— A! otóż to dobrze! Więc żebym ci prawdę powiedział, to nawet teraz tylko ty jeden jesteś, przed którym Warszawa ma respekt istotny. Reszta waszych dowódców podupadła teraz fatalnie i można powiedzieć, że się już ledwie trzymają. Jest też to, mojem zdaniem, położenie takie dla ciebie, z któregoby można korzystać i nawet trzeba korzystać koniecznie.

— Jakto korzystać? — spytał Bierzyński, patrząc ciekawie na podskarbiego — przecież zda mi się, że tak konfederacya w ogóle, jak i ja sam partykularnie, moglibyśmy daleko większe korzyści odnosić wtedy, gdyby wszyscy inni dowódcy jaknajpotężniej stali.

Wessel patrzył przez chwilę na swojego siostrzeńca, a widząc zapewne, że nie z tej strony w niego uderzył, z którejby go można skłonić ku sobie, rzekł jakby nie nigdy nie było:

— No, to się samo przez się rozumie! To też chcę właśnie powiedzieć, że im słabiej stoją dowódcy inni, o tem większe korzyści powinien się starać ten, który z nich stoi najsilniej; bo jużżeś wtedy prawie już na nim tylko cała sprawa polega...

Bierzyński westchnął i milczał. Podskarbi zaś mówił dalej:

— Położenie to jest zaprawdę nadzwyczaj trudne. Ja o niem już nie mało myślałem, a od kilku tygodni prawie wyłącznie tylko tem się zajmuję. Przyznam ci się nawet otwarcie, że tylko z tego powodu przyjechałem do ciebie: bo wznieść się takimi świetnymi czynami i takim trudem do tak znamienitej pozycyi — i nie uczyniwszy nie dla sprawy ogólnej, jeszcze samemu potem wrócić w cichość na zagon — byłby to istotnie wypadek, którego by nie można opłakać nawet krwawymi łzami.

— Dziękuję kochanemu wujowi z całego serca — mówił na to Bierzyński — że się wuj zajmujesz tak szczerze mym losem; ale muszę wujowi powiedzieć, że to położenie nie jest jeszcze wcale tego rodzaju, ażeby nad niem należało rozpaczać. Przeciwnie nawet, ja jeszcze nigdy nie byłem tak silnym ani liczebnie, ani moralnie,

nigdy nie stałem tak świetnie, a stąd też nigdy jeszcze nie miałem tak pięknego pola przed sobą, jak teraz! Dlatego też bez żadnej pustej próżności, a z głębokiem uczuciem prawdy to mówię, że teraz dopiero stoi wielka droga otwarta przedemną i jeżeli Pan Bóg pomoże, to ani się nikt nie domysła jakich jeszcze dokonam czynów i jak wysoko się jeszcze podniosę.

— Życzę ci tego z całego serca — rzekł na to Wessel — i pragnę, żebyś istotnymi skutkami przeszedł nawet twoje własne oczekiwania. Przyznam ci się, że nawet w to wierzę, że niepospolitych rzeczy dokazesz. Ale mówmy wyraźnie. Supponując najlepsze chęci, niezachwianą wytrwałość i niesłychane szczęście z twojej strony, wejdźmy w istotną możliwość, która się łatwo przewidzieć daje z okoliczności. Jakże tedy rozumiesz, czego możesz dokazać?

Na to pytanie Bierzyński się wsunął w głąb krzesła i dziwnie się jakoś zamyślił. Ale w tem zamyśleniu rzekł:

— A któż to może naprzód przewidzieć, czego ja jeszcze dokażę! Ja wiem tylko tyle, że zrobię wszystko, co będzie można. Jeżeli zaś okoliczności są trudne, to najpierwej, i w trudnych okolicznościach można wielkich rzeczy dokazać; a zresztą, nie idzie jeszcze zatem, ażeby i okoliczności nie zmieniły się z czasem...

— Mój drogi Józiu! — rzekł na to podskarbi, przysuwając się z krzesłem ku niemu, spodziewam się przecież, że o tem wiesz dawno, jak wiernym, chociaż z konieczności ukrytym, przyjacielem jestem konfederacyi. — Wiesz przecie dobrze, że byłem jednym z jej pierwszych motorów, a chociaż konfederacya nie poszła za moją radą, trwając upornie przy tem, ażeby nie podnosić otwarcie sztandaru Familii Saskiej, (skąd mojem zdaniem wypływają jej wszystkie niepowodzenia): pomimo to jednak ja nie zmieniłem ani na jotę mojego do niej przywiązania i co już dla niej zrobiłem i jeszcze robię, tylko to Bogu wiadomo. Oprócz tego powinienś także być pewnym, że jeszcze daleko więcej niżeli dla konfederacyi, mam przywiązania dla ciebie. Dałem ci tego nawet już dosyć dobi-

tnie dowody, to starając się o jakieś zaszczytne miejsce dla ciebie u króla, kiedy jeszcze byłeś na Kresach, to forytując ciebie w opinii osób mających wpływy w Warszawie, o czem zresztą i nie wiesz, to wreszcie usiłując przynajmniej ciebie nakłonić do polityki saskiej, która, jak ciebie kocham, byłaby nietylko konfederacyi otworzyła całkiem inne widoki i dała jej inne znaczenie wobec mocarstw europejskich, ale dla ciebie byłaby uczyniła daleko więcej, bo byłaby ci przysposobiła drogę wywyższenia się na naczelnika sprawy takiej, która gdyby nawet upadła, pozostawiałaby ci była tyle jeszcze zaszczytu, że w którąkolwiek potem chciałbyś się rzucić stronę, pewnieby cię przyjęto wszędzie z otwartemi ramiony. Rady te moje, które ci po dwa kroć przysyłałem za pośrednictwem twojej matki, odrzuciłeś od siebie — zdawały ci się prawie albo niewykonalne w tej chwili, albo nieodpowiednie potrzebom — jednakże tak rozumiem, że nie zdawały ci się nie-szczere...

— Ależ mój wuju kochany! czyż kiedykolwiek wątpiłem...

— No, tak rozumiem — przerwał z pośpiechem Wessel — niema tu o tem co i wspominać. Lecz kiedy tak jest, spodziewam się, kochany panie Józefie, że mi pozwolisz rozmówić się z tobą otwarcie. Wiedz bowiem o tem, że ja nie dla samych celów odwieczin tu przyjechałem. Ważne i bardzo ważne cele mnie tu przywiodły, i byłbym niepokieszczonym, gdybym musiał z niczem odjechać. A gdyby już tak być musiało koniecznie, to już przynajmniej tego bym nie zniósł, żebyśmy z sobą nie wyczerpali przedmiotu. Otóż ażeby zacząć, pytam się ciebie najpierwej, czy ty istotnie myślisz, że ta konfederacya na tej drodze, na jakiej jest dzisiaj, może doprowadzić do czegoś?

Po tem pytaniu Bierzyński się jeszcze głębiej w krzesło zasunął i rzekł powolnie:

— Wuj mi dajesz takie pytanie, na które zaprawdę odpowiedzieć nie łatwo...

— Ale tak, powiedz szczerze — nacierał Wessel — czy masz jeszcze jaką dla konfederacyi nadzieję?

— Nadzieję? — powtórzył ze zdziwieniem Bierzyński.



ski — a! zdaje mi się, że to jest trochę za wiele. Czyż ta sprawa tak nisko upadła, żeśmy nie powinni mieć nawet już i nadziei? Zdaje mi się, że wuj masz nieprawdziwe wyobrażenie nie tylko o naszych siłach, ale także i o usposobieniach narodu...

— O! mój Józefie! zawołał na to Wessel z takim uśmiechem, którego by się był i szatan nie zaparł — jeżeli ja mam nieprawdziwe wyobrażenie, to już chyba macie jakie swe sprawy, które prowadzicie pod ziemią: bo co się dzieje na ziemi, za to ci ręczę najsolenniejszą przysięgą, jest mi tak dobrze wiadome, jak nikomu z dowódców konfederackich, ani z ministrów królewskich. I jeśli chcesz, ja ci to wszystko, co do tej sprawy należy, po kolei wyliczę. Ależ zdaje mi się, że tego nie trzeba. Bo czyż trzeba ci mówić, że cała konfederacja wasza nie ma dzisiaj ani siedmiu tysięcy wojska? że w tej chwili, prócz dwóch małych zameczków, nie posiadacie już ani jednej fortecy? że nie macie ani pieniędzy, ani żywności, ani amunicji? że okłamują i was i siebie ci, którzy na obojętną pomoc rachują? że kraj zniszczony, wyczerpane wszystkie zapasy, szlachta znudzona i zniechęcona do najwyższego stopnia, że wy sami już utrudzeni i wyczerpani na siłach, a do tego jeszcze w samym wnętrzu konfederacji wre najzłośliwsza niezgoda? Czyż ja ci potrzebuję opowiadać to wszystko? czy ty sam o tem nie wiesz?

— Z boleścią serca muszę to przyznać — rzekł na to smutnym, ale pewnym głosem Bierzyński — że to, co mi wuj tak wymownie wyliczasz, jest w wielkiej części istotną prawdą. Zmarnowała konfederacja półtora roku, kraj się znacznie wyczerpał, niektórzy z jej naczelników żyją ze sobą w niezgodzie! — Rozmyślając nad tem smutno się robi na sercu, czasem przychodzą nawet chwile zwątpienia. Ale pomimo to, jeszcze nie ma powodów do ostatecznej rozpaczy. Bo konfederacja straciła próżno półtora roku, ale ma jeszcze więcej przed sobą. Kraj się wyczerpał, ale ten kraj ma jeszcze aż nadto sił i zasobów, ażeby najświetniejsze odnieść zwycięstwo. Niektórzy do wódecy są ze sobą w niezgodzie, ale daleko więcej jest

takich, którzy obcy są walcącym i stojąc na czele swoich oddziałów, czynią swoją powinność. Do tych ostatnich i ja należę. Ja też wcale nie odpowiadam za drugich, a to co się dzieje gdzieindziej, mnie samego nie a nie nie dotyczy. Ja moją drogę widzę jasno przed sobą, i idę po niej, i pójdę nią niewzruszony aż do jej końca. Pójdą ze mną i inni. Dokąd zajdziemy — któż to może odgadnąć? — Nie zwyciężymy może! jeżeli Bóg nam nie przeznaczył zwycięstwa — po naszej śmierci stanie się to, co jest napisane w księdze przeznaczeń. — To jest moje wyznanie wiary — skończył z powagą Bierzyński — i taką jest moja polityka, której się trzymać muszę, bo nie widzę już pory dla innej.

— Mój kochany Józefie — rzekł na to podskarbi, nie tracąc wcale wymowy — najpierwej ci muszę powiedzieć, że się niezmiernie cieszę, znajdując w tobie takie szczerne usposobienie. Więcej ci powiem, bo nawet dumny tem jestem, iż mam takiego siostrzeńca. Nie mieć żadnej nadziei zwycięstwa i bić się przecież, i bić się li tylko na to, ażeby śmiercią swoją utrzymać nieskalaną sławę narodu, a czyż można coś wspanialszego wymyśleć? — Ale mój drogi, pozwól sobie powiedzieć, że to są tylko piękne uczucia, to są sentymenty szlachetne, ale to nie jest żadna polityka. Polityką bowiem jest to, jeżeli człowiek sił i własności swoich w taki sposób użyje, że stąd wyniknie rzecz, nie tylko szlachetna i piękna, ale zarazem i pożyteczna. O ile pożyteczniejszą rzecz dla ogółu kto doprowadzi do skutku, o tyle mędrsza jest jego polityka: ale najmędrszą niezawodnie jest ta, mocą której człowiek i ogółowi stanie się pożytecznym i siebie jeszcze wyżej podniesie, aby na przyszłość mógł być jeszcze pożyteczniejszym. Taka tedy polityka, wskutek której człowiek i dla ogółu nie istotnego nie robi i jeszcze sam przy tem zginie, jest polityką żadną. A czyż można dopuścić, aby człowiek taki jak ty, pełen takich zdolności i mogący jeszcze tak być pożytecznym na przyszłość, działał niepolitycznie? Czyż uczynić tę protestację, to jest zginąć po prostu, nie potrafi i każdy inny? — Czyż nareszcie godzi się ginąć

z rozpaczey dla pustej sławy i kończyć rzecz ostatecznie dlatego, że na tej jednej drodze, po której jest prowadzona, niema już żadnych dla siebie widoków?

— Ja tego nie przypuszczam — zaczął mówić Bierzyński...

— Ale jakto nie przypuszczasz! — przerwał prędko podskarbi — jakże możesz nie przypuszczać rzeczy takiej, która jest jasną jak słońce? Mój Józiu! przecież nie jesteś dzieckiem...

— Gdybym nawet i to przypuścił — mówił dalej Bierzyński — że dziś niema widoków, to jeszcze nie idzie za tem, żeby się nowe widoki nie otworzyły jutro...

— Ale mój Józefie kochany! — zawołał na to już niecierpliwie podskarbi — dlaczegoż chcesz wmówić we mnie rzecz taką, w którą sam nie wierzysz? Ty widoków nie masz przed sobą żadnych i mieć ich nie możesz, dopóki pozostaniesz na tej drodze, na której jesteś. Odniesiesz może jeszcze jedno zwycięstwo, a zresztą drugie i trzecie, ale końcem końców, czy dziś czy jutro, noga ci się powinąć musi i przepadniesz. Znaczniejszych sił już nie zbierzesz, bo skądże zresztą sił tyle? chociażbyś je zebrał, to pytam się, czem je utrzymasz? a choćbyś je i utrzymał czas jaki, to czy to długo można żywić kilka tysięcy ludzi na takich pustkach, jakimi są dziś wszystkie prowincye? Cóż, miałabyś tego nie wiedzieć? a jakimże byłbyś wodzem? jakim marszałkiem?...

— No to dobrze, to mniejsza o to — rzekł nareszcie Bierzyński — ale pozwólże mi wuj, żebym się spytał, do czego to wszystko prowadzi?

— To prowadzi do tego — rzekł na to Wessel z pełnym znaczenia uśmiechem — że jak mnie widzisz, tak mam już przygotowane całkiem nowe widoki dla ciebie... Słuchaj mnie, nie widoki, ale ubitą drogę, ale stanowisko już prawie mam przygotowane dla ciebie — i stanowisko takie, z którego nie konfederacką wojnę prowadzić, nie w ślepią babkę grać z Belloną i Marsem, nie pałace z kart stawiać na kruchych sentymentach szlacheckich, ale będziesz mógł sam wziąć całą Rzeczpospolitą na swoje barki

i tam ją zaprowadzić, gdzie chcesz. Czy rozumiesz mnie, panie Józefie?

— Zaledwie — odpowiedział Bierzyński, patrząc z ciekawością na Wessla.

— Zaledwie — powtórzył Wessel — otóż ja ci to wytłumaczę. Pamiętasz tedy najpierwej, że jeszcze wtedy, kiedyś w czas koronacyi przyjechał był do Warszawy, jam się udawał o ciebie do króla, aby ci u niego jakieś stosowne wyrobić miejsce. Król obiecywał natenczas mało, a ty nie przyjąłeś. Kiedyś był na Kresach, jam się znowu udawał do króla: król natenczas obiecywał już więcej, ale i to jeszcze było dla ciebie za mało. Kiedyś był na granicy Tureckiej i nadesłałeś na moje ręce twoje pisma o artyleryi i obronie granicy wschodniej, że się te pisma bardzo podobały królowi, jam znowu sollicytował o ciebie; i wtenczas, jużby się było niezawodnie było dało wyrobić tyle, że byłbyś przyjął bez kwestyi. Ale natenczas byleś daleko, korespondencya była nie łatwa, a tymczasem wybuchła konfederacya. Usłyszawszy o tobie, że jesteś przy niej, czekałem najpierwej wieści o tobie, gdzie się obrócisz — a dowiedziawszy się, żeś został obwołany marszałkiem sieradzkim, zgłosiłem się natychmiast do ciebie, usiłując cię skłonić do polityki saskiej, bo to było natenczas, tak dla ciebie samego, jak i dla całej konfederacyi, zbawieniem. Nie przyjąłeś moich projektów, ja się cofnąłem, i jużem się potem nie zgłaszał do ciebie; ale pomimo to wcale nie zapomniałem o tobie. Owszem, pamiętałem bez przerwy, a jak tylko się ku temu zdarzyła sposobność, po każdym odniesionem zwycięstwie, po każdej wieści o pomnożeniu się twego oddziału, przypominałem ciebie królowi i utrzymywałem bez przerwy jego uwagę przy tobie. Kiedyś już silny i głośny wracał od granic litewskich, i wieść się była rozniosła, że w porozumieniu z konfederacyami Czerską i Mazowiecką chcesz na Warszawę uderzyć, i stąd popłoch się rozniósł po całym mieście: jam cię znowu przypomniiał królowi, a lubo król temu nie dawał wiary, żeby ktokolwiek z konfederatów ośmielił się o Warszawę pokusić, potrafiłem go jednak



skłonić ku przekonaniu, że jeżeli kto byłby w stanie to zrobić i zrobić z podobieństwem dobrego skutku, to chyba tylko ty jeden. To przekonanie, wpojone przezemnie w króla, dało mi jakby połowę zwycięstwa. A kiedyś, najszcześliwszym na świecie instynktem, Warszawę minął, kiedyś się takim świetnym obozem rozłożył tutaj i jakby na to, takie skuteczne odniósł nad regałami zwycięstwo: to i jam już wtedy zwyciężył i już wiedziałem pewnie, co mogę u króla dla ciebie. Otóż słuchaj mnie Józiu: ja teraz znowu byłem u króla...

— Teraz, u króla, i znowu o mnie? — spytał Bierzyński — przyznam się panu wujowi, że tego nie a nie nie rozumiem...

— Józiu! — zawołał na to podskarbi, wjeżdżając już prawie całkiem z swem krzesłem na młodego marszałka — Józiu! czyż zawsze będziesz mówił ze mną dziecinnie? Czy ty nie wiesz, co można teraz wyrobić dla ciebie u króla? czy nie domyślasz się?...

— Dla mnie wyrobić u króla! — zawołał Bierzyński, patrząc w oczy Wessłowi z nietajoną ironią — a to chyba wuj sobie żartuje ze mnie!

— Ale proszę cię Józiu — mówił dalej podskarbi, nie mieszkając się wcale — nie bądźże dzieckiem! Nie miej mnie wreszcie za symplicyusza i nie myśl, żebym ci chciał doradzać, mieniać tytuł marszałka na jakieś szlify generalskie u króla! A za kogoż też mnie masz, mój Józefie!

— Ja mam wuja za jednego z najrozumniejszych ludzi naszego czasu, ale dlatego właśnie tem mniej mogę zrozumieć, co sobie wuj myśli?

— Ja nie myślę, mój drogi i jak cię kocham, tak nie z myślami do ciebie przychodzę, tylko z takimi rzeczami, które mają ugruntowaną podstawę. Czyż mnie nie znasz, mój Józiu? czyż nie wiesz o tem, że ja sto planów przeprowadziłem już w mojem życiu i jeszcze mi żaden nie chybił?

— Ale ja to wiem doskonale...

— No, więc słuchajże mnie uważnie, bo i to, co z tobą zamyślam, także nie chybi. Cóż tedy myślisz, coby

ci król mógł konferować za to, żebyś od konfederacyi odstąpił?

— Ale mój wuju! jakże można mówić o takich rzeczach?

— Proszę cię, miejże cierpliwość. No, to kiedy chcesz, to ja nie mam względem ciebie żadnego planu. To konwersacya. Mówmy sobie tak, bez myśli, bez zamiaru, bez celu. — Więc powiedzże mi tak, w konwersacyi, jak rozumiesz, coby ci król konferował teraz? A powiadam tobie, że jesteś notowany u niego wysoko, ze wszystkich konfederatów najwyżej. Król jest przekonany w tej chwili, że gdybyś ty od konfederacyi odstąpił, to już koniec wszystkiemu. Więc coś rozumiesz? Zrobiłby cię obożnym koronnym? pisarzem polnym? co? jest to podobne?

— No, to, zapewne... toby może być mogło...

— Otóż ja ci powiadam, że nietylko by być mogło, ale jest pewne. Ja już mam przyrzeczenie!...

— Jako przyrzeczenie? alboż wuj o tem mówiłeś z królem?

— Mówilem.

— A! panie podskarbi! — zawołał na to Bierzyński, zrywając się z miejsc.

— No i cóż? — pytał Wessel spokojnie.

Bierzyński był błądy, usta miał zsiniałe, brwi zachmurzone — lecz milczał. Ale tymczasem Wessel wziął go za obadwa ramiona, posadził znowu na krzesło i zawołał ze śmiechem:

— Mój panie marszałku! Sieradzki, jakieś ty jeszcze niemowlę w rzeczach politycznych! A toż to mnie nie wolno było mówić z królem o tobie, co mi się podobało? A czy ty wiesz, co mu może obiecuje już w twojem imieniu książę prymas, Ryks kamerdyner lub Kortyczelli?

— No ale cóż? — przemówił nareszcie Bierzyński — i król obiecał jeden z takich urzędów dla mnie?

— Obiecał czy nie obiecał, o to się nie troszcz. Ja ci za to zaręczam, że kiedy mnie upoważnisz do tego, przywiozę ci patent tu, do obozu. Ale nie o to tu idzie... bo chociaż już i pisarstwo koronne a nawet i generalstwo królewskie, byłoby, podług mojego zdania, daleko lepszem,

niżeli marszałkowstwo konfederackie; jednak nie o to tu idzie. To też ci daję najsolenniejsze słowo, że gdybym nie miał zupełnie innych dla ciebie widoków, z tem anibym nie przyjeżdżał do ciebie. Ale słuchaj mnie, czy ty wiesz, co się dzieje z naszym starym hetmanem?

— Wiem, że był słaby; czy może umarł?

— Nie, ale już jest na schyłku. A czy wiesz kto ma pewną nadzieję otrzymania po nim buławy?

— Nie. Któż taki?

— Pan Franciszek Ksawery.

— Pan Franciszek Ksawery? — zawołał na to ze zdziwieniem Bierzyński — generał artylerji i to jeszcze do tego litewski!

— Otóż widzisz! generał artylerji, i ma nadzieję pewną, i jeżeli mu do tego nie przeszkodzi nikt inny, to niezawodnie otrzyma. Cóż tedy myślisz? i tybyś nie mógł pójść z takim generałem o lepszą? i nie wygrałbyś może, mając mnie i tych wszystkich za sobą, którzy muszą to robić, do czego ja ich nakręcę? — Słuchaj mnie Józiu! ja mam całą Warszawę w mojej kieszeni, od szambelanów królewskich aż do nadwornego marszałka, od spowiednika królewskiego aż do księcia prymasa, od aplikantów w poselstwach aż do samych ministrów! A i dalej ja trafię — a gdzie Petersburg, gdzie Berlin, gdzie Wiedeń, wszędzie tam są Wessłowscy ludzie. Słuchaj Józiu! tybyś osłupiał, gdybym ci opowiedział, jak niepodobnym rzeczom dawała byt moja ręka! I tybyś wątpił o tem, że za moim przewodem odniesiesz nad Branickim zwycięstwo?...

Taki argument, jakiegokolwiek mu mogły towarzyszyć uroki i podobieństwa, powinienby był za całą odpowiedź otrzymać uśmiech politowania.

W tym jednak wypadku tak się nie stało.

Młody marszałek bowiem — czy to uderzony przedewszystkiem tą myślą: coby to można zrobić, będąc hetmanem koronnym! — czy może nawet nie bardzo wątpiąc w urzeczywistnienie tego projektu, który sam podał i obiecywał poprzeć wszelkimi siłami taki potężny Wessel — młody marszałek, mówię, który powstał z niczego,

nadzwyczaj trudnych rzeczy z łatwością dokazał i dotychczas cieszył się takim szczęściem, że mu się nie nieoparło — usłyszawszy ten projekt, wstał z krzesła, zaczął się przechadzać powolnymi krokami i dziwnie się jakoś zamyślił.

Wessel mu nie przeszkadzał i tylko patrząc na niego, przez długą chwilę milczał.

A kiedy mu się zdało, że już dosyć tego namysłu, spytał łagodnie:

— Czas nie stoi kochany Józiu; cóż tedy myślisz?

Ale zdaje się, że podskarbi, lubo tak wprawny i doświadczony spowiednik, musiał mu przecie za wiele czasu dać do namysłu — Bierzyński bowiem na to pytanie już się tylko uśmiechnął i rzekł:

— Myślę, że ludzie sędziwi i doświadczeni mają także czasem złudzenia.

— Złudzenia? — powtórzył Wessel z ironią — zabawny jesteś, mój młodziutki marszałku.

I trwała znowu chwilką milczenia. Poczem wszakże podskarbi spojrział na zegarek i zapytał z pośpiechem:

— No, więc jakkolwiekbyś! cóż przecie myślisz? Czy to już ostatnie twoje postanowienie? czy nawet mojej przysiędze nie wierzysz, że jestem w stanie urzeczywistnić ten projekt?

— Zanadto to ważne są rzeczy — odpowiedział w zamysleniu Bierzyński — abym mógł na nie odpowiedzieć bez dłuższego namysłu. Zapewne! czegożby to nie można dokazać będąc hetmanem koronnym! Zrobienie porządku w kraju byłoby dziełem jednego momentu — a gdyby pozostało jeszcze co do zrobienia około granic, od czegoż buława w rękę? — Ale ja zaledwie mogę dać temu wiarę. Droga to trudna, daleka i ślizka... Lecz gdyby nawet, gdyby się to stać mogło, to powiedzże mi wuj z łaski swojej, czy zastanowiłeś się nad tem, czemu to trzeba uprzedzić już zaraz pierwsze wstąpienie na tę projektowaną drogę? Jakżeby nazwano czyn taki, gdybym opuścił konfederację i przeniósł się pod sztandary królewskie? Nie wiedząc o tem, jakie mną powodują zamiary, cóżby na to powiedziała opinia?



— Czyn taki — odpowiedział na to natychmiast Wessel — nazwanoby tak, jakiebyś mu sam nadał nazwisko na końcu. A żeby znieść to, co tam *interim* o tem mówiono po dworach, od tego jest poświęcenie, od tego charakter. A zresztą, mogę ci za to zaręczyć, że kiedy się siedzi w Warszawie i na wysokim urzędzie, to jak cię kocham, ani się nawet wie o tem, co tam mówi prowincya...

Bierzyński na to spojrział znaczącym wzrokiem na Wessla — lecz ten tymczasem zerwał się prawie ze swego krzesła i położywszy rękę na jego ramieniu, tak tę rozmowę zakończył:

— No, mój Józefie! ja nie mam czasu. Wiesz już dokładnie, gdzie jesteś. Masz przed sobą dwie drogi. Na jednej z nich będziesz się jeszcze uwijał czas jakiś i jeżeli nie zginiesz albo nie dostaniesz się do niewoli, to w najlepszym wypadku siądziesz jak bankrut na twoim małym zagonie i zginiesz zapomniany przez wszystkich; bo już ci o tem wiesz sam ze siebie, że takich ludzi, chociażby zbankrutowali na najpiękniejszych imprezach, opuszczają narazie wszyscy, opuszczają ich przyjaciele, opuszczają najbliżsi krewni i nawet już zaręczone kochanki. — Na drugiej drodze masz natychmiast wysoki urząd, masz widok otwarty, co mówię? masz pewność osiągnięcia w najkrótszym czasie najwyższej w kraju godności a wtedy tak wielką i obszerną rolę przed sobą, na jaką się tylko zdobydzie twoja głowa i serce. W tych kilku słowach zawarłem wszystko. Namyślże się nad tem — a ja odjeżdżam. Za trzy dni będę tędy powracał i wstąpię do twojej matki. Tam mi więc dasz respons ostatni. A teraz bywaj zdrów i proszę cię, tylko o tem pamiętaj, że stary Wessel, który ma honorów, dostatków i wszelkiego szczęścia do syta, nie kładłby zdrowej głowy pod ewangelie!

To rzekłszy, jaknajprędzej się z Bierzyńskim pożegnał, wsiadł do powozu i natychmiast odjechał.

Po jego odjeździe Bierzyński został sam w swoim namiocie i, jak to samo z siebie wynika, zaczął trochę rozmyślać nad tym podskarbiego projektem, który nietylko

był najosobliwszym w swoim rodzaju, ale jeszcze do tego, jak gdyby ręką jakiegoś tajemniczego przeznaczenia rzucony, znalazł go w jego własnym obozie. Projekt ten, całkiem do niego nie przygotowany Bierzyński, przyjął z początku, jakeśmy to sami widzieli, nietylko z obojętnością, ale nawet z niedowierzaniem. Bez długiego namysłu znalazł on wszystkie zarzuty, które przeciwko niemu dyktowało zdrowe serce w spółce ze zdrowym rozsądkiem. Żegnając podskarbiego, miał całkiem zimny uśmiech na twarzy. I kiedy już był sam z sobą, przez długą chwilę myślał jeszcze o tym projekcie w ten sposób, jak zwykle myślimy nad jakimś oryginalnym konceptem, który, lubo do niego żadnej nie przywiązujęm wagi, już samą oryginalnością swą tak nas uderzył, że go nie możemy od siebie odegnać. Wszakże po chwili zaczął się zmieniać w Bierzyńskim dotychczasowy ton uczuć i myśli. Było to nawet naturalnym skutkiem jego usposobienia. Bierzyński bowiem, jakeśmy to powinni byli zauważyć dotychczas, był daleko hojniej uposażony wyobraźnią, niżeli uczuciem i podobno w każdym wypadku daleko czynniejszą bywała jego głowa, niż serce. Do tego jeszcze, jak to także już wiemy, wykształcił on w sobie z swej własnej woli takie usposobienie, wskutek którego daleko więcej miały u niego wartości rzeczy względnie rozumne, niż bezwzględnie pocziwe — daleko więcej pociągu sprawy niezwykle i głośne, niżeli ciche, skromne, codzienne — daleko więcej wreszcie uroku zamiary, prowadzące jakimikolwiek drogami do jakiegoś wielkiego celu, niżeli poświęcenie się samo przez się tej albo owej sprawie. — Krótko mówiąc, we wszystkich myślach, zamiarach, uczynkach, kierując się więcej rozumem niż sercem, nie mógł się obejść bez tego, ażeby się nie ogłędnał na siebie.. Z takim tedy usposobieniem począwszy rozmyślać nad niniejszym projektem, uczuł się wkrótce zmienionym w sobie. I im więcej rozmyślał, im bardziej się rozgrzewała jego bujna z natury a butna przeszłością wyobraźnia: tem coraz widomszych kształtów zaczynała nabierać przed nim myśl jego wuja,

tem więcej gładka wydawała mu się wskazana droga, tem wreszcie podobniejszym do prawdy stawało się osiągnięcie samego celu. A na nieszczęście było naówczas istotnie nie mało takich pozorów, które mu silnie dopomagały do uprawdopodobnienia tej myśli. Były to bowiem najpierwej czasy, w których istotnie działały się same niepodobieństwa. Nowy duch czasu wyprowadzał co moment na scenę nowe zupełnie postacie — a kiedy nieznani dotychczas ludzie, występując z równie nieznanymi kryjówek, zdobywali sobie własnymi siłami znamienite stanowiska na różnych drogach — nie łatwiejszego nie było, jak z rąk słabego króla, cokolwiekbyś spoczywało w tych rękach, jak to niemal codziennie potwierdzały wypadki, uzyskać, wydrwić, wystraszyć, albo też i wygwałcić. Osiągnięcie buławy wielkiej koronnej powinno było wprawdzie czynić od tych wypadków słuszny wyjątek: ależ tego urzędu blizkim miał być Branicki, a Branicki naówczas był takiej samej miary szlachcicem, jak i Bierzyński; niedawno on się pokazał na świecie i był dopiero generałem artylerii litewskim. Wprawdzie Branicki stał z ferworem i poświęceniem, a właściwie z zaparciem się wszystkiego, po stronie królewskiej, bił się ślepo za niego i cieszył się jego osobistą przyjaźnią: ale Bierzyński miał po swojej stronie Wessla a z Wesslem wszystkich, których przebiegły podskarbi miał w swoim ręku i których było wcale nie mało, a nareszcie i środki wszystkie, które Wessel mógł mieć pod ręką, a których było jeszcze daleko więcej. Oprócz tego wszystkiego wszakże Bierzyński miał jeszcze i szczęście swoje, które mu było posłuszne jak dziecko i które go dotychczas jeszcze ani na chwilę nie opuściło — a takie szczęście, do uwierzenia w wielkość przeznaczeń, dopomaga zwykle najwięcej. A kiedy takie uludzające pozory towarzyszyły w istocie rzeczy projektowi podanemu przez Wessla, było to rzeczą nawet wprost naturalną, że myśl ta, naprowadzona na człowieka tych usposobień, jakiemi był obdarzony Bierzyński, musiała go zająć i coraz mocniej zajmować i pogrążyć nareszcie w najgłębsze a może nawet i najgorętsze marzenia.

Tak też się stało w istocie. Zmęczywszy się mozolnem myśleniem nad wszystkimi możliwościami podanego sobie projektu, Bierzyński rzucił się w krzesło nareszcie i zapadł w głuche, bezprzytomne na zewnątrz, lecz gorączkowe wewnętrznie i pełne ożywych obrazów, marzenie...

Marzenie to było bardzo dalekiem od czynu, — nie było ono jeszcze ani zamiarem czynu, — nie było nawet jeszcze „nadzieją osiągnięcia buławy, wskutek sekretnego porozumienia się z królem“, o co go znajomy owoczesny pamiętnik posądza, — ale marzenie to było już myślą.

A stoi napisano w księgach odwiecznych, że człowiek może zgrzeszyć nawet i myślą...

Ala porzućmy puste marzenia i myśli — a przejdźmy do rzeczywistych wypadków.

Otóż najpierwszym rzeczywistym wypadkiem było to, że podskarbi Wessel był osobiście w obozie. A drugim zaraz wypadkiem znów to, że te niespodziewane odwiedziny zrobiły osobliwsze wrażenie na wszystkich żołnierzach. Jeszcze Wessel nie odjechał z obozu, — a tu już najciekawsze rzeczy opowiadano o tem. Nie wiadano zapewne nigdzie nie dokładnego i opowiadano sobie tylko domysły i przypuszczenia, — ale i to samo już było godne uwagi. Powiadali więc jedni tylko po prostu, że podskarbi jest frant polityczny, człowiek podejrzany i sztuczny, i czego on tu chce w tym obozie? Drudzy już domyślali się czegoś i zdało im się, że podskarbi będzie swatał marszałka z kasztelanką sieradzką. Trzeci dopuszczali jeszcze daleko więcej i byli pewni, że podskarbi knuje jakieś intrygi polityczne i oczywiście dla nich tutaj przyjechał. Ale pomiędzy tymi domysłami zjawiała się także wieść, wieść dokładna i całkiem wyraźna a odpowiadająca z pewnością: że podskarbi przyjechał w posłannictwie od króla, ażeby Bierzyńskiego do odstąpienia od konfederacji namówić i ofiarować mu za to jakieś znamienite godności. Czy to było przeczcucie, jakiemi Pan Bóg obdarza pocztowych ludzi? czy owoc złośliwości wyjątkowych zoilów? czy nareszcie istotnie wieść przyniesiona zpoza obozu? — trudno orzec z pewnością. Pewną wszakże jest rzeczą, że



się ta wieść pojawiła istotnie i zaczęła się zwolna rozszerzać między konfederatów. Powiadamy wyraźnie, że się rozszerzała li zwolna; bo konfederaci byli to wogóle bardzo poczciwi ludzie i nadzwyczajnie głębokiej i dobrej wiary.

U takich tedy poczciwych ludzi wieść tak straszliwie krzywdząca ich głównego dowódcę, nie mogła znaleźć tak łatwej wiary i rozszerzała się tylko pomatu. Ale pomiędzy tymi poczciwymi ludźmi znajdowali się także, jak to zwykle się zdarza, i mniej poczciwi, a za to więcej złośliwi; znajdowali się wreszcie i tacy, którzy już dawniej podejrzewali Bierzyńskiego o jakieś dyplomatyczne frymarki i teraz przeto w odwiedzinach Wessla w obozie znaleźli pewien punkt oparcia dla swoich podejrzeń. Lubo więc ogół z niedowierzaniem tylko przyjmował ową straszną wieść o Bierzyńskim, ci pojedynczy jednak za to tylko z tem większą skwapliwością roznosili ją po obozie, siejąc osobiście między starszyznę, najrozpaczliwsze wnioski i nawet pewien rodzaj popłochu.

Na tej też drodze doniosła się ta wieść i do młodego regimentarza.

Lenartowicz, jakim był w gruncie człowiekiem, dawno nam już wiadomo. Stanowił on pod wielu względami znamienie przeciwieństwo z Bierzyńskim. Nie budując żadnych olbrzymich planów swoją fantazją, żył on tylko rozsądkiem i sercem. Poświęcony całą duszą tej sprawie, której służył obecnie, nie pragnął on niczego, jak tylko urzeczywistnienia jej celów, choćby też bez najmniejszych dla siebie samego korzyści, choćby nawet z największą szkodą swą własną, — byleby nie ze szkodą swego sumienia. To też służyć pospolitemu dobru wszelkimi możliwymi siłami, a zachować przytem nieskazitelną czystość swojego serca i przezroczystość sumienia, było jego ideałem najwyższym i dotychczas jedynym. Takim obdarzony usposobieniem, był on wszakże przywiązany do Bierzyńskiego nadzwyczaj silnie. Przywiązywały go bowiem do niego, najpierw kilkoletnie w chorągwi koleżeństwo, potem szczere uznanie jego znamienitych zdolności i równie

znamienitych a tylko jemu samemu może znanych przymiotów serca — a nakoniec dziś przywiązywała go może najwięcej głęboka wiara w jego szczęście wojenne, które dotychczas nie tylko się go trzymało statecznie, ale nieraz, o czem Lenartowicz wiedział najlepiej, dozwalało mu dokazywać rzeczy takich, które bez tego szczęścia były prostem niepodobieństwem. Wiara ta w jego zdolność wojсковą i szczęście była w młodym przyjacielu marszałka nawet tak silną, że lubo w skromności swojej na żadnej drodze nie budował sobie wielkich nadziei, to jednak dozwalała nieraz bardzo wiele swobody swej wyobraźni, i widząc się wraz z Bierzyńskim na czele tak znamienitej siły, marzył niejednokrotnie o znamienitych dla dobrej sprawy stąd skutkach.

Jednak od niejakiego czasu zaczęła tym szlachetnym i poczciwym uczuciom stawać na drodze pewna wątpliwość, z której wkrótce się wywiązała nie tylko obawa, ale nawet niedowierzanie. Wszystko to zaś pochodziło stąd, że Bierzyński, rozłożywszy się w tym obozie, coraz więcej marnował czasu jak najzupełniej na niczem. Ten postępek marszałka miał z początku za sobą dosyć usprawiedliwiających pozorów, ale z upływem czasu pozory te się zmniejszały, a nareszcie w oczach Lenartowicza całkiem zniknęły — a stąd, tak ten postępek, jak i sam jego sprawca, zaczął się stawać dla niego coraz więcej niezrozumiałym. Wskutek tego zaczął on zwodzić lekkie walki z Bierzyńskim, potem ze sobą samym, ażeby coraz więcej wzrastającą w sobie nieufność przytłumić; lecz kiedy to wszystko nie skutkowało, postanowił nareszcie rozmówić się ostatecznie z Bierzyńskim i albo go do wymarszu nakłonić, albo go nawet porzucić.

Z takim też przedsięwzięciem przyszedł on był do niego dziś rano. W rozmowie tej jednak, jakeśmy to widzieli powyżej, jak z jednej strony Lenartowicz nie miał jeszcze dosyć odwagi, ażeby wypowiedzieć wszystko, co myślał, — tak znowu z drugiej Bierzyński usprawiedliwił mu się z swej bezczynności, powiadając wyraźnie: że na coś czeka. Zabolało to zapewne szlachetnego człowieka, że

jego najbliższy przyjaciel okrywał się przed nim tajemniczością, czego nigdy dotychczas nie było: jednakże poświęcając zawsze każde osobiste uczucie potrzebom sprawy publicznej, zdał się być tem zadowolonym na teraz...

Ale tymczasem w odwiedziny do Bierzyńskiego przyjechał Wessel. Lenartowicz wiedział aż nadto dobrze, kim był podskarbi. — Przyjazd jego do konfederackiego obozu był tak uderzającym dla niego, że nawet w każdej innej chwili byłby zwrócił ku sobie jego osobliwszą uwagę: o ileż tedy jeszcze więcej musiały go uderzyć te odwiedziny teraz, kiedy mu dopiero przed chwilą powiedział Bierzyński, że czeka na kogoś? — Że więc Bierzyński czekał na podskarbiego, — była to myśl, która mu się musiała sama z siebie nasunąć; jakie zaś myśl ta zrobiła zaraz w pierwszym momencie na nim wrażenie, nie trudno zgadnąć...

Lenartowicz był wprawdzie bardzo zacnym człowiekiem i podejrzenia krzywdzące innych nie miały łatwego przystępu do niego, — ale to podejrzenie było dziś w jego oczach zanadto podobnem do prawdy, aby je mógł od siebie odrzucić. Podejrzenie to nawet zdawało mu się już samą prawdą, mianowicie dlatego, iż wiedział pewnie, że Bierzyński czekał na coś, a znając dokładnie jego wszystkie stosunki, nie mógł żadnym sposobem dopatrzeć, na co by czekał innego? — Pomimo to wszystko walczył on jeszcze długo sam z sobą i długo nie mógł się zdecydować na myśl ostateczną, lecz kiedy owa wieść, szerząca się po obozie a tak z jego domysłem zgodna, docisnęła się i do niego i kiedy się przekonał, że się nikt nawet w obowiązku nie czuje, owej wieści zaprzeczyć, — już się nie namyślał natenczas i postanowienie jego było w ten moment gotowe...

Kiedy więc młody marszałek, pogrążony w marzeniach, unosił się myślą po drogach zatrutemi usypanych kwiatami i w lekkiej wierze biorąc te kwiaty za róże i lilie, wieńczył nimi swą przyszłość, — najmniej zapewne spodziewany w tej chwili, wszedł Lenartowicz do niego.

Zamyślony Bierzyński spojrzał na niego wielkimi oczy-

ma, jak to zwykle był czynić, kiedy ktoś niespodziewany zjawiał się w jego namiocie; ale Lenartowicz nie dał mu się już teraz długo oglądać, tylko zabrawszy miejsce na krzesło, dopiero co opróżnionem przez Wessla, rzekł głosem poważnym i nawet trochę surowym:

— Kochany Józefie! byłem u ciebie dziś o południu, aby się z tobą ostatecznie rozmówić i w danym razie nawet się z tobą pożegnać. Imé pan Wessel przerwał nam tę rozmowę, przychodzę więc teraz, aby ją skończyć.

— Cóż to znowu takiego? — zawołał na to Bierzyński, budząc się nagle i prostując się w krzesło — ty mnie pożegnać? cóż to ma znaczyć?

— To ma znaczyć — odpowiedział pan Albin — że nie mogę dłużej patrzeć na to, co się dzieje około ciebie, i postanowiłem ciebie porzucić.

— Ależ mój Albinie! to chyba sobie żartujesz! Cóż tu znowu się dzieje takiego, na coby patrzeć nie można?

— Co się tu dzieje, mówiłem ci już sto razy, — od tygodnia codzień ci powtarzam; — jeśli stracił wiarę u ciebie, nie moja wina. A zresztą, niepotrzeba tu wcale wspominać o tem, co się dzieje około ciebie, bo już twoje własne postępowanie jest dostatecznym powodem dla mnie, abym ciebie opuścił.

— Przyznam ci się mój drogi — rzekł na to z pełnym naciskiem Bierzyński — że cię nie rozumiem zupełnie.

— Nie rozumiesz, bo mnie rozumieć nie chcesz... jednakże żebyś mnie nie mógł posadzić o to, że bez słusznego powodu ciebie porzucam, to ci powiadam wyraźnie: że ja na to przystąpiłem do konfederacyi, abym się bił — a ty leżysz obozem i kochasz się, czy politykujesz, czy co tam, bo tego nie wiem, ale dość, że się nie bijesz. W innym wypadku dotrzymywałbym ci po staremu placu czy w miłości, czy w dyplomacyi, czy tam w czem innem, jeżeli tylko rzecz byłaby czysta; ale dziś tego nie mogę, bo u mnie pierwsza służba, niż przyjaźń.

— Pleciesz mi jakieś rzeczy, jak mi Bóg miły, ni w pięć ni w dziewięć. Fukasz się i wymyślasz, jak kobieta



lub dziecko. Jakieś osobliwsze cię dzisiaj opadły humory! Czyż na to pielęgnowaliśmy przyjaźń naszą przez lat tak wiele, czyż na to okupywaliśmy ją tyłą poświęceń i utwierdzali tak licznymi ofiary, aby ją zachwiać jakiś dzień złego humoru?

— To prawda! — rzekł na to z uczuciem pan Albin — przyjaźń nasza nie powinna się rozbić o jadajakie powody. Ja byłem nawet pewnym, że ta przyjaźń nigdy się nie rozbije! Ale, jak się to pokazuje, nie jestem ja wieszczem. Nie przeczuwałem tego, że zajdą kiedy takie okoliczności! Nie wierzyłem im nawet jeszcze natenczas, kiedy się już zjawily mym oczom...

— Proszę cię — przerwał mu w tem miejscu Bierzyński — mówisz mi takie rzeczy, których ja nie rozumiem. Cóż za okoliczności znowu mogą być takie, żebyś dla nich musiał mnie rzucać?...

— Okoliczności te są ci już dawno wiadome.

— Ja nie wiem o żadnych. Co masz, powiadaj wyraźnie.

— A więc mówmy wyraźnie, ja niczego więcej nie pragnę, wszakże po to do ciebie przyszedłem. Pytam się tedy ciebie najpierwej, czego tu kiśniesz w tym obozie napróżno?

— Czy „to“ jest twoje pytanie! — zawołał na to z niecierpliwością Bierzyński — proszę cię, nie nudźże mnie tem głupstwem. Bo najpierwej, powiedziałem ci już wyraźnie, że mam do tego ważne powody. A gdybym i nie miał żadnych, to czyż po tych trudach i biedach nie wolno mi jest odpocząć? czyż jeden tydzień spoczynku mniej albo więcej może tu zrobić jakąkolwiek różnicę?

— Zależy to od widzenia rzeczy. Możesz ty tak rozumieć twój obowiązek, może go inny rozumieć inaczej. Ja zaś rozumiem tak, że nie wolno ci jest ani jednego dnia odpoczywać jeżeli nie musisz. A potem, co tam! czyżto ty dla spoczynku tu leżysz? — I kiedy chcesz, to ci powiem otwarcie: ty tutaj leżysz, albo dla tego, że przez twą ślepą miłość nie możesz się oderwać od zam-

ku, — albo... nie wiem już zresztą, nie śmiem tego pomyśleć.

— No cóż? cóż? — mówił prędko Bierzyński — cóż? mów otwarcie.

— Proszę cię — rzekł na to Lenartowicz, wstając i patrząc mu w oczy — czegoż tutaj przyjeżdżał Wessel?

— Wessel? — powtórzył mieniać się trochę Bierzyński — a czyż ty nie wiesz, kim mi jest Wessel?

— Ja tam nie wiem, kim ci on jest, ale to wiem, że jest frant i człowiek nieczysty — a z takimi ludźmi nie ma się nic do czynienia, kiedy się stoi na czele sprawy niefrantowskiej i czystej!

— Ale mój Albinie, co też to za dzieciństwo!

— Nie, mój Józefie, to nie są żadne dzieciństwa, a rzecz ważna i prawie święta...

— Ale zmiłujże się, cóż ci jest w głowie? cóż ci za stracha znowu mógł napędzić ten Wessel? czyż już zwątpiłeś nawet o mojej uczciwości?

— Nie, jam w nią jeszcze nie zwątpił. Ja cię znam zacnym i szlachetnym i czystym, ale dlatego właśnie, że cię znam takim, nie widzę wcale, eobyś miał do czynienia mieć z Wesslem.

— Proszę cię mój Albinie, nie bądźże dzieckiem. Dla czystości twego sumienia nie wyrzekajże się rozumu, bo jak cię kocham, tak rozum nie a nie sumieniu nie wadzi.

— Ja to wiem, ale cóż też miałeś z tym Wesslem?

— Hm! — rzekł Bierzyński — kiedy chcesz, to ci zaręczam wszystkiem, że nie z nim zgola nie miałem; ale powiedźże mi z swej łaski, czy gdybym miał być z nim jaką sprawę, tobym już przez to stracił moją uczciwość? czy ja nie mogę mieć z nim spraw moich prywatnych? i czy ja zresztą nie mogę mieć z nim spraw jakich, dotyczących rzeczy publicznej?...

— Publicznej? — spytał Lenartowicz znacząco.

— A tak, publicznej. Bo powiedźże mi, czy ja nie mogę takiego Wessla zażyć czasem na korzyść konfederacji? czy na rozum nie można mieć jeszcze lepszego ro-

zumu? a frantostwo czy nie da się czasem podejść albo też skłonić ku sobie?

Lenartowicz patrzył na niego przez małą chwilkę i niby myślał. Ale niebawem potem rękę wyciągnął ku niemu i rzekł:

— Może to być, ale ja się tam nie znam na takich konszachtach. Życzę ci w nich szczęścia z całego serca, ale pomagać nie mogę. Dlatego też bywaj zdrów!

Ale Bierzyński nie podawał mu ręki, tylko rzekł jeszcze dosyć łagodnie:

— Ale mój Albinie, zastanów się przynajmniej, co robisz. Druzgoczesz niemiłosiernie przyjaźń tak piękną, dla przywidzenia. Czyż mi nie jesteś już takim przyjacielem, jak dawniej?

— Nie! — zawołał na to pan Albin, tłumiąc w sobie odzywające się w głosie uczucie — ja ci jestem przyjacielem tym samym i nawet... ja ci nim będę do śmierci. Ale...

— No, ale cóż?

— Ale ja nie chcę służyć w biurze dyplomatycznym, tylko w sztabie wojskowym!

— Ach! mój Albinie! jakież ty dziecko! — Ależ ja ci zaręczam wszystkim...

— Nie, już mi nie rącz, bo ja i tak temu nie wierzę, żebyś ty się wdawał w jakie polityczne konszachty. Ale chociaż temu nie wierzę, to ja przecież od ciebie odejdę. Przy człowiekubym został do śmierci, ale przy marszałku nie mogę, boś ty już nie jest taki marszałek, jak trzeba. Uderz się w piersi, a sam mi to przyznasz. Jużes ty nie jest cały przy twojej sprawie, anos się przepołowił na dwoje. Już się też poza siebie oglądasz. Już też i ja ci powiadam: biada! — ale więcej uczynić nie mogę. A więc niech Pan Bóg tobie pomaga, a ja odchodzę...

Przy tych ostatnich słowach zaenemu młodzieńcowi łzy się puściły z oczu. Stał oparty o stół środkowy i płakał. I tak ze łzami w oczach i głosem, ręce wyciągnął do Bierzyńskiego i rzekł:

— Patrz Józefie! ja płaczę rzewnymi łzami za tobą,

a przecież ciebie porzucam i idę tam, gdzie mnie woła sumienie. Czyż ty nie możesz także tak samo zapłakać i odejść?...

Ale Bierzyński tylko się na to zachmurzył. Spojrzył na to niespokojnymi oczyma i rzekł:

— Ale proszę cię, kochany Albinie, jeżeli masz trochę przyjaźni dla mnie, nie rób mi tego. Kiedy ci o to chodzi, abyśmy stąd wyruszyli, toż to i tak niezadługo się stanie. Jeszcze dni kilka, najwięcej tydzień... Czyż i tego nawet nie zrobisz dla mnie?

— Nie — odpowiedział Albin stanowczo.

— No więc czegoż właściwie chcesz? — spytał niecierpliwie Bierzyński.

— Chcę — mówił Lenartowicz wyraźnie — abyś natychmiast kazał otrąbić pobudkę, za godzinę będziemy wszyscy gotowi, a za drugą już w marszu.

— Natychmiast? — zawołał na to marszałek — ach! jakżeś ty dziwaczny! Pomyśl tylko nad tem i powiedz, czy to być może. Czyż to można odchodzić z tak licznym wojskiem, nie wiedząc dokąd i po co?

— A co to na tem? pójdziemy tam albo ówdzie, gdziekolwiekbądź. Pójdziemy ku Sieradzowi i Warscie, gdzie jako słyszę, zbierają się regałowie i inne wojska. Albo pójdziemy ku Jasnej Górze, bo i tam ich nie braknie; albo ku Wieluniowi... jako więc mówię, gdziekolwiekbądź, byleśmy tu nie leżeli! Cóż? nie przystajesz na to?

— Nie! to żadnym sposobem nie może być — odpowiedział Bierzyński.

— Więc bywaj zdrów! Bywaj zdrów — mówił Albin głęboko wzruszonym ale stanowczym głosem — i na długo! a może też i na zawsze! bo w szczęściu już się nie obaczmy nigdy, chyba aż w jakim wielkiem nieszczęściu!

To rzekłszy, pożegnał swego przyjaciela ręką i głową, i wyszedł ciężkim krokiem z namiotu.

Bierzyński patrzył za nim z zachmurzonym czołem i niepewnymi oczyma — leez mileżał.

Po jego odejściu rzucił się w krzesło i zapadł w głębokie zamyślenie. Przez długą chwilę był jakby martwym



zupełnie. Na jego bladej, posępnej twarzy nie widać było żadnego ruchu, jego wpół przymrużone oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, tylko z piersi ściśnionej wydobywały się czasem, całą siłą stłumiane, lecz przeto tylko o tyle głębsze i boleśniejsze, westchnienia. Zdawało się, jakby w tej chwili pasował się z samym sobą, jak gdyby trawił w sobie ból jakiś, albo szukał na niego lekarstwa.

Wszakże ta walka nie trwała długo.

Wkrótce bowiem młody marszałek wstał raźnie z krzesła, otrząsł się jakby z chmury jakich owadów, które go obsiadły i ożywioną, chociaż dziwnie surową twarzą wyszedł przed namiot.

W kwadrans potem cała obozowa starszyna była zgromadzona u niego na radę wojenną, — w drugi kwadrans ta rada zamieniła się w sądy — w pół godziny potem rozstrzelano jednego żołnierza, a dwóch pardonowano na placu...

Bezpośrednio po egzekucyi marszałek zebrał oddział konnicy, z kilkuset ludzi złożony, i wyszedł z obozu. Nikt nie wiedział dokąd idzie i po co. Ale musiał zapewne wiedzieć o tem marszałek. Szedł bowiem prosto przez wieś Gozdawkę, a pominąwszy dwór, skrzył polową drogą na lewo i zdawał się mieć zamiar dotrzeć do kawałka starej dębiny, która należała do jednej z wiosek bydgoskiego starosty. Dotarłszy do niej, napadł tam na setkę dragonów, która była nieprzyjacielskim podjazdem. Napadł, zgonił, obsaczył i wyciął do nogi. Kilkunastu tylko uszło niechybnej śmierci, którzy zdołali się pierwaj wymknąć na pole, zanim ich oskrzydłono. Ci zanieśli wieść swoim wodom, jak daleko sięgają ramiona Bierzyńskiego obozu...

Po tem krwawem i tak dosadnem zwycięztwie zdawał się Bierzyński mieć jeszcze jakieś dalsze zamiary, bo wyjechał był sam na najwyższy pagórek i stamtąd się po okolicy rozglądał...

Ale już podczas potyczki zaczęły się były odzywać straszliwe wichry, szumiąc i jęcząc nad głowami walczących. Niebawem wichry opuściły się niżej i powstała najokropniejsza burza a z nią jakby potopowa ulewa. Wkrótce

wszakże burza ustała, niebo się obciągnęło jednostajnymi chmurami, a ulewa się zamieniła w deszcz kroplisty, spadający pionowo i gęsto. Bierzyński, wiodąc ze sobą zdobyte konie nieprzyjacielskie, o samym zmroku, wjeżdżał z powrotem do swojego obozu, — stała już wszędzie woda po nizinach i rowach, a przemokli do nitki żołnierze, patrząc na bańki formujące się z kropel deszczowych na wodzie i przypominając sobie, że św. Jakób za progiem, wróżyli stąd długie sloty i wylewy...

## KSIĘGA TRZECIA.

## I.

Gdybyśmy z postępowania Bierzyńskiego, opowiedzianego w poprzedzających rozdziałach, chcieli sobie zrobić wyobrażenie o zachowaniu się wszystkich innych konfederackich marszałków i pomniejszych dowódców, — byłoby to wyobrażenie niezupełnie odpowiednie istotnej prawdzie. Źródłem bowiem tych wszystkich przymiotów a nareszcie postępów, które nam się nie podobają, a częstokroć nawet nas oburzają w Bierzyńskim, był przedewszystkiem innem brak wiary, brak całkowitego oddania się, brak owego świętego, natchnionego, wszystko sobą pochłaniającego płomienia serca, bez którego niepodobnem jest poświęcenie. Pomimo to jednak w owoczesnem postępowaniu Bierzyńskiego znajdują się pewne pojedyncze odcienia, które naówczas były wspólne prawie wszystkim dowódcom konfederackim: temi zaś odcieniami były wyłączność i nieuznanie żadnej wyższej władzy nad sobą, a przy objawiających się tu i owdzie dążeniach do owdzielenia całej konfederacji, prawie wszędzie wyobrażenie o swojej własnej wyższości. Jakoż jeżeli, zastanawiając się nad ogółem dziejów konfederacji, mimowoli nasuwa nam się przekonanie, że nie było nigdzie na świecie tak długiej wojny, tak rozpierzchnionemi i niestrojnemi ze sobą prowadzonej siłami, — to znowu w szczególe musimy to przyznać, że te siły nie były nigdy tak rozpierzchnione moralnie i tak ze sobą nie-

strojne, jak przez większą połowę roku 1769. Nie tu jest miejsce opisywać ze szczegółami rozpołożenie owoczesnych konfederackich oddziałów i opowiadać każdego dowódcy osobiste zamiary i tych dowódców wzajemne do siebie stosunki, musiałaby bowiem w takim razie powieść ugrzęznąć w rozprawie; — dla związku rzeczy wszakże trza tu nadmienić, że wówczas, ilu było dowódców, tylu osobnych hetmanów, każdy z nich już się był mniej albo więcej wyłamał zpod wpływu jeneralności, każdy z nich miał to wyobrażenie, że jego oddział jest głównym konfederackim korpusem, a kiedy odpowiednio temu wyobrażeniu wszyscy silniejsi usiłowali słabszych podbić pod swoją władzę i to się oczywiście nikomu nie udawało, każdy więc działał na własną rękę, ani chcąc wiedzieć o innych. Tym sposobem, — że pominiemy to wszystko, co się działo gdzieindziej — w zachodnich częściach Rzeczypospolitej przyszło nareszcie do tego, że konfederacja Wielkopolska rozdrobniła się na kilkanaście rozmaitych oddziałów, konfederacja Krakowska wśród ustawicznych nieporozumień wpadła w zupełną bezczynność, a kiedy porozrzucane i nie wiedząc o sobie nawzajem, to mniejsze, to większe zastępy, krzyżowały bez celu po Mazowszu i Małopolsce, wynikały stąd czasem nigdy nie oplakane szkody dla nichże samych. Tak Rogaliński stracił pułk cały w miejscu takim, od którego o milę leżał Sawa z dość znaczną siłą, — tak dwaj bracia Puławscy, nie wiedząc wzajemnie o sobie, omal nie stoczyli krwawej ze sobą potyczki pod miastem Samborem. Z tej niestrojności działań wynikały wszakże jeszcze i gorsze następstwa, i to już nawet dla całego ogółu sprawy. Nie kierowani bowiem jednozgodną myślą pojedynczy dowódcy, czasem przez zbytek ferworu, czasem przez zupełnie fałszywe rozumienie głównych celów konfederacji, dopuszczali się niejednokrotnie postępów, zabijających tę sprawę w opinii publicznej. Tak wskutek zbytecznego ferworu katolickiego uległ najstraszliwшему zniszczeniu cały niemal powiat Pilzneński, o ile był zamieszkały przez dyssydentów, — tak nieraz całe okolice kilkokrotnym raz po raz ulegały podatkowi i kontrybucjom, — tak owi drobni wielkopolscy



dowódcy wreszcie, niszczyli haraczami a nawet ogniem i mieczem wszystkie nadgraniczne miasteczka, już to dlatego, że były to posiadłości pruskie, to znów dlatego, że niekatolickie. Cały tedy ogół tych, lubo drobnych, ale znaczących i przez przeciwnie stronnictwa skwapliwie rozsiwianych wydarzeń, nie tylko szkodził niezmiernie konfederacji w opinii publicznej, tak krajowej, jak zagranicznej, — ale co gorsza, coraz wyraźniej zaczął wskazywać na to, że jeżeli konfederacja pozostanie w takim rozprzężeniu i nadal, to koniec jej będzie blizkim i zapewne daleko smutniejszym, niżeliby się po tylu pięknych i znamienitych czynach można było spodziewać.

Wszakże na ten stan rzeczy dosyć zawczasu jeszcze zwróciła jeneralność swoją uwagę.

Dzieje jeneralności od tego czasu, jakieśmy ją widzieli w Barze, do dnia dzisiejszego, lubo to minęło dopiero półtora roku, zawierają już także niejedną kartę pełną znaczenia i niezwykłych wydarzeń. Dotykając tych rzeczy, mimowolnie pióro wydzierza się z więzów, chcąc się rzucić na te obrazy, tak nieraz wielkie, tak czasem piękne a zawsze tak pełne ruchu i życia. Lecz pozostanmy wierni z góry przyjętej mierze. Owóż więc jeneralność, doświadczwszy klęsk kilkokrotnych pod Barem, Berdyczowem i w innych miejscach, widząc, że w stanie rzeczy ówczesnym nie jest w możności oparcia się siłom, jakie przeciw niej wystąpiły, schroniła się była jak to już wiemy z poprzednich napomknień, do Wołoszczyzny. Czyn ten, aczkolwiek jedyny, jaki jej w owej chwili do skutecznego pozostął, był jednak daleko więcej nieszczęśliwym w swych najbliższych następstwach, niżeli się można było spodziewać. Najpierwej bowiem reszta sił zbrojnych, którą ta jeneralność uprowadziła ze sobą, w skutek szkaradnych i częstokroć oburzających prześladowań tamtejszych władz niższych, częścią wyginęła, częścią zaś rozpiezchnąć się musiała do szczytu. Powtóre, w skutek takichże samych prześladowań, wynikających wszakże tylko z braku wyraźnych rozporządzeń w tej mierze, nie zaś z polityki Porty, jeneralność sama została tak dobrze jakby aresztowaną i prze-

szkodzoną w tem wszystkim, od czego zależały jej dalsze działania. A kiedy tak ta nieszczęśliwa starszyzna została odcięta od swego dzieła i ograniczoną na siebie samą, rzeczą jest oczywistą, że wśród cierpień, zgryzoty, znudzenia i niemożności znalezienia ulgi dla siebie w czynach, musiały w jej własnem wnętrzu wyrodzić się owe gorzkie owoce, które są niezbytymi towarzyszami każdego na nieczynność wskazanego nieszczęścia. Wyniknęły więc jeszcze do tego wszystkiego pomiędzy nią samą nieporozumienia i waśnie, których ofiarą, że pominiemy inne skutki drobniejsze, padł ów stary, białowłosy Pułaski, który na czele siedmiu synowców i synów występuje jako pierwszy filar konfederacji. Wszakże taki stan rzeczy nie trwał długo — a jeneralność, jak tylko wyswobodziła się z swych więzów, rzuciła się z tem większą skwapliwością do dalszego działania. Działanie to musiało się stać odpowiedniem ówczesnym potrzebom — a kiedy najpierwszą z tych potrzeb było uzyskanie moralnej i materyalnej pomocy, tak za granicą jak w kraju, — toż zaraz wszysej się za tem rozbiegli. I tak Potoccy, jako mający dawne i znamienite znaczenie w Turcyi, pojechali do Stambułu, — Krasińscy na dwory francuski, wiedeński i inne, — reszta zaś, porzybierawszy inne nazwiska, a często nawet inne postacie, porozbiegali się po kraju, kołacząc do zamków i dworów, zabiegając między chorągwie i wślizgując się mileżkiem nawet do samej Warszawy. Jakoż, lubo naówczas może najwięcej czynną była starszyzna konfederacka, konfederacja jednak istniejąca i bijąca się w kraju, nie miała właściwie żadnej starszyzny i nawet o niej nie wiedziała. Brak ten, brak jakiejś centralnej władzy, uczuli wówczas sami konfederacy dowódcy, i w celu zaradzenia temu złemu, postanowili zjazd ogólny w Glinianach. Zjazd ten przyszedł jednak tylko w części do skutku i uczyniono na nim tylko tyle, iż postanowiono: ażeby jakaś starszyzna istniała, której, lubo jej nie złożono, wtedy jednak po raz pierwszy dano jakoby urzędowe imię jeneralności. Kilku dawniejszych członków jeneralności zebrało się później w takimże samym celu na Węgrzech, ale ci także, oprócz mani-



stu napisanego w Eperies, nie uczynili więcej. Posłuchanie jeneralności u cesarza Józefa w tem mieście miało miejsce dopiero w r. 1770. — Pierwszym tedy, który rozpierchnioną konfederacką starszyznę na jedno miejsce zgromadził i ubezwładnioną jeneralność na nowo wskrzesił, był niezmęczony w swych poświęceniach i coraz większą rozwijający czynność, biskup Kamieniecki, Krasiński. Ten, wróciwszy z Paryża, na początku tego roku, na którym w naszej powieści stoimy, zjechał do Szląska i osiadł w mieście Cieszynie. Stamtąd porozpisywał listy do wszystkich tych osób, które dawniejszą składały starszyznę i dzisiaj jeszcze składać ją mogły, a nareszcie i do tych, które sam uznał godnymi składania najwyższej władzy sprawy takiej, od której zależały owoczesne losy narodu. Nim się ci wszyscy zebrali w tak oddalonem miejscu, na co potrzeba było najmniej kilku miesięcy czasu, urządził sobie liczną korespondencję i nieustające stosunki z krajem, zbierając zewsząd wiadomości dokładne tak o powodzeniu pojedynczych konfederackich oddziałów, jak i o zachowaniu się ich dowódców, jak nareszcie i o usposobieniu opinii publicznej na wszystkich miejscach, na czem zależało najwięcej. Były to właśnie te czasy, w których panowało tak wielkie rozstrojenie w konfederacji, jak to jest powiedziano powyżej.

Widząc to biskup i mając już wtedy kilka osób z dawnej jeneralności przy sobie, powydawał niektórym dowódcom stosowne rozkazy, chcąc ich tymczasem przynajmniej jako tako zespolić ze sobą i jakikolwiek ład zaprowadzić w ich rozerwanych czynnościach. Rozkazy te wszakże pozostały prawie wszystkie bez skutku. Skończyła się tedy cała czynność Cieszyńska li na tem, że zacny biskup wydał stamtąd bardzo wymowny do wszystkich dowódców manifest, wzywając ich: „aby się nie zajmowali sprawami wiary, bo to nie jest ich powołaniem, i ażeby nie prześladowali innowierców dla ich wyznania bo nie leży to w zamiarach konfederacji“.

Po tym manifestie wydanym, widząc, że jeneralność w tej chwili jest powołaną do daleko ważniejszych czyn-

ności i że się tu nie obejdzie bez sądów mianowicie na tych dowódców, którzy zbyt widocznie postępowali sobie wbrew dążnościom konfederacji, — ażeby na tych sądach tem łatwiej mogli się stawić wszyscy do nich wezwani, — postanowiono ogólne zebranie jeneralności w miasteczku Białej, co też istotnie doszło do skutku z samym początkiem lata.

Biała, sąsiadująca tylko przez małą rzeczkę z miasteczkiem Bielskiem, leży na granicy księstwa Oświęcimskiego i Szląska. Obiedwie te miejsciny, stanowiące bramę wjazdową dla Niemców, napływających od lat ośmdziesięciu do Małopolski i Rusi Czerwonej, wzniosły się przez ten czas znacznie, załudniły się mocniej, napełniły fabrykami i ruchem handlowym. Jednakże tę szczyptę materyalnych korzyści opłacili one zbyt drogo, aby ją warto było nabywać. Z miasteczek bowiem, z których jedno było zupełnie polskiem, a drugie przynajmniej słowiańskiem, stały się mrowiska niemieckiego kramarstwa i fabryczności. Przybrały prostoty i charakter zachodnio-europejski, ale straciły rzecz daleko piękniejszą, bo charakter swój własny. Ostatnimi dopiero czasy zaczęły się, jak na całym tutejszym Szląsku, tak też i tutaj, budzić wspomnienia narodowej przeszłości, — ale patrząc na te zapasy mającego bardzo już zdruzgotane podstawy uczucia, zapasy, prowadzone z silnie napierającym żywiołem obcym, jeszcze daleko silniej protegowanym przez materyalizm, pomimo woli się nasuwa westchnienie: obyło tylko te wzbudzone wspomnienia wskrzesiły istotnie obumarłego ducha nie pozostały na zawsze tylko sztucznie przy życiu utrzymywanem wspomnieniem! — W r. 1769 jeszcze tutaj nie było ani tych strat moralnych, ani materyalnych korzyści, ani ożywionego ruchu dziejowych wspomnień. Walka pomiędzy żywiołem swoim i obcym istniała tutaj i wtenczas, ale świadomość siebie w swoim własnem jestestwie była jeszcze tak silna, że żywioł obcy znachodził w najlepszym razie tylko uproszony przytulek. Nie miał on zresztą natenczas tego jabłka rajskiego, tego kuszącego materyalizmu w rękach, którym dziś sobie drogę toruje, natenczas bowiem mieszcza-



nie tutejsi, pracownicy sukiennicy i płóciennicy, od dawna zabezpieczeni ustawami krajowemi przeciwko konkurencyi sąlskich sąsiadów, mieli się w swojej skromności aż nadto dobrze, ażeby się potrzebowali endym zasilać przemysłem. Nie potrzebowała też Biała natenczas sąsiedztwa Bielska, ażeby pod jego protekcją swe rękodzieła prowadzić skutecznie, ale przeciwnie, Bielsk tylko zyskiwał na tem sąsiedztwie. Wszakże było pomiędzy temi miasteczkami za wsze dobre porozumienie, obadwa były słabiej zabudowane i mniej ożywione, ale obadwa się miały dostatnio — a kiedy panowie, składający jeneralność konfederacyi Barskiej tu się zjechali, to lubo niedawno przedtem, a mianowicie w roku 1753 Bielsk był stracił sto czterdzieści domów przez pożar, panowie ci wszyscy jednak znaleźli dla siebie i swoich dworów pomieszczenie wygodne i przyzwoite.

Znaleziono nawet bardzo dogodne miejsce na założenie kancelaryi i odbywanie posiedzeń jeneralności, albowiem sukiennicy białscy ofiarowali ku temu swoją salę cehową, która lubo nie wykwiłtna, umebłowana tylko dużym dębowym stołem i dębowemi ławami, była jednak aż nadto dostateczną dla władzy rewolucyjnej, której chodziło o istotę a nie o próżne pozory.

W tej tedy sali, gdzie na jednej ścianie wisiał obraz świętego patrona sukienników, na drugiej i trzeciej kilku królów polskich portrety, a na czwartej przed drewnianą figurą Chrystusa Pana płonąła lampka oliwna, odbywała jeneralność swe posiedzenia. Posiedzenia te odbywały się zwykle w poobiednich godzinach, bo przewodniczący im ksiądz biskup Kamieniecki przez całe ranki bywał zajęty korespondencyami, wysłuchiwaniami różnych osób z Polski przyjeżdżających, a nareszcie przygotowywaniem dokumentów i wyciągów do sessyi. Po południu tedy dopiero zbierała się sessya i trwała zwykle do późnego wieczora, czasem do późnej nocy, lecz kiedykolwiek się ukończyła, nie spracowany biskup zasiadał z Jmć panem Bohuszem, terazniejszym sekretarzem jeneralności, częstokroć z Pacem, marszałkiem jeneralnym konfederacyi litewskiej lub z któ-

rym innym mocniejszym w piórze, i nieraz do wschodu słońca przesiedział w sali, wygotowując rozkazy, instrukcye lub manifesty, aby je jaknajprędzej wyprawić do kraju. Nie oglądając się wcale na siebie biskup był i tutaj niezmordowanie czynnym — jakoż lubo jeneralność nie bawiła tu jeszcze dłużej jak od tygodnia i dopiero dwa posiedzenia odbyła, uczyniono już bardzo wiele i wydawano nawet bardzo ważne rozporządzenia. Tak zaraz na pierwszym posiedzeniu uchwalono roztrząśnienie wyborów wszystkich marszałków i urzędników konfederackich i postanowiono bez żadnej kwestyi rzucić z urzędu każdego, na którego by się okazały dowody, że sobie postępuje nieodpowiednio zamiarom konfederacyi. Tegoż dnia także postanowiono wyprawić posłów do niektórych domów zagranicznych i przeznaczono Joachima Czernego do Stambułu, a Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, do Francyi. Na posiedzeniu następnym roztrząsano zbliżone relacje, które dawały dokładne wyobrażenie o stanie konfederacyi we Wielkiej polsce. Ksiądz biskup miał te papiery już uporządkowane przed sobą i zdał krótki i zwięzły raport o całej tej sprawie. Przystąpiono więc wprzód do postanowień i postanowienia te były także niezmiernie ważne. Uchwalono bowiem najpierwej rozkaz do Małczewskiego, ażeby schwytanych przez siebie szpiegów tak skwapliwie i w tak znacznej ilości nie wieszał, znajdując się bowiem ludzie, którzy usiłują wmówić w opinię publiczną, jakoby wieszał wprost dyssydentów, nie przeświadczywszy nikogo, że byli rzeczywiście szpiegami. Taki sam rozkaz wydano do Morawskiego i Ulejskiego, z tym wszakże wyraźnym dodatkiem, ażeby od tego momentu nie wybierali już kontrubucyi, które ponakładali na nadgraniczne sąlskie i pruskie miasteczka. Wszakże z kolei przystąpiono do rzeczy jeszcze ważniejszych. Zważywszy bowiem, że konfederacye tak w Wielkiej jak Małej polsce składają się z rozproszonych i niesfornych oddziałów i tak tu, jak tam, nie masz nikogo któryby przewodniczył całej prowincyi, postanowiono nowych nominować marszałków. Zaczęto od Małopolski i tu nominowano bez trudności Jakóba Szaniaw-



skiego, niegdyś generała wojsk Rzeczypospolitej, a po Ossolińskim marszałka konfederacji Sandomierskiej, jeneralnym marszałkiem Małopolski. Wszakże kiedy przyszła kolej na Wielkopolskę i książd biskup zaproponował tutaj na taką samą godność, wspomnianego już przez nas, a później głośno rozślawionego, Józefa Zarembę, znalazła się niezgodność zdań w zgromadzeniu, a nareszcie i opozycja. Niezgodność zdań wynikała stąd, iż wiadano o tem powszechnie, że w tamtych stronach konsystuje teraz Bierzyński, który znaczną dowodzi siłą, tytułuje się jeneralnym marszałkiem i w znacznej części żywi się z Wielkopolski, a więc przez nominację nowego Wielkopolskiego marszałka nietylko by się postawiło Bierzyńskiemu wałą do dalszych czynności przeszkodę, ale kto wie, azałiby się nie wywołało jakich nowych niesnasek? Opozycja zaś przeciw samemu Zarembie gruntuwała się na tem, że lubo mu przyznawano ogólnie znamienie wojskowe zdolności, był jednak wszędzie dosyć rozpowszechniony brak zaufania do niego. Prezydujący jednak, już to powagą, już niepospolitą wymową, już nareszcie swoją niecierpliwą cokolwiek energią, wszystkie te nieporozumienia wkrótce wyjaśnił a sprzeczności pogodził. I tak najpierw co do Bierzyńskiego wszystkim jaknajsołennie zaręczył, że na tego marszałka są takie oskarżenia i takie zresztą dowody, że ten człowiek żadnym sposobem nadal na tak znamienitej posadzie pozostawionym być nie może; gdyby zaś przyszło do tego, żeby się ze zarzutów usprawiedliwił, to nigdy to nastąpić nie może, ażeby on był teraz nominowany jeneralnym marszałkiem Wielkopolskim, który przecież zawsze nominowanym być musi, bez względu na to, że istnieje partykularny marszałek województwa sieradzkiego. Zaś brak zaufania do Zaremby zniósł gorliwy biskup jego własnoręcznym listem, który lubo pisany cyframi, donosił jednak wyraźnie, że ten zapoznawany przez swoich współbraci żołnierz i obywatel, ma już wszystko gotowe, czego do wystąpienia potrzeba, i czeka tylko nominacji od jenerałości. Tym sposobem Zaremba został nominowany marszałkiem jeneralnym Wielkopolskim prawie jednogłośnie,

bo tylko jedną mu dał negatywę pan Joachim Potocki. Na tem skończyło się posiedzenie drugie, ale wszyscy byli bardzo ciekawi trzeciego, bo na niem, wedle zapowiedzi prezesa, miał się odbywać sąd formalny na Bierzyńskiego, jakiego to wypadku jeszcze nie było dotychczas w konfederacji.

Posiedzenie to zostało zwołane dopiero za dwa dni — a to dlatego, iż proces ten, już sam przez się niezmiernie ważny i delikatny, opierał się na licznych dokumentach piśmiennych i pewnych zeznaniach ustnych, które przed posiedzeniem dokładnie zbadać musiał przynajmniej ten, który miał wnieść oskarżenie.

Jakoż dnia tego zebrali się wszyscy członkowie terażniejszej jenerałości w zupełnym komplecie. I było to zgromadzenie złożone w znacznej części z najpierwszych znakomitości tej sprawy: znajdował się bowiem tutaj najpierw prezydujący biskup wraz z swoim bratem Michałem, podkomorzym rożańskim; potem pan Joachim Potocki, podczaszy litewski, jeden z pierwszych i najgorliwszych koryfuszów konfederacji, mąż prawy i waleczny, odważny w boju jak żołnierz a w radzie jak starożytny rzymianin, za pierwszą odwagę niedawno udarowany przez Sułtana honorowym kaftanem, za drugą poważany powszechnie, ale znajdujący z tego powodu także niemale dla siebie niechętnych. Dalej znajduje się tutaj książę Karol Radziwiłł, zwany „Panie kochanku”, który *incognito* na ten zjazd był przyjechał — Pac, starosta ziołowski a teraz marszałek jeneralny litewski, który się do jenerałości przyłączył na zawsze i już odtąd jej nie opuścił aż do ostatniego momentu — był tam także Karczewski, starosta litewski, Piotr Małachowski, starosta oświęcimski, Stanisław Dąbski, starosta kowalski i wielu innych, których nazwiska zatarły się w niepamięci. Oprócz tych wszakże znajdowali się jeszcze w niemalej liczbie i tak nazwani konsyliarze, którzy, mianowicie w Wielkopolsce, jako tacy byli przez szlachtę dodawani zazwyczaj wojewódzkim marszałkom, a którzy w biegu wojny, to pousuwani przez tychże marszałków, to sami od ich boku się usunąwszy,



na wezwanie jeneralności, jako legalna, bo przez szlachtę niegdyś wybrana rada, na miejscu powołania stanęła. Było to tedy zgromadzenie rzeczywiście bardzo poważne, a lubo przeciwko legalności wykonywanej przezeń władzy dałoby się może co i zarzucić, to w każdym razie, już dla samych najczystszych chęci, których mu nikt nie mógł zaprzeczyć, przynajmniej jego opinia powinna była mieć takie znaczenie, że nie można jej było mieć za nic. Tak też istotnie było u powszechności narodu — ale pomiędzy dowódcami konfederacyi rozmaite o tem bywały przekonania.

Kiedy więc wszyscy członkowie zgromadzenia zabrali swe miejsca za stołem, prezydujący biskup uderzył w dzwonek i zagaił posiedzenie w następujące słowa:

— Mości panowie! Rozpoczynamy dzisiejsze posiedzenie sprawą, która nietylko jest nader ważną w swojej istocie, ale zarazem tak delikatną i pełną rozmaitego, tak dla samej konfederacyi, jak też i dla nas, znaczenia, że wymaga od nas jaknajpilniejszej rozważy, głębokiej sumienności a nareszcie owej, że tak powiem, rzymskiej determinacyi, którą niegdyś tak dobrze znały wszystkie władze przez naszych ojców składane, a którą myśmy już zapomnieli. Ja z mojej strony powiadam: Bódajby nigdy takie sprawy nie bywały na naszym stole! Lecz kiedy z nieprzyjaznych wyroków Boskich i zapomnienia się braci naszych przyszło nareszcie do takich nadużyć i do takiej zuchwałej swawoli: to, jakkolwiek z wielką to nam przydzie przykrością, nie powinniśmy się unosić żadnem miłosierdziem ani partykularnem wyrozumieniem, jako osądziwszy rzecz sprawiedliwie, jeżeli się tego okaże potrzeba, choćby i najsurowszym ją zakończyć wzrokiem. Jeżeli bowiem jesteśmy i nadal być chcemy naczelną władzą sprawy, która ma rozstrzygnąć losy narodu i na którą cała Europa ma oczy zwrócone: to pierwszym naszym obowiązkiem być winno, nasze rządy sprawować w ten sposób, ażeby, cokolwiekby o nas powie potomność, nie powiedziała przynajmniej, żeśmy zaprzepaścili dobro publiczne przez niedbalstwo, albo zbyt czyny wzgląd na prywatę. Wielkie

są bez wątpienia zasługi tych, którzy w tem powszechnem uciśnieniu i niesposobności, nie oglądając się na cudze pomoce, sami na własną rękę podnieśli wojnę i nie dając się żadnemi niepowodzeniami zbić z tropu, ponoszą trudy wytrwale, doznane klęski prędkimi reparują zwycięstwem, stokroć pobici stokroć powstają znów, aby już tak wytrwać *ad finem*: wielkie, powiadam, są tych obywateli zasługi: ale cóż po nich krajowi, co po nich sprawie, jeżeli te ich wojny przynoszą więcej szkód Rzeczypospolitej niżeli pożytku, jeżeli ich sprawy nie wiążą się z sprawą publiczną, jeżeli oni sami ani rozkazów ani rad naszych nie mają za nic, jeżeli nawet z innymi wojny tej dowódcami w żadne nie wchodzą porozumienie: a co wiedzieć, jakie są takich panów zamiary? do czego dążą i na czem skończą? — A cóż dopiero powiedzieć wtedy, jeżeli te zamiary są istotnie partykularne? jeżeli sztandar konfederacyi użytym jest tylko za zasłonę tendencyi innych? jeżeli nawet pod zasłoną tego świętego sztandaru, odbywają się istotnie konszachty z gabinetami lub ludźmi, konfederacyi wprost przeciwnymi? — Mości panowie! czyż konfederacya może milczeć na takie czyny? czy może ona swoje zamiary ogólne dać rozprawywać na cząstki i patrzeć na to, jak pojedynczy dowódcy temi cząstkami frymarchą? czy mówiąc krótko, może ona to znosić, aby jej płaszczem okrywano machjowelstwa i zdrady? — Nie! to byś żadną miarą nie może, dopóki ta konfederacya trwa jeszcze, dopóki my na jej czele стоимy! Dlatego takich ichmościów postępowanie powinniśmy wziąć zawczasu na pilną uwagę, z podanych dat wyrozumieć ich uczynki, zamiary i chęci: a kiedy się zdrożność tychże okaże, postąpić sobie wedle całej surowości naszego sumienia i jak najprędzy koniec temu położyć. Oskarżenie o takie postępowanie swawolne, ba! i o większe jeszcze egzorbitancye, doszło nas tymi dniami przeciwko Jmć panu Bierzyńskiemu, samowolnemu marszałkowi konfederacyi sieradzkiej, które natychmiast weźmiemy przed się, a które nam Jmć pan Bohusz z łaski swej przedłoży.

Wszakże nim jeszcze Bohusz głos zabral, pan podcza-



szy litewski, korzystając z tej przerwy, odezwał się prawie w ten sens:

— Mości księżę biskupie! Wiem to dobrze, iż tak mnie jak i każdemu innemu nie godzi się nie mówić o sprawie przed teje sprawy indukcyą, ale ponieważ czasem bardzo wiele ba! nawet i wszystko, na indukcji zależy, jako i tutaj ten jest przypadek, więc pozwolę sobie dwa słowa. Owóż tedy, oskarżenie to przeciw Bierzyńskiemu, ile mi jest wiadomo, uczynił Jmé pan Dzierżanowski. Ja przeciwko panu Dzierżanowskiemu nie mówić nie chcę, bo go też nie znam, a to, że jak mówi był królikiem murzynów, także mi go nie czyni znajomym. Jużbym go też snąć prędzej po tem trochę rozpoznał, że kiedy złożywszy swą koronę murzyńską do Polski powrócił, to najpierwej do króla się udał i tam siadł w antykamerze jako szambelan Jego Królewskiej Mości. Co mnie też i dziwi niemało, ile że się pan Dzierżanowski do naszej konfederacyi nie zaraz przywiązał, aż dopiero kiedy się z regałami osobiście pokąsał, do tego się namyślił. Jakoż i wtedy jeszcze nie przyszedł do nas, jeno pobiegł w Gostyńskie i tam się sam marszałkiem ogłosił. Kiedy mu się zaś noga powinęła nad Nerem, tentował znowu marszałkowstwa gdzie indziej, a kiedy mu ksiądz Marcin ofiarował słuszny urząd regimentarza u siebie, nie poszedł, jeno zebrawszy kupkę uzbrojonych ludzi, błąkał się z nimi po kraju, właśnie jakoby błędny rycerz hiszpański. — Wiem też i inne rzeczy jeszcze, których jednak powiedzieć nie chcę, ano tak mówię, że pana Dzierżanowskiego nie znam. A pana Bierzyńskiego znam dobrze, bo był pazikiem u mnie i kochałem go bardzo, a żeby go był sobie król jegomość nie upodobał, byłbym go nikomu nie oddał. W obronie Bierzyńskiego jeszcze teraz nie stoję, bo też i nie wiem, o co go obwiniają; ale kiedy nieznamy mi Dzierżanowski, nie będąc ani instygatorem z urzędu, ani do tego przez nikogo proszonym, występuje jako oskarżyciel przeciwko znajomemu mi Bierzyńskiemu: słuszną jest z mojej strony domagać się tego, ażeby z tej skargi było wypuszczone to wszystko, co oskarżyciel po-

wiada od siebie, a przedłożone to tylko, na co skąd inąd są wiarogodne świadectwa. O co też bardzo proszę, bo się tutaj domyślam prywaty, o której już dawno, jako istniejącej pomiędzy tymi panami, od księcia Marcina słyszałem.

Na to zaś zaraz rzekł podkomorzy rożański:

— Ty, panie podczaszy, nie stajesz w obronie Bierzyńskiego, ja też nie chcę tu bronić Dzierżanowskiego, który też jako dotąd nie potrzebuje obrony. Powiadasz, że Dzierżanowski jest Bierzyńskiemu nieprzyjacielem, ja ci tego nie przeczę, bo i to być może. Ale żeby przeto nie słuchać tego, co o nim powie Dzierżanowski, nie przyznaję. Bierzyński jest oskarżony przed nami o rzeczy nie dobre, nam chodzi o to, żebyśmy się dowiedzieli tych rzeczy niedobrych, a zaprawdę dziwną obralibyśmy sobie do tego drogę, gdybyśmy o nie wypytywali jego przyjaciół!

— Ale ma prawdę pan podkomorzy — odezwalo się na to kilka głosów odrazu — prosimy o wszystko, a na co nie będzie dowodów, to odrzucimy.

Inni znowu trzymali się zdania podczaszego. Czego wszystkiego wysłuchawszy cierpliwie ksiądz biskup, rzekł kończąc tę przedwstępną dysputę:

— Chodźbyście odrzucili połowę, to jeszcze i tak aż nadto zostanie!

Poczem dał znak Bohuszowi, aby rozpoczął indukcję.

Tedy Bohusz wziął zaraz cały zeszyt papierów do ręki i indukował oskarżenie punktami. Z tego dokumentu, napisanego zbyt rozwlekale i długo, abyśmy go mogli w całości przytoczyć, okazywało się jawnie, że musiało to komuś istotnie wiele zależeć na tem, ażeby Bierzyńskiego uznano winnym; tak ten akt był wypracowany starannie i tak dobitnie wyliczone to wszystko, co mogło Bierzyńskiego obwinić! Jakoż rzecz straszna, ile to tam było tych punktów!

Oskarżano tedy Bierzyńskiego *najpierwej* o to, że już przy samym zawiązku konfederacyi, kiedy do niej do Baru przyjechał, postąpił sobie wbrew rozkazowi jeneralności. Kiedy bowiem taż jeneralność, wysyłając go z uniwersalami w województwo sieradzkie, rozkazała mu naj-



wyraźniej przyprowadzoną ze sobą chorągiew zostawić w Barze, on też chorągiew na rynku miasta zbuntował i uprowadził w nocy ze sobą. Jak się więc z tego okazuje, miał on już wtedy zamiar samowolnego działania na myśli, co też istotnie wszystkie jego późniejsze potwierdzają uczynki.

Do też *powtórę* obwiniano go o to, że przyjechawszy w województwo sieradzkie, w samej istocie samowolnie się na marszałka wyrzucił, nie będąc ani na żadnym zjeździe obranym, ani przez nikogo na urząd ten zaproszonym.

Kiedy się już marszałkiem ogłosił i stanął na czele uzbrojonego przez siebie zastępu, zawinił *po trzecie*, że zamiast z tymże zastępem pozostać w województwie sieradzkim, tamtejszemi się wzmacniać siłami i o tamtejszym żyć chlebnie: wyszedł w Krakowskie i Sandomierskie, któreto ziemie miały już swoje konfederacye do wyżywienia i zaprawdę nie mało do ponoszenia ciężarów. On wszakże nie mając na to żadnego względu, obywateli tamtejszych podatkami i furazami gniótł bez litości i nawet na niektóre domy wcale gwałtownie napadał, zabierając spiżarnie, gotowizny a nawet klejnoty — na co wszystko pan Bohusz obiecał zaprodukować listy od tamtejszych obywateli pisane i nawet świadectwa umyślnie na to powydawane.

*Czwartym* punktem obwiniano go dalej, że opatrzywszy się w broń, pieniądze i ludzi, i wzmógłszy się do takiej potęgi, że mógł już konfederacyi nawet znamienite oddawać posługi, o tem jednak zupełnie nie myślał, a unikając jaknajstaranniej walnych bitew, a nawet znaczniejszych potyczek, tam tylko uderzał, gdzie widział pewne dla siebie zwycięstwo i mógł mieć nadzieję korzystnego obłowu. Tak zbierając owoce tych krwawych prac i zabiegów, które ponosili inni dowódcy, nietylko z tymiż dowódcami w żadne nie wchodził porozumienia, nietylko nigdy żadnemu nie przyszedł w pomoc, ale owszem przeciwnie takie wyprowadzał marsze i strategiczne podstępny, jakby im jeszcze umyślnie chciał szkodzić. W dodatku do tego zarzucano mu jeszcze, jako rzecz na dowodach opartą, że

kiedy mu się tylko do tego zdarzyła sposobność, usiłował burzyć i innych dowódców przeciw jeneralności i pomieczy nich samych, za pomocą oszczerstw i plotek, rzucał ziarna niezgody.

*Piątym* punktem oskarżono go już o prostą zdradę, dokonaną na braciach Puławskich. Kiedy bowiem ci dowódcy, przyparci pod Białymstokiem przez liczne wojska nieprzyjacielskie, posłali do niego rozkaz aby się z nimi połączył i wspólnemi siłami walną odprawił bitwę, on nietylko nie wypełnił tego rozkazu, ale jeszcze jakby umyślnie natarł na nieprzyjaciela z strony przeciwnej, przez co Puławscy znaleźli się w położeniu stoczenia bitwy o własnych siłach i dotkliwą ponieśli klęskę.

*Szóstym* punkt wyliczał dalsze straty konfederacyi, poniesione z powodu jego samowolności, a ostatecznie oskarżał go o to, że dzisiaj, stojąc na czele uzbrojonego żołnierza, leży już od dni kilkunastu całkiem bezczynnie nad Wartą i wyprowadzając szalone festyny i biesiady w swoim obozie, zamiast służyć tej sprawie, której sztandar wywiesił, forytuje swoje prywatne sprawy, które mu się też snadnie udają przy tytule jeneralnego marszałka i na czele czterech tysięcy wojska.

Wszakże *siódmym* punkt i ostatni był ze wszystkich najcięższym. Tu bowiem usiłowano dowieść powodu wszystkich wyz wymienionych Bierzyńskiego postępów, a doprowadzono ich zaprawdę w sposób zabijający. Wypowiadano bowiem jako rzecz pewną, że Bierzyński od samego początku konfederacyi jest w ścisłym porozumieniu z podskarbis Wessel i tylko ślepem w jego ręku narzędziem. Wessel go miał namówić do tego, aby do konfederacyi przystąpił, Wessel mu pomógł do osiągnięcia marszałkostwa w Sieradzkim, Wessel dodał funduszków na pierwsze potrzeby, a ostrzegając przez swoich szpiegów o każdym niebezpieczeństwie, dopomógł mu także do wzbicia się w taką potęgę. Wszystko to miał Wessel czynić dlatego, aby przez niego nakłonić konfederacyę do polityki saskiej, a ułowiwszy ją w takie sidła, zaprowadzić ją tam, gdzie mu się będzie podobać. Kiedy zaś mu się to nie udało,



zamienił Bierzyńskiego w zbrojnego szpiega, za pomocą którego wie o wszystkich obrotach konfederacyi, sieje pomiędzy jej dowódcami niezgody i naprowadza na nich nieprzyjaciela tam, gdzie się zaczynają stawać groźnymi. Za pomocą tedy Bierzyńskiego mści się podskarbi na tej konfederacyi za to, że nie przyjęła jego projektów — tymczasem zaś, utrzymując swego siostrzeńca przy znacznych siłach, roznosi jego sławę po Warszawie i targuje się o jej sprzedaż z panem Poniatowskim.

Taki był akt oskarżenia — zakończony nareszcie wnioskiem: ażeby jeneralność, albo natychmiast Bierzyńskiego uznała winnym i publicznie manifestami wręcz go się wyparła — albo ażeby był mu wydany rozkaz oddania natychmiast swojego wojska pod komendę Zaremby i stawienia się osobiście przed jeneralnością w miasteczku Białej.

Wiedząc dokładnie, o ile Bierzyński dotychczas był winnym i czytając, jakie stąd oskarżenie przeciw niemu urosło, nie można się dosyć nadziwić tak szkaradnej srogości oskarżyciela, jak i zawiści losu, który tak głęboko w niego zapuścił swoje nieublagane szpony. Wszakże zastanawiając się trochę chłodniej nad tym wypadkiem, zadziwienie ustaje. Sprawa ta bowiem, w której szeregi się zaciągnął Bierzyński, była sama z natury swojej ostatecznością, a sprawy takie mają to przedewszystkiem do siebie, że tak samo, jak wymagają ostateczności od swoich członków, tak też tylko ostatecznością im płacą. Kto tedy takie obowiązki bierze na siebie, winien się najprzód obliczyć z sobą, bo odtąd nie będzie miał żadnej drogi środkowej przed sobą, a czy istotnie w błocie ugrzęźnie, czy się tylko zachwieje, wyjdzie to mu zawsze na jedno. Tak było zawsze — tak nas uczy historia — tak też było w konfederacyi.

Kiedy więc ten dokument został odczytany do końca, dało się widzieć głębokie oburzenie u wszystkich i powstał szmer dosyć głośny...

Takie same oburzenie dało się także widzieć i na twarzy podczaszego litewskiego, ale u niego uczucie to wyni-

kało z zupełnie przeciwnego powodu; kiedy bowiem panowie radni oburzyli się ohydne czynami, przypisanymi marszałkowi obozującemu obecnie nad Wartą, on się oburzył na to, że takie czyny miano temuż marszałkowi przypisać. Jeszcze więc trwało głośnie szemranie w radzie, kiedy on zawołał głosem donośnym:

— Mości panowie! Sprawa to jest zanadto ważna, ażebyśmy ją mogli sądzić na wiarę tego, który tę inkryminację napisał. Ja proszę najpierw o dokumenty, na których się oskarżenie opiera.

Temu żądaniu sprzeciwiło się zrazu prawie trzy czwarte części głosów obradujących, wszyscy ci bowiem byli tego przekonania, że już same znajome fakta okazują, winę Bierzyńskiego tak jasno, że nie trza na nią żadnych innych dowodów. Ale podczaszy uparł się silnie przy swojej mocy i przeparł nareszcie tę opozycję. Przystąpiono tedy do rewizyi i odczytania dokumentów. Dokumenty te wszakże nie były tak bardzo dowodne, żeby mogły stanowić nieomyłne świadectwa. Składały się one bowiem najpierw tylko z listów prywatnych obywateli krakowskich i Sandomierskich — a listy te, które jeszcze i dziś czytać można w tak zwanych collectaneach Kuropatnickiego, skarżyły się wprawdzie w cierpkich nieraz wyrazach na Bierzyńskiego furażę, podatki i inne podobne ciężary, ale te listy skarżyły się także tak samo i na innych konfederackich dowódców. Pochodziły one tedy widocznie od ludzi, albo skąpych i samolubnych, albo wprost całej konfederacyi niechętnych; a zatem skargi ich nie mogły mieć żadnego znaczenia. Oprócz tych listów znajdowały się także i dwa świadectwa, na też same uciski umyślnie przeciw Bierzyńskiemu wydane, ale pochodzenie tych świadectw było nietylko podejrzone, ale nawet całkiem wątpliwe. Na inne drobniejsze oskarżenia nie było żadnych dokumentów, a na tak zwaną białostocką zdradę był tylko list Puławskiego, w którym tenże powiada: „że gdyby Bierzyński był się z nim na jego wezwanie połączył, byłaby inaczej wypadła ta bitwa.“ — Na całe zaś jego obwinienie o tajemne stosunki z Wesslem, był tylko list pi-



sany z Warszawy, w którym stały te słowa: „Strzeżcie się Bierzyńskiego, bo to krewniaczek Wessla”.

Po odczytaniu tedy tych dokumentów, pan podczaszy zabrał głos długi i bardzo wymowny. Stał on w obronie Bierzyńskiego stanowczo i zbijał punkt za punktem cały akt oskarżenia. Nietrudna nawet była mu ta obrona, bo, jak widzimy, oskarżenie to opierało się we wszystkich punktach raczej na prawdopodobnych domysłach, niżeli na faktycznych dowodach — fakta zaś, jakie mu zarzucano, mogły go w najgorszym razie obwinić o zbyt dużą oględność, o obojętność, a wreszcie nawet o opieszałość, ale żaden z nich nie dowodził nieprzyjaznej niechęci, żaden był nawet podobnym do zdrady. Wszystko to wywiódł logicznie i nawet dosyć dobitnie podczaszy — a nadmieniwszy wreszcie, że z naciągniętego do jednej, z góry powziętej myśli, znaczenia wszystkich pojedynczych obwinień, aż nadto jasno się okazuje, iż ten akt oskarżenia jest tylko sztucznym jakiegoś nieprzyjaznego Bierzyńskiemu człowieka utworem, — zakończył mowę swoją prawie w te słowa:

Widać tu tedy, że wszystko to jest misternie uklejoną potwarzą, z której Bierzyński umywa się dostatecznie już przez to samo, że zebrał i utrzymuje tak liczne wojsko, a jakiegokolwiek tam z swoim oddziałem przedsięwzię manewry, nie bije się przecież przeciw konfederacji, tylko owszem gromi zwyciężko jej wrogów. Wnoszę tedy, ażeby te wszystkie oskarżenia oddać na pastwę płomieniom, Bierzyńskiego nie sądzić...

Tu wszakże powstał nagle gwar taki głośny i tak burzliwy, że podczaszy nie mógł dokończyć swojego wniosku. Większa część zgromadzenia zerwała się z miejsca, wszyscy się oburzyli przeciw takiej obronie i dały się nawet słyszeć dosyć dotkliwe przycinki przeciw samemu obrońcy. Podczaszy usiłował wrócić napowrót do głosu, — ale było to niepodobnem. Widząc więc, że tylko na próżno się sili, do ostatniego stopnia wzburzony i ledwie mogący powstrzymać się w gniewie, sam odskoczył od stołu i zawołał donośnym głosem:

— Mości panowie! widzę, że głos mój, Bóg widzi, ażali nie sprawiedliwy i dla nas samych zbawienny, jest głosem wołającego na puszczy! Sądźcie więc i kaźcie zdjąć głowę oskarżonemu niewinnie, ale ja wzywam Boga na świadka, że umyłam ręce od tego i mówię: Będzie to krzywda do nieba wołająca o pomstę, a kto jej przyczyną, *slet diabolus a dextris eius!*

To rzekłszy, cały wrzący od wewnętrznego wzburzenia, wyszedł natychmiast ze sali posiedzeń.

Po jego wyjściu nastąpiła cisza na chwilę. — Korzystając z tego ksiądz biskup, zabrał głos i rzekł z uśmiechem na twarzy do zgromadzenia:

— Oppozycję tę w panu podczaszym wywołała jego szlachetność serca. Wiemy o tem wszyscy i nikt mu z nas tego nie weźmie za złe, bo to jest przymiot tak dalece nieoddzielny od niego, że nie może się go zaprzeczyć nawet i tam, gdzie jest tego konieczna potrzeba. A że potrzeba ta nie była może nigdy jeszcze więcej konieczną jak teraz, nie ulega to żadnemu wątpieniu. Miło jest postępować sobie szlachetnie nawet i z występnyimi, któż z nas tego nie czuje? ale wolno to nam tylko natenczas, kiedy wystąpiono przeciwko naszej osobie prywatnej. Unieść się zaś szlachetnością przeciw takiemu, który wystąpił przeciw sprawie publicznej i ma widoczne zamiary wystąpienia przeciw niej jeszcze mocniej, byłoby to do jednego występkę doliczyć drugi.

Ale niema wątpienia! — odezwano się na to kilka głosów odrazu, — ksiądz biskup ma słuszość zupełną! Nie można szlachetnością unosić się tam, gdzie chodzi o całość i czystość sprawy publicznej.

— I ja tak sądzę, — rzekł na to biskup, — że mam w tem słuszość; dlatego zapytuję waszmość panów ogólnie, czy Bierzyński wedle waszego rozumienia jest winnym, czy nie?

— Winny, winny, bez żadnej kwestyi! — odpowiadali panowie radni koleją, udzielając przy tem różnych uwag szczególnych.

Ale pośród tego przedwstępного głosowania przyszła kolej na księcia. Księżę Radziwiłł, jak to wiadomo powszechnie, był nie bardzo wymownym, a kiedy się z czem



odezwał, to zazwyczaj przybierał ton żartobliwy, mówił nawet częstokroć rzeczy takie, które miały pozory tylko dowcipnych niedorzeczności. Pomimo to jednak, i któż tego nie wie? był to człowiek nie tylko prawdziwego, ale nawet bardzo bystrego pojęcia i nie rzadko mu się to wydarzało, że uchwyceniem prawdy, osobliwie też w kwestiach ważnych, uprzedzał wielu innych, niezawodnie i wykształconszych i wymowniejszych. Książę Radziwiłł tedy, kiedy kolej przyszła na niego, zabrał głos i tak mówił:

— Mówią inni, panie kochanku, to i ja też co powiem. Powiada książę Kamieniecki, że pan podczaszy tylko szlachetnością się uniósł stając w Bierzyńskiego obronie. A ja powiadam, panie kochanku, że pan Potocki nie tylko to przez szlachetność uczynił, ale też i przez mądrość. Bo Bierzyński był niegdyś sługą i przyjacielem Potockich a Potoccy zawsze tych bronią duszą i ciałem, którzy byli ich przyjaciółmi i nadal. Dlatego też, panie kochanku, Potoccy mają zawsze przyjaciół. I Radziwiłłowie tak robią, bo też i Radziwiłłowie mają przyjaciół. I konfederacya, panie kochanku, żeby tak robiła, miałaby także przyjaciół. — Otóż ja tak rozumiem, że zamiast sądzić Bierzyńskiego za to, że się trochę dla konfederacyi oziębził lepiejby zrobić co takiego, czemby go ogrzać a do niej nazad przywiązać. A to, panie kochanku, wartoby na tem dosyć mądrze pomyśleć, bo z Bierzyńskim osądzonym osądzi się zaraz cztery tysiące ludzi, a z Bierzyńskim przywiązanym tyle się ludzi przywiąże.

Była to uwaga rzeczywiście bardzo rozsądna. Ale zgromadzenie radne było w tej chwili zanadto przeciw Bierzyńskiemu wzburzone, aby mogło się zgodzić na taką oględność. — Zgromadzeniu temu zresztą daleko więcej chodziło o czystość sprawy konfederacyi, niżeli o chwilowe korzyści lub straty. A kiedy jeszcze nakoniec zrobiono księciu i ten zarzut, że ci ludzie nie mogą być nawet w najgorszym razie dla konfederacyi straceni, bo jako już nawykli do wojny i zresztą jako konfederaci nie będą mieli innej drogi przed sobą, jak tylko zaraz się do którego innego dowódcy przyłączyć: moją księcia całkowicie

upadła i zaczęto to znowu powtarzać, że Bierzyński jest winien i nawet winien tak bardzo, że sądząc go, nie można się na nie oglądać.

Tu wszakże zabrał znowu głos książę i tak mówił:

— I ja powiadam, panie kochanku, że winien i daleko lepiejby było pozbyć się niepotrzebnego subiektum, niżeli się dopraszać o jego przyjaźń. Ale żebyto, panie kochanku, nie zaśmiał się kto z naszego sądu! Bo jakże tu nam sądzić człowieka, którego pilnują cztery tysiące ludzi, kiedy panie kochanku, przed naszymi domami tylko sukienniki trzymają szyldwach?... Ale kiedy sądzić, to sądzić. — Panie Bohusz! pisz tedy waśś dekret, mocą którego Jmć pan Bierzyński ma być rozstrzelany, — ale ponieważ delikwenta powinien nam dostarczyć Jmć Dzierżanowski jako delator, a możemy to wiedzieć z góry, że nam go nie dostarczy, tedy bierzmy tego, którego mamy, i rozstrzelajmy tymczasem Jmć delatora.

Na tę satyryczną uwagę kilku panów obradujących się uśmiechnęło, a jeden z nich nawet głośno powiedział:

— Możeby i to prężej pomogło, niż zaszkodziło!

Widać więc, że i Dzierżanowskiego tam już cokolwiek znano i była o nim nienajlepsza opinia. Ale pomiędzy opinią o Dzierżanowskim a Bierzyńskim, a mówiąc właściwiej, pomiędzy uczynkami, do jakich zdolność każdemu z nich imputowano, była wielka różnica. — Dzierżanowskiego bowiem znano tylko prostym awanturnikiem, człowiekiem wielkiej lekkomyślności i można nawet takim, który w rzeczach prywatnych mógłby się czasem dopuścić nawet i wątpliwych postępów, bo był mściwym, gwałtownym i w pierwszym impiecie zdecydowanym na wszystko; lecz przy tem wszystkim Dzierżanowski był znów za nadto ekscentrycznym, zanadto miał w sobie przymiotów dawnej rycerskości, zanadto wreszcie mało dbał zawsze o swoje materialne korzyści, ażeby mu można było imputować jakiegokolwiek wątpliwe uczynki względem konfederacyi. Czy takie rozumienie charakteru Dzierżanowskiego było logiczne, czy było nawet prawdziwe, o to tutaj nie chodzi; chcemy bowiem tylko powiedzieć, że taka była o nim cała jeneralności opinia. Opinia zaś o Bierzyńskim była wcale prze-



ciwną. Wiedzano tu bowiem o nim aż nadto dobrze, że jego życie było bez zarzutu dotychczas, że był to człowiek pełen zdolności, rozumu, odwagi, determinacji, ale niestety! wiadano także, że ma zanadto wiele rozwagi, niżeli na podrzędnego członka tej sprawy potrzeba, że ma przytłumionie wiele ambicji, że jest oględnym na los swej własnej osoby i że luboby się nie mógł może dopuścić żadnej płaskiej podłości, w danym jednak razie mógłby być zdolnym takiego czynu, któryby pozostawił w konfederacji daleko ważniejsze po sobie skutki, niżeli drobne nadużycia dziesięciu takich awanturników jak Dzierżanowski. — A kiedy taka o Bierzyńskim opinia była tak ugruntowaną powszechnie, że oprócz jednego podczaszego każdy ją miał w swoim sumieniu, nie wahano się wcale nie mieć żadnego względu na uwagi książęce, tylko przystąpiono natychmiast do naradzenia się nad tem, co należy uczynić z Bierzyńskim?

Wszczęła się tedy długa i bardzo ożywiona dyskusja, której nie potrzebujemy w całości powtarzać; bo chociaż niemal każdy zapatrywał się na tę sprawę z odmiennego cokolwiek co do szczegółów stanowiska od innych, w gruncie rzeczy jednak wszyscy zgadzali się na to: że Bierzyńskiego trzeba koniecznie wyrzucić z tej niepodległej pozycji, w jakiej się teraz znajduje, nie zważając wcale na środki, jakimi się ta konieczność doprowadzi do skutku.

Prezylujący Biskup słuchał tej długiej dyskusji z natężoną uwagą i zapewne przez skrupulatną sumiennosc sam wcale się nie odzywał, ani prostując zdań mylnych, ani utwierdzając swoją powagą prawdziwych. Lecz kiedy z koncem dyskusji wyrozumił dowodnie, jak dalece jest zgodną opinia obradujących, uderzył w dzwonek i zakończył tę sprawę w ten sens:

Mości panowie! Kiedy jak widzę taka *unanimitas* jest w materji głównej, sądzę że nie potrzebujemy już długo zabawiać się nad szczegółami, bo też na nich nie należy. Rozumiem także, że i nad środkami najstosowniejszymi w tym razie niema co tracić czasu napróżno, bo zapewne nie wymyślimy nic lepszego jak to, co nam się samo z sie-

bie nadarza. Ja tedy czynię wniosek następujący. Nie będziemy ogłaszać Bierzyńskiego zdrajcą publicznie, bo byłoby to z naszej strony niepolitycznie, gdybyśmy odsłaniali nasze słabe strony przed naszymi nieprzyjaciółmi. Nie będziemy nawet wydawać na niego żadnego wyroku, bo wychodząc z zasady: *audiatur et altera pars*, chcemy i jego wysłuchać. Ale ponieważ żadną miarą nie możemy znieść tego, ażeby człowiek, tak dalece już podejrzany, pozostawał na stanowisku tak ważnem i niepodległem, nie usprawiedliwiwszy się pierwaj przed nami z swoich dotychczasowych uczynków; stanowimy niniejszem: *Primo*, ażeby temuż panu Bierzyńskiemu został natychmiast wydany rozkaz wydania wszystkich wojsk swoich pod dowództwo pana Józefa Zaremby, a *secundo* wydajemy mu pozew, ażeby się osobiście stawil przed jeneralnosc zebrałą w Białej i ten pozew posylamy mu przez Jmę pana Michala Dzierżanowskiego, któremu na to wydajemy osobną instrukcję.

Lubo ten wniosek nie był ze wszystkich najlepszym, jakie można było uczynić w tym razie, został on jednoglosnie i to przez aklamacyę przyjętym, — co widząc ksiądz Kamieniecki, zatarł ręce i rzekł:

— Usunęliśmy teraz może największe niebezpieczeństwo dla naszej sprawy. Panie Bohusz! pisz waszmość instrukcję.

## II.

Tak opowiedziawszy zdarzenie, które nietylko nam objaśniło rzeczywisty stosunek Bierzyńskiego do jeneralnosci, ale zarazem po służy ku wyjaśnieniu dalszych wypadków, powróćmy znowu do obozu konfederacji sieradzkiej, którąśmy porzucili w dzień wizyty Wessla, dzień odejścia Lenartowicza, dzień rozstrzelania jednego konfederata, dzień Bierzyńskiego zwycięstwa nad nieprzyjacielskim podjazdem, a zarazem dzień owej burzy deszczowej, z której konfederaci wróżyli długotrwałą ulewę. Był to dzień zaprawdę zanadto bogaty w wypadki, abyśmy go mogli tak łatwo zapomnieć; jakoż wspominamy tu o nim dlatego tylko, aby powiedzieć, że przepowiednia konfederatów się rzeczy-



wiecie sprawdziła i od dnia tego poczęły się takie ulewne słoty, że powylewały rowy i pomniejsze potoki, powzbierały rzeki, pełne wód stały łąki i pola a cały obóz leżał jak gdyby w błocie. Obudzony przez Lenartowicza ze swego uśpienia Bierzyński, miał może w pierwszym momencie istotnie to przekonanie, że trza się nareszcie wziąć już na serjo do dalszych czynności, — ale teraz już mu do tego stanęły na drodze słoty. A lubo i słoty nie są to jeszcze takie przeszkody, któreby nie potrafiła przezwyciężyć prawdziwa energia, to znów nie było nikogo, kto by tę energię rozgrzał na nowo podczas tej słoty, nie było już teraz Lenartowicza. Tak więc obóz leżał jeszcze ciągle na jednym miejscu — a chociaż już zaraz w dniach pierwszych dla utrudnionych dowozów zaczęło brakować po trochu żywności, chociaż się tu i owdzie zaczęły jawić choroby i śmierć sięgała po swe ofiary tak między konie jak też i ludzi, — jednak w oczekiwaniu pogody i słońca, pocieszali się wszyscy jak mogli: Bierzyński w zamku, konfederackie ubóstwo w swoich barakach i budach, a starszyzna i zamożniejsi to po sąsiedztwach, to w murowanej gospodzie.

Gospoda ta a po prostu karczma zwyczajna stała pod samym obozem, niedaleko przeprawy przez Wartę. Karcznię tę znamy już dawniej, a przynajmniej widzieliśmy ją zdaleka natenczas, kiedy z niej wracał stary Barnaba, tak przeciw swemu zwyczajowi pijany i tak śpiewający. Owóż ta karczma było to duże, murowane domostwo, utrzymywane niegdyś w takim porządku, jaki naówczas rzadko kiedy zdarzało się widzieć po karczmach. Był tu bowiem i zajazd wygodny i świetlica obszerna z chórkami dla muzykantów i nawet parę pokoików dla gości, — jakoś nie bez słusznego powodu Marta kowalka, (jeżeliśmy jeszcze nie zapomnieli taką drobnostkę), obaczywszy niegdyś Dzierżanowskiego, czekającego na odpowiedź księcia Marcina koło lasku brzozowego przy drodze, nie mogła mu się dosyć nadziwić, dlaczego czeka pod gołym niebem, mając niedaleko karcznię tak wygodną? — Ale z początkiem konfederacyi wpadły tu jakieś wojska, prawdopodobnie gwałtownego Wścieklicy i zniszczyły tę karcznię zupełnie.

Powywalano drzwi, okna, porozwalano kominy i piece i poniszczono wszystko, co znaleziono w jej wnętrzu — a kiedy stary propinator, mąż bardzo poważny i podrabinek w pobliskim miasteczku, przestraszony takim wypadkiem, podziękował za propinację i wyniósł się stąd na zawsze, — to karczma ta została pustką i zaczęła się już pomalu zamieniać w ruinę.

Ale jak dzisiaj nie braknie, tak i naówczas w Polsce nie brakło na owych osobliwszego rodzaju żydkach, którzy jeżeli widzą sposobność podwojenia swojej fortuny, nie wahają się wcale w takim wypadku hazardować nie tylko całkowite swe mienie, ale nawet własne swe zdrowie, czasem nawet i życie. Jeżeli im się taki hazard szczęśliwie uda, to próbują go po raz drugi i trzeci i piąty, bo łakomstwo pieniędzy jest bez pamięci, a oswojenie się z niebezpieczeństwem, chociaż może najtrudniejsze w tym razie, jednak zawsze mniej trudne, niż oparcie się owej żądzy łakomstwa; ale jeżeli z tej strony trza im przyznać osobliwsze przymioty, to nie można im także odmówić, że w przeciwnym przypadku umieją znieść mężnie przegraną i nie tracąc czasu na próżne lamente, zacząć bieg swój do tego samego celu na nowo. Wspomniawszy o tej metodzie postępowania żydów, trudno sobie odmówić uwagi: iż gdyby wszyscy ludzie mieli tyle wytrwałości i rezygnacyi w poobieranych przez się zawodach, mieszkalibyśmy dzisiaj w zupełnie innym świecie. Ale takie wyłączenie i osobliwe przymioty rozwijają się tylko w społeczeństwach upadłych, które straciwszy możność rozstrzelania sił swoich na różne dziś już pozamykane przed niemi drogi, znalazły się w konieczności zespolenia wszystkich tylko ku jednemu celowi. Jest to pod pewnym względem rodzaj wynagrodzenia, które takie społeczeństwa otrzymują od Boga za poniesione straty; — wynagrodzenie to jest zaprawdę tak małe, że możnaby je nazwać tylko uśmiechem nieszczęścia; — ale i ono może przynieść znamienite pożytki.

Wróćmy wszakże do karczmy. Owóż do tej karczemnej ruiny trafił się także jako pretendent takiego rodzaju żydek. Karczma ta teraz obiecywała znamienite korzyści,



bo kiedy dawniej płacono z niej kilka tysięcy, teraz ją można było dostać za bezcen. Żydek ten też ją dostał za bezcen i uzbroiwszy się w należyłą odwagę a podobno raczej w wszelką możliwą przebiegłość, osiadł na niej. Był to żydek maleńki, kosonogi i przytem zawsze naprzód schylony. Twarz miał do zadziwienia maciutką, pełną złotawych piegów, ale na tej twarzy miał nos tak szpiczasty i długi, oczy tak błyszczące i żywe i koło ust taki uśmiech wesół, że ta twarz, lubo taka maleńka, jaśniała jednak uderzającym wyrazem sprytu i przebiegłości. Chodził on zresztą około siebie dosyć porządnie i schludnie, nosił krótki zielony kaftan w domu, a jedwabny żupan za domem i nawet zaczesywał swoją rudawą bródkę, która była tak szpiczasta i ciekawie naprzód wyglądająca, jak gdyby była sztucznie przykrojona do formy nosa. Ten żydek tedy, kiedy osiadł na tej karczynie, prowadził zrazu swoje rzemiosło bardzo zwyczajnie, — siedział w nieopatrzonej ruinie, sprzedawał lichą gorzałkę za dobrą cenę, rozpajał chłopów wszelkimi możliwymi sposoby, a pijanych obdzierał. — Ale od czasu jak się tuż prawie przy samej karczynie rozłożył obóz konfederacki, a przez to się otworzyła sposobność do nowych i znamienitych zysków, zmienił on swoje dotychczasowe postępowanie. Nie wyrestaurował wprawdzie karczmy zupełnie, ale przecież znaczne poczynił w nią wkłady. Odnowił bowiem i oporządził świetlicę, posprawił do niej nowe stoły i ławy, zaopatrzył ją w osobne stoliki i stołki, lecz co ważniejsza postarał się o wszystkie znane gatunki ciepłych i zimnych napojów, a znajdując odbył coraz liczniejszy, doprowadził nareszcie do tego, że zakupywał w pobliskich miasteczkach całe piwnice i miewał nietylko wina wcale wyborne, ale nawet i droższe od nich petereymenty i sekty, jakie to lubią żołnierze. Oprócz tego nie zapomniął także o rzeczach innych, które mogły przywabiać gości, miał więc u siebie kości i karty, różne drobnotkowe towary; a nadewszystko starał się o wiadomości najświeższe z całego świata, zastępując niemi nieupowszechnione jeszcze naówczas dzienniki.

Takie staranne zabiegi zostały nagrodzone bardzo po-

myślnym skutkiem, karczma ta bowiem nietylko była zawsze pełna konfederatów, nietylko często nawiedzana przez szlachtę sąsiednią, ale nawet i sam arendarz pozyskał sobie taką miłość powszechną, jakiej tylko sam sobie mógł życzyć. Wysługiwał też on się wszystkim we wszystkie możliwe sposoby, z każdym ze starszyny miał jakieś interesu osobne, znał po imieniu wszystkich żołnierzy i miał często jakieś tajemne rozmowy z samym nawet marszałkiem. Stąd powiadano o nim, jakoby był szpiegiem Bierzyńskiego, nie wewnątrz, ale zewnątrz obozu i że to z jednej strony przez niego, a z drugiej przez Martę kowalkę, Bierzyński wiedział tak dokładnie o wszystkich poruszeniach nieprzyjacielskich, że mu się tak na pewno udawały jego wszystkie wycieczki. Jeśli tak było, to z Bierzyńskiego strony bardzo rozumnie; ale byłoby jeszcze daleko rozumniej, gdyby go był także uczynił szpiegiem i wewnątrz obozu.

Owóż tedy dziś był to już wieczór zupełnie ciemny. Na dworze szumiała nieuskromiona burza, gęsta flaga deszczowa uderzała raz po raz o szyby, w kominie i piecu jęczały wichry jakby dusze czyściec — a w tej gospodzie była zgromadzona konfederatów i starszych i poślednich pełna prawie świetlica. Nie zachowywano w kofederacyi tak ścisłego wojskowego rygoru, a już osobiście za służbą żyli starsi i młodszy w szczerem ze sobą braterstwie. Jedni więc siedząc przy niskich stołach albo i stołkach grali w kości i karty; drudzy, obstałwszy grających, dawali im swoje rady, za które potem, jeżeli były dobre, spełniali pełne szklenice miodu; inni ramie w ramie ze sobą przechodzili się środkiem szynkowni susząc znowu kurty na wietrze; — zaś kilkunastu starszych konfederackich, pomiędzy którymi Jmć pan Zembrzusi oboźny i Smolecki obozowy obroczy, siedzieli za wielkim stołem — a Jmć pan wojski sieradzki, który przywiozłszy do obozu swoją zwykłą dostawę schronił się był przed ulewą do karczmy, bardzo gwarną miał z nimi rozmowę. Konfederaci społem, jednego tylko oboźnego wyjąwszy, gardłowali dziś jeszcze daleko zawzięciej niż zwykle, i już wcale otwarcie przeciwko tak długiej bezczynności marszałka, — wojski, ile miał siły, stawał w Bie-



rzyńskiego obronie, — co wszakże wcale nie przekonywało nikogo, owszem nawet jeszcze bardziej jątrzyło, tak że aż jeden z oficerów pieszych zerwał się ze swego miejsca, mówiąc z niecierpliwością:

— A co mi waść, panie wojski, mówisz takie rzeczy! Waść ani żołnierz, ani też konfederat, wojskowym praktykom nie rozumiesz, a tak sądzisz, jak gdybyś był najmniejszemu hetmanem! My, jeśli występujemy przeciwko marszałkowi, to wiemy czemu, a na to co mu zarzucamy, mamy takie dowody, że ich waść swoją łaciną pewno nie obalisz!

— Dowody!? — zawołał wojski na to, zrywając się równie ze stolika, — a gdzież waść masz na to dowody, że się pan Bierzynski porozumiewa z Warszawą? he?... Jeśli są jakie, to proszę o nie, a wtedy nie tylko ja, ale i sam kasztelan i całe województwo przeciwko niemu wystąpi, i skarzę zdrajcę, jak przynależy. Ale pomnij waść na to, że kiedy dowodów nie będzie, to będzie źle zasie z kim innym, bo to nie rzecz jest, takie skargi podnosić, jeszcze do tego w obozie.

— O! dalbyś sobie pokój! — rzekł na to Jmé pan Smolecki, z uśmiechem pół-litościwym a pół-ironicznym, — bo się waść burzysz a bez potrzeby. Co tam marszałek myśli, czy około Warszawy, czy około waszego zamku, czyli gdzie indziej, to już dzisiaj na jedno; bo ażeby jego postępowanie osądzić, dosyć spojrzeć na obóz. Przyprowadził tu blisko czterech tysięcy ludzi, wyéwiczonych i zaprawionych tak dobrze, że choćby nimi i na świat cały uderzyć. Od Śgo Jana do dzisiaj mógłby być całą Wielką Polskę mieć w swoim ręku, a kto wie nawet, co by się było stało z Krakowem? A on tymczasem jak się tutaj położył, tak i skisł tutaj; rozleniwilo się wojsko, porozpijało, inni się nawet porozbiegali, aby już nigdy nie wrócić. Teraz już i głód zaczyna do obozu zaglądać, padają konie, leżą także i ludzie i już ledwie nie codziennie wynosimy kości na cmentarz. Czy potrzeba tu więcej? A potem, czy to darmo odszedł Jmé Lenartowicz, który był prawie gwiazdą obozu? A trza to było rozstrzelać biednego żołnierza, aby posiać grozę dokoła i na tej grozie siedzieć znowu

kilka tygodni? czy to my tego nie wiemy? Dalbyś więc sobie jegomość pokój, mój panie wojski, bo już to próżne twoje gadanie.

— Może też to, — rzekł na to wojski łagodniej, — co waszmość mówisz, nie jest nigdy bez racji; ale i to trzeba także powiedzieć, że jeszcze od stworzenia świata nie było takiego obozu, w którymby koń który nie padł, albo i człek który nie umarł. Co zaś do tego długiego leczenia na jednym miejscu, toć to także nie każdemu wiedzieć, dlaczego się to dzieje; ale nie zaraz przeto upatrywać w tem zdradę, bo wodzowie wojsk mają też różne plany, które zwykle o tyle lepsze, o ile w większym chowane sekrecie.

— Bodajby Bóg bronił każde wojsko od takich planów! — zawołał na to Jmé Pan Smolecki i chciał dalej coś mówić... kiedy wtem dało się słyszeć takie gwałtowne kołatanie do bramy i taki hałas rozgłosny pod oknem, jakby kto na karczmę napadał.

Na ten hałas wszysej umilkli, słuchając i patrząc, co by to było? — ale tymczasem otworzono bramę i było widać przez drzwi otworzone do sieni, jak się przez też otwartą bramę waliło kilkunastu konnego żołnierstwa, zalewając całą sieni strumieniami wody ściekającej z ich wojłoków i sukien, i klnąc co się tylko im mogło pomieścić w ustach. — A kiedy te przekleństwa w sieni zaczęły się mieszać z nowymi rumorami przy żłobach stajennych, przez drzwi na ścieżaj otwarte, wszedł do świetlicy mąż bardzo słusznego wzrostu, który płaszcz ciekący zrzucając z siebie, zamiast powitania:

— Bodajby piorun zabił kraj taki! — zawołał głosem potężnym, — gdzie człowiek moknie od tygodnia do nitki, ziębnie śród lata jak w zimie i jeszcze mu bramy nie otwierają w ten moment!... Żydzie! a co tam masz w twojej piwnicy?

— Wszystko jest, jasnie panie! — odpowiedział usłużny arendarz, przyskakując do niego ze świecą w ręku i kłaniając mu się czapeczką, — wszystkie wina i miody, są też także i sekty...

— Są też i sekty! to mi daj sektu butelkę — zawołał na to podróżny, — człekby i wrzącej wody się napił po takiej przeklętej podróży!



To rzekłszy spojrział wzrokiem wyniosłym i cokolwiek pochmurnym dokoła i do próżnego stolika przystąpił, gładząc się obydwoma rękami po piersiach i biodrach i wy-ciskając tym sposobem wodę ze sukien. Przytomni temu mieli czas mu się przypatrzeć. Jakoż było co widzieć: był to bowiem mąż wysoki jak sosna, a chudy jak szczypta, twarz miał ospowatą i ogorzałą, oczy czarne jak węgle, wąsy tak samo czarne, wykręcone do góry i bródkę długą szpiczastą. Był też ubrany wcale niezwykajnie, miał bowiem na głowie kapelusz z szeroką kanią i z trzema piórami, które zmokłe zwiesiły się na dół, na sobie miał kaftan żółtawego koloru z granatowymi wyłogami i buty wielkie szare z cholewami powyżej kolan i ogromnemi ostrogami. Za pasem miał parę pistoletów i nóż z rękojeścią z słonio-wej kości, jeden pojedynczy pistolet zawieszony na osobnym rzemieniu, a niesłychanej długości koncerz, jaki hus-sarze zwykli byli wiązać do siodła i używali oburącz, on miał jak szablę przypięty do boku.

Obaczywszy tego człowieka konfederaci, siedzący za za wielkim stołem, jakoż i ci, którzy byli rozpróśnieni po całej szynkowni, zaczęli dziwnemi oczyma spoglądać, to po sobie, to po nim; niektórzy nawet, pomimo to, że i on także ciekawie spoglądał po nich, szeptali sobie coś wzajemnie do ucha, dając sobie do zrozumienia, co to za osobliwa figura: sam wojski tylko spojrział raz i drugi na niego, głowę opuścił ku ziemi i czegoś się mocno zamyślił.

Tymczasem żyd przyniósł butelkę sektu, otworzył ją w oka mgnieniu i nalawszy szklanice, przysunął ją rycerzowi, mówiąc z pochlebstwem:

— Jaśnie panie! sekt prawdziwy hiszpański com go kupił po panu Dąbskim, wojewodzie sieradzkim, który zmarł temu półtora roku.

Gość popatrzył pochmurnie na żyda, wziął szklanekę do rąk i do ust ją przytknął; ale ledwie co podniebieniem skosztował napoju, rzucił szklanekę na ziemię tak silnie, że się rozbryzgnęła w najdrobniejsze kawałki i krzyknął na żyda:

— A to co za trucizna!? toż to jest sekt hiszpański u ciebie? bodaj cię piorun zabił, hultaju! Całą Hiszpanię

przedeptałem stopa za stopą, hetmaniłem w Indyach hiszpańskich i po wszystkich insułach, piłem wszystkie paskustwa, jakim się tam ludzie podają z potrzeby, ale o takiej truciznie jako żyw nie słyszałem! I ty to śmiesz sprzedawać za specyał hiszpański? Precz mi z oczu hultaju, bo cię tu rozsiekam w kawałki!

To mówiąc w wielkim gniewie i uniesieniu, porwał za koncerz; żyd struchlał i skamieniał na miejscu, bo zgięty we dwoje i trzymający czapeczkę w ręku, wyglądał rzeczywście jak nieruchoma figura.

— No czegoż stoisz?! — krzyknął znowu gość niecierpliwy, — ruszaj i przynos mi co innego!

— Już sam nie wiem, czem jaśnie panu mam służyć, — rzekł żyd, trzęsąc się i obiegając świetlicę wystraszonemi oczyma, — chybaby wina korzennego? albo może starego miodu?

— To daj mi miodu! — zawołał rycerz hiszpański, — prędzej miód będzie dobry w tej lododowatej krainie, niżeli wino, które wszyscy tu fabrykujecie.

Żyd pobiegł czempędzej po miód, a rycerz tymczasem siadł na stolku przygotowanym dla siebie i popatrzwszy kilka razy na gości, siedzących za wielkim stołem, spytał głosem łagodniejszym cokolwiek:

— Waszmość panowie konfederaci?

— Nie trudno to poznać po mundurach, — odpowiedział z nich jeden.

— A! toć to widzę, — rzekł rycerz, — a to pewnie z partyi Jmć pana Bierzyńskiego?

— I to trudno zataić, — odpowiedział ten sam konfederat.

— A na co to taić! — zawołał rycerz, — przecie pan Bierzyński nie małą sławą się okrył dotychczas, która, jak słusznie, w części się też i jego żołnierzom należy.

— Może w części, a może też i więcej, bo i to bywa! — zauważał na to jakiś młodzieniec.

— O! co bywa, to bywa! — rzekł na to rycerz, — a ja tak mówię, że sława wojenna zawsze się w całości żołnierzom należy, chociaż z niej zwykle korzystają li sami wodzowie.

— Z naszej sławy i my też korzystamy cokolwiek — zauważał Jmć pan oboczny z ironią — bo choć nam za-

czyzna zbywać to na tem, to na owem, jednak przynajmniej się wyspoczywamy do syta...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to podróżny, wychylając odrazu całą szklenicę przyniesionego dopiero miodu — już to na trudy wojenne skarżyć się nie możecie! Powiadano mi w drodze, że już pięć tygodni tutaj leżycie nad Wartą. Ale to nie trza tego sądzić porywezo, bo kto wie jakie w tem mogą być plany!

To rzekłszy, pił znowu, ale ponad szklanką dziwnie ciekawie na wszystkich spoglądał.

— Bodajby jeno żadnych nie było! — zawołał na to Smolecki.

— Jak to waszmość rozumiesz? — zapytał obcy, przysuwając się z stolkiem swoim do wielkiego stołu i wpatrując się ciekawemi oczyma w mówiącego — jak to waszmość rozumiesz? boć to wiele mówią po kraju o różnych planach tajemnych waszego marszałka... aleć to takie rzeczy, że trudno je zrozumieć.

Lubo zniechęceni do swego wodza konfederacji, wielką mieli ochotę mówić, wszyscy jednak milczeli, spoglądając tylko po sobie, co widząc Jmć panowie Zembrzusi i wojski, oba starce poważni, powstałi z miejsc swych, dając tym sposobem do zrozumienia, że to nie dla nich rozmowa.

Tymczasem obcy ponowił jeszcze raz swoje pytanie, a widząc, że mu nikt odpowiedzi nie daje, stanął w wyniosłej postawie i rzekł:

— Nie dziwię się temu, że mi waszmość odpowiadać nie chcecie, bo mnie nie znacie i nie wiecie kto jestem...

Lecz na to wojski, wśród powszechnego milczenia, przystąpił krokiem poważnym do niego, położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

A dlaczegóżbyśmy waści nie znali? wać jesteś Dzierżanowski. Jeszcześmy cię nie zapomnieli w Sieradzkim.

Na te słowa niespodziewane rycerz podróżny zastanowił się chwilę i zdawało się, jakby był pomieszany cokolwiek — a kiedy chciał odpowiedzieć, wojski już był plecyma obrócony do niego i zmierzał ku drzwiom.

Wszakże w tej samej chwili Smolecki się zerwał z za stoła i przyskoczywszy ku rycerzowi, zawołał:

— Byćże to może! a gdzie też ja oczy miałem? tożto doprawdy pan Dzierżanowski!

— A jużciż ja — odpowiedział tamten — czy mnie waś znalazł już dawniej?

— Hej! dobrodzieju! — zawołał Smolecki, anoz to pamięć masz krótką! Czy to już nie pamiętasz sądów gostyńskich? a któż to pierwszy się tam zerwał z za stoła, aby stanąć po twojej stronie? he?

— No! zawołał Dzierżanowski z kolei, porywając intendenta obozowego za rękę — toż już doprawdy moja pamięć i grosza nie warta! Ale panie bracie! nie bierzże mi tego za złe w twem sercu, bo to od tego czasu niemało biedy się przeszło, niemało też twarzy ludzkich się przesunęło przed oczy!

— Niechże Bóg broni, panie mój drogi! — rzekł na to prędko Smolecki — żebym miał za złe brać jegomości! A czyżto takim ludziom jak nasz pan Michał, już konieczne pamiętać o każdym zagonowym szlachcicu, który go raz w życiu napotkał?... Ale powiedźże mi jegomości, cóż tutaj robisz? skąd jedziesz? dokąd pan Bóg prowadzi? bom to tego wszystkiego niezmiernie ciekawy... Chryście Panie! tożecie to musieli przez ten czas naprzeczodzić rozmaitych kolei!

— O! co się przeszło, to przeszło! — rzekł Dzierżanowski — a zapewne jeszcze się niemało przejdzie; ale dziękować Bogu, jakoś przeto fantazyja nie słabnie i nie zesłabnie póki szablisko przy boku!

— O! już co o tem, to niema co i wspominać! Trzebaby chyba nigdy waszego imienia nie słyszeć, żeby myśleć inaczej. Jakoż tak mówię, żeby wcale inną postać miałyby nasza konfederacyja, gdyby jej wszystkie oddziały tacy wodzili ludzie. Ale to na nieszczęście różna jest u żołnierzy waleczność, różna też u dowódców fantazyja; o czem też może także się co pogada... No więc skądżeż to teraz Pan Bóg prowadzi?

— Teraz — rzekł Dzierżanowski — wraca się z Białą



łej, dokąd konwojowałem naszego kochanego pana Michała na zjazd jeneralny...

— Więc tedy zjazd ten taki zebrał się rzeczywiście?

— Zebrał się jak najpiękniej i sessjonuje już od dni kilkunastu...

— A jegomoście nie dotrwałeś do końca?

— Co było ważniejszego, w tem wziąłem udział, ale trudno mi było trawić czas taki drogi nad bibułami. Nie moja to rzecz te tam rady za stołem, zwłaszcza kiedy ważniejsze rzeczy są do czynienia. Zabrałem tedy moją garstkę ludzi i wyruszyłem nazad do kraju, gdzie da Bóg będzie się trochę pożyteczniejszym niżeli w Białej za stołem.

— Dobrześ jegomość zrobił! Co tam te polityki wszystkie! to jeno strata czasu i prawdy mówię, tumany. A na co nam polityki? czy to nie wiemy, cośmy robić powinni? Szablę do ręki, Pana Boga na pomoc, a bić co się zdarzy, to jest najlepsza polityka w każdej konfederacyi. Żeby ją jeno wszystkie mieli w swem sercu!... Cóż tedy jegomość myślisz? dokądże zmierzasz?

— Dokąd? na wielką drogę, panie bracie, na wielką drogę, do konfederacyi, do Polski, gdzie też chwała Bogu już jestem. Mam ze sobą moich kilkunastu ludzi, a więcej mi nie trza. Wojowało się już nieraz i mniejszymi siłami, a przecie się tłuło i całe plutony. A zresztą jest dziś kilkunastu, będzie jutro kilkudziesięciu, może tedy być w czasie parę set albo i więcej. Więc idę sobie ot! gdzie mnie oczy poniosą: gdzie się zdarzy okazya, to się pobiję, gdzie trudno pobić, to choć postraszę, gdzie nasi słabi, to ich wzmocnię, gdzie którzy ziębną, to ich zagrzęję — i owóż rzecz.

— Ej! panie drogi — zawołał na to obrocny — miałbyś przed Panem Bogiem wielką zasługę, gdybyś też i u nas trochę w piecu zapalił, bo już zaczynamy ziębnąć zupełnie...

— A jako ziębnąć? przecie wasz marszałek, jak słyszę, to człowiek gorący...

— Było to, było — mówił Smolecki — ale...

— Jakże więc jest? — zapytał Dzierżanowski i wziął

wszy Smoleckiego pod ramię, zaczął z nim chodzić wzdłuż i na poprzek szynkowni, rozmawiając żywo i z wielkiem zajęciem.

Rozmowa ta trwała, jak to naówczas mówiono, kilka dobrych paćerzy — poczem Dzierżanowski razem z Smoleckim przystąpili do tego stołu, przy którym siedziała konfederacka starszyzna, a kazawszy nanosić wina, miodu i innych napojów, zasiedli z nimi do długiej gawędy. Dzierżanowskiego ludzie, którym przywodził znany nam już Biesiekierski, pomieszałi się już z resztą konfederatów, którzy byli w szynkowni — i tak ta wspólna biesiada, rozweselona sporymi kielichy, a ubarwiona opowiadaniem, to wzajemnych czynów, to doznanych zawodów, to wreszcie wspólnych nadziei, przeciągnęła się późno w noc; poczem konfederaci zabrali Dzierżanowskiego i jego ludzi i zanieśli ich prawie na rękach do swego obozu.

Nazajutrz rano, po długotrwałych ulewach i ślotach, pokazało się jasno słońce na niebie bez żadnej chmurki. Zasypana niegdyś pyłami i wysuszona skwarem ziemia wyszła z mgieł dżdżystych obmyta i piękna jak dziewica z kąpeli, przypalone pastwiska i łąki okryły się jakby nowym kobiercem, powiędłe krzewy i kwiaty popodnosiły swoje ramiona i głowy i głośnym śpiewem zbudzonych ptasząt zaszumią na nowo oniemiałe powietrze — tylko gościńce i drogi błyszczały jeszcze mokrem błotem do słońca i wezbrana brudnemi falami Warta świadczyła o minionych ulewach.

Młody marszałek, obudziwszy się ze snu, odetchnął świeżem i pogodnem powietrzem, zerwał się spiesźnie ubierać. Pogoda była hasłem dla niego do nowych czynności, dla których teraz już i przed sobą samym nie miał żadnej wymówki. Uczucie to mimowoli musiało się w jego sercu odezwać, i stał zapewne ten pośpiech. Wszakże ledwie się ubrał w połowie, kiedy oficer dyżurny wszedł do namiotu i przyniósł wiadomość: że Jmć pan Michał Dzierżanowski do obozu przyjechał i prosi, ażeby się mógł panu marszałkowi pokłonić.

— Dzierżanowski tu u mnie? — zapytał Bierzyński

z zdziwieniem, chmurząc się przy tem jak gdyby gniewem — a czegoż chce ten jegomość?

— Nie powiadał nikomu, z jaką sprawą przyjeżdża — odpowiedział porucznik — jeno prosi o posłuchanie.

— Jakże? sam jest, czy z ludźmi? z depeszą? czy z gębą?

— Ma koło siebie dwunastu konnych, ale czy ma depesze, czy nie ma, to nie wiadomo. Przyjechał wczoraj wieczór i stanął w gospodzie, ale Jmę panowie oficerowie, którzy się tam zabawiali, wprowadzili go do obozu i ulokowali u siebie.

— Jakto? do obozu go wprowadzili bez mojej wiedzy? któż go wprowadził? gadać mi waść zaraz, kto go tutaj wprowadził?

— JW. panie! — odpowiedział oficer — wszystko to mi jest niewiadomo, bom noc przepędził przy namiocie JW. pana, jako mój obowiązek; ale jest kapitan, który wodził ronty tej nocy, jest Jmę pan oboźny, ci pewno wiedzą.

— A od czegoż waść tu siedziałeś do milion diabłów! powinieneś także wiedzieć, co się dzieje w obozie! Bodałby piorun zabił taką wierność i służbę!

— JW. pan nie każe sobie nigdy plotek donosić — rzekł na to oficer z pokorą — budzić też także lada czego nie wolno...

— Ale to nieplotka jest, tylko prawda! poczekajcie-no, pomiję ja wam głowy za takie porządkil! — wołał w gniewie marszałek chodząc tam i sam po namiocie, a nareszcie dodał: — Odpowiedz waść panu Dzierżanowskiemu, żeby się stawil za pół godziny. A tymczasem niechaj tu przyjdzie oboźny.

W niedługiej chwili potem wszedł do namiotu oboźny. Bierzyński przystąpił do niego i rzekł głosem surowym:

— Swoim siwym włosom masz WPan to podziękować, że z nim nie rozmawiam inaczej! Jak WPan śmiałeś wpuścić obcego człowieka do obozu!?

— JW. panie! — zaczął mówić na to oboźny...

— Żadnych tłumaczeń! — przerwał mu prędko Bierzyński — żadne tu nie ma miejsca i mieć go nie może! Proszę więc bardzo, żeby to było po raz ostatni. Ani Dzierżanowski, ani Puławski, ani nikt zgola, choćby sam pre-

zes jeneralności, nie ma tu wchodzić bez mojej wiedzy. Rozumiesz waćpan? Proszę to sobie pamiętać.

Oboźny nie odpowiedział już na to nie zgola, ale nie wychodził z namiotu.

— Czy jest jeszcze jaka nowina? — zapytał Bierzyński.

— Nowiny niema żadnej — odpowiedział oboźny — chciałem tylko ostrzedz pana marszałka, że ten Dzierżanowski...

— Że co?

— Że o ile o nim od wojskiego słyszałem, ma to być awanturnik...

— Kto jest Dzierżanowski, ja wiem lepiej, niżeli wojski razem z waćpanem, i żadnych nie potrzebuję ostrzeżeń. Proszę tylko o tem pamiętać, co nakazuję, a zresztą od wszystkiego uwalniam.

Po tej odpowiedzi oboźny opuścił głowę i wyszedł milcząc z namiotu...

Bierzyński się zaczął teraz tem prędzej ubierać, a ubrawszy się w mundur i przywoławszy do siebie kilkunastu ze starszyny i adjutantów, którymi zawsze się lubiał otaczać, w pół godziny był gotów na gościa przyjęcie: kiedy właśnie, jakoby podług minutowego zegaru, Dzierżanowski na czele dwunastu zbrojnych zajechał przed namiot.

Ex król Madagaskaru nie był już dzisiaj ubrany z hiszpańska, jeno miał na sobie zwykłe ubranie towarzysza chorągwi pancernej, a więc pancierz stalowy, szyszak z piórami, na koniu rząd turecki bogaty z czubem piór strusich na głowie i zgola wszystko po staropolsku, ozdobnie i pięknie. W odpowiedni strój, także wojskowy, ale mody konfederackiej, byli poubierani i jego ludzie; i tak to wszystko wyglądało paradnie, że przy minie marsowej dowódcy i dzielnym koniu, na jakim siedział, trudno było nie patrzeć na jego wjazd z wielkiem upodobaniem. To też koło namiotu i przy drodze do niej wiodącej były nagromadzone całe hurmy konfederatów, którzy się tym gościom przypatrywali niezmiernie ciekawie, witając ich czapkami, a gdzieniedzie i okrzykami.

Zajechawszy przed namiot, Dzierżanowski zlął z ko-



nia i przybliżył się pieszo do Bierzyńskiego, stojącego na czele swojego sztabu w samym wstępie namiotu.

— Mości panie marszałku! — rzekł przychodzący, nie z pokorą, ale z jawnym wyrazem attencji — prosiłem o pozwolenie złożenia mojego powinnego ukłonu najwyższemu dowódcy wojsk w tym obozie stojących, co kiedy mi jest dozwolono, najpierwej składał ten pokłon wraz z podziękowaniem za uprzejmość mi wyświadczoną.

— Mości panie Dzierżanowski! — odpowiedział na to z powagą Bierzyński — miło mi jest widzieć waszmość pana w dobrym zdrowiu i powodzeniu, jako też podziękować za pamięć o tak dawnym znajomym; nim wszakże za to powinna się zdołać wywdziękować gościną, pragnę spytać waszmości, czy przyjeżdżasz do mnie li z własnej woli, czy z jakimi depeszami albo ustnemi poleceniami, bo jako słyszę przyjeżdżasz z Białej?

— Przyjeżdżam z Białej — odpowiedział Dzierżanowski — gdzie przez parę tygodni przy zgromadzonej tamże jeneralności bawiłem. Dawano mi wprawdzie stamtąd pisemne do waszmość pana rozkazy, ale ja nie jestem woźnym jeneralności; z słusznych rozumień powodów nie chciałem się także podjąć i tego, abym miał urzędownie zanosić do waszmość pana jakiekolwiek zlecenia ustne, lecz jeżeli waszmość panu coś na ich wiadomości zależeć będzie, to ich prywatnie jak najchętniej udzielię, co też także jest jedną z przyczyn, dla których drogę moją skierowałem po pod waszmość pana obozy.

— Waszmość tedy całkiem prywatnie wstępujesz do mnie?

— Jak najprywatniej.

— Tedy proszę przyjąć gościnę w mojem schronieniu prywatnem — odpowiedział Bierzyński i usuwawszy się na bok, zaprosił gościa pod namiot.

W tej chwili cały sztab marszałkowski wysunął się zpod namiotu; jedni poszli oglądać Dzierżanowskiego konie i ludzi, drudzy wzięwszy się pod ramiona, poprowadzili się w obóz, z tych niespodzianych odwiedzin rozmaite wyprowadzając domysły, — trzeci zaś obstąpili ciekawie obozo-

wego intendenta, bo zdało im się, że od niego mogą się najwięcej dowiedzieć o właściwych powodach, dla których przybył tu Dzierżanowski. Jmé pan Smolecki wszakże kłął duszę i ciało przed braćmi, że nie wie o niczem, bo też i niema nic tajemniczego w tej rzeczy; powiadał wszakże, że te odwiedziny są w każdym razie bardzo szczęśliwym dla nich wypadkiem: bo Dzierżanowski „jako tak ognisty kawaler, i żołnierz waleczny,“ pewnie Bierzyńskiego rozbudzi i tym sposobem skończy się już raz przecie ta ich niezdolna bezczynność. Tak uwolniwszy się od dalszych zapytań, zaczął opowiadać rozmaite ustępy z życia Dzierżanowskiego, sławiąc przytem jego odwagę, determinację i zdolności wojskowe...

Tymczasem Bierzyński, znalazłszy się sam na sam z Dzierżanowskim w swoim namiocie, podał mu krzesło, sam siadł naprzeciw niego i rzekł:

— Waszmość pan tedy przybywasz z Białej?

— Tak jest, przybywam z Białej.

— Cóż tedy w Białej? Jeneralność znów jest *in pleno* i znowu się zabiera do prowadzenia wojny z za stołu? czy tylko się zatrudnia obwinianiem siebie wzajemnie o zdradę, jak to było na Wołoszczyźnie?

Tu Dzierżanowski spojrzał pobieżnym lecz przenikliwym wzrokiem na Bierzyńskiego i odpowiedział przeciągle:

— Ot! jak to bywa. I jedno się tam praktykuje i drugie... dzieją się tam rzeczy, których i powtarzać nie warto; ale... trudno zaprzeczyć, że się dzieją zasię i takie, o których wiedzieć nie szkodzi a nawet i trzeba. Wszystko to powiem ja Wmpanu koleją i powiem inne wiadomości o naszych sprawach publicznych, które pochwyciłem po drodze; ale pozwól mi pan panie marszałku, — dodał Dzierżanowski cokolwiek żywiej, — abym pierwszej rozmówił się z panem o naszej rzeczy prywatnej, która, jak mi Bóg miły, głazem mi ciąży na sercu, a bez której załagodzenia trudnaby była pomiędzy nami jakakolwiek rozmowa.

Na taki wzrost niespodziany Bierzyński spojrzał na twarz

mówiącego, a obaczywszy na niej potężną kresę, przeciągniętą od czoła aż do samej brody, przygryzł uśmiech na ustach i rzekł:

— Prawdziwie nie wiem, o czem waszmość chcesz mówić...

— Zaraz to waszmość panu wyjaśnię, — rzekł na to ex-król Madagaskaru i tak potem mówił: — Oto pewno nie zapomniałeś waszmość, jakie było nasze ostatnie spotkanie. — Jest już temu pół-szosta roku, ale takich rzeczy się nigdy nie zapomina. Jeżeli waszmość zapomniałeś już o tem, byłoby to dowodem niemałej szlachetności ze strony Wmpana; ale ja o tem zapomnieć nie mogę, jakoż wierzę mi to pan, panie marszałku, że nie mało ja wycierpiałem, musząc to nosić ciągle na mojem sumieniu. W parę dni po owem zdarzeniu wyszedłem do Rzymu, stamtąd zaś do Francji i dalej; choćbym był tedy chciał, nie mogłem się przed waszmością postawić. Powróciwszy do ojczyzny przed dwoma laty, pytałem się o waszmości: ale waszmość byłeś na Kresach. Kiedy wróciłeś z Kresów, zacząłeś zaraz wiązać konfederacyę w Sieradzkim; ja znów natenczas byłem taką samą sprawą zajęty w Gostyńskim. I tak zawsze jakoś, to z powodów wielkiego oddalenia, to ze względu na ważniejsze sprawy publiczne, nie mogłem do waszmości przystąpić, ażeby mu się oddać do dyspozycji w jaki sposób mi każesz to złe popełnione naprawić. Dziś, mając sposobność po temu, stawiam się przed waszmością i tak mówię: Przebacz! jeżeli masz słuszny wzgląd na to, żeśmy byli obadwa natenczas młodzi i do uniesień pohnopni, — a jeżeli do dziś dnia jeszcze chowasz pamięć tej obrazy w twem sercu, to mnie masz tutaj przed sobą, dysponuj mną, jak ci się będzie podobać, a znajdziesz mnie pewnie do wszystkiego powolnym.

Po tej przemowie Bierzyński wytrzymał chwilę, przyglądając się Dzierżanowskiemu z uwagą i tak odpowiedział:

— Nie dziwię się waszmości, mój panie Michale, owszem, nawet bardzo mi to pana zaleca, że pamięć tego zdarzenia tak starannie chowałeś w twem sercu, bo jakiegokolwiek mogłeś mieć do tego postępkowi powody, nie był

on jednak odpowiedni obyczajom rycerskim, albo też naszym szlacheckim. Co do mnie jednak, muszę panu powiedzieć, że nie pamiętałem nigdy tego postępkowi jako obrazę, a tem mniej dziś go pamiętam. Nie cięży on tedy w żaden sposób na mojem sumieniu i ja nie czuję żadnej potrzeby jakkolwiekbyś go naprawiać. Jeżeli waszmość taką potrzebę czujesz, właściwie mówiąc, nie maie to nie obchodzi. Jest to wprawdzie naszym obowiązkiem rycerskim, nie tylko nasze własne sumienia w razie potrzeby oczyszczać, ale też także i drugim do takiego oczyszczenia pomagać; jakoż zaręczam waszmości, że jeżeliby taka była konieczność, byłbym gotów i do takiej usługi. Ponieważ jednak z jednej strony żadnej nie masz tu konieczności, bo takiego oczyszczenia nikt od waszmości nie żąda, a z drugiej strony, zdaje mi się, byłoby to nawet występkiem, gdybyśmy tę krew przelewali dla uraz prywatnych, którą oddaliśmy już w całości na potrzeby ojczyzny: rozumiem tak, żebyśmy całą tę sprawę puścili w niepamięć, jakby jej nigdy nie było. Czy zgoda na to?

— Kochany panie Józefie! — zawołał Dzierżanowski, powstając z miejsca, — waszmość mówisz tak, jakby pismo! Ja nigdy nie żądałem lepszej satysfakcyi. Dajże mi jeszcze rękę na to, aby to pismo miało i pieczęć!

Dzierżanowski był widocznie wzruszony; ale Bierzyński nie dzielił tego współczucia, tylko podał mu rękę prawie niedbale i rzekł przeciągle:

— Małe to rzeczy, mój panie Michale! Jeżeli łaska, siadaj na powrót na twojem miejscu i mówmy teraz o jeneralności.

— Teraz możemy już mówić o wszystkim, rzekł Dzierżanowski z zajęciem, — mówmyż więc najpierw o jeneralności. Otóż powiem ci, panie marszałku, najpierwej, że ważne tam teraz porobiły się rzeczy, i rzeczy takie, które ciebie jak najbliższej dotyczą.

— A więc i o mnie była tam mowa? — spytał Bierzyński niby obojętnie i zimno, ale na jego twarzy było widać dość jawnie, że go ta wiadomość niepokojąco dot-



knęła. Dzierżanowski wszakże, jak gdyby tego wcale nie widział, mówił dalej:

— Była mowa o panu, lecz w jaki sposób? Oto wytaczano tam proces formalny przeziwko tobie. Skąd się wzięły te zaskarżenia i skąd się wzięło ich tyle, trudno mi było wysledzić dokładnie, lecz zdaje mi się, że nie potrzeba tego śledzenia, bo jest rzeczą widoczną, że wyszły one od twoich nieprzyjaciół, których sobie przysposobiłeś twojem powodzeniem i szczęściem, — a czy się ci nieprzyjaciele zowią tak, czyli owak, wyjdzie to w końcu na jedno. Rzecz to daleko ważniejsza, o co te skargi cię obwiniają, — a najważniejsza to, iż te plugastwa zyskały taką wiarę u jeneralności, że nie wahano się wcale, wydać na ciebie wyrok, zrzucający cię z urzędu marszałka, i zapozywający przed sąd jeneralności do Białej.

— Taki wyrok wydano na mnie? — rzekł na to Bierzyński z lodowatą ironią, — to chyba jeneralność chciała zażartować sama ze siebie?

— Możesz to sądzić, jak ci się będzie podobać, — rzekł Dzierżanowski, — ale że się tak stało istotnie, zaraz ci tego dowiodę.

To mówiąc, dobył z zanadru paczkę papierów, które rozłożył na stole, a wydobywszy z nich jeden, oddał go Bierzyńskiemu.

Bierzyński wziął ten papier do ręki i wyciągnawszy się niedbale na krześle, zaczął go czytać pomału. Chodziło mu widocznie o to, aby okazać jak najdobitniej lekceważenie i obojętność, i tym sposobem ukryć to co się działo istotnie w jego umyśle i sercu. Sztukę tę, nabytą niegdyś w służbie na wielkich dworach, posiadał Bierzyński w dosyć wysokim stopniu; zdaje się jednak, że jego dobra natura nie była zupełnie zniszczoną przez niecną sztukę, bo pomimo z góry powziętej woli wydobywała się ona prawie zawsze z narzuconych jej więzów, trzeba tylko było, aby do tego były ważne i niestety! coraz ważniejsze powody. Tu wszakże musiały się znaleźć takie powody, bo zaraz po odczycaniu pierwszego punktu Bierzyński się wyprostował, po drugim punkcie wstał raźnie z miejsca, a po trze-

cim odszedł od stołu i przystąpiwszy bliżej do światła, zaczął czytać wyrok jeneralności, z nietajonem zajęciem. Podczas czytania twarz jego mieniła się tysiącami kolorów, było w niej widać wstyd, przestach, grozę, oburzenie gniew po kolei, czasem zaciskały się usta, czasem oddech zapierał się w piersi; po odczycaniu zaczęły się niby łagodzić te wszystkie burze; ale niezgodne z sobą wyrazy zlały się tylko w jedną gradową chmurę, która zdawała się już być bliską wyrzucenia ze siebie błyskawic i grzmów. Wszakże tu znowu sztuka zwyciężyła nawykłą do uległości naturę i w krótkiej chwili owa gradowa chmura zaczęła się rozjaśniać i bieleć, aż w końcu wybielała zupełnie, że pozostał z niej tylko uśmiech jemu właściwy, któryśmy widzieli u niego już nieraz. Z tym tedy uśmiechem złożył on papier przez siebie czytany napowrót, a obróciwszy się do Dzierżanowskiego spytał łagodnie:

— Powiedźże mi waszmość, jakże się dostał ten papier w twoje ręce?

— Otóż jakim sposobem się dostał w moje ręce, — podchwycił Dzierżanowski z pośpiechem, — jest to rzecz taka. Kiedym przyjechał do Białej, miałem zamiar zabić tam tylko dzień jeden, dowiedzieć się, co tam jeneralność zrobiła u cudzoziemskich dworów i powrócić nazad na pole wojny. Ale już zaraz dnia tego dowiedziałem się, że jeneralność ma odprawiać jakieś tam sądy a między obwinionymi wymieniono mi i nazwisko waszmości. To mnie zastanowiło, znałem bowiem dosyć dokładnie zachowanie się twoje w konfederacyi i nie mogłem odgadnąć, o coby cię można obwinić? Miałem też na sumieniu moją starą winę przeciwko tobie, powiedziałem więc sobie: Panie Michale! poczekaj, może tu właśnie zdarzy się pora, ową winę naprawić. Zostałem tedy i starałem się najpierw zdanie jeneralności o tobie sprostować i od wydawania jakiegokolwiek wyroku ją wstrzymać. Ale nie mogło to być. Nie pozostało mi tedy nic, jak szukać innego środka. A środek ten sam ze siebie mi się nasunął. Wiedziałem bowiem, że kiedy jeneralność zasiada do sądu, to oczywi-

ście i wyrok będzie, — wyrok ten zechce ci jeneralność doręczyć, — a jak z jednej strony nie lada kto się doręczenia tego wyroku podejmie, tak znowu z drugiej ona sama będzie wybierać do tego takiego człowieka, o którymby była przekonana, że jest w stanie takiego poselstwa dopełnić. Reszty nie potrzebuję już opowiadać: bom co pomyślał, tom też zrobił. Dano mi tedy ordynans do zawiezienia ci tego wyroku, — i ja ci go tutaj przywożę, — ale wiesz, na co? oto patrz! na to.

To mówiąc, zebrał wszystkie papiery ze stołu, wyrwał Bierzyńskiemu ów wyrok z ręki i rzuciwszy to wszystko na ziemię, zdeptał swojemi ogromnemi butami. Poczem się obrócił do Bierzyńskiego i wskazując na tę kupę papierów, rzekł:

— A to jest satysfakcyja odemnie!

Bierzyński patrzył na tę scenę prawie ze zdumieniem. Czego dotychczas w Dzierżanowskim nie mógł zrozumieć, to mu się teraz wyjaśniło od razu. I wyjaśnienie to nie ulegało najmniejszemu wątpieniu, bo przecież były piśmienne dowody i był sam czyn wreszcie, który się stał w jego oczach i tak wymownie przemówił do niego, że go nawet uchwycił za serce.

Bierzyński był w tej chwili istotnie wzruszonym. Jakoż zapominając o tem, co było jego zasadą: że nie dobrze jest odstawiać swoje rzeczywiste uczucia, — teraz nie krył się wcale i podając Dzierżanowskiemu rękę, rzekł:

— Przebacz, Panie Michale! miałem dotychczas całkiem inne wyobrażenia o tobie!... Człowiek ma oczy na to, ażeby widział: ale podobno daleko częściej służyć mu ku temu, ażeby właśnie tego nie widział, co jest rzeczywiste, jeno to, co mu jego błędne serce nasuwa. Tak do niedawna miałem Lenartowicza za takiego przyjaciela mojego, że gotówby życie poświęcić dla mnie, a ciebie miałem za wroga: a tymczasem on, jak tylko mu się zdawało, że mnie szczęście na jedną odstaąpiło liniijkę, opuścił mnie, — a ty, kiedy już cały grunt podkopano podemną i miałem runąć za chwilę, przyszedłeś sam do mnie, abym

się oparł na tobie. Dziwneto doprawdy, dzieją się rzeczy na tym świecie!

Tak mówił Bierzyński w tej chwili. I była to jedna z najważniejszych chwil w jego życiu. Od tego momentu bowiem jak gdyby jakaś zupełnie inna atmosfera otoczyła w jego oczach świat cały, a w tej atmosferze zaczęły mu się całkiem inaczej wydawać wszystkie przedmioty. Takie chwile przychodzą często na ludzi natenczas, kiedy Bóg przyjął wdzięcznie ich skruchę i zsyła promień nowego światła w ich oczyszczone sumienia — i są to wtedy chwile szczęśliwe. Ale przychodzą one także i wtenczas, kiedy po nitce popełnionego grzechu wślizgnął się szatan w serce człowieka i podniósłszy swą zakopconą latarkę nad jego głowę, oświeca jego drogi swoim piekielnym płomieniem. A takie chwile są najnieszczęśliwsze z całego życia, bo są to jakby bramy do labiryntów, w których rzadko się zdarza biała nitka Ariadny. Ale któż wie, jaka to była chwila dla niego?

Tymczasem pomiędzy rozmawiającymi trwała chwilką milczenia. — Bierzyński siedział w krześle i opuściwszy głowę na piersi, był w zamyśleniu — Dzierżanowski patrzył na niego i zdawał się mieć łzy w oczach. Ale Dzierżanowski także myślał o czemś i myślał zapewne daleko żywiej, dlatego pierwszy przerwał milczenie i rzekł:

— Pięknie to bardzo powiedziałeś, panie Józefie, ale nie wiem czy całkiem prawdziwie; bo że grunt był podkopany pod tobą, to prawda, ale żebyś miał już runąć dlatego...

— No! przerwał Bierzyński, mówiąc jak zwykle powoli — to się tak mówi... Łatwo to widzieć każdemu, jakie skutki realnie mógł przynieść taki nedorzeczny wyrok jeneralności... Ale ja jestem z tych ludzi, u których w takich wypadkach zawsze *stat pro ratione voluntas*. Dlatego pytam się ciebie, panie Michale, co myślisz z sobą? czy masz jakie pewne zamiary?

— Moje wszystkie zamiary dążą ku temu, aby się bić a czy się będę bił tutaj, czyli gdzie indziej, o to mi wcale nie chodzi. Do tego, zdaje mi się, że nie potrzebuję do-



dawać, o ile bym wolał bić się pod komendą takiego woźdza, który ma rozum i szczęście i nareszcie siły gotowe...

— Powiedziałeś: pod komendą — przerwał mu prędko Bierzyński — a czyby ci to nie było przykrością służyć pod cudzą komendą?

— Pod cudzą, może; ale pod twoją, mówię ci to otwarcie, że będę to sobie miał za szczęście i zaszczyt.

— Tedy dość o tem — rzekł na to Bierzyński — miejsce regimentarza jest u mnie wolne, ośiaruję ci je, a za godzinę przedstawię wojsku.

To mówiąc, podał mu rękę — Dzierżanowski ją ścisnął — i tak dokonaniem zostało owo sławne pogodzenie się z sobą tych dwóch konfederackich dowódców, którzy dotychczas byli nieubłaganyimi wrogami dla siebie...

Od tej chwili następują zdarzenia już bardzo szybko po sobie i nabierają coraz więcej znaczenia i wagi. Jakoż ledwie Bierzyński wydał rozkaz, ażeby całe wojsko stanęło w obozie pod bronią, zameldowano mu najpierw Martę kowalkę. Kobieta ta oddawała Bierzyńskiemu nieocenione przysługi, mając bowiem łatwość wędrowania po całym kraju, a do tego spryt nadzwyczajny wręcania się we wszystkie nieprzystępne dla innych miejsca, a nawet i w same nieprzyjacielskie obozy, była ona jak gdyby duchem opiekuńczym usypiającego w bezczynie marszałka. Przez nią wiedział on niemal wszystko, co wiedzieć musiał, ażeby mógł tak długo dosiedzieć na jednym miejscu; przez nią wiedział on dalej to wszystko, co gdziekolwiek gadano po dworach; przez nią nawet nareszcie roznosił fałszywe wiadomości pomiędzy oddziałami nieprzyjacielskimi i tym sposobem nieraz odwrócił od siebie spotkanie takie, którego w owym czasie nie pragnął. Dziś przyniosła ona mu także wiadomości niemało ważne. Dowiedział się od niej bowiem najpierw, że o mil sześć do ośmiu a nawet i bliżej, od północy i wschodu, zbierają się bardzo znaczne nieprzyjacielskie oddziały, z których jedne nadchodzą od Warszawy, drugie od Wielkiejpoli; na czele jednego takiego oddziału stoi Wścieklica i był przed dwoma dniami z pewnością w Sieradzu; dziś zdaje się być w marszu,

po lewym brzegu Warty w kierunku ku obozowi marszałka. Drugą wiadomością była wieść wprowadzić niepewna, ale bardzo prawdopodobna, że połączeni ze sobą pomniejsi dowódcy konfederacy Wielkopolskich rozbili w okolicach Wielunia jakieś znaczne wojska nieprzyjacielskie, a te rozbitki mają się cofać teraz ku Warcie. Jako trzecią wiadomość doniosła wreszcie, że Lenartowicz, wyjechawszy z Bierzyńskiego obozu, udał się prosto do pana Józefa Zaremby, że Zaremba miał w Kisielach i Rosprze ukrytych kilkaset ludzi po chatach, że Zaremba nie miał jeszcze zamiaru występować otwarcie, ale jak Lenartowicz do niego przyjechał, został zaraz napadnięty przez wojska królewskie, przeciwko którym chcąc nie chcąc musiał się bronić i tym sposobem, wystąpiwszy raz zaczął już działać otwarcie. Wszystkie te szczegóły opowiedział posłaniec, którego Marta wysłała za Lenartowiczem umyślnie i który był tego wszystkiego świadkiem a dziś powrócił.

Wysłuchawszy tych wiadomości Bierzyński wyprawił Martę, zawsze za nowymi wiadomościami — a tymczasem odbył przegląd całego swojego wojska, przyczem Dzierżanowskiego jako nowego regimentarza przedstawił, powiedziałszy mowę, zawierającą pochwałę jego męstwa i waleczności. Całe wojsko przyjęło Dzierżanowskiego z wielkim zapalem i nawet tak radośnymi okrzykami, że przy nich zapomniano o równych przynajmniej okrzykach dla Bierzyńskiego...

Po tej paradzie był suły obiad dla Dzierżanowskiego pod marszałkowskim namiotem — a po obiedzie znowu kazano wystąpić wojsku, które Bierzyński sam na trzy części podzielił. Nad jedną z nich oddał dowództwo oboźnemu i kazał mu zostać w obozie — drugą oddał Dzierżanowskiemu i kazał mu z nią iść ku północy, dotrzeć o dwie mile przynajmniej i starać się o dokładne wiadomości po drodze, a trzecią zostawił sobie i także gdzieś z nią wyruszył.

Obiedwie te wycieczki powróciły dopiero późnym wieczorem — ale niestety! z bardzo rozmaitymi skutkami. Bierzyński bowiem ze swoim oddziałem zajechał najpier-



wej do Gozdawki do matki. Tam bawił przez parę godzin, strawiwszy je na próżnych domysłach: co się stało z podskarbin, że dotychczas jeszcze nie wracał? Nie domyśliwszy się ani dowiedziawszy nie pewnego od matki, wyruszył w kierunku ku Wieluniowi, uszedł z milę a nie spotkawszy nikogo, wrócił z niezem do domu. Inne zupełnie szczęście miał Dzierżanowski. Ten bowiem napadł na dosyć znaczny podjazd nieprzyjacielski, stoczył z nim bardzo szczęśliwą potyczkę, nabrał koni i ludzi i wrócił z tryumfem do obozu.

Stąd wszakże wywiązało się nowe zajęcie; od jeńców bowiem, których Dzierżanowski przyprowadził ze sobą, dowiedziano się mnóstwa wiadomości o ruchach różnych kolumn wojsk królewskich i posiłkowych, które godne były wszelkiej uwagi. Jakoż zestawivszy te wiadomości ze sobą i wzięwszy mapę na pomoc, pokazało się, że istotnie bardzo znaczne siły są zgromadzone w okolicach bardzo już niedalekich od Bierzyńskiego obozu. Obliczywszy w przybliżeniu te siły i rozpoznawszy ogólny kierunek ich marszów dotychczasowych, było rzeczą widoczną, najpierw: że tych sił było najmniej około dwudziestu tysięcy; po wtóre, że ściągając się z rozmaitych okolic, widocznie się do jednego naprzód oznaczonego punktu zbliżały, a nakoniec: że tym punktem nie mogło być nic innego, jak obóz Bierzyńskiego nad Wartą. Wiadomość ta wywarła tak na marszałku jak jego nowym regimentarzu wcale nie obojętne wrażenie, było to bowiem rzeczą widoczną, że dotychczasowy stan rzeczy trwać dalej nie może i trzeba się tu było dobrze zastanowić nad tem, jak sobie w tym wypadku postąpić należy. — Przystąpiono więc do narady — ale narada ta szła jakoś dziwnie oporem. Ani Dzierżanowski bowiem, ani Bierzyński, obydwa niegdyś we wszystkich postanowieniach swoich, jeżeli nie porywcy, to przynajmniej dość rażni, nie mieli dzisiaj wcale konceptu i żaden z nich nie mógł się zdobyć na myśl jakąś stanowczą. Przytomnym tej naradzie a raczej tylko gawędzie pułkownikom i oficerom sztabowym zdawało się nawet, jak gdyby obydwoim głównym dowódcom wypadek

ten dziwnie przyszedł nie w porę i jak gdyby obydwa oglądali się jeszcze na coś innego. Jakkolwiek bądź, strawiono kilka godzin w noc późną na próżno i zdecydowano nareszcie, że odebrane wiadomości są jeszcze zbyt niedokładne, ażeby można do nich się zastosować a zresztą wojska nieprzyjacielskie są jeszcze tak daleko, iż na ostateczną decyzję będzie dość czasu i jutro. Porozyszano więc tylko liczne na wszystkie strony podjazdy i udano się na spoczynek.

Nazajutrz rano Bierzyński się zbudził dość wcześnie i przez cały ranek dziwnie był roztargniony i niespokojny. O tym czasie zaczęły już wracać koleją powyprowadzane w nocy podjazdy. Każdy dowódca takiego podjazdu zajeżdżał przed namiot marszałka i zdawał mu raport. Raporty te były nadzwyczaj ważne, bo niemal każdy z podjazdów, albo widział na własne oczy, albo przynajmniej zasłyszał coś o wojskach nieprzyjacielskich, pojawiających się coraz gęściej w oddalonych okolicach konfederackiego obozu. Bierzyński jednak słuchał tych raportów prawie z zupełną nieprzytomnością, czasem dawał pytania nie mające żadnego sensu, a przytem po dwa kroć posłańców do matki wyprawiał.

Przez ten czas Dzierżanowski był prawie bez przerwy przy nim i obserwował go pilnie. Kiedy się zajęcie z wracającymi podjazdami trochę przejęło, Dzierżanowski przystąpił do niego i rzekł:

— Panie Józefie! zdaje mi się, jakbyś był trochę zmieniony? czy jesteś słaby?

Bierzyński stał, patrzył na niego szklannemi oczyma i chwiał się widocznie na nogach. — Dzierżanowski ponowił pytanie.

— Nie — odpowiedział nareszcie Bierzyński — nie mi nie jest właściwie... tylko tu mnie coś pali straszliwie...

To mówiąc, wskazał na piersi. Dzierżanowski patrzył na niego i milczał przez chwilę — a potem rzekł:

— Nie zgaduję przyczyny twojego bólu, chociaż wiem to sam z siebie, jakie to nieraz w ludzkim sercu goreją piekła... Jednak jeżeliby ci mógł być pomocnym...



— Ty mnie pomocnym? — rzekł na to Bierzyński z rozpaczliwą ironią — na całym świecie niema na to lekarstwa!

Dzierżanowski znów milczał przez chwilę, poczem znów się odezwał:

— Nie sądę przecież, abyś rozumiał, że niema żadnego ratunku dla twego wojska?

— Dla mego wojska? cha, cha, cha! — zaśmiał się na to Bierzyński i to go otrzeźwiło zupełnie. — Czyż moje wojsko jest w jakimkolwiek niebezpieczeństwie?

Dzierżanowski patrzył na niego zadziwionemi oczyma.

— Niebezpieczeństwo to może nie jest takim — zaczął on mówić nareszcie — ażeby się godziło rozpaczać, ale zawsze...

— Cóż?

— Zawsze to nie jest dość bezpieczna pozycja, kiedy kilkanaście tysięcy nieprzyjaciół nas zaczyna okrażać, a my leżymy nad Wartą, która wezbrała po same brzegi...

— Czy tak rozumiesz? — spytał Bierzyński — a ja ci powiadam, że właśnie tu nad tą Wartą ani włos mi z głowy nie spadnie. Czy widzisz tę wyżynę, która się podnosi koło obozu?

To mówiąc, wyprowadził go z pod namiotu i pokazał mu tę wyżynę, która się istotnie wznosiła między obozem a kaplicą i chatą Barnaby.

— Otóż na tej wyżynie stanę i pobiję nie kilkanaście, ale i dwadzieścia tysięcy.

— Powiedzże mi, czy istotnie myślisz tu stoczyć bitwę?

— Bitwę walną, co się nazywa! — odpowiedział Bierzyński — a wszakże na nią tutaj tak długo czekałem. I obaczysz, jak pójdzie, jak orzech zgryźć...

— Ha! — rzekł na to Dzierżanowski, któren jakiegokolwiek inne mógł mieć zamiary, byłby był przecież bez żadnego wątpienia wołał bitwę zwyciężką — ha! więc będziemy bić się! Ale przesłuchajmy raz jeszcze raportów.

— Przesłuchajmy raportów — powtórzył Bierzyński i pozostał już przed namiotem, gdzie się zgromadzili natychmiast dowódcy wszystkich podjazdów.

Przesłuchano więc tych raportów z uwagą, poczem Bierzyński rzekł do swego nowego regimentarza:

— Widzisz więc, że tak jest, jak rozumiałem. Ściągają się pomału nieprzyjacielskie kolumny i widocznie ściągają się na mnie; ale dziś jeszcze tu nie nadejdą: gdyby zaś istotnie nadeszły, to dopiero późnym wieczorem. Mamy więc jeszcze czasu dosyć przed sobą, w razie potrzeby moglibyśmy nawet ująć im z ręki, bo wiem którądy; ale nie będziemy uchodzić, bo jeżeli tutaj nie zwyciężymy, to nigdzie. — Upomina też szlachta sieradzka o spektakl wojenny — a więc będzie go miała!

To rzekłszy, powyproważał nowe podjazdy, Dzierżanowskiemu i obożnemu nakazał jak największą batkość w obozie i rzekł:

— Gdyby coś niespodziewanego wypadło, dać trzy salwy działowe — sam zaś wziął ze sobą sto ludzi i ruszył pędem na zamek.

### III.

Było to już około trzeciej południowej godziny.

Nieliczni domownicy starego zamku, powstawszy niedawno od obiadu, byli zgromadzeni na owej wielkiej środkowej galerii, która wychodziła w ogródek. Ustalona już teraz po długich słotach pogoda wywabiała dziś wszystkich na świeże powietrze, które pełne łagodnego ciepła i woni orzeźwiło dziś całą naturę. Ślicznie też było dzisiaj w tym misternym ogródku: taśmy bukszpanu, barwinku i innej zieleni zajaśniały barwą wiosenną na nowo, porozkwitały gęsto drobne stokrotki i bratki, a krzaki róż pokrywały się dokoła tak bujnymi kwiatami, jak gdyby chciały dziś już zupełnie odkwitnąć i zamienić się w suche i puste łodygi na jutro...

Pomimo to jednak, iż wszyscy tu wyszli dla użycia świeżego powietrza, nikt go jednak nie używał z świadomościem siebie zajęciem, nikt przynajmniej tego po sobie nie zdradzał. I tak stary kasztelan siedział w głębokiem krze-



śle, głowę opuszczył na piersi i drzemał. W drugim takim krześle siedziała mniszka i czytała książkę nabożną. Zaś w samym kącie galeryi stała Annuncyata ze starą swą powiernicą, Martą kowalką, i była z nią żywą zajętą rozmową.

Dawna kasztelanki piastunka była tak nieszczęśliwa, że od niejakiego czasu swojej złotej panience, jeżeli nie całkiem smutne, to przynajmniej coraz więcej niepokojące musiała przynosić wieści. Wieści też te, które jej dzisiaj przyniosła, były jeszcze więcej niepokojące, niż kiedykolwiek. Opowiedziała ona jej bowiem najpierw o owym całym ruchu wojsk nieprzyjacielskich, który bez żadnego wątpienia był wymierzony na obóz konfederacji sieradzkiej. Opowiedziała dalej o Dzierżanowskim, który do tegoż obozu przyjechał i zaraz na samym wstępie tak umiał ująć dla siebie marszałka, że objął u niego ważną i wielowładną funkcyę regimentarza. Ale opowiedziała jej wreszcie, o czem nie miała jeszcze czasu zawiadomić samego marszałka, że oprócz tego działy się jeszcze bardzo ważne rzeczy we dworze Szadkowskiego stolnika; rzeczy to wprawdzie takie, które były bardzo zwyczajne podczas konfederacyi, ale w tem miejscu i przy tych okolicznościach zdawały jej się być przecież niezwykajnymi. U tegoż pana stolnika bowiem odbył się dnia wczorajszego dosyć liczny zjazd szlachty i była tam długa narada. Skąd się tam wzięła ta szlachta, niepodobna się było dowiedzieć, bo nie było widać żadnego ruchu na okolicznych gościńcach a we dworze stolnika nie było nawet widać żadnych powozów — rzeczą jednak pewną, iż w wieczór było w tym dworze kilkadziesiąt osób i że było pomiędzy nimi wielu panów, całkiem nieznanym domowej służbie. Kowalka nie wiedziała z pewnością, czy tam był także pan Zaremba sam w swojej osobie, ale miała niewątpliwą wiadomość o tem, że byli tam niektórzy panowie ci sami, którzy parę dni przed tem byli u pana Zaremby. Oprócz tego było rzeczą również niewątpliwą i pewną, że tak we wsi stolnika, jak i po kilku okolicznych wsiach i przysiółkach, tak po dworach, jak i po chatach wiejskich, było rozproszonych mnó-

stwo jakichś nieznanych ludzi, częścią konnych a częścią pieszych, uzbrojonych i zupełnie bezbronnych, których nikt wprawdzie nie znał, ale o których mówiono powszechnie, że to konfederaci. Z czyjejby partii byli ci konfederaci: czy z partii Zaremby, czy Morawskiego i Ulejskiego, czy nareszcie z jakiejś nowej, zawiązać się dopiero mającej? było to tajemnicą, również trudno się było dowiedzieć, jaki był cel właściwy tego tajemniczego zjazdu: zdaje się jednak, iż musiano tam jakąś nową konfederacyę zawiązać, bo pisano akt w nocy i ten akt zaraz gdzieś wyprawiono, prawdopodobnie do grodu. Ponieważ tedy ten zjazd się odbywał tak blisko od obozu pana Józefa, a niezawodnie bez jego wiedzy, mianowicie zaś, że się odbywał w domu Szadkowskiego stolnika, który był zawsze Bierzyńskiemu dość nieprzychylnym, zdawało się Marcie, iż musiano tam koniecznie coś uradzić takiego, co jeżeli nie było dla Bierzyńskiego wprost szkodliwym, to przynajmniej z pewnością nie stanie mu się pomocnem.

Wysłuchawszy tych wiadomości, Annuncyata oparła się o kamienną galeryę i przez chwilę myślała; ale prędko zbudziła się z zamyślenia i zawołała ze smutkiem:

— Bóg to jeden wie tylko... ja już nie wiem, co myśleć! Wszystko to idzie jakoś tak dziwnie, jak gdyby cały ten gmach, już wzniesiony tak znacznie, albo miał powstać w całości od razu, albo runąć w gruzy na zawsze... Ale proszę cię, nie bądź na tym zjeździe pan Lenartowicz?

— Był, pani, zapomniałam powiedzieć — odpowiedziała Marta — był, ale się zaraz z wieczora skłócił z panem stolnikiem i odjechał.

— I odjechał... a pan Gałęcki tam nie był?

— Był także, ale ten został do końca.

— O! to kiedy tam pan Gałęcki był i dotrwał do końca — zawołała Annuncyata z pośpiechem — to tam się nie stało nic złego. Przy nim nie się stać nie mogło takiego, coby być mogło Józefowi przeciwnie... To mnie uspokaja zupełnie. Tylkoż jeszcze ten Dzierżanowski! Dlaczego on tu przyjechał? jak tu rozumiesz?

— Tego ja nie wiem, moja złota panienko; ale jakim



go obaczyła, krew we mnie zastygła. Och! to jakiś bardzo niedobry człowiek.

Tu nastąpiła chwilka milczenia, wśród której Annuncyata patrzyła nieruchomemi oczyma na Martę i była w ciągłym zamyśleniu. Zdawało się jakby w ogóle wielki nią miotał niepokój, jakby się odzywały w jej sercu obawa, trwoga i Bóg nie wie jakie niedobre przecucia, ale jakby się siłła zarazem wszystko to uspokoić rozumem i obudzić w sobie to przekonanie, że te wszystkie obawy są próżno. — Jakoż się otrzeźwiła niebawem i rzekła głosem pełnym ufności:

— Nie! to być nie może... Józef jest za nadto ostrożny, Józef ma rozum. A że się ma na baczności i nie zasypia swych obowiązków, najlepszy dowód mam w tem, że już od dwóch dni nie był na zamku.

Tymczasem kiedy kasztelanka wymawiała te słowa, dał się słyszeć silny tętent w dziedzińcu. Zarazem wbiegło pachołe służebne w galeryę, zapowiadając: że pan marszałek przyjechał.

Na tę wiadomość Annuncyata wpatrzyła się wyteżonymi oczyma we drzwi, — kasztelan obudził się ze snu i przyłożywszy drżącą rękę do czoła, patrzył, coby to było? — Panna ksieni oderwała także oczy od książki — a tymczasem wszedł na galeryę Bierzyński.

Oczekując jego zjawienia się teraz i wiedząc, jakie jest jego położenie obecne, Annuncyata spodziewała się pewnie jakiejś sceny nadzwyczaj żywej. Zdawało jej się, że jej obłubieniec, nagłony ważnością za łada chwilę nadejść mogących zdarzeń, wpadnie tu niespokojny, drżący z niecierpliwości, że jej do nóg się rzuci, że będą łzy, jęki, żale, jakie zazwyczaj towarzyszą pożegnaniom takim, w których wyrwywają nas z objęć drogich nam osób obowiązki tak ważne i niebezpieczne, jak obowiązki żołnierza w wojnie; ale przeciwko wszelkiemu jej spodziewaniu stało się tu zupełnie przeciwnie. Bierzyński bowiem wszedł tak spokojny na pozór jak nigdy i zbliżywszy się do niej krokiem aż do znudzenia powolnym, ujął ją w milczeniu za rękę, którą do ust przycisnął. Niespodziewany ten spokój w to-

warzystwie pewnej uroczystej powagi, którą przyniosła ze sobą ta chwila, zdawał się Annuncyacie na pierwszy rzut oka bardzo pocieszającym zjawiskiem, odezwało się nawet w jej sercu jakby przecucie radości, — ale kiedy uczuła jego dłoń tak gorącą jak rozpalone żelazo, kiedy uczuła drżenie w tej dłoni tak silne, jak u chorego w gorączce, jakoś dziwnie jej się zrobiło. Popatrzyła w twarz jego — a w tej twarzy był wyryty ból tak głęboki, co więcej, była wymalowana rozpacz tak sroga i wielowładna, że zdawało jej się, jakby to była twarz nie żołnierza przed bitwą ale człowieka skazanego na śmierć, na chwilę przed egzekucją.

Powiadają, że czasem ludzie, ale częściej jeszcze żołnierze w chwili przed bitwą, miewają jawne przecucie śmierci. Niektórych obejmuje natenczas jakaś cikliwość tak dziwna, jakiej nigdy nie doświadczali w życiu, — drudzy uczuwają niezwykłą żądzą rzucenia się właśnie w to miejsce, gdzie dla nich śmierć jest przygotowana — innych owłada wtedy rozpacz tak silna, że byliby wstanie zadać sobie śmierć własną ręką — wszyscy oni przezwyciężają takie przecucie rozumem i silną wolą i ze zwykłą sobie odwagą rzucają się niebezpieczeństwu w objęcia — wraca im wtedy zapał, energia, siła, a owej wewnętrznej trwogi, owego złowrogiego przecucia nie masz już w nich ani śladu, — ale wszystko to nie pomaga, a przeczuwana śmierć przecież w końcu przychodzi i odnosi zapowiedziane dla siebie zwycięstwo. Być tedy może, że takie lub podobne przecucie miał w tej chwili Bierzyński, — być może, że to przecucie udzieliło się Annuncyacie... Cokolwiekbądź, to jednak pewna, iż kasztelankę objęła w tej chwili taka straszliwa trwoga, że jej krew w żyłach zakrzepła, bicie serca na chwilę ustało, a usta mimowolnem się ścięły milczeniem...

Tymczasem Bierzyński, przyciskając coraz silniej do ust swoich jej rękę, drżał coraz mocniej, jego usta stawały się coraz gorętsze — a nareszcie wytrysnęły mu z oczu tak obfite strumienie łez, że mu twarz całą zalały.

Zdawało się, jakby mu serce pękło w tej chwili i rozdarła się dusza jego pod nawalem boleści...



Ale boleść prawdziwie wielka, choć w nieświadomem zrodzona źródle, bywa zazwyczaj krótka.

Toż i cała ta scena, tak zupełnie milcząca, a przecież tak bardzo wymowna, trwała li krótką chwilę.

W kilku minutach Bierzyński otarł łzy z oczu, zacerpnął pełną piersią powietrza i zdawał się być już zupełnie spokojnym. Ciężarna gromami chmura, która się pokazała na jego niebie, grożąc strasliwymi błyskawicami i burzą, skropiła tylko rześistym deszczem spieczoną ziemię — i przeszła. Zabijająca duszność zniknęła — a na jej miejscu zostało się świeże i orzeźwione powietrze...

Takiego samego uczucia doznała także i Annuncyata.

Odetchnawszy trochę swobodniej, podniosła oczy ku niemu i spytała nieśmiało:

— Cóż się dzieje?

— Co się dzieje? — powtórzył Bierzyński jeszcze w zamyśleniu cokolwiek... lecz dodał całkiem przytomnie, — różne rzeczy się dzieją, ale nie masz nic w nich nadzwyczajnego.

— Nic? — spytała kasztelanka, — skądże te łzy?

— Już ich nie ma, — odpowiedział Bierzyński, — chodźmy do ojca.

To mówiąc, zbliżył się do kasztelana i mimowoli pociągnął Annuncyatę za sobą.

Zacny staruszek teraz już ciągle i coraz więcej się chylił do grobu. Każdy dzień prawie przynosił jakąś zmianę dla niego, każdy dzień go więcej przygarbiał, osłabiał fizycznie i ubezwładniał moralnie. Odstępowała go teraz już pamięć, opuszczała już często nawet przytomność umysłu, a co najgorsza, opanowywała go teraz coraz więcej jakaś dziwna, często zupełnie martwa, obojętność na wszystko. Rozmawiając z nim nieraz, zdawało się, jak gdyby duch tego starca już oddawna był za światami i w blakające się jeszcze po ziemi ciało wstępował tylko natenczas, kiedy tego była konieczna potrzeba. Zresztą o wielu nawet i ważnych rzeczach rozmawiał tylko mechanicznie i z obojętnością zupełną...

Teraz, obaczywszy Bierzyńskiego przed sobą, przypatrzył mu się i rzekł:

— Cóż tam panie Józefie?

— Panie kasztelanie, — odpowiedział Bierzyński, — od dwóch dni przychodzą nam coraz ciekawsze nowiny...

— Cóż tedy?

— W okolicach Sieradza, — zbierają się liczne wojska nieprzyjacielskie i ściągają się ku nam. Jeżeli się nie zatrzymają w swoich dotychczasowych marszach, to zapewne jutro a może jeszcze i dzisiaj będziemy mieli walną z nimi utarczkę.

Staruszek myślał nad tem przez chwilę, jak gdyby pamięć swą trzeźwił a potem spytał:

— I dasz im pole?

— Dam bez żadnego wątpienia, chyba... chyba żeby tymczasem jakie inne zaszły okoliczności.

— Gdzież tedy?

— Dam im pole na naszej granicy. Oprę się plecyma o lasok brzoźowy, prawe skrzydło posunę aż do samego zamku i jeżeli Pan Bóg pomoże, to jedną połowę słułkę przy samym obozie, a drugą wrzucę do Warty.

W tej chwili wszedł wojski w galeryę, stanął we drzwiach i zaczął słuchać tej konwersacyi. — Tymczasem staruszek pomyślawszy znów chwilę, rzekł:

— Będziecie mi tu pukać pod samemi oknami... Ale owszem, byle tylko Pan Bóg poszczęścił. Będę widział bitwę choć z okna...

— Chciałbym, ażeby było co widzieć, — rzekł na to Bierzyński, — *belli et iuris dubius eventus*, ale mam przecie nadzieję, że jakoś to będzie.

— Panie marszałku dobrodzieju, — odezwał się na to wojski, — kiedy już tak być musi koniecznie, żeby się ta bitwa odbyła tutaj, to możeby też i nam trzeba o czem pomyśleć.

— Otóż o to tu idzie, — rzekł spiesźnie Bierzyński; — nie myślę ja o tem, żeby się mogło co dostać zamkowi, bo już ja go sam z oka nie spuszczę, ale do brze jest zawsze mieć się na ostrożności...



— Panie marszałku! — przerwał wojski porywco, — stary ja jestem i już się dawno nie wojowało, ale mi jeszcze wojaczka nie wywietrzała z pamięci. Jakoż tak mówię, że doskonałeś to pan dobrodziej wymyślił, iż na tem miejscu chcesz przyjąć gości. Bo ty możesz z całym twojem wojskiem ukryć się częścią w lesie brzozowym, a po części za lasem. Oni nie mogą przyjść kędy indziej, tylko głównym gościńcem. Kiedy wejdą, wysuniesz prawe skrzydło tu ku zamkowi, lewe zaś ku wsi Gozdawce, a okrążywszy ich tym sposobem, bijże więc wtedy, co się podobą! A już tu bić można wówczas jak po pierzynie, bo co nie nabijesz, to pewno skąpiesz. Już tu więc o tem nie mówić, bo rzecz sama za siebie mówi. Ale trzeba to wiedzieć, że różnie sobie poczyną bity. Jeden więc krzyczy, drugi się broni, trzeci się prosi a czwarty zasie ucieka, a przy okazji mści się. Anoż więc rozważywszy to sobie z panem obożnym, tak ja rozumie, że kiedyby z pola puciekali niektórzy, to już nie mogą uciekać gdzieindziej, jeno prosto na zamek; bo najpierwej, łatwiej uciekać na dół niżeli do góry, a powtóre i skrzydło prawe waszmości, jako raczej obronne, będzie zapewne słabsze, niżeli lewe, które będzie zaczepne. Owo więc na to, co ja sobie tu wymyśliłem. Zbiorę sobie jakie półtorej setki ludzi, uzbroję ich jakotako i nimi sobie zamek osadzę na ten wypadek, gdyby nas którzy z uciekających chcieli napadać. To jest rzecz jedna. Po drugie opatrzyłem sobie śmigownice na naszej baszcie, dam tam i ludzi, dodam amunicji i kiedy się okazała po temu zdarzy, będę parzył ichmościów z góry okrutnie. To jest rzecz druga: a nareszcie zbierze się tu kilkadziesiąt konnych, których dam pod komendę Jawnuty, Jawnuta tego się jeszcze trzyma i zna się dobrze na podjazdowej wojnie; wrzecie tedy potrzeby zrobi się i wycieczka. A co, panie marszałku? — zapytał wojski, zacierając ręce z radości.

— No! — rzekł na to Bierzyński — słuchajże waść, co powiem. Pierwsze i drugie jest dobre, ale trzecim daj waszmość pokój. Ludzi mieć uzbrojonych na zamku i parzyć z armat, kiedyby się które oddziały nieprzyjacielskie

zbliżały, to dobrze; ale wycieczek robić nie trzeba. Więcej mówić nie potrzebuję, bo waszmość masz przecie rozum i wiesz o tem dobrze, że mała wycieczka tylko małe przynosi korzyści, ale kiedy przyniesie szkodę, to już pewno nie małą. Miłoby to było waszmości, gdybyś na karku wycieczki przyprowadził gości do zamku?

Wojski pomyślał nad tem i rzekł:

— Ot! i to racya.

— A zresztą — dodał do tego Bierzyński — gdybyś i chciał zrobić wycieczkę, to nie potrafisz, bo cały mój tabor, którego będzie pewnie sto wozów albo i więcej, na czas przed bitwą i przez cały czas bitwy, zawali wszystkie wejścia do zamku z tej strony.

W tej chwili kasztelan, do tego czasu jeszcze wciąż tylko w połowie przytomny, nietylko się całkiem rozbudził, ale się nawet ożywił, jakoż zwróciwszy się do wojskiego, rzekł dosyć dobitnie:

— Co też to waszmości panie Jacenty, roją się za koncepty! Jeżeli cię skóra świerzbi, to się oddaj panu Józefowi, a on ci tam pewnie takie miejsce wynajdzie u siebie, gdzie będziesz się mógł naborykać do syta; ale czy też kto widział, zaczynać wojnę zaczepną za murem? Nie, tylko więc na żadne nie pozwolę wycieczki, ale i z baszty nie dam parzyć nikogo aż póty, póki się sam nie przekonam na własne oczy, jak rzeczy stoją na polu bitwy. Bo to niejednokrotnie się zdarza, że nieprzyjacieli już niby się kładzie, a on przecież się potem jeszcze tylko o tyle lepiej podniesie, a kiedy się z ziemi podniesie, dobrze więc płaci tym, którzy go turbowali w upadku. A o cóż też łatwiej, jak pomścić się na takim zameczku, który, kiedyby go chłop dobry kopnął podkówką, toby go w gruzy powalił? nuż dopiero parę strzałów armatnich?.. Gdybym więc był sam tylko z waścią i drugimi dworzany, to wiem, co bym zrobił: ale trzeba na to pamiętać, że mamy tutaj kobiety.

Tak mówił teraz staruszek, który, lubo już ożywiony, był jeszcze jednak w nieosobliwym humorze.

— Tak jest istotnie — rzekł na to prędko Bierzyński.



ski — strzelać nie trzeba, aż póki ja nie dam wiedzieć, że można.

Wszakże równocześnie z nim Annuncyata, przystępując do ojca, rzekła z żywością:

— Mój ojciec? jeżeli o nas tu chodzi, to wcale niepotrzebna ostrożność. Czyż my nie potrafimy znieść huków armat? albo czyż wreszcie nie możemy się usunąć w podziemia?

— Daj no pokój, moja panno rycerko — rzekł na to kasztelan, wstając i przyciskając córkę do piersi — wiemy my, co tu zrobić należy i zrobimy wszystko jak trzeba. — Obróciwszy się zaś do Bierzyńskiego, zapytał: — Więc tedy już na dziś wieczór spodziewasz się gości?

— Mogą nadejść jeszcze i dzisiaj.

— Jest tu u mnie wszystko oddawna w porządku — rzekł na to już trochę weselej kasztelan — ale kiedy tak już blizkie niebezpieczeństwo, trzeba być pogotowiu. Pannie wojski! każ tedy ludziom stanąć pod bronią, osadzić zaraz basztę i mur północny, rozdać prochy i kule, a starszyzna niech się zgromadzi w sali; ja tam sam wyjdę do nich i dam dyspozycję. Każ też wina nanosić, żeby było czem rozgrzać zapleśniałą fantazyę...

Ale właśnie kiedy tych słów domawiał kasztelan, wpadł na galerię imię pan starosta bydgoski. Pan Gałęcki był tak zadyszany i nawet zmieniony na twarzy, iż nie można było wątpić o tem, że go jakieś ważne przypędziły tu sprawy; widać także było po nim, że tylko Bierzyńskiego tu szukał, kiedy go bowiem obaczył, nie zważając wcale na inne osoby, zaraz do niego przystąpił i zawołał z pośpiechem:

— Ach! przecież też pana znajduję! Czy wiesz waszmość, co się więc dzieje?

— Nie wiem, o czem pan starosta chce mówić — rzekł na to chłodno Bierzyński.

— Wiesz, że kilka tysięcy wojska ciągnie odrazu na ciebie? że jeszcze dzisiaj zapewne tutaj dociągną?..

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to Bierzyński —

pan starosta dobrodziej wybory jesteś z swoją nowiną! cóżby też za osobliwy był ze mnie dowódcą...

— No, ja się też spodziewałem, że ci to będzie wiadomo; ale proszę cię... bo mam ci jeszcze co innego powiedzieć:

To rzekłszy, wziął go pod ramię, a odprowadziwszy go w kąć galerii, tak mówił:

— Proszę cię, panie Józefie, przywożę ci ważne wiadomości. Wiesz pewnie o tem, co się dzieje na polu, bo od tego masz twoje podjazdy, ale nie wiem, czyli wiesz także co się dzieje po domach? Czy słyszałeś tedy co o wczorajszym zjeździe u pana stolnika?

— Nie, o tem nie wiem. Cóż to było takiego?

— I nie nie wiesz o żadnych wyrokach jeneralności?

Bierzyński zastanowił się chwilę, lecz odpowiedział:

— Nic i o tem nie wiem.

— Słuchajże mnie z uwagą, bo ci to trzeba wiedzieć koniecznie. Tedy najpierwej wiedz o tem, że zostałeś łaniebnie oczerniony przed jeneralnością, która teraz jest w Białej. Oskarżenia te zostały do tego stopnia różnymi pozorami uprawdopodobnione, iż jeneralność wydała na ciebie wyrok: mocą którego powołuje cię do siebie na sądy, a tymczasem każe ci oddać wojska twoje pod komendę Zaremby. Jeneralność nominowała zarazem Zarembę jeneralnym marszałkiem. *In vim* tej nominacji, Zaremba już otwarcie wystąpił, ale się powstrzymuje jeszcze z dalszym działaniem, bo nie ma ludzi. W celu ich zgromadzenia porozumiewa się przez swoich agentów z wszystkimi powiatami tutejszych okolic i porozumiał się już naprzód z Morawskim, Ulejskim, Gogolewskim i innymi wodzami okolicznych konfederacji. Jakie to jest porozumienie, nie mogłem się dokładnie dowiedzieć, rzeczą jest jednak pewną, że mają oni coś takiego na celu, co nietylko ciebie z pewnością dotyczy, ale co, jak się domyślam, jest w bardzo blizkiej styczności z wyrokiem jeneralności dla ciebie. Wnoszę to zaś najpierwej stąd, że agentem Zaremby w tych stronach jest imię stolnik Szadkowski, który nie jest twym przyjacielem; powtóre stąd, iż Morawski, Ulejski i inni



nadciągnęli milezkiem w te strony i rozproszywszy się po wsiach, na coś widocznie czekają, a sami tymczasem siedzą wciąż u stolnika; a nakoniec wiem już dowodnie stąd, iż dnia wczorajszego odbył się zjazd u tegoż stolnika. Na tym zjeździe było cokolwiek szlachty z okolic, było mnóstwo konfederatów, byli nareszcie i wysłańcy Zaremby. Na tym zjeździe tedy chodziło o to, ażeby Zarembę obrać marszałkiem sieradzkim. Obiór ten zdaje mi się, jest mu na to potrzebnym, ażeby miał tytuł legalny wobec tegoż województwa do objęcia komendy nad jego konfederacją, która obecnie jest pod twoją komendą. Otóż forytowano to na tym zjeździe wszelkimi siłami, opierając się na nominacyi jeneralności na rzecz Zaremby, — i byłoby to może i doszło, bo na nieszczęście było tam nader mało naszej szlachty, a mnóstwo jakichś nieznanych ludzi, niesłuchanie przeciwko tobie zawziętych, — ale znowu na szczęście był tam Lenartowicz, który z ognistym forworem stanął w twojej obronie, wszystkich tych, którzy nominować chcieli innego marszałka, póki ty nim jesteś, nazwał zdrajcami i tym sposobem przecie jakoś tego obioru nie dopuścił. Ale już tu widocznie zakrojono na ciebie. Kiedy bowiem mocya upadła, wniesiono inną, a to taką: ażeby tymczasowo zaprotestować przeciwko tobie i oświadczyć aktem publicznym, że najpierw: ty nie jesteś legalnym marszałkiem sieradzkim, bo cię nikt nie obierał, a powtóre: że województwo nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za twoje sprawy. Temu znowu sprzeciwił się Lenartowicz i ja i kilku innych, ale kiedy Lenartowicz, skłóciwszy się ze stolnikiem i wyzwawszy go na rękę, odjechał, myśmy już sami nie mogli dać rady. Ja się położyłem krzyżem na ziemi i modliłem na wszystkie Bogi, abyśmy sobie sami nie wyrządzali takiego wstydu, ale już i to nie pomogło. Obsypyany najgwałtowniejszymi wyrzutami i nieledwie bluźnierstwami, musiałem powstać i uciec, bo się też brano już i do szabel. A po moim odjeździe, coś taki spisano i zaniesiono do grodu. To tedy ci miałem powiedzieć — a kończę w sposób następujący. Idź i bij się, jak umiesz. Nie wątpię wcale, że zwyciężysz teraz tak

samo, jakieś dotąd zwyciężał. Jeżeli tedy zwyciężysz, nie mam co mówić, bo będziesz sam wiedział najlepiej, jak masz sobie postąpić; ale jeżeliby ci się, Boże uchoвай! noga powinęła tym razem, to wiedz o tem, że i tak jeszcze nie zginiesz, bo ja cię wyratuję i znów postawię na nogi, a to w ten sposób. Jak tylko się dowiem o twojej klęsce, zaraz całą szlachtę zwołuję do siebie i proponuję wybór nowego marszałka i postawienie nowej konfederacyi. Szlachta się zjedzie bez żadnej kwestyi i równie bez żadnej kwestyi mnie obierze marszałkiem. Ja się tedy dam obrać, zgromadzę sił jak najwięcej, a potem tobie oddam to wszystko. Jeżelibyś więc został pobitym, to zgromadziwszy twe resztki, trzymaj się przez dni kilka gdzieś niedaleko a tymczasem porozumiewaj się ze mną. Oto jest rzecz.

Wysłuchawszy tego opowiadania Bierzyński, poszedł za pierwszym popędem serca i jak zawsze w takim wypadku, postąpił sobie i rozsądnie i pięknie. Ujął bowiem rękę starosty, wstrząsnął nią silnie i rzekł:

— Dziękuję panu z całego serca za tyle szczerzej dla mnie przyjaźni. Mam tę nadzieję, że rzeczy te pójdą innym zupełnie torem; ale jakkolwiekby, trza mi tu jechać!

To rzekłszy, ruszył się raźnie z miejsca, szukając oczyma swojej misiurki.

Ale tymczasem Annuncyata, która tę rozmowę niemal w całości słyszała, bo starosta rozmawiając z Bierzyńskim, wrócił był nazad na środek galeryi, nawinęła się Bierzyńskiemu na oczy. Przystąpiła ona ku niemu nie na to, aby go powstrzymać, ale owszem przeciwnie złożyła ręce i rzekła głosem stłumionym:

— Jedź już, jedź, każda chwila tu droga!

Obaczywszy ją wszakże młody marszałek, sam się powstrzymał i musiała w tej chwili znowu jakaś rozdzierająca boleść ścisnąć mu serce, bo stanął nagle jak wryty, zbladł jak ściana i zachwiał się tak dalece na nogach, że mimowoli oparł się o galeryę.

Annuncyata była także w tej chwili do najwyższego stopnia wzruszoną, ale miała przynajmniej tyle mocy nad



sobą, że widziała to jego omdlenie pod nawalem boleści i patrzała na niego jakby pełnemi trwogi oczyma. — Taka przewaga, jakiej on dopuszczał swemu uczuciu nad sobą, napełniła ją trwogą; ale ta trwoga była dopiero w sercu i nie śmiała jeszcze się objawiać przez usta... Trwała więc chwilka milczenia.

W tej chwili Gałęcki przeszedł na drugą stronę galerii, aby kasztelana powitać... a tymczasem Bierzyński ujął Annuncyatę za rękę, znowu ją do ust przycisnął i znowu zalał się łzami.

Jednakże czuł on zapewne, jak niewłaściwe były w jego oczach, bo patrząc na swoją oblubienicę, która mu na to wszystko odpowiadała łkaniem, ścisnął ją z całej siły i rzekł przytłumionym głosem:

— Bądź zdrowa! — Bóg wie, co z nami będzie... Zdaje mi się, jakbym cię nigdy już nie miał obaczyć!...

Wszakże te rozpaczliwe słowa, wypowiedziane przez słabego męża, sprawiły na silnej kobiecie wcale przeważne wrażenie. Jakoż zyskała ona natychmiast siłę nad sobą i rzekła:

— O! nie wierz temu! Nie masz omylniejszego na świecie, jak nasze wszystkie przecucia. Wierzyć w nie niegodzi się nikomu, a wstydy ich się powinien rycerz chrześcijański, walczący w obronie wiary! Dlatego idź i wierz tylko, że ani jeden włos z twojej głowy nie spadnie bez woli Boga! Idź — ja jestem na wszystko gotowa! Gotowa szukać ciebie po całym świecie, gdybyś był zwyciężonym, — gotowa dzielić więzy, śmierć lub wygnanie, gdybyś uległ przemocy, — ale gotowa wzgardzić tobą i odepchnąć cię własną ręką od siebie, gdybyś uległ słabości! Idź i miej litość nademną...

Tu wszakże Bierzyński podniósł lewą rękę do góry, a prawą ścisnął jej rękę tak silnie, jakby ją chciał zgruchotać. I przez chwilę trzymały się tak te ręce, jakby były zrośnięte ze sobą. Jednakże wkrótce odskoczyły od siebie tak nagle, jakby je mieczem kto rozciął — a Bierzyński, nie pożegnawszy nikogo, wybiegł jak błyskawica z galerii.

Widząc to stary kasztelan, przerwał swoją z Gałęckim rozmowę i spytał:

— Oóż tam znowu takiego?

Ale w tej chwili Annuncyata, zwyciężona nareszcie naturalnem uczuciem, w głośny płacz wybuchnęła i upadła bezwładna w objęcia mniszki.

Takie było pożegnanie Bierzyńskiego na zamku.

Jakkolwiek tedy miłość jego dla kasztelanki uczyniła go w czasach ostatnich trochę obojętniejszym dla sprawy publicznej, jakkolwiek nawet z tego powodu dopuścił się wielu zaniedbań w samych obowiązkach, — jednakże w gruncie rzeczy powód ten sam przez się jeszcze żadnych szkód mu nie przyniósł, a jeżeli nawet mu przyniósł jakie, to położenie jego w tej chwili, pomimo wszystkich okoliczności, było jeszcze tego rodzaju, że mógł zeń wyjść nie tylko bez żadnego uszczerbku na swojej sławie, ale nawet dowodny kłam zadać temu wszystkiemu, co gdziekolwiekby było przeciw niemu w obiegu. W tej chwili bowiem miał on blisko czterech tysięcy wyćwiczonego i porządnie uzbrojonego wojska, — miał rzeczywiście silną i szczęśliwą pozycję — i wyjechał ze zamku pełen zapалу, energii i przedsięwzięcia wyteńczyć wszystkie swe siły ku temu, aby jak najpiękniejsze odnieść tu i nad sobą i nad spodziewanym nieprzyjacielem zwycięstwo. Chodziło więc tutaj już tylko o to, aby w tem przedsięwzięciu wytrwać do końca i nie dać się zachwiać lub zwalczyć żadnym innym przeszkodom, jakieby się mogły skądinąd pojawić...

Jakoż postępowanie jego było zrazu jak najodpowiedniejsze temu celowi. Wsiadłszy bowiem w dziedzińcu zamkowym na konia, popędził prosto do swojego obozu. Ważność chwili, uczucie obowiązku, ruch, świeże powietrze, otrzeźwiły go całkiem z tej odmąglającej boleści, która go oślawiała przy pożegnaniu. Przyjechał na miejsce trzeźwy, rażny, przytomny, jak bywał zawsze przed bitwą. Jakoż z zwykłą sobie energią rzucił się zaraz do przygotowań ostatnich...

Ale tych przygotowań było już wcale niewiele. W tej chwili bowiem cały obóz już był zwinięty a namioty



i inne obozowe bagaże upakowane na kilkudziesięciu wozach, które czekały tylko dalszego rozkazu. Wojsko całe stało pod bronią, kawalerya przy koniach, artylerya przy działach, — tylko obozowa starszyzna zabawiła się jeszcze kielichem. — Dzierżanowski bibuła kazał poustawić kilka stołów na środku obozu, dał kieskę złota żydkowi z mурowanej gospody, a dostawszy za to rozmaitych kordyałów bez miary, pił jak beczka dziurawa z panami bracią, sam przepijał do wszystkich wołając: — pij panie bracie! kto wie, czyje jutro? — Nie zapomniano przytem i o żołnierzach i dostarczono każdej kompanii jakąś beczulkę, która ją piła pod zatkniętym sztandarem. Traktament ten musiał być suty i musiał trwać już z godzinę, bo kiedy Bierzyński nadjechał, odzywały się wszędzie dosyć głośne wiaty, ci i owi brali się wzajemnie w ramiona, a Dzierżanowskiego już noszono na rękach. Jakoż kto wie na czemby się to było skończyło, — ale tymczasem nadjechał Bierzyński.

Wjechawszy w obóz, zatrzymał się o kilkanaście kroków od zgromadzonej około stołów starszyzny, zeskoczył z konia i zbliżył się do niej. Dzierżanowski podbiegł ku niemu.

— Dobrze to robisz, panie Michale — rzekł do niego Bierzyński — że traktujesz żołnierzy, ale proszę o miarę.

— To tylko podsypka — odpowiedział Dzierżanowski, który był w doskonałym humorze, ale miary wcale nie przebrał.

— Cóż tedy słyhać? — pytał Bierzyński.

— Cicho jeszcze jak mak siał.

— Czy wróciły podjazdy?

— Już z godzinę, jak powróciły, ale nie widziały nikogo. Jest tylko wiadomość taka, jakoby dziś rano jakaś potyczka miała miejsce stąd o trzy mile, w kierunku ku Wieluniowi, ale kto i z kim, tego nie wiedzieć. Powiadają, że był tam Morawski...

— To nas mało obchodzi na teraz... czy wyprawiliś nowe podjazdy?

— Nie jeszcze.

— A! proszę ciebie!... zaraz wyprawić.

To mówiąc, zbliżył się do starszyzny i natychmiast zaordynował podjazdy.

Kiedy podjazdy wyruszyły każdy w swą stronę, Bierzyński zgromadził oficerów sztabowych i przemówił do nich krótko i węzłowato w te słowa:

— Mości panowie! Jak ważną bitwę mamy tutaj przed sobą, nie potrzebuję wam tego powiadać; albowiem każdy to widzi, że bitwa ta będzie wstępem do dłuższej wojny, która poprowadzona szczęśliwie, może nam jeszcze daleko więcej przysposobić pożytku i chwały, niżeliśmy jej zyskali dotąd. Zwyciężając koleją, możemy zniszczyć kilkanaście tysięcy nieprzyjaciół do szczeru, wzrósć do podwójnej siły i oczyścić w krótkim czasie kilka województw. Zwyciężyliśmy wtedy, kiedyśmy byli słabi, odarci i nieledwie bez broni: za cóżbyśmy nie mieli zwyciężyć teraz, kiedy jesteśmy silni, uzbrojeni, okryci? — Dziś zwyciężymy jeszcze tem pewniej, bo mamy tutaj tak szczęśliwą pozycję, że gdyby na nas uderzyły potrójne siły, muszą się o nas rozbić i uleść! Ażeby się to jednak stać mogło z pewnością, trzeba nam wczas zająć to stanowisko, bo panowie regaliści lubią zaczynać z wieczora. Jakoż tak sądzę z pewnością, że chociaż ich jeszcze teraz nie widać, o zachodzie słońca pokażą nam się ich pierwsze podjazdy. Gdyby zaś dzisiaj nie przyszli, to my na tem nie tracimy; postojmy do zmroku a jutro trafi każdy o tyle łatwiej na swoje miejsce! — Proszę więc panów powiadać na koń i pozajmować swe miejsca; pan Dzierżanowski, Bogusławski, Zembrzusi i panowie adjutanci zostaną przy mnie.

Przemowa ta Bierzyńskiego została przyjętą z zapalem, wszyscy bowiem byli tego przekonania, że jeżeli nie walna bitwa, to przynajmniej jakieś harce przedwstępne, zaczną się dzisiaj. Widząc zresztą energię, determinację i już znaną przezorność w Bierzyńskim, nabrano jakby nowej ufności ku niemu i wogóle dobry duch dawał się widzieć w starszyźnie.

Tymczasem Bierzyński kazał sobie świeżego dać konia.



A miał on konia, ulubionego przez siebie nad wszystkie inne. Był to ogier wiśniowo-gniady, o trzech nogach białych po kostkę i z wąską strzałką na czole. Według wiarogodnego podania, miał to być jeden z najsławniejszych koni w ówczesnej wojnie. Rosły był, pierś miał jak basztę, główkę maleńką, chrapkę rozdartą, oko pełne ogniste, grzywę długą cieniutką. wyniosłość prawie łabędzią, a krzyż szeroki i równy jak łóżko. Koń ten, kiedy stał w stajni przy żłobie, zdawał się nie wart trzech groszy. Głowę miał wtedy spuszczoną, uszy obwisłe, szyję wychudłą, boki jakieś zapadłe — i trzeba to było jakiegoś osobliwego znawcy, żeby nań zwrócił uwagę. Na wyprowadzeniu także nie okazywał się tem, czem był w samej istocie, — nawet pod jeźdźcem jeszcze nie odznaczał się niczem nad zwyczajnego pięknego konia, — ale kiedy Bierzyński go dosiadł, kiedy koń poczuł żołnierza w pancerzu i hełmie na sobie, a do tego jeszcze kiedy obaczył wyciągnięte błyszczące szeregi, kiedy strzały usłyszał i rozwijające się dymy obaczył: wtedy dopiero jak gdyby inna dusza wstąpiła w niego, najpiękniejsze dotychczas konie wyglądały przy nim jak muły, on był ich hetmanem, on królem. Jednak nie tylko na zewnętrznej postawie zależało jego pierwszeństwo, ale głównie na cnotach jego, które okazywał dopiero w bitwie. Był on bowiem tak zwrotny jak najrzęczniejszy skoczek na linie, a przy tem tak pewny w nogach, że nigdy nie zdradził; jego szybkość i skoki przyprowadzały niemal ośm osób o znakomitą przegraną; najcięższe trudy i prace wytrzymywał z najlepszą fantazją, podczas bitwy był jakby duszą zrośnięty z Bierzyńskim, a jego osobista waleczność w szarżach przechodziła wszelkie pojęcie. Koń ten pochodził z dawnego i sławnego stada książąt Sanguszków, Bierzyński go dostał jeszcze żrebcem trzyletnim od księcia ordynata w prezencie, sam go wychował, wyjeździł, wypieścił, przywiązał i przyzwyczaił do siebie, i nazwał go Ordynatem. Za tego konia, jeszcze kiedy Bierzyński służył w chorągwi, pan Proskura dawał mu sześć koni ze swego stada, a Potocki, starosta smotrycki, tak się zapalił, że ofiarował mu wioskę za

niego: ale Bierzyński obydwóch tych panów przeprosił i przy koniu pozostał. Nie byłby go też oddał za żadne skarby, bo nie znał nigdzie lepszego konia; na nim wszystkie odbywał kampanie i przywiązał się z takim do niego przesądem, iż się nie wahał utrzymywać otwarcie, że kiedy w tyłu potyczkach i bitwach nie został jeszcze ani razu ranionym, ma to do zawdzięczenia tylko swemu Ordynatowi. To też przy jego znanej nam już do przesądów skłonności, służba wojenna bez Ordynata zaledwieby mu była możebną...

Teraz wszakże przyprowadzono mu go i podano w ten moment. Kiedy go dosiadł, rycerski koń wspiął się wspinalnie, spojrzał rozwartem okiem na formujące się w dali szeregi i parsknął silnie dwa razy. W młodym marszałku fantazja jeszcze się lepiej podniosła, jakoż rzekł zaraz do otaczających go oficerów:

— Kiedy Ordynat parska, będziemy mieli gości dziś niezawodnie — i przyjmijmy ich dobrze.

To rzekłszy, ruszył ze swoim sztabem i zaczął objeżdżać szeregi.

Wszystko było w jak największym porządku. Szeregi pełne, broń czysta, twarze wesole, duch jak najlepszy. Objazd ten skończył się w pół godziny, poczem Bierzyński wyjechał ze sztabem swoim na miejsce cokolwiek wyższe i stąd wydając rozkazy, obznajmiał zaraz głównych dowódców ze swoim planem na dzisiaj.

Plan ten był taki sam prawie jak go się wojski domyślił. Każdy obznajmiony z miejscowością tutejszą musiał go się domyślić, bo wynikał on po prostu z natury rzeczy. Wojsko więc całe zostało podzielone na trzy oddziały. Pierwszego z nich, to jest środkowego korpusu, komenda została powierzona Dzierżanowskiemu, lewe skrzydło oddane pułkownikowi Bogusławskiemu, który u Bierzyńskiego nosił tytuł jenerała, — prawe zaś Zembrzuskemu. Zembrzusiński nosił także tytuł jenerała, chociaż funkcyjował zwykle jako oboźny i rzadko kiedy ważniejsze sprawował komendy; tutaj jednak dostał tak ważne dowództwo dlatego, iż najpierwej prawe skrzydło miało



funkeyować tylko odpornie, a powtórę że prawe skrzydło miało być niejako zasłoną zamku, a do spełnienia takiej biernej czynności, do której więcej trza było stateczności niż gorącej odwagi, sędziwy obożny: zdawał się Bierzyńskiemu najlepszym.

Stanowiska dla tych oddziałów zostały także tak oznaczone, jak to przewidział wojski. Wszystkie trzy miały się cofnąć ku drodze, prowadzącej od chaty Barnaby do zamku, przejść przez nią i zająć miejsce takie, ażeby przez nieprzyjaciela, przechodzącego drogą od północy, nie mogły być odrazu widziane. Do tego ukrycia się służył wybornie las brzozowy, rozścielający się po tamtej stronie drogi poza chatą Barnaby i przy niej. Dzierżanowski miał więc stanąć na środku a przy nim armaty, — przy samym lesie i ile możności w lesie Bogusławski, a to nawet w ten sposób, ażeby zostawił wolne pole działaniu armat, które miały rozpocząć bitwę, — Zembrzusi miał stać ile możności skupiony a rozwinać się w prawo dopiero wtedy, kiedy się nieprzyjaciel pokaże. Bierzyński zaś sam, oddzieliwszy dla siebie cztery szwadrony wyborowej jazdy, miał zająć stanowisko tuż przy Dzierżanowskim we środku, już dlatego, aby mógł tem łatwiej sprawować główną komendę, już uareszcie dlatego, aby tem raźniej mógł przybyć z sukursem tam, gdzieby tego była potrzeba.

Kiedy te wszystkie rozkazy zostały każdemu wydane po kolei i kiedy już Bierzyński, jak to miał zwyczaj, wyłuszczył każdemu wszelkie możliwe wynikiłości dla niego, — Dzierżanowski, który wedle wszelkich pozorów miał rzetelną i gorącą ochotę do bitwy, zatarł ręce i rzekł:

— A więc niema co robić, tylko wyruszać.

Na to, chłodny jak zwykle w takich razach, Bierzyński spojrzał na zegarek i odpowiedział:

— Ha! to i ruszać! Ale panowie wydajcie pułkownikom rozkazy a sami do mnie jeszcze powróćcie. Możemy tu jeszcze postać przynajmniej półty, póki nie wrócą podjazdy, albo póki czegoś nie usłyszymy. Stąd też i widać wszystko najlepiej.

W tej chwili była godzina szósta. Dowódcy się roz-

skoczyli w ten moment, ażeby swoim kolumnom wydać rozkazy marszu. W dziesięć minut wszystkie kolumny już były w ruchu — a do kwadransa wszyscy dowódcy i adjutantów byli już nazad przy Bierzyńskim. — W tej chwili owe cztery szwadrony jazdy, które Bierzyński dla siebie zostawił, także się tu przysunęły i stanęły opodal — na ich więc czele stojąc, rozmawiali ze sobą główni dowódcy, oczekując niecierpliwie chwili stanowczej.

Dla dokładniejszego zrozumienia dalszych wydarzeń, trzeba tutaj nadmienić, iż to miejsce, na którem obecnie stał cały ten sztab konfederalcki, było prawie tem samym miejscem, na którem przed tem stał namiot marszałka. Było więc stąd widać w oddali zamek kasztelana jakby na dłoni, było widać po prawej drogę prowadzącą do zamku, wszystkie te stanowiska, które miały być teraz zajęte i obsadzone, las brzozowy, za nim zagrodę Barnaby, kaplicę i dalej pola i lasy — po lewej miano murowaną gospodę i Wartę a za sobą murowany folwark i chat kilkanaście, należących do wsi Gozdawki. Ale powróćmy do zdarzeń.

Owo więc w tem miejscu, zabawiali się panowie dowódcy gawędką, patrząc na postępujące ku oznaczonym stanowiskom kolumny. W krótkiej jednakże chwili powrócił jeden z podjazdów. Ten wracał z drożyny wiodącej na zachód, dotarł w tym kierunku aż do wioski Wścieklicy, ale nie tam nie widział. Odesłano go więc do jego kompanii a zaordynowano drugi na jego miejsce i wyprawiono nazad w tym samym kierunku. Niebawem zjawił się drugi podjazd, a mianowicie ten, który przez wieś Gozdawkę wracał od północy. Ten także żadnego ruchu nigdzie nie widział, tylko zdawało mu się, jakoby słyszał strzelanie pod tą samą dąbrową, pod którą Bierzyński w dzień odjazdu Lenartowicza tak potężnie był potłukł mały oddział dragonii. Dowódca tego podjazdu dostał od Bierzyńskiego surową naganę za to, że sam aż do tego miejsca nie dotarł; usprawiedliwił on się jednak z tego w ten sposób, iż spotkał na drodze czterokonną karetę, którą konwojowała jakaś prywatna milicya, a ta milicya go upe-



wniła, że w owych stronach nie masz nigdzie żadnego wojska.

Usłyszawszy o jakiejś karecie, konwojowanej przez milicję nadworną, Bierzyński zaczął niezmiernie ciekawie wypytywać się o nią; ale dowódca nie umiał mu nic więcej odpowiedzieć, jak tylko tyle, że karetą tą jechała z wielkim pośpiechem, że dojechała aż do samej Gozdawki, ale w Gozdawce skręciła na bok i zdaje się, jakoby pojechała do dworu.

Wiadomość ta zaniepokoiła Bierzyńskiego widocznie. Zmienił się nawet trochę na twarzy, a spoglądając błędnie oczyma przed siebie, jakiś dziwnie był zamyślony. Kiedy go jego towarzysze, prowadząc dalej swoją gawędkę o spodziewanej bitwie, zapytywali jeszcze o te i owe szczegóły służby, odpowiadał im bez związku i widocznie był roztrągniony. Widząc to stary oboźny, jakby przeczuciem jakimś dotknięty, rzekł:

— Panie marszałku dobrodzieju! reszty naszych podjazdów jakoś nie widać, może ich pochwytano. Ruszajmy chyba na nasze miejsca.

Tu Bierzyński się ocknął i spojrzał najpierw na zegarek. Było już trzy kwadranse na siódmą. Patrząc na godzinę, myślał przez chwilę — poczem nagle jeszcze razniej się ocknął i rzekł z pośpiechem:

— Jedźcie panowie na swoje miejsca, ja tu jeszcze chwilę zostanę. Muszę widzieć co się dziać będzie...

Na te słowa oboźny zwrócił konia ku niemu, jakby chciał jeszcze coś na to powiedzieć, ale Bierzyński skinął ręką do niego i jego kolegów, ponawiając swój rozkaz. Na ten znak pokłonili mu się już tylko wszyscy trzej generałowie i rozbryzgnęli się w oka mgnieniu od niego, jakby ich nigdy nie było.

Bierzyński patrzył za nimi i widział, że każdy z nich spieszył na czoło swego oddziału, które wszystkie już stały teraz na swych stanowiskach. I widział wszystko dosyć dokładnie, bo lubo był od nich oddalony o parę tysięcy kroków, powierzchnia ziemi była tu tak lekko pochyła, że można było stąd widzieć nawet i dalej. Patrzył więc go-

łem okiem i patrzył znów przez lunetę, chociaż zapewne w tej chwili co innego miał w myśli...

Śród tego czasu dziwnie cicho było w powietrzu. Widząc to adjutanci, mówili sobie:

— Podobno próżna to nasza dzisiejsza robota, bo już i słońce się chyli, a jeszcze jakoś nie widać nikogo.

— Jeśli nadciągną — rzekł na to drugi, to się powstrzymają opodal i zaczekają do jutra. Bo i któżby też bitwę zaczynał po nocy, a jeszcze do tego na nieznajomej sobie przestrzeni?...

— I ja tak myślę — dodał do tego Bierzyński — że się odwlecze do jutra...

I chciał dalej coś mówić, chociaż ciągle był w zamyśleniu i z widoczną niespokojnością do koła siebie spoglądał — kiedy wtem dał się słyszeć tentent galopującego konia jakoby od murowanego folwarku, który był za plecyma dawnego obozu. Wszyscy się obejrzeni i obaczyli w samej istocie pędzącego ku nim jakiegoś człowieka na siwo jabłkowatym bachmacie od tegoż folwarku. W kilku sekundach człowiek ten już był przy nich. Był to dyspozytor z Gozdawskiego dworu, który przy samym Bierzyńskim konia osadził, pokłonił mu się i oddał mu małą kartezkę.

Bierzyński odebrał ją, rozwinął i zaczął czytać z pośpiechem. — Była to karteczka od jego matki, która mu pisała następujące słowa:

„W tej chwili pan podskarbi przyjechał. Wraca z Wrocławia i przywozi ze sobą nowiny tak ważne, jakich się sam nie spodziewał. Powiada z pewnością, że nasza sprawa weźmie odtąd całkiem inny kierunek. Ma ze sobą depeszę królewską, która ciebie obchodzi. Prosi więc i zaklina na wszystko, abyś koniecznie choć na kilka minut przyjechał. Od folwarku przez pola możesz być tutaj za trzy pacierze. Za godzinę odjeżdża.“

Kiedy Bierzyński tę kartkę odczytał, zmienił się prawie do niepoznania. Na jego twarz wystąpiło tysiąc kolorów, oczy zaczęły biegać jak w oblakaniu, a jego usta to się ścisnęły, to otwierały w połowie, jak gdyby im bra-



kowało powietrza. Zmiał wreszcie ową karteczkę w rękach, trąc je jedną o drugą, lecz z taką siłą, jakby je chciał umyślnie połamać. Widać było po nim, że się straszliwa toczyła w nim walka...

Nim jeszcze wszakże ta walka, kiedy niestety! już koniecznie musiała mieć miejsce, mogła się na którąkolwiek stronę przeważyć, niecierpliwy posłaniec odezwał się, uchyłając czapki cokolwiek:

— Jw. panie, pani kazała się spieszyć...

— To leć! — krzyknął na to Bierzyński, nabiegając krwią cały.

Posłaniec zwracał już konia. Ale Bierzyński zawołał:

— Czekaj!

To rzekłszy, stał przez chwilę w milczeniu. Potem się podniósł w strzemionach na koniu i patrzył po okolicy.

Ale dokoła, tak na ziemi, jak i w powietrzu, była taka cisza, jak gdyby w grobie. Bierzyński spojrzał na zegarek: była godzina siódma.

Obrócił się więc, krzyknął do swoich szwadronów: — za mną! — i dawszy koniowi ostrogę, ruszył ku folwarkowi. Adjutanci i szwadrony ruszyły za nim.

Atoli ledwie dojechano do bramy folwarcznej, co wynosiło kilka zaledwie stajen — kiedy wtem dał się słyszeć jak gdyby strzał działowy w oddali. Bierzyński tego strzału nie słyszał, bo był zapewne oszołomiony swojemi fatalnemi myślami o podsłarbach i depeszy królewskiej; ale adjutanci go usłyszeli i zwrócili uwagę marszałka na to. Bierzyński powstrzymał się w pędzie, zatrzymał szwadrony i spytał, w której to stronie ten strzał słyszano? — Jeden z adjutantów mu odpowiedział, że zdaje mu się, jakoby strzelono nad brzegiem Warty i to gdzieś niby pomiędzy zamkiem a murowaną gospodą.

— Waćpan chyba oszalał! — zawołał na to Bierzyński — skądżeby się tam wzięły działa?

Drugi adjutant był także tego samego zdania.

Wszakże w tej chwili dał się słyszeć strzał drugi, także niby działowy, ale w stronie zupełnie przeciwnej, a mianowicie jakby gdzieś za chatą Barnaby.

Bierzyński już ten strzał słyszał, zwrócił nawet oczy w tę stronę, ale nie widząc nic, nie mógł uwierzyć swym własnym uszom.

— Tutaj teraz strzelono! — zawołał jeden z adjutantów, wyciągając rękę w tę stronę.

— Ale nie może być! — odpowiedział na to Bierzyński — przecież dopiero co stamtąd powróciły podjazdy.

— Jw. panie! strzał ten padł nie na drodze, ale na polu za ową zagrodą — rzekł na to adjutant drugi — kiedy wtem dało się słyszeć strzałów kilka od razu.

W pierwszym momencie nie można było się zorientować, skąd te strzały dochodzą — Bierzyński wyteżył oczy i uszy, strzały słyszał, ale nie zgoła nie widział — kiedy tymczasem jeden z adjutantów zawołał nagle:

— Z zamku strzelają!

Wszyscy spojrzeli na zamek — jakoż tak było istotnie. Na baszcie zamkowej pokazywały się co chwila ogniste płomyki, nad nimi zjawiały się małe kłabezki dymu, które rozkwiatały jako róże białe i rozszerzając swe liście, znikwały w powietrzu, po nich zaś zdawał się słyszeć cienki, syczący głos strzałów. Było więc rzeczą niewątpliwą, że wojski już tam kogoś parzył ze swoich śmigownic... Ale rzecz dziwna, iż wzięwszy na oko kierunek owych płomyków, które jak ogniste języki piekielnych smoków wyskakiwały z zębatego łba baszty zamkowej, było widać wyraźnie, że wojski strzelał prosto ku Warcie i murowanej gospodzie.

Obaczwszy to Bierzyński, ufny temu, że z tej strony nieprzyjacieli nie może się w żaden sposób pojawić, zawołał w pierwszym momencie:

— Co to jest? do kogo on strzela?

— Jw. panie! nieprzyjacieli się przeprawia przez Wartę! — zawołał jeden adjutant.

— Głupstwa waść gadasz! — krzyknął na to z niechęcią Bierzyński i skoczył zaraz przed front swoich szwadronów, formując je do odwrotu.

Atoli, lubo to wszystko, cośmy tutaj opowiedzieli, trwało li kilka sekund i lubo szwadrony się odwróciły i sformo-



wały w momencie — nagle zadrżała ziemia w tej stronie, jak stała chata Barnaby, a razem z tem drżeniem dało się widzieć czoło pułku dragonii. Pułk ten wyskoczył jak gdyby z pod ziemi z poza zagrody a patrząc stąd, z przed zagrody Barnaby i postępował dosyć spieszny galopem prosto ku murowanej gospodzie, a więc i ku przeprowie przez Wartę, przecinając tym sposobem na ukos całą przestrzeń pomiędzy zamkiem a murowanym folwarkiem.

Ruch ten nieprzyjaciela był zapewne wyrachowany na ten wypadek, że Bierzyński się jeszcze będzie znajdował w obozie — tym sposobem bowiem obóz ten byłby został zaatakowany z dwóch stron od razu — w tej samej chwili bowiem drugi oddział nieprzyjacielski, przeprowiwszy się wpław przez Wartę, zaczął się jawić koło gospody. Wyrachowanie to nie udało się wcale, bo Bierzyńskiego wojska już nie było w obozie — ale zawistny przypadek, a mówiąc właściwiej, nieubłagany wyrok Opatrzności to zdarzył, iż ten ruch nieprzyjaciela odciął Bierzyńskiego od jego wojska.

Obaczywszy to Bierzyński, zbladł jak mur pobielony. Adjutanci struchleli. Wszyscy razem wyteżyli oczy w ten pułk wpadający galopem, nie wiedząc sami co myśleć. W pierwszym momencie objęła ich trwoga piekielna; zjawily się tu bowiem przed nimi dwie najstraszliwsze wiedźmy: śmierć i niewola!

W innym razie, w czasach szczęścia i powodzenia, byłby i takiemu zdarzeniu, czysty, śmiały, waleczny duch Bierzyńskiego oparł się z dobrą fantazją i wiarą, bo w polityczkach konfederackich zostać odciętym nie było rzadkim wypadkiem — ale teraz Bierzyński omdlał widocznie i uderzyszy się ręką po czoło, zawołał:

— Mości panowie! to zdrada.

— Jw. panie! — zawołał na to jeden ze starszych oficerów ze świty — jeszcześmy nie przepadli. Oni nas jeszcze nie widzą, mamy folwark za sobą, tu będziemy bezpieczni... a potem...

— A potem cóż!? — zawołał na to rozpaczliwym

głosem Bierzyński i patrzył wyteżonymi oczyma przed siebie.

Tymczasem pułk ten, którego się na polu pokazał, widocznie się w swoich nadziejach omylił. Przybiegłszy bowiem na miejsce dawnego obozu i zastawszy je pustem, stanął na niem jak wryty. Dowódca jego, mąż barczyty i silny, z lśniącem kirysem na piersiach, w stosowanym kapeluszu z piórami, siedzący na gniadym ogromnym fryzie, stał przez chwilę przed frontem jak kołek i jakoś dziwnie się na wszystkie strony oglądał. Wszakże obejrzawszy się dobrze, zdawało się, jakby coś dojrzał, bo podniósł w ten moment szablę do góry i zaczął pułk swój formować frontem do Bierzyńskiego. Inne wojska zaczęły się pokazywać dopiero zdaleka — była to więc chwila ostatnia — ale jeszcze ratunek możliwy...

Wszystko to przejrzał w oka mgnieniu Bierzyński. Jakoż zwróciwszy się do swych szwadronów, zawołał głośno:

— Panowie bracia! nam trza do swoich koniecznie! Nie o nas tu idzie, ale o całe wojsko. Nie przez takich jużemy się przebijali na innych polach, a to jest tylko Wścieklica! Naprzód więc w Imię Boga i za mną!

To mówiąc, rzucił się z całą siłą na wyciągających się jeszcze w tej chwili dragonów. Ordynat ruszył jak wściekły z kopyta — a za nim szwadrony. W kilku sekundach obadwa wojska się zwarły ze sobą tak silnie, jakby się całe waliło miasto. Pod naciskiem konfederatów dragoni się cofnęli o kilka kroków, lecz wytrzymali natarcie. Obadwa wojska zawrzały z sobą jak w garnku — i nie było widać w tem miejscu tylko jeden kłęb zbity, warczący strasznie i wywracający się z sobą po ziemi, jakby jaki potwór przedpotopowy. Po długiej chwili dopiero zaczęli się rozlatywać jezdce i konie na różne strony — ale pierwszy, który z tego chaosu wypłynął, był to ogier wiśniowo gniady bez jezdca, który rżąc takim jękiem bolesnym, że się serce krajało, i bryzgając krwią z nozdrów zranionych, odsadził się pędem o jakie sto kroków od bitwy. Tam stanął i przytknął nozdrze skrwawione do ziemi, grzebiąc z bólu kopytem — ale niebawem zerwał się na-



gle i jakby inną, daleko głębszą, uderzony boleścią, zaczął obiegać walczące z sobą szeregi, patrząc co moment na nie i napelniając rozdzierającym jękiem powietrze...

W tej chwili wszakże zaczęła się bitwa. Ale była to bitwa fatalna — jak zwyczajnie bez wodza. Rozpoczął ją niecierpliwy komendant artylerii, który widząc nadejście pulk za pulkiem nieprzyjaciela, a nie mając żadnego zgoła rozkazu, rozpoczął ogień. Podrażniony tem nieprzyjaciół, rzucił się na armaty. Ukryty pod lasem Bogusławski stanął walecznie w ich obronie i zaczął bić się na własną rękę, nie pytając zupełnie o to, co się działo gdzieindziej. Dzierżanowski z całym swoim oddziałem zniknął gdzieś z placu, jakby go nigdy nie było. Czy także na nieprzyjaciela uderzył, czy pobiegł Bierzyńskiemu na odsiecz, czy się zachował „na lepsze czasy Rzeczypospolitej“ jak to naówczas delikatnie mówiono — nie można było dojrzeć w tem zamieszaniu i zgietku. Oboźny zaś, pozostawszy sam na swoim stanowisku, widząc, że bitwa wre już na dobre i obchodzi się weale bez niego, rozwinął swój oddział wedle pierwotnego rozkazu na prawo, tamując tym sposobem nieprzyjacielowi ucieczkę z pola i stając w obronie zamku. Kiedy to wszystko się działo, zmrok już zapadł do koła — pomimo zmroku trwała bitwa wciąż jeszcze, a przynajmniej było ją słyszeć — ale przed zmrokiem jeszcze zaczęły się tu i owdzie jawnie straszliwe ognie, niszczące okoliczne wioski i dwory...

A cóż się stało z Bierzyńskim? czy zginął. Nie. — Bierzyński tylko został rannym dwa razy, zwalonym z konia i wziętym w niewolę.

O dobrym zmroku znajdował on się już w owej murowanej gospodzie przy przeprawie przez Wartę, leżał na łóżku w świetlicy, a czterech żołnierzy, opartych na karabinach, stało około łóżka. Opoślad pod ścianą stał oficer z dobytą szablą i oka z niego nie spuszczał.

Bierzyński leżał bez przytomności — czekali lada chwila przyjscia felczera, po którego już dwakroć wysyłano na próżno. Oficer był niespokojny i co moment przystępował do niego, biorąc go za rękę i macając zapewne

tętna. W każdym takim razie żyd, gospodarz karczmy, i Pawełek, sługa marszałka, którzy stali za otwartymi na ścieżaj drzwiami, a przez żołnierzy stojących tamże na warcie nie wolno im było wejść do świetlicy, pytali oficera z niecierpliwością:

— A co panie? czy żyje jeszcze?

— Żyje, żyje — odpowiedział oficer — i żyć będzie; tylko już marszałkować nie będzie.

— Nu! a co jemu się stanie? — pytał żydek ciekawie.

— Nie bój się, nie bój! — mówił oficer na to — nie się jemu nie stanie. Kto tyle wojska konfederackiego zgubił, tego pewno nie powieszą.

— Nu! chwala Bogu! to on jeszcze zawsze będzie panował, ażeby zdrów był do śmierci!

Przyszedł nareszcie felczer. Przystąpiwszy do chorego, obejrzał go i przedewszystkiem wrócił mu przytomność.

Kiedy Bierzyński przejrzał i obaczył, gdzie się znajduje, patrzył przez chwilę jakby osłupiałymi oczyma. Widział na własne oczy, co jest, ale przecież jeszcze długo nie wierzył. — Rozpatrzywszy się dobrze, uwierzył wreszcie, i wtedy włosy mu powstały na głowie, a jego twarz okropną się wykrzywiła boleścią. Piękna ta twarz, zawsze tak gładka i jasna, zmieniła się teraz do niepoznania: na miejsce rumieńców jakieś ciemne wybiły się plamy, usta skurczyły się i zsiniały, a cały wyraz nabrał jakiejś brzydoty szkaradnej. Był to zapewne stan jego duszy, który się teraz odbił na jego twarzy...

Cisza była w świetlicy i wszyscy patrzyli na niego z osobliwszem zajęciem. Wszakże w tej chwili cała gospoda zadrżała, okna się wstrzęsły, dały się słyszeć strzały armatnie.

— Co to jest? — spytał z przestachem obłąkanego Bierzyński.

— Niech pan marszałek będzie spokojny — rzekł felczer do niego — to tam biją się jeszcze.

— Biją się jeszcze! — zawołał na to przeraźliwym



głosem Bierzyński — puście mnie! puście! — i podniósłszy ręce do góry, rzucił się na żołnierzy.

Żołnierze go powstrzymali łagodnie.

— Puście mnie! — wołał on przecież, wydzierając się z rąk ich — puście mnie! ja wam przysięgam, że już nie zwyciężę! ja tylko zginę!...

Wszakże z temi słowami upadł nazad na łóżko bez przytomności.

Widząc go felerzer w tak gorączkowym stanie, wziął go natychmiast w staranniejszą opiekę. Upuścił mu więc krwi dobrą miarę, użył zimnej wody na głowę i wogóle starał się o to, ażeby chory nie miał przynajmniej żadnego nowego powodu do irytacji. Wszakże daleko więcej tutaj pomogło samo puszczenie krwi, niżeli wszystkie inne starania. Osłabiony tem bowiem Bierzyński, zaczął drzemać pomału, a wreszcie zasnął.

Tak spał ze trzy godziny. Obudziwszy się, usiadł na łóżku i zaczął się rozpatrywać dokoła. Ale w świetlicy było wszystko w tym samym stanie, jak przedtem. Czterech żołnierzy, opartych na karabinach, stało około łóżka, pod ścianą oficer z szablą dobytą, a Pawełek z żydem za drzwiami. Temu wszystkiemu przypatrywał się Bierzyński z uwagą, ale zdawał się być całkiem spokojnym. Tak też było w istocie. Znajdował on się bowiem w tym stanie, w którym już minęło pierwsze przerażające wrażenie nieszcześćia, wyrastającego do takich rozmiarów, jakie mu nada trwogą wzburzone serce i wyobrażenia. Trzeźwym okiem patrzył on teraz na nagą rzeczywistość, mierzył ją zimnym rozumem i przysposabiał się do tego, aby ją znieść z odpowiednią godnością.

Niebawem jednak znowu zadrzały mury gospody, ale nie od strzałów armatnich, tylko od tententu jakiegoś oddziału jazdy, który pędem tu przybył i stanął. Na ten odgłos Bierzyński wstał raźnie z miejsca i wpatrzył się we drzwi — a wtem przez te drzwi weszło do świetlicy kilku oficerów rozmaitego ubioru i broni i kilkunastu żołnierzy. — Na ich czele wszedł mąż barczysty i silny, w lśniącym

kirysie i w kapeluszu stosowanym z piórami, w palonych butach i z wyczernionymi wąsami. Był to Wścieklica.

Obaczywszy go Bierzyński, jakoś swobodniej odetchnął. Zdawało mu się, że zabłysnęła nadzieja ratunku...

Ale Wścieklica tylko spojrział na niego, przypatrzył mu się, przekonał się, że to on rzeczywiście; lecz oprócz tego ani mu głową nie kiwnął. Patrzył na niego, jakby go nie znał, jak na stworzenie nie mające już nawet ani ludzkiej godności...

Poczem natychmiast zwrócił się do jednego z oficerów, których przywiódł ze sobą i położywszy rękę na jego ramieniu, mówił coś długo do niego. Z giestów i miny zdawało się, że mu wydawał jakieś rozkazy.

Skończywszy tę rozmowę, zawołał na żyda, kazał sobie podać butelkę wina i oparłszy się prawem ramieniem o wysoką kratę szynkwasu, patrzył z surową dumą na to, co się dziać miało w świetlicy.

Jakoż było tu co widzieć istotnie. Tymczasem bowiem oficer ów, który rozkaz odebrał, zbliżył się do Bierzyńskiego z żołnierzem, a ten żołnierz miał w ręku dyby.

Obaczywszy to Bierzyński, cofnął się o krok z oburzeniem i krew mu uderzyła do twarzy. Błyskającymi niepowściągliwym gniewem oczyma, spojrział on na Wścieklicę i zawołał piorunującym głosem:

— Panie Wścieklico! czy to tak się obchodzisz ze mną?!

Ale Wścieklica wychylał właśnie w tej chwili szklanice wina. Wychyliwszy ją, odpowiedział ze zwierzęcą na twarzy głupotą.

— Obchodzę się z tobą tak, jakieś sobie zasłużył.

— Ale czy tak ja się obszedłem z tobą, kiedyś był w moich rękach? czym cię nie puścił nawet i bez parolu? — zawołał na to Bierzyński.

— A ja cię nie puszcze nawet i na parol — odpowiedział Wścieklica i zaczął się przechodzić po izbie, świszcząc jakąś piosnkę żołnierską przez zęby.

Widząc to Bierzyński, zacisnął zęby, siadł z gwałtownością na ławę, wyciągnął nogę i rzekł:



— Kuj waćpan!

W krótkiej chwili cała ta robota została ukończoną. Bierzyński lekko okuty i wyprowadzony z świetlicy.

Ale zaledwie przeszedł próg sieni, kiedy Pawelek, obaczywszy swojego pana w kajdanach, ryknął rozdzierającym płaczem i rzucił się przed nim na ziemię.

— Panie! — wołał on, jęcząc we łzach i bólu i obejmując obiema rękami jego kolana — ja pójdę za panem!

Wzruszony tem do żywego Bierzyński, opuścił lewą rękę ku niemu i kładąc ją na jego schylonej głowie, chciał mu zapewne coś odpowiedzieć — ale wtem stanął jak wryty, wypatrzył oczu w jakiś inny przedmiot znajdujący się w sieni i jakby w posąg się zmienił. Wszyscy spojrzeli za nim w to miejsce i wszyscy go zrozumieli. W tem miejscu bowiem w pół ciemnej sieni stał jego ulubiony Ordynat.

Szlachetny zwierz, utraciwszy swojego pana w bitwie, póty nie ustąpił z pobojuwiska, póki znowu go nie obaczył. Kiedy rannego marszałka niesiono na płaszcach do karczmy, on przybiegł za nim aż tutaj i stanął w sieni. Kiedy Bierzyński leżał bez przytomności na łóżku, wierny jego przyjaciel rwał się po kilka razy, aby wejść do świetlicy; stojący u drzwi żołnierze nie widzieli potrzeby go wpuszczać, a nie umiając go się pozbyć inaczej, uwiązali go za cugle u żłobu. Tam stał on spokojnie, z zwieszoną ku ziemi głową, przez cały wieczór. Ale teraz swym nieomylnym instynktem zbudzony, urwał się od żłobu i przybiegł jak pies do swego pana. Zbliżywszy się do niego, spojrzał w twarz jego i przez chwilę patrzył zadziwionemu oczyma — ale niebawem, jak gdyby odgadł wszystko, co się działo z jego nieszczęsnym panem, podniósł głowę do góry i zarżał takim drżącym, bolesnym, płaczącym jękiem, że się zdawało, jak gdyby cały świat z nim zapłakał...

Usłyszawszy to rżenie Bierzyński nie mógł się oprzeć rozdzierającemu żalowi i sam jak dziecko zapłakał. Przy-

cisnąwszy chustkę do oczu, łkał głośno i zdawało się, że nie miał siły ani kroku dalej postąpić...

Ale ocknął się wreszcie i rzekł głosem łzami zalanym do swego sługi:

— Zostań mój Pawle i miej o koniu staranie. Niech was tu Bóg ma w swojej opiece! — Z temi słowami, łkając ciągle i chwielejąc się na nogach, wyszedł ze żołnierzami przed bramę.

Tam stał wóz przygotowany dla niego. — Bierzyński go widział, bo go przyprowadzono aż do samej drabinki i poświecono latarnią — ale w tej chwili był on tak boleścią rozdarty i tak mało przytomny, że ledwie wiedział co się z nim działo. Pomogli mu więc żołnierze i wsadziwszy go na rękach pomiędzy drabinki wozu, sami posiadali około niego. Wóz ruszył z miejsca powolnym krokiem, lecz Bierzyński, łkając ciągle jak dziecko i nie widząc przed sobą, nie wiedział nawet w którą wieziono go stronę...

Wszakże nie dosyć na tem. Na dzisiaj bowiem przygotowana była dla niego boleść, jeszcze daleko większa. Tak być musiało — wszakżeż on dzisiaj nietylko konia i sługę utracił!

Owo więc jadąc na owym wozie, łkał on długo w swoim głębokim żalu. Ale zjechawszy paręset kroków, utulił się we łzach — a nad żalem za utraconym koniem i sługą przemogła myśl i trwoga o siebie samego. Odjął więc chustkę od oczu i spojrzał najpierw, aby obaczyć, gdzie się znajduje i w którą wiozą go stronę? — Obznajmionemu dokładnie z tą okolicą, nie trudno mu to było odgadnąć. Jakoż znajdował on się w tej chwili właśnie na samym środku owej równiny, która się rozlegała między jego dawnym obozem i zamkiem. Miejsce to było mu dobrze znajome — lecz na tem miejscu jakieżto straszne widowisko przedstawiło się jemu!

Noc była ciemna — ale na niebie dokoła najstraszliwsze gorzały łuny...

Spojrzał na prawo — a tam właśnie w tej chwili gorzał dwór jego matki. Syczące iskry wystrzeliwały jak ra-



kiety do góry, widać było czerwone dymy unoszące się w niebo, słychać było chrzęst walących się belek i dachów, słychać było gwary piekielne i jakby jęki tysięcy...

Spojrzał na lewo — a tu dogorywały już tylko resztki zabudowań otaczających zamek. Porozwalane mury, utraciona połowa baszty narożnej, powybijane szyby, przedstawiały widok przerażający. Już to była cisza grobowa, ale w tej ciszy, z pomiędzy wałów czerwonego zarzewia i dymów płomiennych, jak gdyby z grobu, na straszliwy dzień sądny jego własną otworzoną ręką, patrzył na niego przerażający szkielec jego opiekuńczego zameczyska i patrzył dziurawymi oknami, jak wygnilemi trupiej czaszki oczyma... Teraz właśnie nad tą straszliwą ruiną dał się słyszeć jęczący głos sygnaturki, zawieszonej nad zamkową kaplicą — zdawało się, jakby w tej chwili klęcząc u nóg kapłana, dogorywał ostatni duch tego starego zameczyska...

Jeszcze tu było widać i więcej. Na ziemi bowiem, po tej stronie i owej, leżały trupy pobitych konfederatów — pomordowane ciała niewinnych chłopów, którzy mieli wieść obozowe bagaże — i niezakrzepła krew sączyła się strugami po ziemi. Koła wozu, na którym jechał, czasem wstąpiły na nogę ludzką, na pierś albo rękę i zdruzgotały ją z chrzęstem okropnym — czasem prosto z przejechanego trupa wpadły w jasną kałużę krwi i krew bluznęła z pod kół i jeszcze raz bryzgnęła na niego...

Bierzyńskiemu się zdało, że jedzie w piekło!

Zakrył twarz obiema rękami, zaszuściło mu w głowie, stracił wszelką przytomność i odtąd nie już nie widział przed sobą!...

## VI.

Wróćmyż teraz do zamku. I wróćmy do owej chwili, w której Bierzyński pożegnawszy Annuncyotę, wybiegł jak błyskawica z galerii, a ona, zwyciężona nareszcie naturalnem uczuciem, w głośny płacz wybuchnęła i upadła bezwładna w objęcia mniszki.

Owo więc stary kasztelan usłyszawszy ten płacz i obaczwszy córkę swoją mdlejącą, nie pytał już: Co tam takiego? — tylko tknięty tem do żywego, pospieszył ku niej czempredzej, ażeby ją ratować. Ale Annuncyata tymczasem opamiętała się sama. Stała o własnej sile, otarła łzy i rzekła głosem czystym do ojca:

— Nic mi nie jest, mój ojcze... nic już... nie zgoła.

— Moje dziecko — rzekł na to kasztelan, ujmując ją za rękę i przypatrując jej się z uwagą — bądźno nam całkiem spokojną. Nie masz tu nic takiego, nad czemby trzeba rozpaczać...

Przekonawszy się zaś, że Annuncyata istotnie już była spokojną, pocałował ją w czoło i rzekł z widocznym zadowoleniem do Gałęckiego:

— Jużto te nasze Polki nie zapierają się nigdy tej krwi rycerskiej, która płynie w ich żyłach. Żal u nich głęboki i czuły, ale pierwsze wspomnienie o obowiązkach stawia je w determinacyi i poświęceniu na równi z mężczyznami, a czasem jeszcze i nad nich wynosi. Nie jeden naród byłby szczęśliwy, gdyby miał takich rycerzy. To też tak mówię, że póki mamy takie kobiety, jeszcze nam nie rozpaczać o przyszłość!

Na to zaś rzekł z powagą starosta:

— Zgadza się z panem kasztelanem zupełnie, bo i któżby się na to nie zgodził! Ale dodać muszę do tego, że abyśmy mieli zawsze takie kobiety, nie dosyć jest pozostawić staranie o tej samej krwi i tradycyi, ale trzeba też wychowania. Pan kasztelan dałeś nam tego przykład wyborny — niech mi więc wolno będzie wypowiedzieć życzenie, ażeby też wszyscy ojcowie nasi zapatrywali się na to i szli także tym torem. Ale to podobno nie wszędzie się dzieje!

— Panie bracie! — odpowiedział kasztelan — miło to słuchać pochwał, ale i przy pochwałach trzeba prawdę powiedzieć. Jakoż tak mówię, że tak w tej materii, jak w każdej innej, więcej Pan Bóg robi dobrego, niż ludzkie. Pan Bóg wszystko nam daje dobre, a jeno my je sami psujemy. To sobie waszmość odnieś do dzieci, to samo



także do kobiet; bo też tak jest na świecie. Ale nie czas to nam podobno o tem teraz rozmawiać! — Niepotrzebnie nam Bierzyński sprowadził nieprzyjaciela pod same bramy — mówił dalej staruszek — ale kiedy się już tak stało, to trzeba by tu i nam coś o tem pomyśleć.

— Albo coś pan kasztelan zamyśla? — spytał z trwożliwą ciekawością starosta.

— Jakto coś? a przecież jeżeli przyjdzie do bitwy, to ją będziemy mieli pod samymi murami zamku.

— Ja to rozumiem — odpowiedział starosta — ale nie sądzę przecież, żebyś się i jegomość chciał mieszać w tę bitwę?

— Mieszać się w nią nie będę, czyli mówiąc właściwie, nie mam tego zamiaru; aleć trudno za to zaręczyć, że mnie okoliczności w nią nie wmieszają. Należy się nam wprawdzie spodziewać, że Bierzyński, mając nas na pamięci, będzie też dbał o naszą całość; aleć to, panie bracie, i najszcześliwszym wodzom rozmaicie się zdarza... Kiedyby więc Bierzyńskiemu tylko na chwilę powinęła się noga, to wcale nie trudno byłoby o to, żeby się i nam co dostało...

— Ej! panie kasztelanie! — rzekł na to mieniąc się trochę, ale udając dobry humor, starosta — zdaje mi się, że jegomość taki sam masz ochotę wywołać wilka z lasu na siebie.

— Ale coś też waś gadasz! — zawołał na to staruszek — a do czegożby to było podobne! Wprawdzie gdyby się nieprzyjacieli nawinał tutaj pod mury, to można by go tu setnie poparzyć z baszty, a mam tam dwie śmigownice takie, co to wiem gdzie doniosą; można by więc tym gościom nie złą zrobić dystrakcyę, a Bierzyńskiemu nie pomalu dopomódz: ale... jużem ja na to za stary! a potem, kobiety w domu! a nareszcie, w złym razie, nie stanęłaby może jak to mówią, skórka za wyprawę! — Ale pomimo to wszystko, trzeba przecież o własnej pomyśleć obronie.

— Powiedzże mi jegomość — rzekł na to starosta —

czy jegomość myślisz doprawdy, że poważonoby się targnąć nawet i na zamek!

— No! ja tego nie myślę.. ja się nie spodziewam. Nie na to przecież służyłem przez lat kilkadziesiąt ojczyźnie, ażeby mnie potem napadano za moje opinie. Czyż to nie żyjemy w wolnej Rzeczypospolitej? czyż nie jestem jej wolnym obywatelem? czyż mi nie wolno myśleć, co mi się podoba? — Do tego przecie jeszcze nie przyszło. — Ale to, widzisz waszmoś, wojna ma swoje prawa, czyli raczej bezprawia. A tu było się w Barze... podpisywało się uniwersały, manifesty, deklaracye i podpisało się jeszcze coś i w Dankowcach... Od niejakiego czasu siedzę ja sobie spokojnie, bo też i prawdę mówiąc, nie bardzo w to wierzę, żeby ta konfederacya przyprowadziła swe rzeczy do skutecznego efektu: ale to, panie bracie, *factum infectum fieri nequit* a owo fakta może też pamiętać... A gdyby wreszcie i nie to, toż to przy wodzach statecznych znajdzie się zawsze i jakieś hultajstwo, a od takich już też nie broni żaden wiek, ani żadne znaczenie..

To wyjaśnienie rzeczywistego stanu rzeczy wywarło jakiś dziwnie niesmaczny wpływ na starostę. Nie chcemy go o to posądzać, ale zdawało się, jak gdyby starosta dotąd był tego zdania, że na tym zamku będzie daleko bezpieczniejszym, niżeli w własnym swym dworze: a tu tymczasem pokazało się, że to miejsce było właśnie najmniej bezpiecznym w tej chwili. Jeżeli tak było w istocie, to starosta tutaj w fatalną wpadł samolówkę. Jakoż istotnie czegoś dziwnie się kręcił, to bladł, to czerwiecił, to patrzył w górę, to na dół, i wogóle tak wyglądał jak ten, który sobie myśli: Czy mnie dyabeł tu przyniósł! — Jednak po chwili zdecydował się wreszcie i wziawszy czapkę do ręki, rzekł:

— Nie będę ja państwu zabierał drogiego czasu...

Ale staruszek mu przerwał, wołając:

— A to co znów takiego? Jakto? to myślisz odejść?

— Przyjechałem tu tylko na chwilę..

— Ale fe! panie bracie! nie róbże mnie tego, jeżeli



mnie kochasz! A czy widział kto, żeby się tak samemu narażać? a toż to tam teraz drogi tak niebezpieczne jak nigdy! już tam kiedy Bierzynski się rusza, to możesz mu wierzyć, że to nie przelewki! już tam nieprzyjacieli musiał mu dogrzać pewnie na wszystkich drogach! Czyż to więc rozum kłaść zdrową głowę pod ewanilię? — Chyba że już dłoń świerzbi, tak jak wojskiego, i chcesz także jakiejś sztuki dokazać?...

Na to starosta dziwnie się na staruszkę wypatrzył. Wyglądał tak, jakby mówił:

— Ale co też jest jegomości?

Z takim dwuznacznym wyrazem na twarzy stał jeszcze przez chwilę w milczeniu. Lecz rozważywszy sobie i to i owo, rzekł wreszcie:

— Ha! to już chyba zostanę! — i dodał prawie bez myśli, ale pomimo to głośno — nie sądzę przecież, żeby chciano aż na zamek napadać.

Widząc tę mimowolną otwartość, Annuncyata się uśmiechnęła i aby ukryć ten śmiech, zaczęła coś mówić do ksieni, — a tymczasem wbiegł wojski w galeryę.

Wojski był dziwnie zajęty, zarumieniony, prawie zadyszany w tej chwili. Przystąpił on do kasztelana w ten moment i rzekł z pośpiechem:

— Panie kasztelanie! Ludzie nasi już zgromadzeni. Nie masz ich dotychczas tylko ośmdziesięciu, ale posłałem po wsiach, więc się coś jeszcze zgromadzi. Baszta i mury są osadzone, prochy i kule rozdane, broń rozdzielona, a panowie dworzanie zgromadzeni w jadalnej sali. Donoszę też jegomości, że nam pan oboźny przysłał żołnierza z tą wiadomością: iż on ma powierzoną komendę prawego skrzydła, że nas mieć będzie na oku i prosi, ażeby w jakim nieprzewidzianym razie zapalić racę na północno-zachodnich murach, a on natenczas w lot do nas przybiegnie. Wszystko już tedy gotowe, — czekamy tylko na jegomości.

— A więc chodźmy! — rzekł na to staruszek i wzięwszy starostę pod ramię, wyszedł z nim do sali jadalnej. Za nim posunął wojski, pokręcając swego siwego wąsa

i prawiąc z wielką fantazyą kobietom, które obiedwie weszły także do sali.

W sali był zgromadzony cały dwór kasztelana, złożony z kilkunastu dworzan i sług wyższego rzędu, pomiędzy którymi znajdował się i kapelan zamkowy, i kilku urzędników z pobliskich wiosek, i gracyaliści zamkowi, i Żardzinierz włoch, dzisiaj już stary, i jeszcze starszy od niego Jawnuta, ale wyglądający czerstwo i żwawo przy potężnej szablicy i pistoletach za pasem, z którymi się już tak dawno nie widział. Wszystko to było uzbrojone od stóp do głowy, jak był zwyczaj u starych Polaków, — jakoż był to widok nie tylko piękny, ale nawet rozezulający, — było tu bowiem widać prawie samych siwowłosych już starców i niejedną całkiem przygarbioną już grzybkę, także szabelkę przypasał, aby stanąć w obronie swojego ukochanego ojca i dobrodzieja.

Obaczywszy takie jawne dowody przywiązania do siebie, staruszek zupełnie odżył i jak gdyby odmłodził. Powitawszy wesolą twarzą swych dworzan, rzekł do nich:

— Otóż to mi prawdziwi przyjaciele z ichmościów! Kiedym był wesół, kiedy dzbany stały przedemną, kiedym grać kazał kapeli i rozdawał upominki dokoła, to nieraz niejednego z nich i nie można było odpytać: ale kiedy mi grozi niebezpieczeństwo, to wszyscy przy mnie i ani jednego nie braknie. Niechże wam Bóg to zapłaci przy ostatnim rachunku — a ja tymczasem dziękuję z całego serca.

To mówiąc, nalał sobie puharek wina i zawołał:

— Za zdrowie waszmościów, w ręce twoje starosto! — i wypił. Kiedy zaś starosta pił do najstarszego z kompanii, on rzekł do Jawnuty:

— A dajno mi szablę i czapkę mi podaj, bom też i ja nie niewiasta.

Przypasał tedy staruszek szablę i włożył rogatą czapkę na głowę, a przekrzywiwszy ją po staremu na baki, dziwnie pięknie przy tem wyglądał.

Widząc to stary wojski i równie stary Jawnuta, którzy z nim niegdyś wojowali obadwa, przypomnieli sobie



swe młode lata i rozczulili się przy tem. Pocziwemu Janucie wytrysnęły łzy z oczu, a mniej do łez skłonny ale za to więcej wymowny wojski, przystąpił do niego i rzekł:

— Hej, hej jegomość! jakże mi się to teraz przypomniały te czasy, kiedy to człowiek był jakby przyrośnięty do konia i szabli! Dawno to temu! Człek posiwał jak gołąb i przygarbił się srodze, ale i dzisiaj jeszcze możeby czego dokazał pod komendą swojego starego wodza. I zgiąłby też było nie przykro pod okiem swojego dobrodzieja — i prawdę mówiąc, możeby to nawet najpiękniej było, stary ten żywot taką zakonkludować pieczęcią.

— Panie bracie! — rzekł na to kasztelan — życzyć sobie samemu śmierci, to *votum* nie katolickie. Ale to na śmierć trzeba sobie zawczasu u Pana Boga zasłużyć — a i natenczas jeszcze trzeba się o nią zawczasu postarać, bo kiedy ręka zdrewnieje, a kark się zgarbi, to i o to już trudno.

Słyszac starosta takie zdania z ust białowłosych już starców, patrzył na nich zadziwionemi oczyma. Nie śmiał nic mówić, ale zdawało się, jakby myślał:

— Ci ludzie oczywiście poszaleli na starość.

Ale tymczasem kasztelan wziął go znowu pod ramię i rzekł:

— Chodźmyż tedy oglądnąć, jakie mamy środki obrony.

To mówiąc, wyszedł z nim razem w dziedziniec, a za nimi posunęli dworzanie. Ksiądz kapelan zamkowy został z kobietami na sali.

W dziedzińcu była zgromadzona cała siła zbrojna zamkowa. Siła ta wzniosła się teraz daleko wyżej, niżeli ją zapowiedział był wojski, wzmocnili ją bowiem znacznie przybywający ze wsiów parobcy. Gromady wiejskie, z któremi zacy kasztelan żył, nie jak pan dumny i zapomniali, albo cheiwy zysków spekulanci, ale jak ojciec ze swoją własną rodziną, dowiedziawszy się, że zamkowi zagroza niebezpieczeństwo, powysyłały co najzwawszych parobków, jakby na pospolite ruszenie. Zamkowa załoga tedy, złożona dotychczas tylko ze starej i nielicznej mili-

cyi, z sług zamkowych i rzemieślników, zasiłała się teraz już blisko całą setką żwawej i ochoczej młodzieży, która przybywając po kilkunastu i grupując się fantastycznie w dziedzińcu, zapowiadała zawsze przybycie innych. Jakoż istotnie, przez otwartą jeszcze w tej chwili bramę, napływały nowe gromadki, niosąc ze sobą kosy, widły, osęki lub tym podobną broń gospodarską. Przy takim licznym napływie obrońców, wszyscy byli najlepszej myśli, — stary jegomość kazał wytoczyć kilka beczek piwa i miodu, resztki nie zebranej przez Bierzyńskiego broni kazał wynieść z swych arsenałów, a rozdając ją między zręczniejszych i starszych, sam ich dzielił w kompanie i sam wyznaczał dowódców.

Podczas tego zajęcia Annuncyata i panna ksieni wystąpiły z poczęstnem, przyniesiono chleby, sery i wędliny, a obiedwie panie zajmowały się same ich rozdzielaniem. Przy tej czynności zacna przełożona klasztoru rozwinęła niezmęczoną gorliwość, a błogosławiąc i tym i owym, którzy się z czią świątobliwą do niej zbliżali, po kilka razy przemawiała z zapalem, wystawiając z ciepłą i trafiającą do serca wymową: jak wielkie i święte jest powołanie tego, który mężną pierśią ma się spotykać z nieprzyjaciółmi.

Uczyniwszy jaki taki porządek w zgromadzonych zastępach, stary kasztelan w towarzystwie wojskiego i dziwnie jakoś osmuczonego starosty poszedł na basztę, aby i tam jeszcze wydać swoje rozkazy. Wchód na tę basztę nie był bardzo wygodny, bo prowadziły tam schody starostwieckie i przykre, ale ożywiony staruszek przy pomocy wojskiego i tę trudność zwyciężył, i w kilkunastu minutach stanął na baszcie. Został on tam wszystko w jak największym porządku, śmigownice i działka ponabijane, naboje i kule przygotowane pod ręką, a puszkarzy z zapalonymi lontami. Przypatrzwszy się teraz wszystkiemu i pochwalwszy, co było godne pochwały, zaczął się staruszek wraz z swymi towarzyszami przypatrywać z uwagą, co się działo na polu...

Była to właśnie ta chwila, kiedy Bierzyńskiego wojska



stały już na swych stanowiskach, a ich dowódcy, którzy właśnie co do nich przybyli, ustawiali je wedle swojego rozumienia, wyciągali linie i dawali partykularne rozkazy. Na to więc głównie zwrócono swoją uwagę i nie widziano wcale, że Bierzyński naówczas stał na czele swoich szwadronów na miejscu dawnego obozu i właśnie w tej chwili ruszał na zawołanie Wessla do matki. Staruszek obserwował rozpozłożenie wojsk, a czego osłabionym swym wzrokiem nie dojrzał, kazał sobie opowiadać wojskiemu. Wszakże nie długo trwała ta obserwacja. W tej chwili bowiem dał się słyszeć strzał działowy po prawej stronie za Wartą. Spojrzano z pośpiechem w tę stronę i w pierwszej chwili dojrzano tylko dymek biały podnoszący się nad wicherkiem osiczyzny, rosnącym opodal naprzeciwko gospody. Tu dał się słyszeć strzał drugi, jakby za chatą Barnaby. Były to oczywiście sygnały zbliżającego się jednocześnie z dwóch stron przeciwnych nieprzyjaciela. Nie wpadnięto na ten domysł od razu, — ale w tem oka mgnienu jeden z puszczarzy dojrzał jakieś łodzie i promy, obsadzone żołnierzem, spuszczone na dół Wartę, i zwrócił na to uwagę starszych. Odwrócono się ku tej stronie i dojrzano nie tylko te łodzie, ale cały pułk wojska, który zjawiwszy się Bóg niewie skąd u przeprawy, w części zaczynał dopiero się przeprawiać przez Wartę.

Obaczywszy to wojski, zawołał:

— Panie kasztelanie! to nieprzyjacieli! przychodzi z nie spodziewanej strony i narobi marszałkowi bigosu. Palmy do niego!

— Na Pana Boga żywego! — zawołał na to starosta — co waszmość myślisz!

A tymczasem kasztelan aż do galeryi przystąpił, wpatrzył się pilnie, lecz nie mogąc dojrzeć dokładnie, zapytał:

— Ale czy tylko pewnie to nieprzyjacieli?

— Ale panie kasztelanie! widzę jakby na dłoni, przecie się znam na mundurach! — Ja palę...

— A to pal wasze! — zawołał na to staruszek — tylko mierz dobrze.

Tu ryknęły armaty. Wystrzelono kilkanaście razy raz

po raz i to ze skutkiem wybornym, bo dojrzano pewnemi oczyma, jak na tej przeprawie jakieś straszne zrobiło się zamieszanie, spienione fale ściemniały barwą czerwoną, a zaburzona woda uniosła z sobą całe gromady ludzi i koni.

Wszakże natenczas już pułk Wścieklicy stanął na placu, a niebawem zaczęła się bitwa. Dowiedziawszy się o tem kasztelan, kazał zaprzestać strzelania, i rzekł:

— Zrobiliśmy z naszej strony, co było można, a jeżeli Bóg chciał, to się tem nie mało Bierzyńskiemu pomogło. Ale teraz już dajmy pokój. Zaczęła się bitwa, zmrok zaczyna zapadać, moglibyśmy jeszcze i swoich postrzelać.

— Panie kasztelanie! — zawołał na to gorący wojski — ja widzę wszystko jakby na dłoni. Śmigownice także mnie nieźle słuchają. Ja będę jeszcze parzył po trochę...

— Nie, nie. Na to już nie pozwolę. Bitwa sprowadza zamieszanie, a i najlepsze oko czasem zawodzi. Niechaj więc tutaj będzie wszystko w swoim porządku, — a my chodźmy na dół, bośmy też tam teraz daleko więcej potrzebnii.

Z temi słowami schodzili z baszty.

Uradowany swoim sukcesem wojski, nie mógł się wstrzymać od okazania swojej radości i lubo prowadził kasztelana ze schodów, zawołał głośno:

— Ależ tośmy im dali łupnia! cha, cha, cha! niechże im Bóg sekunduje!

A starostę jakby nożem kto ukłuł. Jakoż rzekł na to:

— Ot! dałbyś sobie waść pokój! Podrażniłeś nieprzyjaciela bez żadnej potrzeby, jeszcze kto wie co z tego będzie!

Ale na to staruszek spojrzał dosyć wymownym wzrokiem na niego i rzekł bez ogródki:

— Waszmość-bo widzę jakąś masz osobliwą fantazyę! Tu działa grzmia — a waść mięknieysz. To nie po szlacku, mosanie!

Starosta połknął tę pigułkę w milczeniu — i nie się już nie odzywał.

Tymczasem w dziedzińcu, gdzie obiedwie panie były



zajęte częstowaniem i zagrzewaniem zgromadzonych tam ludzi, kiedy nagle zagrzmiały działa, które wstrzęsły całym zamczyskiem, obiedwie stanęły jak wryte. Panna ksieni się nawet tak przeraziła, że jej tabakierka i chustka wypadły z ręki i zawołała drżącymi ustami:

— Wszelki duch chwali Pana Boga!

Widząc to Annuncyata, która w ten moment ochłonęła z pierwszego wrażenia, podniosła chustkę i tabakierkę ze ziemi i oddając je ciotce, rzekła do niej głosem łagodnym:

— Ciotcia się boi troszeczkę... i słusznie. Możeby ciotcia weszła na ten moment w podziemia?...

Śród tego czasu działa huczały bez przerwy. Za każdym strzałem panna ksieni się wzdrygała jak w febrze, na jej twarzy było widać przestach okropny; ale pomimo to, odpowiedziała swej siostrzenicy głosem choć urywany, lecz pewnym:

— Proszę cię, moje dziecko, nie miejże o mnie tej myśli. Ja się boję, to pewna, bo wojna nie jest powołaniem kobiety; ale to tylko ta wiotka skorupa drży na mnie... Serce moje jest silne i nie da mi odejść ani od ciebie, ani też od tych, którzy hazardują swe życie w obronie wiary i niebawem już może będą potrzebować naszej troskliwej opieki.

Tu Annuncyata, zachwycona tak wzniosłą determinacją ciotki, rzuciła się w jej objęcia; ale ona rzekła tymczasem z pośpiechem:

— Ale moje dziecko, wojna się już zaczyna, my się do niej łączymy, a zapominamy o tem, że i najgorliwsze starania nasze nie zdadzą się na nic bez woli Bożej... Chodźmy więc i zmówmy za wszystkich krótką przynajmniej modlitwę.

To mówiąc, porwała Annuncyatę za rękę i pobiegła z nią w drugi koniec dziedzińca. — Tam stała bowiem stara zamkowa kaplica. Była ona już zrysowana i od lat wielu nie odprawiano w niej nabożeństwa, — zabierano się ją odnowić, ale jakoś nigdy nie przyszło do tego, — pomimo to jednak był w tej kaplicy ołtarz, był krzyż na jej dachu i był obraz Matki Najświętszej nad drzwiami.

Tam tedy pobiegły obiedwie kobiety i uklękawszy przed drzwiami na schodach, kiedy z baszty grzmiały armaty, rozpoczynając bitwę, one zanosiliły gorące modły do Boga o piekę nad gromadą wiernych sług Jego.

Kiedy wzmocnione i ożywione modlitwą powróciły na zad w dziedziniec, cisza już była, a kasztelan z starostą i wojskim już byli na dole. Od nich obiedwie kobiety dowiedziały się o tem, że bitwa się już zaczęła na polu, ale nie mało się przeraziły, usłyszawszy wojskiego i kasztelana zastanawiających się nad tem: jakim sposobem bitwa mogła się rozpocząć na środku pola, kiedy wszystkie wojska konfederackie stały już na swych stanowiskach?

Wszakże nie była to chwila do tracenia czasu na próżnych domysłach. Jakoż kasztelan wysłał najpierwej jednego z dworzan na basztę, ażeby obserwował stamtąd dokładnie pole bitwy i donosił natychmiast, co tam obaczy. Z jego dalszego rozkazu poprzystawiano w kilku miejscach drabiny do muru, częścią także dla obserwacyi, częścią zaś dla obrony w razie napadu. Obszedłszy zaś potem jeszcze raz wszystkie szeregi, wszedł na zamkową wystawę wychodzącą w dziedziniec i usiadłszy tam między kolumnami, rzekł do otaczających go starosty, kapełana i obydwóch kobiet:

— A my sobie tutaj zajmujemy miejsce, i kiedy Pan Bóg na nas co złego dopuści, stąd będziemy kierować obroną.

Lecz trzeba wiedzieć, że tylko jeden kasztelan był tak dziwnie spokojny. Wszysey inni bowiem, jak zresztą słuszna i bardzo naturalna w tem położeniu, byli do najwyższego stopnia przejęci, jeżeli nie zgrozą, to przynajmniej niespokojnością; kto zaś miał tyle determinacyi, że go widocznie niebezpieczeństwo zamku nie napełniało obawą o siebie, ten nie mógł się dość naobawiać o Bierzyńskiego, z którym nie wiedzieć co się stało, a było bardzo podobnem, że się stało coś złego. Tę obawę dzielili wszyscy, a nawet pan wojski się jej nie zapierał, mówiąc:

— Nadzieja w Bogu, że tam wszystko tak idzie, jak trzeba... ale tego zaczęcia bitwy na środku pola, a do

tego jeszcze ze strony przeciwnej jakoś ja nie rozumiem. Bodajby tylko nie stało się jakie balamuctwo!

— Ale dajno waś pokój! — rzekł na to kasztelan — już tam zrobili ludzie co mogli, a reszta w Boskich jest rękach. Czy waś już i Panu Bogu nie ufasz?... A zresztą, jeśli się stało co niedobrego, toć nas stać przecie i to przyjąć z rąk Tego, od którego tyle łask nam spływało przez całe życie.

Na taki argument wszyscy umilkli — i czekali z niecierpliwością jakich pewniejszych wieści.

Ale wieści te wcale nie przychodziły — i przyjść nawet nie mogły. Było bowiem już ciemno i z baszty nie można było nie dojrzeć pewnego. Tak samo z murów, na które co chwila wdrapywał się sam imię pan wojski. Widziano tylko bitwę wrzącą na wyżynie w oddali, słyszano szum jej, szeceł broni, tentent konniey, krzyki dowódców i jęki rannych; usłyszano niebawem huk armat i zwiększony szum bitwy, domyślano się, że to Bogusławski uderzył, myślano później, że i Dzierżanowski już się zwał z nieprzyjacielskimi zastępy, — ale o tem wszystkiem nie było żadnej pewności. Tu tylko ziemia drżała, jakby pod nią piekielne wrzały wulkany, straszliwe gromy napelniały mieniące się w błyskawicach powietrze, a od chwili do chwili cały zamek się zatrząsł i wszystkiemi szymbami zabrzęczał, jakby go przejmowała zgroza krwi albo śmierci...

W takiej niepewności i zgrozie minęła blisko godzina.

Po godzinie dał się słyszeć tentent galopującego konia pod samymi murami, a niebawem i silne kołatanie do bramy. Dworak stojący na murach dał znać, że jakiś oficer konfederacki przyjechał. Wojski wybiegł ku niemu, rozmawiał z nim małą chwilę, a wróciwszy, przyniósł wiadomość, że to był oboźnego adjutant. Oboźny dawał wieście do zamku, że jakieś nieporozumienie zaszło w samem zaczęciu bitwy i cała sprawa upadła. O Bierzyńskim nie miał żadnej wieści dotychczas. Dzierżanowski gdzieś zniknął, a Bogusławski musiał także już uleżeć, bo wojska nieprzyjacielskie zalewają coraz gęściej plac boju. Lubo

niema żadnego rozkazu, oboźny podstępnie pod zamek i chce przynajmniej tutaj postawić opór: zawiadamia więc kasztelana, że prawdopodobnie stoczy bitwę pod samymi murami i ostrzega zarazem przed niebezpieczeństwem, któreby dla zamku mogło wyniknąć natenczas, gdyby on uległ.

Kiedy wojski zdawał ten raport, nagle zajaśniały łuny na niebie. Zapalił się wtedy folwark, stojący za plecyma obozu, i porozrzucone tam chaty. Atoli za nim przy tych płomieni blasku zdołano się rozpatrzeć, co się dzieje na polu, oboźny już pod mury podstąpił, sprawił swe wojska i na jakiś zbliżający się oddział nieprzyjacielski uderzył. Zaczęła się żwawa bitwa pod samymi murami zamku. Widziano ją z murów jakby na dłoni: widziano przy łun odblasku, jak siwowłosy oboźny, zakasawszy po staropol-sku rękawy po łokcie, z szablą wzniesioną w górę, na karczystym siwo-jabłkowatym ogierze, z niesłychaną fantazyą uderzył; widziano go jak się rzucał na wszystkie strony, sam rąbiąc dokoła i nie spuszczać z oka swoich żołnierzy; ale widziano także, jak się wszył między dragonię, zanurzył się jakby w fali i już nie wypłynął... W tej chwili zagrzmiały działa, — zamkowa baszta zgrzytnęła swymi kamiennymi zębami i runęła w połowie w gruzy, wszystkie okna jęknęły w zamku, cały zamek się zatrząsł w swoich najgłębszych podstawach i jednocześnie zapaliły się w dali dziedzińca gospodarskie budynki... Była to zemsta tych pułków, które wojski poparzył na przeprawie przez Wartę.

Bitwa zewnątrz zamkowych murów trwała jeszcze przez parę minut, jeszcze się opierały ostatki, — ale niebawem i te ustąpiły lub padły: kule zaczęły świstać po nad dziedzińcem, ludzie broniący murów zaczęli padać coraz gęściej w dziedzińcu, na ich miejscu zaczęły się pokazywać twarze zupełnie inne i brama wreszcie zaczęła trzeszczeć pod naciskiem zwycięzców...

Widząc to stary kasztelan, zerwał się z miejsca jak młody i zawołał:

— Ratuj kto w Boga wierzy i murem wszyscy przed bramę!



To mówiąc, dobył szabli i zrobił ruch naprzód. Starosta go wstrzymał za wylot, wołając:

— Przez Pana Boga żywego! co jegomości?

Ale kasztelan się odwrócił od niego i rzekł:

— Waś bo tchórzysz jak widzę!

Takie słówko jest dostateczne dla każdego Polaka, aby się rzucił choćby i w piekło. Toż i starosta, choć był blady dotychczas jak ściana i drżał jakby w febrze, nagle stanął w płomieniach, dobył szabli i runął jak szatan ku bramie...

Staruszek sam runął za nim; za starcem, same nie wiedząc co czynią, rzuciły się obiedwie kobiety: Annuncyata z płaczem i jękiem, ksieni z książką nabożną podniesioną do góry w lewej, a w prawej z poświęcanym krzyżykiem. Za nimi rzucił się ksiądz i sług reszta zgrzybiałych, wszyscy bez pamięci, bez przytomności może zwyczajnej ziemskiej, ale z owem natchnieniem niebieskiem, które porywa duszę, zabija ciało.

W tej chwili wszakże prysnęła brama — i zaczęli się sypać nieprzyjaciele, rzuciwszy kilkadziesiąt strzałów przed sobą. Wojski z Gałęckim rzucili się na nich, biegł ku nim także kasztelan, — ale niebawem zachwiał się biedny starzec na nogach, zwinął się naprzód i upadł, a krew bluznęła mu z prawego ramienia... Annuncyata padła na kolana przy ciele ojca, mniszka pochyliła się nad nim, ksiądz stanął przy niej, wszyscy nie uważając na to, że lada chwila mógł ich nieprzyjaciel zdruzgotać...

Widząc to wszakże stary Jawnuta, stojący na czele kilkudziesięciu parobków, rzucił się z nimi na przelaj, a zamykając nieprzyjacielowi drogę w tę stronę, ubezpieczył ich choć na chwilę... Ta chwila była też dostateczną istotnie. Porwano bowiem nieprzytomnego starca i uniesiono. Niosący go nie byłiby może z nim uszli daleko, bo go niesły obiedwie kobiety z księdzem; ale dosyć zawczasu zjawiła się przy nich Marta kowalka, a jako była barczystą i silną, sama go wzięła na ręce i przez wielką wystawę poniosła do górnych komnat. Za nią pobiegły obiedwie kobiety.

Kiedy był pod kolumnami, nieprzyjaciel już się był wpart o kilkanaście kroków w dziedziniec. — Wojski z Gałęckim trzymali się jeszcze jak mogli, powstrzymując napierające szeregi na osękach i kopiach swojej dzielnej załogi, — ale stary Jawnuta już był uległ natenczas. Z rozciętą na dwoje głową upadł prawie w tem samym miejscu, gdzie dopiero co leżał kasztelan, a jego krew mieszała się ze krwią ukochanego przezeń ojca i pana. — Przez tę więc lukę wpadł nieprzyjaciel prawie już w środek dziedzińca i groził zajęciem wszystkich wchodów do zamku, — ale rzucili się przeciw niemu zapamiętały wojski z zawzięciem się bijącym starostą i zniewolili nieprzyjaciela do jeszcze jednej bitwy w samym obejściu zamku.

Tymczasem Marta, odpoczywając pod swoim brzemieniem co kilka schodów, wniosła przeciw staruszka do górnych komnat, a stamtąd aż do jego sypialni. Tu jednak, wyczerpana już zupełnie na siłach, nie zdołała go donieść do łóżka, tylko złożyła w najbliższym krześle. Staruszek nie dawał żadnego znaku życia, — kobiety go obstąpiły, zaczęły trzeźwić — a tymczasem posłały po zamkowego lekarza. Czekano na niego dość długo, bo medyk miał już co do czynienia w dziedzińcu, przybiegł nareszcie, ale już z nową wieścią...

Do tego czasu bowiem obrońcy zamku pod nierównie przeważającą siłą już całkowicie ulegli. Waleczny wojski padł przy samej wystawie pod kolumnami, — starosta nieodstępny od niego, widząc go upadającego, poddał się wreszcie, a z nim reszta załogi.

Ale jakkolwiekby, w obecności konającego staruszka, nikt już tam nie dbał o siebie, Annuncyata zawołała: — To niech już wszystko zabiorą wraz z naszym życiem! — a panna ksieni, z największą rezygnacją, jaka być może, otworzyła swoją książkę nabożną i stojąc za krzesłem kasztelana, zaczęła czytać nad jego głową modlitwę przy skonaniu. Lekarz się rzucił do ratowania staruszka, a przy patrzywyszy mu się pilnie i ujawszy go za rękę, zapewnił zaraz: że żyje! Poczem zaczął z pośpiechem rozpruwać na nim suknie, dobywając się czempredzej do rany...

Ale kiedy się to działo w kasztelana sypialni, rumory rabujących żołnierzy, zaczęły się tutaj coraz bardziej przybliżać. Już było je słychać w sieni, już na sali jadalnej, już w komnatach bawialnych, a nareszcie przez owe schodki, które nam znane, spadło rozswawolone żołnierstwo i do sypialni...

Widząc to Annuncyata, już nie obawą lub zgrozą, ale najgłębszym oburzeniem nabiegła cała i rzuciła się ku nim. Stanąwszy pomiędzy nimi a konającym staruszką, wskazała ręką na niego i zawołała przerażającym głosem:

— Idźcie!... i pastwcie się nad nim jeszcze w godzinę śmierci!

Bóg sam wie tylko, ile tam rozmaitych uczuć odbiło się w tym głosie!

Wszakże i to wysilenie byłoby zapewne nie wiele pomogło, bo coś powstrzyma wściekłość rozdrażnionego żołnierstwa? — Ale na szczęście w tej chwili zjawił się wraz z żołnierzami jakiś oficer wyższy. Ten stanął, wyciągnętym pałaszem powstrzymał rozpędzonych żołnierzy i patrzył przez chwilę na tę tragiczną scenę, którą miał przed oczyma. Rozpoznawszy cały stan rzeczy, kazał się cofnąć żołnierzom, sam wyszedł z nimi i był nawet tak ludzkim, że postawił wartę przy drzwiach wchodowych od sieni. Tym sposobem przynajmniej całe to skrzydło zamku zostało ochronionem od ostatecznego zniszczenia, które wśród strasznego pożaru gospodarskich budynków, z całą wściekłością domowej wojny, szumiało po wszystkich innych kątach kasztelańskiego obejścia.

Tymczasem tutaj lekarz już był rozebrał staruszką i położył go w łóżku. Wysunął go wysoko na puchowe poduszki, sam usiadł przy nim i trzeźwił go wszelkimi sposobami. — Ale jakoś mu się to długo nie udawało. Staruszek żył jeszcze pewnie, — ale do przytomności powrócić nie mógł. Widząc to lekarz, szepnął słów kilka do ucha księdzu, a ksiądz wyszedł natychmiast. Niespokojna Annuncyata, to wypytywała się ciągle lekarza o ojca, to patrząca z oczekiwaniem w wybladłą twarz omdlałego staruszka, nie uważała tego — i spostrzegła dopiero wtenczas,

kiedy w sali przyległej dał się słyszeć dzwonek kościelny. Odwróciła się wtedy i obaczyła księdza w komży i stule, idącego z św. Sakramentami.

— Przez Pana Boga! — zawołała na to, chwytając lekarza za ramię — czy już niema żadnego ratunku?

— Jw. pani! — odpowiedział lekarz — rana jest ciężka, a przy niej lat dziewięćdziesiąt...

Annuncyata w głosny płacz wybuchnęła i upadła prawie bezwładna w krzesło. Przystąpiła do niej mniszka ze słowami pociechy.

Wszakże niebawem kasztelan się zbudził. Otworzywszy oczy, pierwszy przedmiot, który obaczył, był to ksiądz w komży i stule... Ale pomimo to patrzył on całkiem spokojnie na niego. Rozpatrywał się potem przez chwilę po osobach jego łoże otaczających, i zdawało się, jakby sobie przypominał, co się z nim stało, i usiłował domyśleć się bez pytania, jaki stan rzeczy jest teraz. I zapewne się musiał domyśleć, bo odpocząwszy złamanym wzrokiem na twarzy córki, westchnął tylko z głębi ściśnionej piersi — i o nic więcej nie pytał. Zdawało się, jakby już wiedział o wszystkim i dziękował Panu Bogu i za to. Poczem dał znak księdzu, aby do niego przystąpił.

Ksiądz stanął przy jego głowach i zaczął go spowiadać. Przytomni odsunęli się i stanęli opodal: Annuncyata z głową spuszczoną i zalanymi rękami oparła się o najbliższą kolumnę, — mniszka usiadła w krzesło i otworzyła książkę nabożną, — Marta uklękła w dali i zalewając twarz strumieniami łez żywych, modliła się z taką pokorą i żarliwością, jakby już sama miała skonać za chwilę. Spostrzegłszy to pauna ksieni, często z za książki rzucała wzrokiem badawczym na nią: zdawało się, jakby nie mogła uwierzyć, żeby dusza nieczysta, jaką wedle jej rozumienia miała być dawna kasztelanki piastunka, mogła się modlić tak szczerze.

W tej chwili była już cisza na zamku. Po zdobyciu tej słabej warowni znaczniejsza część żołnierzy została zabraną i popędzoną na pole bitwy: pozostała załoga dobyła się do piwnic, szukając w dzbanach i beczkach rozbitych



za swoje czyny rycerskie nagrody. Ich pijane hałasy, tłumiąc się same w sobie pod sklepieniami podziemiów, nie dochodziły aż tutaj, — i była tutaj cisza jak w grobie.

Śród tej ciszy ksiądz skończył spowiedź, dał staruszkowi ostatnie błogosławieństwo kościoła i wyszedł. Za nim wysunął się także i lekarz. Był to znak nieomylny, że już nie masz żadnego ratunku. Zrozumiała to Annuncyata, a serce jej nową się ścisnęło boleścią. Ale już się jej nie sprzeciwiała, tylko poddawszy się z chrześcijańską pokorą, zbliżyła się do staruszka, aby jak najbliżej być przy nim w tej chwili ostatniej.

Po przyjęciu św. Sakramentu twarz kasztelana wygładziła się całkiem ze śladów wszystkich boleści, jakich kiedykolwiek doznał w swem życiu, i przybrała wyraz jakby już nadziemskiego spokoju. Takim wzrokiem patrzył na córkę przez chwilę, poczem ujął jej rękę, ścisnął ją i rzekł:

— Byłaś najpiękniejszą pociechą mojego życia!

To mówiąc głosem, w którym się przebijało najtrokliwsze rozzerwienie kochającego serca, chciał jej rękę do ust przycisnąć; ale Annuncyata, rozczulona do najwyższego stopnia, wyrwała prawie swą rękę z jego gorącej dłoni, wybuchnęła w płacz głośny, rzuciła się na kolana przy jego łożu i zaczęła nogi jego całować, prawie całkiem już zimne.

— Wstań, moje dziecko — mówił na to słabym głosem staruszek — Bóg to widzi najlepiej, ile było miłości pomiędzy nami! Żał nam rozrywać te serca... aleć to nie na długo! Życie ludzkie to tylko chwila, a potem... znowu się obaczymy.

— Ach! ojeże drogi! — zawołała na to Annuncyata przez łzy niewstrzymane — czemuż i ja już nie idę z tobą!... Nie mam tu już nikogo na ziemi...

Staruszek patrzył na nią, a potem spytał:

— Czy wszyscy zginęli? gdzie jest wojski? gdzie mój stary Jawnuta?

Annuncyata odpowiedziała na to milczeniem. Kasztelan westchnął i rzekł:

— Sama jedna na całym świecie: i cóż ty poczniesz ze sobą?...

Tu zdało się jakby mu łzy w oczach stały. Annuncyata łkała stłumionym płaczem, — mniszka patrzyła jakby z wyrazem dwoistego żalu na niego. Wszakże niebawem zwrócił się do niej i rzekł:

— Pani siostró, przynajmniej ty jej nie opuszczaj, o ile możesz... W mojej ostatniej woli pamiętałem i o twoim klasztorze. Ale proszę cię nie namawiaj jej do zakonu. Ona nie stworzona do tego. Niech za mąż idzie, a kromia Bogu, niech też służy ludziom. Ma też już swoje zamysły, o których wiem i nie ganię... Błogosławie, jeżeli przyjdą do skutku: jeżeli nie, twoja wola...

Tu się obrócił do córki i mówił dalej:

— Ufam Bogu, że cokolwiekbyś postanowisz w twem sercu, dobre będzie.. Nie da się Pan Bóg omylić twemu sumieniu; będę Go błagał o to w pokorze i mam nadzieję, że prośba moja nie zostanie bez skutku... Bierzyńskiego ci ani ganię, ani też chwale. Dotychczas wszystko przemawia za nim: ale niech jeszcze próbę czasu wytrzyma, to nie nie zaszkodzi... Dlatego wytrwaj jeszcze do końca, a potem uczyni wedle twego własnego natchnienia, a cokolwiek uczynisz, niechaj Bóg ci pomaga... Ale jeżeliby nie przyszło do tego, pamiętaj o nim... On teraz w wojnie. W tej wojnie nie zdobędzie sobie żadnego urzędu, nie obłowi się także jeszcze, i swoje uroni; może więc osiąść na lodzie... wtedy czas podać mu rękę i pomóc.

Tu staruszek wstał na chwilę i zdawał się zaczerpywać powietrza. Tymczasem ksieni, uderzona jego ostatnimi słowami, korzystając z tej chwili i zapytała:

— Panie bracie! kiedy już mowa o tem... powiedzże nam w swej łasce, czyście co winni Bierzyńskim?

— Ja nie jestem nic winien nikomu! — odpowiedział na to staruszek cokolwiek żywiej — jam nie ukrzywdził nikogo: ale może tam ojce mieli co między sobą... W dawnych czasach rozmaicie bywało. Szukałem po papierach, rozpytywałem ludzi, nie było nic, — ale może!... Dla-

tego proszę cię — rzekł nakoniec do córki — pamiętaj o nim...

W tej chwili wszakże twarz staruszka zaczęła się mienić, wzrok się złamał zupełnie, — zaczął mówić z pośpiechem:

— Testament mój w biurze dębowem. Wie o nim Gałęcki i pan Aleksander, brat mój. Nie jestem już tak bogatym, jak wtedy, ale przecież...

Tu jego piersiom całkiem już brakło powietrza i umilkł. Chciał głowę podnieść, aby jeszcze raz córkę obaczyć, ale nie miał już siły. Głowa sama ze siebie wpadła między poduszki. Chciał rękę podnieść, ale i ręka upadła...

W tym momencie odezwała się sygnaturka nad zamkową kaplicą — a do sypialni wszedł ksiądz z lekarzem i kilku dworzan staruszków. Wszyscy uklękli wokoło łóża a kapelan zaczął mówić głośną modlitwę. Śród tej modlitwy kasztelan jeszcze raz się wyciągnął, otworzył usta i westchnął, — ale było to już jego westchnienie ostatnie. Kiedy sygnaturka umilkła, najstarszy wiekiem senator Rzeczypospolitej, patriarchy ziemi Sieradzkiej i wierny przyjaciel konfederacyi stał już przed Bogiem.

## V.

Od tego dnia fatalnego, który tyle nieszczęść rozsiał na wszystkie strony, całe województwo Sieradzkie załżała wojna.

Śród ustawicznych utarczek, przemarszów wojska i powszechnego stąd zamieszania, zniknęły pewne, stanowcze wypadki, zbladły pojedyncze postacie, — a ich miejsce zajęły głuche tylko, porozrywane, całe niepewne wieści.

Tak minęło parę miesięcy — i było to już w początkach jesieni.

W owym czasie, dnia jednego wieczorem, zgromadziło się było u Gałęckiego kilka osób z sąsiedztwa. Był więc jak zwykle imię pan stolnik Szadkowski, był białowłosy podkomorzy sieradzki, było kilku szlachty innej, którzy

różnymi czasy w rozmaitych służyli konfederacyach, a między nimi znajdował się także imię pan Zembrzusi, dawny Bierzyńskiego oboźny. Ci wszyscy razem siedzieli przed kominem w sali jadalnej i popijając miodek lipcowy, żwawą ze sobą prowadzili gawędkę. Ostatni, który przybył do tej kompanii, był podkomorzy sieradzki. Ten, wyjechawszy właśnie z początkiem lipca do swego zięcia, który mieszkał koło Zamościa, przesiedział tam wszystkie te burze i dopiero teraz, kiedy się uśmierzyły, nazad do siebie powracał. Nie wiedział więc prawie o niczem dokładnie, a jako był sensat poważny i mąż we wszystkim grunto-wny, wypytywał się o wszystko nadzwyczajnie ciekawie. Teraz właśnie mu co Gałęcki opowiedział obronę zamku i opisał ze szczegółami całą bitwę w dziedzińcu, — a on mu na to tak odpowiedział:

— Otóż to mi są rzeczy ciekawe; szkoda tylko, że takie smutne! Znałem ja dawniej kasztelana. Zawsze to był człek prędkiej, zawsze stanowczy i w opiniach stateczny, ale żeby do tego wieku zachował jeszcze taki ferwor szlachetny, tegobym się był nie spodziewał; bo to u ludzi każdy wiek ma swe prawa, a każdy człowiek, im mniej lat ma przed sobą, tem też więcej dba o nie. U niego, jak się to pokazuje, było całkiem przeciwnie. Może już tylko miesiące, może dnie miał przed sobą, ale i te poświęcił, aby pozostać wiernym swojej zasadzie. Wolął wszystko utracić i zginąć, niżeli się poddać tym, przeciwko którym wystąpił. Piękny on przykład zostawił młodszemu i tak rozumiem, że go Bóg za to nagrodił. Ale waszmość, panie starosto! który się tam dostałeś w niewolę, powiedzże mi, jakże się z niej wydobyłeś?

— Ot! jakoś mi Pan Bóg w swej łasce dopomógł — odpowiedział na to starosta — bo prawie już i sam nie wiem, jak się to stało. Aleć była to zresztą rzecz prosta. Nieboszczyk kasztelan miał obfitą piwnicę, żołnierstwo się na nią rzuciło, popiło się bez pamięci, a już natenczas, chybabym był nie mógł się ruszyć, gdybym był nie pomyślał o sobie.



— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to podkomorzy staruszek — chwała! Bogu i za to.

— Ha! chwała Bogu! — rzekł z powagą Gałęcki — ale przy tylu nieszczęściach innych! ledwie to jaka pociecha!... Powiadam waszmości panu, że kiedy sobie pomyślę o tem, że ten Bierzyński tak już stał świetnie pod każdym względem i to wszystko odrazu tak fatalnie utracił, to już sam nie wiem, co mi się dzieje. Co się to stało, wie tylko chyba Bóg jeden; ja sobie głowę łamię na próżno.

— Ale to prawda — rzekł podkomorzy — i nie możecie waszmość dojść żadną miarą, co to było takiego? bo już ci trudno dopuścić, żeby to była zdrada.

— A to dlaczego? — spytał stolnik Szadkowski.

— Ach! proszę was — zawołał na to starosta, rzucając ukośny wzrok na stolnika — tylko mi tego nie mówcie, bo to niema żadnego sensu! Czy to być może, żeby Bierzyński zdradził! czyż waszmość tak istotnie rozumiesz? — spytał starosta stolnika.

— Mam ja w tem moje zdanie — rzekł na to stolnik — ale mów waszmość pierwej, co ty rozumiesz, a ja powiem na końcu.

— Ja już tu nie nie rozumiem, bom sobie głowy nalał dosyć a próżno. Ale że o zdradzie tu ani mówić nie można, to niema kwestyi. Jest tutaj wreszcie imię pan Zembrzusi, który był temu najbliższy, niechże on powie.

— Cóż tedy waszmość nam powiesz? — spytał podkomorzy, obracając się z krzesłem do oboźnego i patrząc na niego przez okulary.

— Ja — rzekł na to oboźny — ja podobno także niewiele powiem, boć to dziwne są rzeczy. Co się tam stało, Bóg to wie tylko. Bo że Bierzyński został się w środku obozu jeszcze natenczas, kiedymyśmy już stali na stanowiskach, to się pojmuje. Było to miejsce najwyższe i stamtąd było widać najlepiej: a zresztą, jak to dobrze pamiętam, niejednokrotnie przed bitwą stawał od nas i dalej, i nic mu to nie szkodziło. Czasem sam nawet dla zreknoskowania pozycyi od nas odbiegał i mógł to ro-

bić, bo też i wiedział, jakiego miał konia pod sobą. Ale dlaczego on z tego miejsca puścił się cwałem ku folwarkowi, to już zagadka. Od jednego z żołnierzy, którzy byli natenczas przy nim, dowiedziałem się tego, że przyjechał tam wtedy do niego poseł z kartką od matki, — powiadano nam, że naówczas znajdował się w Gozdawce imię podskarbi, a więc stąd domysł, że Bierzyński chciał się jeszcze przed bitwą widzieć z podskar bim, — aleć to rzecz niepodobna do prawdy. Nigdyby był Bierzyński tej podróży, chociaż tak niedalekiej, nie przedsiębrał w samą chwilę przed bitwą; chyba żeby był głupi lub opętany. Że głupi nie był, to już nie trza mówić — chyba więc już drugie. Jakoż powiem waszmościom, że ilu tylko spotkałem żołnierzy, którzy byli w tej sprawie, żadnemu z nich ani klinem tego z głowy nie wybić. Taka jest między nimi konwikeya, że Bierzyńskiego ktoś oczarował na ową chwilę, że już to próżno. Jać tam w gusła nie wierzę, ale kiedy nad tem pomyślę, żegnam się tylko, bo już nie wiem, co myśleć...

— Jakże więc? — spytał stolnik z ironią — to waść taki seryo w to wierzysz?

— Ja nie wierzę — rzekł na to oboźny — nie mówię tego; aleć trudno zaprzeczyć, że zsyła Pan Bóg na ludzi różne czasem dopusty.

— A! dopusty! dopusty! — zawołał stolnik — to co innego; ale powiedz waść także, że zsyła je Pan Bóg na ludzi wtedy, kiedy je zasłużyli. Ale tutaj podobno i to nie było... ale powiadaj waszmość dalej. Więc któż to Bierzyńskiego tak oczarował?

— Różnie to mówią — prowadził dalej rzecz swoją oboźny — więc jedni, że kasztelanka, ale to niewarto nawet powtarzać; drudzy, że owa Marta cyganka, która tak często bywała w obozie, a ma być nibyto czarownica, ale i to niewarte uwagi; trzeci więc, że Wessel podskarbi, a to już jest co innego, bo to bardzo wątpliwe subiektrum; ale powszechne *votum* mówi za Dzierżanowskim, jakoż to rzeczywiście jest rzecz osobiwa. Bo i ja już to mówię, że Dzierżanowski go oczarował. Bo to trza wiedzieć waszmo-

ściom, że ci panowie byli z sobą od niepamięci, jako pies z kotem. Emulowali ze sobą niegdyś o kasztelankę i stąd to idzie owa nienawiść, ale nienawiść taka, że jak mnie zapewniali Bierzyńskiego najbliżsi, byłiby się w łyżce wody potopili nawzajem, gdyby to mogli. Jest nawet certum, że kiedyś przed laty rzucili się byli ze szablami na siebie i ledwie ich rozerwano. Otóż ten Dzierżanowski, jakby nie nigdy nie było, przyjeżdża nagle do Bierzyńskiego obozu. Jam go pierwszy obaczył, bom był natenczas w gospodzie, kiedy do niej zajechał, a był tam wtedy i jme wojski sieradzki, nieboszczyka kasztelana marszałek, ba! już i sam teraz nieboszczyk, *requiescat in pace!* Otóż kiedy Dzierżanowskiego obaczył, zaraz mnie coś piknęło i mówię do wojskiego: — Panie bracie! podobno wąż się zakrada do raju! — A on mi na to: — Nie bój się waś! nie masz tam Ewy w tym raju a Adam ma rozum. — I zaraz mi opowiedział rzecz. Nie kazałem go nawet wpuszczać do obozu, ale już to Smolecki mu te wrota otworzył. Kiedy się więc nazajutrz dowiedział, że Dzierżanowski w obozie, myślałem sobie: będzie tu burda haniebna! i nawet bałem się trochę. Aż tu mnie każe wołać marszałek. Przychodzą: a on mnie z góry, dla czego wpuścił takiego gościa. — Kiedy więc Dzierżanowski przed namiot zajechał, patrzałem tylko, rychło Bierzyński zawoła dybów! Ale patrząc, jakoś grzecznie są z sobą; weszli pod namiot, a tu niebawem Dzierżanowski regimentarzem! — Przeżegnałem się tylko, bo już i trudno było inaczej. — Mówilem o tem dnia tego z wojskim, ale i wojski już mówił wtedy jakby oczarowany, bo mi powiedział wyraźnie: — Panie bracie! już tam kiedy Bierzyński to postanowił, to pewnie dobrze to będzie. A tu masz dobrze!

— No, ale powiedzże mi waś dokumentnie — zapytał podkomorzy — czy Dzierżanowski dopuścił się rzeczywiście jakiej zdrady w tej bitwie, czy nie?

— Czy się zdrady dopuścił! — zawołał obożny — otóż to rzecz!

— Więc się dopuścił? — zapytał stolnik.

— A może nie?

— A to ciekawem jakiej?

— Jakto jakiej! A toż to Bierzyński możeby był przepadł, gdyby był Dzierżanowski zaraz uderzył, jak tylko pierwszy pułk dragonii obaczył?

— Ależto Dzierżanowski jakieś waś sam powiadał, miał rozkaz wyraźny, stać kolkiem w miejscu, póki Bierzyński nie wróci!

— Ot! gadasz waszmoś! a czy tu trzeba było rozkazu, jak skoro nieprzyjaciół już się pokazał na polu, i Bierzyńskiego odciał od nas widocznie! Już tam, że Dzierżanowski zdradził, niema nawet co mówić; żeby jeno nie więcej!

— A cóż też więcej? — zapytał stolnik.

— A jużci więcej? — odpowiedział obożny — bo powiem waści, że sam mówił z człowiekiem, który widział na własne oczy, jak Bierzyński się przebił przez pułk Wścieklicy, a Dzierżanowski go złowił i regalistom odesłał.

Usłyszawszy to stolnik, zaczął mierzyć obożnego wzrokiem takim, jak gdyby mu chciał dać do poznania, że ta niedorzeczność nie warta nawet jest odpowiedzi. Ale tymczasem podkomorzy obrócił się do stolnika i rzekł:

— Mości panie stolniku! — jakoś tu krucho jest z tym waścinym rycerzem, za którym zawsze tak gardłowaliśmy!

— Ot! wierzyłbyś też jegomoś tym plotkom! — rzekł na to stolnik — ani się to śniło Dzierżanowskiemu, co powiada jme pan obożny, a kiedy jegomoś chcesz, to powiem jak było. Dzierżanowski stał w miejscu i nie uderzył, to prawda; ale nawet i o to go obwiniać nie można, boć przecie i pan obożny stał także natenczas na swoim miejscu i także nie uderzył.

— Ale bo ja nie widziałem tego, że dragonia już wbiegła na pole!

— A masz waś jakie dowody na to, że Dzierżanowski ją widział?

— Musiał ją widzieć, bo stał w takim miejscu, skąd było widać.



— Tu niema żadnego dowodu — powiedział stolnik — a dowód jest, że Dzierżanowski w swoim czasie uderzył.

— A jaki dowód?

— A toż pytaj się waść Bogusławskiego żołnierzy, czy ich Dzierżanowski nie sukursował, kiedy poczęli sprawę?

— Ja o tem nic nie wiem, ale to wiem, że Dzierżanowski nie powinien był sukursować siłę mniejszą, tylko na własną rękę uderzyć, i to wiem wreszcie, że nie powinien był z placu uchodzić.

— On z placu nie uszedł, jeno ustąpił i to natenczas, kiedy widział, że przez Bierzyńskiego zdradę już wszystko przepadło.

— Najpierwej, nie mów waszmość przez zdradę, bo na to niema dowodu; a potem, gdzieżto Dzierżanowski podział to wojsko, które uprowadził w całości, a było go przecież blisko dwa tysiące?

— Tak liczne wojsko utrzymać, nie jest tak łatwo, jak się waszmości zdaje, dlatego niema się wcale co dziwić temu, że po owej bitwie znaczna część tego wojska się rozprószyła. Ale jak ci rozprószeni nie przepadli dla sprawy, bo służą dzisiaj pod komendą Zaremby, tak i sam Dzierżanowski nie zasiadł przecie na grzędzie, jeno służy dalej, jak trzeba.

— Służy, pięknie mi służy! A czy wiesz waszmość, gdzie to on służy?

— Gdzie dzisiaj służy, tego nie wiem, bo odkąd Kraków dostał się w ręce nieprzyjaciela, to już o nikim nie pewnego nie wiemy, krom o tych, którzy razem z nieprzyjacielem w zamku krakowskim biesiadują przy jednym stole; ale to wiem, że przed zajęciem Krakowa Dzierżanowski konsystował w Wieliczce i tam trzymał komendę placu.

— I trzymał ją tak długo — rzekł na to oboźny — póki nie wyprzedził kilkanaście tysięcy bałwanów soli; ale jak się osolił, tak się też i rozpułnął, jak sól w wodzie.

— I to być może — powiedział stolnik — ale przy najmniej to o nim pewna, że nie osiadł na zamku krakowskim i nie modlił się na *Te Deum* w katedrze, które

regaliści wyprawiali na podziękowanie Bogu za odniesione nad konfederatami zwycięstwo.

Tu oboźny patrzył przez chwilę z wyrazem oburzenia na złośliwego stolnika i widocznie tłumił gniew w sobie, a utłumiwszy go, rzekł:

— Powtarzasz waść plotki takie, na które i odpowiadając nie warto!

To rzekłszy, wstał, i nie chcąc już dalej rozmawiać o tym niemylm dla siebie przedmiocie, odszedł precz od komina.

Ale tymczasem podkomorzy, który tej ucinkowej rozmowy słuchał z natężoną uwagą, a pomimo to niewiele rozumiał, obrócił się do starosty i spytał:

— Powiedzże mi waszmość z swej łaski, o co tu chodzi, bo ja siedzę jak na niemieckim kazaniu.

— Ot! o co chodzi! — zawołał na to z westchnieniem starosta — chodzi o Bierzyńskiego, o którym do dziś dnia nie masz żadnej pewnej wiadomości, krom coraz gorszych i coraz więcej krzywdzących plotek. Już to mówią Bogiem a prawdą, jakiego mi ten Bierzyński narzążył piwa, ile przyniósł zgryzoty i nawet stracił oczywistych, to doprawdy przechodzi wszelkie pojęcie. Bo to jegomość o tem nic nie wiesz, więc ci powiem. Otóż trzeba ci wiedzieć najpierwej, że kiedy Bierzyński jeszcze tutaj leżał nad Wartą, to już natenczas był oskarżony przed generalnością zebraną w Białej, i generalność wydała na niego wyrok, zrzucający go z urzędu marszałka; a jak się to teraz pokazuje, to nawet kto wie, czy nie było dwóch wyroków wydanych na niego?

— Ale dwa było pewnie — rzekł na to stolnik.

— Jakie? czy waszmość tego doszedłeś? — spytał starosta.

— Ale doszedłem dowodnie — odpowiedział stolnik Szadkowski — a nawet mam na to świadka, bo oto przytomny tutaj jme pan Piotrowski znajdował się naówczas w obozie pod Konieczną, kiedy się to stało. Jest tedy rzeczą pewną, że został tam wydany na niego wyrok śmierci, a do egzekucji tego wyroku został wysłany pan Teodor

Laskowski i już był nawet z Koniecznej wyjechał, ale co się z nim stało, to nie wiadomo. Ja się domyślam, że Laskowski musiał sam tej egzekucyi zaniechać, dowiedziawszy się w drodze, że Bierzyński stoi na czele czterech tysięcy ludzi...

— To, powiadam waszmości — zawołał na to starosta, obracając się do podkomorzego — to straszne są rzeczy co ten Bierzyński narobił, a wszystko tylko przez zbytne zaufanie w swój własny rozum i w swoje siły. Ażeby mieć wyobrażenie, jak on absolutnie sobie postępował, jak on na nic się nie oglądał, dosyć tutaj przypomnieć Grabowskich. Ja to rozumiem, że można, że nawet trzeba być czułym na obowiązki przyjaźni. Serce ludzkie jest stworzone do tego i nawet czasem oprzeć się temu nie może. Ale kiedybym już był marszałkiem konfederacyi, a mój przyjaciel tejże konfederacyi wrogiem, to już daremnie: już mi tu pierwsza konfederacya, a przyjaciele — wybaczcie! Wszakże to już sam rozum dyktuje, że już nie wspomnę o sercu, które go przecież powinno było daleko ściślej wiązać z konfederacją, niżeli z owymi tam przyjaciółmi. Ale wyobraź sobie waszmość, że myśmymy o tem nie nie wiedzieli i dopiero to teraz się skądeś wyklulo...

— Panie bracie! cóż to było takiego? — zapytał podkomorzy — bo ja dotychczas nie nie wiem.

— Nie wiesz? no, wypuścił Grabowskich, których pojmą była konfederacya Czerska.

— Którychże to Grabowskich?

— Braci Grabowskich, panie podkomorzy — rzekł na stolnik. — Pojmą ich konfederacya Czerska we wsi Sulce, o dwanaście mil od Warszawy, a pułkownik Janikowski prowadził ich do obozu konfederacyi, leżącego natenczas w górach pod Muszynką w Sandeckiem, bo to było o wiośnie. Otóż tego Janikowskiego wraz z Grabowskimi naszedł był Bierzyński na drodze, zaprowadził ich do Giebołtowa, tam wyprawił dla nich luszytyk braterski, z którego potem Grabowskich puścił na cztery wiatry, a Janikowskiemu wyperswadował, że przyprowadziwszy takich

jeńców do konfederackiego obozu, byłby tem tylko konfederacyę w największy kłopot wprowadził, bo byłaby nie wiedziała, co z nimi począć... Tymczasem zaś panowie marszałkowie generalni, zgromadzeni pod Muszynką, pomiędzy którymi ile wiem, znajdowali się pan Kazimierz Pułaski, Szwarzenberg Czerny, Rafał Tarnowski, Ignacy Potocki, Morzkowski i inni, dowiedziawszy się o tem, złożyli na niego sąd pod Konieczną i osadzili go na śmierć. To cała rzecz — i taki to ptak był ten pan Bierzyński, którego, nie przymawiając, nasz kochany starosta tak sobie był upodobał, że gotówby był i własnymi piersiami go bronić. Ale teraz, spodziewam się przecie — rzekł do starosty — że już jegomość się przekonałeś inaczej i nie będziesz nam chwalił człowieka, który przez całe życie na dwóch siedział stołkach, a nakoniec też i ze zdradą wystąpił.

Na tę uwagę starosta zabrał głos i tak mówił:

— Panie bracie! Jeżeli Bierzyński komu dał się we znaki, to mnie pewnie najlepiej, bo na kim tam się skrupiło, a na mnie się zmełło. Bierzyński przyspieszył śmierć mojego ukochanego staruszka, który mi był jakby ojcem, Bierzyński mnie samego na śmierć naraził, z której tylko mnie Bóg wyratował. Bierzyński mi zaszkodził jeszcze daleko więcej, bo ja ufny w jego rozum i zręczność, zaraz nazajutrz po owej fatalnej bitwie nad Wartą, sam własną ręką zawiązałem nową konfederacyę...

— Jakże tedy? — zapytał podkomorzy — to waszmość zawiązaliście nową jeszcze konfederacyę w Sieradzkim?

— Ale nową, zupełnie nową — mówił starosta — jeszcze tu krew nie zakrzepła, jeszcze dymyły się dwory, kiedy ja zwołałem szlachtę do siebie i dałem się nawet sam obrać marszałkiem. I rzecz poszła nad podziw pięknie, bośmy w mrugnieniu oka zebrali przeszło czterysta ludzi i jakich ludzi! Pułkownikiem stanął pan Paweł Biernacki, rotmistrzami Michał Biernacki, Dobrzelewski, Bogusławski młodszy, Sławianowski, Młoszewski, Rychłowski, wszyscy jak waszmość widzisz posesyonaci. Było tu tedy



można zrobić coś z tego, gdyby był się na czasie zjawił pomiędzy nami Bierzyński, tak jak mu to nakazałem; bo mówiąc Bogiem a prawdą, dla niego to wszystko zrobiłem, chcąc go podnieść z upadku, poprzeć, zapomódz, i przeciw tym tam sądom niesprawiedliwym znowu powstać na nogach. Ale tymczasem mój Bierzyński, przegrawszy bitwę, przepadł gdzieś jakby go w wodę kto wrzucił — moją konfederację zabrał Zaremba, którego pan stolnik dobrodziej na regimentarza wyfortytował — a ja osiadłem na lodzie. Jakie zaś dla mnie stąd wyniknęły skutki, przejeżdż się waszmość po moich folwarkach, a obaczysz je wszystkie. Kamień tam na kamieniu nie został!...

Tu starosta umilkł i zdawało się, jakby mu łzy w oczach stanęły. Wszyscy milczeli przez chwilę. Poczem wszakże starosta znowu głos zabrał i tak zakończył:

— Ale pomimo to wszystko, ja jeszcze zawsze nie potępiam Bierzyńskiego bez miłosierdzia, a Bóg niech mnie broni od tego, żebym go miał nazywać zdrajcą. Bo już to u nas, byle co najmniejszego, oho! to już zdrada. Słówek wyleci wróblem, a wraca wołem. Ależ nad taką rzeczą trza się przecie namyśleć. Ja namyślałem się nad tem i Bóg to widzi, ażali nie mam powodu być najsurowszym dla Bierzyńskiego; ale przy całej surowości, jak ciebie kocham, mój panie stolniku, tak się nie mogę pisać na twoje zdanie. I jeżeli mi powiesz, że Bierzyński był człowiek pyszny; że zadużał, że lekkomyślny, że nie miał całego serca ani dla tej sprawy, której się podjął, ani dla ludzi którzy go ukochali — jeśli mi nawet powiesz, że się na tylne kółka oglądał i lubieżył oczyma z regalistami — to ja ci wszystko to przyznam, bo też może tak było. Ale jak tylko pierwszą literę zdrady wymawiasz, to ja natychmiast zakładam *velo*, bo też tej zdrady nie widzę. On bitwę przegrał, potracił wojsko i z swojej winy kraj napęłnił nieszczęściem, ale to wszystko już się zdarzało i innym. Napłatawszy złego, niema co mówić, powinien był je zaraz naprawić — jakoż o to mieliśmy zrazu bardzo słuszną do niego pretensję — ależ teraz wiemy już przecie, że on po bitwie dostał się do niewoli, a czyż można

kazać być czynnym komuś, który zostaje w niewoli? — Dajmy więc pokój tym popędliwym wyrokom, które nam rozdrażnione dyktuje serce i czekajmy przyszłości, ona nam to wszystko wyjaśni i wyda niecofniomy swój wyrok, a ja ci ręczę, że ten wyrok będzie daleko łagodniejszym od twego.

— Nie, panie starosto! — rzekł na to stolnik — nie czekajmy na przyszłość tam, gdzie ona już wszystko swoje zrobiła i zamieniła w przeszłość. Nie ładujmy tych obowiązków na dzień jutrzejszy, które nam trzeba wypełnić dzisiaj. Nie ociągajmy się z zdaniem naszym o rzeczy takiej, która już jest gotowa i do której nie już nie przybędzie. A taką rzeczą gotową jest Bierzyńskiego sprawa, którą chyba ten tylko może nazwać niewyjaśnioną i ciemną, który ją sam pragnie zaciemnić. Może tam więc dla kogo jest ciemną, ale dla mnie jest jasną jak dzień. Dlatego mówię otwarcie i śmiało, że Bierzyński jest zdrajca, a kto mi nie wierzy, temu złożę dowody.

Na to zaś rzekł starosta, patrząc wzrokiem ukośnym na niego:

— Słyszałem ja już nieraz te tam waśne dowody, ale nie mogły mnie nigdy przekonać. A jakom to już nie młody i nie łatwo zmieniam opinie, toż i teraz śmiem wątpić, aby mnie przekonały. Dlatego chyba dajmy pokój już o tem a mówmy o czem innym!

— Wolna wola każdemu — rzekł na to stolnik sztyderezo — trwać w swoich opiniach do końca, chociażby były najfałszywsze pod słońcem. Wolna wola być pobłażliwym dla wszystkich grzechów i ułomności. Wolno nawet grzechy usprawiedliwiać po trosze, zwłaszcza gdy były takie, że nie szkodziły nikomu prócz grzesznikowi i mogą być naprawione za czasem. Ale czy wolno usprawiedliwiać zdradę, a zdrajcę wystawiać jako zanego człowieka — tego już nie wiem, to niech osądzi pan podkomorzy.

— A to co znowu! — zawołał na to starosta — cóż to mi waść będziesz zarzucał? Czy to ja zdradę usprawiedliwiam? A gdzież to waść odemnie słyszałeś?... A to kiedy waść masz na to dowody, że Bierzyński jest zdrajca,

to proszę o nie! I bardzo proszę! Panie podkomorzy! bądź sędzią, a jeśli uznasz, że to są dowody, ja się zaraz położę krzyżem, choćby też nawet i przed jmci stolnikiem! Ale jeżeli nie...

— Jeżeli nie — przerwał stolnik — to już ja za to odpowiem, choćby i przed trybunałem pana starosty. Panie podkomorzy, proszę posłuchać.

Tu stolnik przysunął się z krzesłem do starca i tak mówił:

— Najpierwej muszę jegomości powiedzieć, iż mam tę konwikcyę, że Bierzyński przegrał tę bitwę umyślnie...

— Idźże waść! — przerwał mu z szyderstwem starosta — otóż to są dowody!

— Ale pozwólże mi jegomość — mówił dalej spokojnie stolnik — przyjdą tu i dowody. Otóż pan starosta mi to zaprzecza, a ja się nie spieram. Dajmy więc na to, że Bierzyński, czujny dotąd jak zając, a chytry jak lis, dał się teraz istotnie odciąć przypadkiem, i dajmy na to, że ze szczerego serca na Wścieklicę uderzył i przemożony dostał się w niewolę; to jakież to jego zachowanie się jest w tej niewoli? — Opowiem jegomości fakta dowodne, których i sam starosta nie przeczy, a jegomość sądzi jak się podoba. Otóż dostawszy się w niewolę, został zanieiony do murowanej gospody i tam był nawet w dyby okuty. Co prawda, to prawda. Około północy, jak mi to opowiadał arendarz, zabrano go, wsadzono na wóz i powieszono jak jeńca. Dotąd więc wszystko tu jeszcze niby jest w porządku. Ale czwartego dnia po tej bitwie widziano Bierzyńskiego już wcale nie w postaci jeńca, tylko jadącego w generalskim powozie za wojskiem nieprzyjacielskim, rozmawiającego za pan brat z regałami, z dobrą miną, z czapką na bakier, jak gdyby nigdy nie. Czy prawda to, panie starosto?

— To może być prawdą. Tak i nam powiadano. Ale czy można w tem widzieć co innego, jak grzeczność kawalerską dla kawalera?

— Grzeczność? — powtórzył stolnik — już my znamy tę grzeczność, z jaką spotykano wszystkich konfe-

deratów, których dostano w ręce. Jest to oczywisty wyjątek, a jako taki, oczywiście nie bez powodu. Ale słuchaj jegomość dalej. Otóż tak Bierzyński jeździł za wojskiem nieprzyjacielskim przez kilka tygodni. Tu trzeba zważyć okoliczności. Wiadomo jest panu podkomorzemu, że aż do tego czasu Kraków zostawał w ręku konfederatów. Załoga tego miasta była teraz słabą, bo znajdował się w niem tylko generał Szaniawski z jednym tysiącem ludzi i kilka komend drobniutkich, które tam wstępowały na odpoczynek i znów wychodziły. Ksiądz biskup Kamieniecki, zasiadłszy w Białej, wyteżył wszystkie swoje usiłowania ku temu, aby ten punkt ważny i prawie główny w tej stronie umocnić, aby mury naprawić, mieszczan uzbroić, a oprócz tego dać miastu odpowiednią załogę. Te usiłowania, trzeba to przyznać, już to dla braku funduszków, już to dla niezgody pomiędzy partykularnymi dowódcami konfederacyi, nie wzięły żadnego skutku. Ale pomimo to Kraków się trzymał i byłby się trzymał do dziś dnia, a to dlatego, że nieprzyjaciel, nie wiedząc o tem i nie mogąc nawet supponować, ażeby Kraków był obsadzony tak słabo, mając sam jeszcze do tego siły nieosobliwe, ani myślał się kusić o jego wzięcie. Ale pokusił się wprędce, jak tylko przy nim się zjawił Bierzyński.

— Ach! panie stolniku! — zawołał na to starosta — już też doprawdy niestworzone rzeczy wymyślasz!

— Nie? — rzekł na to stolnik — nie naprowadził Bierzyński nieprzyjaciela na Kraków?

— Eh! dajże pokój!

— No to nie. Ale tego mi przecie waszmość nie zaprzeczysz, że Bierzyński znajdował się osobiście między tem wojskiem, które zajmowało Kraków.

— Ale jakże chcesz? zmiłuj się! wszakże był jeńcem, wszakże go gwałtem prowadzono ze sobą!

Stolnik patrzył na niego przez chwilę i zdawało się, jakby go badał. Wszakże po chwili rzekł:

— Prawda, jego prowadzono za sobą, w generalskim powozie. Nie miał broni przy sobie, aby sobie w łeb strzelić; był pilnowany, nie mógł się krzyżem położyć



przed Floryańską bramą, aby go roztratowano; a cóż mógł zrobić innego? Wjechał więc razem z regałami w opuszczony przez Szaniawskiego Kraków. To tedy nic; lecz idźmy dalej. Otóż wjechawszy w miasto... ale mówmy już tak jak było: wprowadzony gwałtem do miasta, został zamknięty na zamek. Tam mu dano wspaniałe komnaty, otoczono go służbą i wygodami, zaproszono raz na zawsze do officerskiego stołu: i Bierzyński zasiadł do tego stołu, jadł z tych samych półmisek, pił z tych samych pułarów i przez grzeczność światową, której się nie napróżno uczył tak długo na dworach, spał te same zdrowia, które wznoszono przy owym stole! — Ale nie dosyć na tem. W pałacu pod Krzyżtoporami mieszkał naówczas generał Branicki, pierwszy wiernek królewski, głośny konfederatów pogromca. Uniego co wieczora luczne się wyprawiały biesiady, wino się lało strugami, hulano, grano w karty i kości, do późna w noc. Kto codziennym gościem na tych biesiadach, kto najweselszy, najdowcipniejszy, najsprawniejszy ze wszystkich, kto swawolą, żartami i szaloną fantazją wszystkich ku sobie gromadził? — Jmć pan Bierzyński. Kochają go wszyscy, noszą na rękach i odnoszą na zamek. Nazajutrz rano marszałek się budzi, słyszy dzwony Wawelskiej katedry i pyta sługi: coby to było? — Powiadają mu: że dzisiejszej nocy uczyniono z miasta wycieczkę i pobito jakiś oddział konfederacki około Tyńca, będzie więc msza solenna, będzie *Te Deum*. Bierzyński tedy zrywa się co najprędzej, ubiera się w aksamit i złoto i biegnie do kościoła z pośpiechem, aby się nie dać nikomu uprzedzić. W kościele suma, żołnierstwa pełno: a kto klęczy na środku kościoła, kto się modli jak najgoręcej, kto się bije w piersi obiedwiema pięściami, to jest Bierzyński. Widząc to jmć pan Branicki, trąca łokciem siedzącego przy sobie kasztelana przemyskiego, który się tam znajdował przypadkiem i mówi: — Patrzaj waś, jak to umiemy nawracać grzeszników. A kasztelan na to z pokorą: — Milszy Panu Bogu jeden grzesznik nawrócony, niż stu sprawiedliwych. Sam mi to opowiadał kasztelan. Czy waszmość i temu nie wierzysz, panie starosto?

— Mógłbym nawet i temu uwierzyć — rzekł na to starosta — lecz przeto jeszcze zawszeby nie wiedział tego niezbitego dowodu, który waś miałeś postawić...

— Nie? — spytał stolnik zdziwiony.

— A! panie starosto! — ozwał się na to podkomorzy staruszek — jeżeli to są fakta udowodnione...

— Ale co tam! — zawołał na to starosta, obracając się do podkomorzego — najpierwej, to nie są fakta udowodnione. Nie zarzucam stolnikowi, że zmyśla, bom go na tem jeszcze nie schwytał, ale wiem dobrze, że wszystko naciąga, a bujną swoją imaginacją wielu się rzeczy domyśla. A kiedy on ci podaje fakta domyślne, niechże i mnie wolno będzie podać przyczyny tych faktów domyślne. Otóż ja mówię, że to wszystko być może, ale trzeba ci wiedzieć, jaka do tego łączy się rzecz. Bierzyński, jak to wiesz dobrze, jest blisko pokrewny z podskarbiem Wesslem. Podskarbi zawsze się nim opiekował i zawsze wpływał na jego życie i czyny. Podskarbi go oddał na dwór podczaszego, podskarbi go wkręcił do króla, podskarbi go protegował w jego służbie na Kresach. Kto wie nawet, czyli on pierwszej wiadomości o konfederacyi nie miał od podskarbiego? Potem się to stało inaczej, bo że go tutaj w Sieradzkie z manifestami wyprawił nie podskarbi, tylko nasz nieboszczyk kasztelan, to pewna. Pomimo to jednak nie wypuszczał go nigdy wuj jego z swojej opieki. Wuj ten, jak to wiadomo, zrazu się także mizdrzył do tej konfederacyi, a zamiarem jego było, przerzucić tę całą sprawę na stronę Saską. Celu tego chciał dopiąć przez Bierzyńskiego, o czem wiem pewnie, a bardzo prawdopodobnem znajduję, że to on Bierzyńskiemu i pieniędzmi i radą tak skutecznie pomagał, że Bierzyński wzrósł tak łatwo i do tak znacznej siły. I jeżeli Bierzyński się nie bił tak bardzo serdecznie, jeżeli się ciągle na coś oglądał, jeżeli wreszcie nie chciał się poddawać rozkazom generalności i zawsze działał dość samowolnie, o co go obwiniają, jestem przekonany, że było to skutkiem wpływu podskarbiego. Czego tu chciał u niego podskarbi wtenczas, kiedy do obozu przyjeżdżał, po co przyjechał do

jego nieboszczki matki w sam dzień przed bitwą i dlatego Bierzyński tę bitwę przegrał w taki sposób fatalny: niechaj mi kto mówi co chce, jest to jeszcze zawsze zagadką. Ale jest rzeczą aż nadto widoczną, że kiedy Bierzyński się dostał w niewolę, wziął go znowu w swoją opiekę podskarbi. Więc jeżeli z Bierzyńskim nie postąpiono tak jak z innymi konfederatami, jeżeli mu dano wygodny powóz w podróży, a na zamku trochę tam lepszą może komnatę; toż to jest rzecz oczywista, że nie jest to skutkiem jego zdrady, ani jakiegokolwiek podobnej względem nieprzyjaciela zasługi, ale po prostu skutkiem protekcji Wessla. Że Bierzyński te ulgi w swojej niedoli przyjmuje, że się da czasem zaprosić na obiad albo też na wieczorną do Branickiego gawędkę, którego zna jeszcze od pacholeństwa, to ja tam nie wiem zresztą, co o tem myśleć... ale to wiem z pewnością, że dlatego pozostałej konfederacyi ani włos z głowy nie spadł i to wiem wręcz, że nie każdemu dana jest dusza spartańska, albo charakter rzymski. Co zaś do tego, żeby on tam był traktowany przez regalistów jako swój, jako grzesznik już nawrócony zupełnie, tego nie widzę; bo wiem pewnie, że wiele osób chciało się dostać do niego, a nie dostały się i nie dopuszczono nawet do niego jego sługi Pawełka, jak mi to sam opowiadał. Taka jest rzecz i to można powiedzieć dzisiaj — a jeżeli kto chce powiedzieć więcej, daruj mi panie stolniku, ale ten musi jeszcze trochę zaczekać.

Tak bronił Bierzyńskiego gospodarz domu, a skończywszy swoją obronę, spojrzał na stolnika tryumfującym wzrokiem, myśląc zapewne, że go już utłukł zupełnie; ale stolnik był to człowiek zacięty i twardy i nie lada czem można go było ugiąć, a nie dopiero złamać. Jakoż wytrzymawszy chwilkę w milczeniu, tak zaczął na to odpowiadać staroście:

— Piękne to jest rozumowanie, niema co mówić! Piękne bo gładkie i składa się jako książka. Ale nie wszystko co gładkie jest też prawdziwe, a z niejednej książki można i rzecz najbrzydszą wyczytać. Jakoż mówię to śmiało, że

gdyby mi tak rozumował syn mój, tobym go zamknął do karczeru na trzy miesiące: a gdyby mi jeszcze raz tak rozumował, tobym go wyklął od imienia i herbu! Ale panu staroście to wolno...

— A to co jest takiego! — zawołał na to starosta, zrywając się znowu ze stolka i nabiegając krwią cały — a co to? hej! jako? w moim domu...

Starosta był w tej chwili wzburzony do tego stopnia, że mu głos zastygł w gardle. Nie wiele już brakowało do tego, żeby zrobił burdę w swym własnym domu. Na szczęście jednak w czas go podkomorzy pochwycił, posadził napowrót w krzesło i jakoś umitygował. Starosta już tylko fukał przed siebie i mówił więcej z żalem niż z gniewem:

— Ale bo też ten stolnik niema nawet i litości nademną! Widzi białe włosy na mojej głowie... wie jakie było życie moje... czyżem na takie zarzuty kiedykolwiek zasłużył? Bronię Bierzyńskiego z dobrego serca, bronię, bo trzymam o każdym dobrze, póki się nie przekonam przeciwnie; ale czyż to jest zbrodnia?...

Na to zaś podkomorzy:

— Dajno pokój, panie sąsiedzie! przecież tu nikt nie zarzuca ci zbrodni, a jeżeli panu stolnikowi wyrwało się jakieś słówko przyostre, toż to go znasz przecie, tego naszego niecnotę, że ma żądęłko jak pszczoła... Trudno go więc bić za to, a zwłaszcza tutaj, gdzie jako widzę obadwaście przesadzili po trosze i obadwa nie macie racyi...

Ale tymczasem stolnik, który z zimną krwią słuchał tego wszystkiego, przerwał tutaj podkomorzemu i rzekł:

— Panie podkomorzy dobrodzieju, proszę o słówko. Jegomość zmitygowałeś popędliwy gniew pana starosty i to bardzo jest ładnie, będziesz miał za to u Pana Boga, a tuszę, że i u samego starosty, za usługę. Ale jegomość się zabierasz do sądu pomiędzy nami, a to, zdaje mi się, jest jeszcze trochę zawcześnie. Bo ja powiedziałem, że Bierzyński jest zdrajcą i przyrzekłem postawić na to dowody; zacząłem mówić, pan starosta mi przerwał, chcąc mnie wystrychnąć na kłamcę; jam się odciął, stąd burza; ale



nie idzie za tem, żebym po przerwie nie miał mieć głosu i dalej.

— Jakże więc? — spytał na to starosta — to waś masz jeszcze i inne dowody?

— Otóż to rzecz! A wszakże waszmość sam powiedziałeś, że to jeszcze nie dosyć, a ja przecież obiecałem dostarczyć dowodów tyle, żeby ich było dosyć.

— A to kiedy waszmość masz jeszcze co więcej, to mówże ciągiem, a nie ustawaj; będę też i ja słuchał, chociaż jestem przekonany, że dowodu mi nie postawisz.

— Zaraz to obaczymy — powiedział stolnik i tak mówił: — Powiedziałem tedy waszmościom, że Bierzyński jest zdrajcą, a teraz wam mówię, że nie jest to nawet zdrajca ludzkiego gatunku. Bo to widzicie waszmość, różne bywają zdrady. Jeden więc zdradza przez złość, drugi przez zawiść, trzeci przez zemstę a czwarty znowu dla jakiej innej namiętności serca; ale jest piąty, a ten piąty zdradza sobie na zimno, a zdradziwszy, każe się za to zapłacić. Otóż takim zdrajcą jest jme Bierzyński.

— Ach, cóż też już nie pleciesz, mój panie stolniku! — zawołał na to starosta i znowu się zaczerwienił. Chciał mówić dalej, ale podkomorzy go dotknął ręką, on umilkł, a stolnik powiedział na to:

— Ot! mówię sobie jak Piekarski na mękach. Dam więc już chyba pokój. Ale się spytam waszmości, panie starosto, czy mój wuj, pan Ksawery, kasztelan Żarnowski, jest zacny człowiek?

— A cóż to znowu? — spytał starosta — cóż to ma do rzeczy?

— To nie. Ja się tylko pytam waszmości, czy pan Kochanowski jest zacny człowiek? czy godzien jest wiary?

— No, niema kwestyi, wszakże nikt tego nie przeczy.

— Panie podkomorzy, a jegomość jak sądzisz, wszakże go znasz nie od dzisiaj!

— Jeżeli o to chodzi — odpowiedział starsuszek — to mogę dać świadectwo nawet i przed sądem, że pan Kochanowski jest jednym z najzacniejszych ludzi, jakich znałem gdziekolwiek.

— No! to kiedy tak, to niechże już on mówi za mnie, bo ja może nie miałbym wiary...

To mówiąc stolnik, dobył list z bocznej kieszeni, rozwinął go, wskazał w nim pewne miejsce i oddawszy go staroście, rzekł:

— Czytajże waszmość, to jest list kasztelana.

Odebrawszy ten list starosta, przysunął obiedwie świece ku sobie i zaczął czytać głośno w ten sens:

— „Od 10 *currentis* mamy tutaj nowinę, która i was obchodzi. Jme pan Józef Bierzyński, konfederacy sieradzkiej marszałek, który przez parę miesięcy siedział na zamku krakowskim w niewoli, zjawił się w naszych stronach. Cóż tedy waćpan, mój siostrzeńce, rozumiesz? czy się zjawił, ażeby nową konfederacyę zawiazać i swoje błędy naprawić? czy aby spocząć po trudach? — Ja tego nie wiem, bo tu różnie *fertur* o tej materyi, ale to wiem *certainissime* co też ci zaraz donoszę: że tenże jme Bierzyński zasiadł tutaj na Złotym Kluczu, który nasz król jegomość, odebrawszy go księciu biskupowi krakowskiemu, znajdującemu się *in exilio*, jemu konferował w dzierzawę...”

— Bierzyński! na Złotym Kluczu! — zawołał na to starosta, trąc ręką po czole — nie! ja nie mogę temu uwierzyć! Nie, to na żaden sposób nie może być!...

— Ale czytajże waszmość dalej — rzekł na to stolnik — tam jest jeszcze co więcej.

Starosta czytał dalej w następujące słowa:

— „Kiedy mnie doszła ta wieść, która tu nawet narobiła rumoru, zrozumiesz waćpan z łatwością, jakem się zdziwił. Nie chciałem dać temu wiary, bo, jak to może i ty także pamiętasz, pasierb mój, który służył z Bierzyńskim na czas w jednej chorągwi, kiedy powrócił, nie mógł nam się go dosyć nachwalić, wystawiając go mężem za cnym i wyniosłym ambicji. Posłałem tedy mego Berka za tem; ale już to tak jest. Pan Bierzyński się rozłożył w pałacu, zbiera dwór liczny, przyjmuje ludzi, jaki mu się nawinie, wybiera czynsze zaległe i zgola stroi się na coś z wielkim hałasem. Zdaje się, jakby swym dworem chciał zagasić księcia biskupa. Co z tego będzie, nie wiem; lecz

drzę ze strachu, żeby się ta nowa karyera nie zaczęła od wizyt, bo w takim razie przyszedłoby po raz pierwszy w życiu schować się w myszą jamą przed gościem...”

— A! pierwszej śmierci! pierwszej skończenia świata bym się spodziewał niż tego! — zawołał starosta, rzucając list na stół, a zakrywając twarz obiema rękami, odszedł od gości i zaczął się przechodzić po środku sali.

Tak wszakże chodząc, stanął nagle i rzekł:

— Ale że mi też brat mój o tem nic nie donosi! przecież mieszka pod samemi Kielcami i musi także coś o tem wiedzieć. Przepraszam was.. ale jestem niespokojny do najwyższego stopnia... parę chwil tylko... wyszłę dziś jeszcze do mego brata.

To mówiąc, wybiegł prędko z komnaty.

Pozostali goście zaczęli z sobą o tej osobliwej wieści rozmawiać.

Niedowierzający oboźny prosił o pozwolenie odczytania jeszcze raz listu, a lubo nie mało czasu potrzeba mu było na to, skończył przecież czytanie i oddał list stolnikowi. Poczem siadł na swem miejscu, zasunął się w krzesło i bardzo się smutno zamyślił. Tymczasem tutaj mówiono i tak i owak — a chociaż w tym lub owym szczególnie rozmaite jeszcze dawały się słyszeć zdania, jednakże sporu już o nic nie było, bo rzecz zdawała się jasna jak słońce. Wszakże niebawem, jakby go nagle coś obudziło, zerwał się z miejsca oboźny i rzekł:

— A wiecie waszmość, co ja wam powiem?

— Cóż tedy?

— Bierzyński przecie jeszcze wypłynię!

— Toć już wypłynął, na Złotym Kluczu! — rzekł stolnik.

— Ale co tam! to nie! — mówił na to oboźny z jakimś osobliwszym ferworem. — To jest frant kuty na cztery nogi. On okpił regalistów i jak to mówią, wykreślił się sianem. Będziecie waszmość widzieć, że on tam na tym Złotym Kluczu znowu się zaopatrzy w ludzi i broń i lada dzień taką kurtę regalom skroi, jakiej jeszcze nie widzieli na nikim.

— Ale co też waś gadasz! — zawołał stolnik, a za nim drudzy i zakrzyczano zacnego konfederata, któremu się koniecznie zdawało, że Bierzyński jeszcze musi w konfederacyi wypłynąć i błędy swoje naprawić.

Tymczasem wszakże wrócił starosta. Był on tak smutny i rozboleły, że jak się tylko odezwał, zabrał zaraz wszystkich swoim gorzkim humorem. Rozmawiano jeszcze cokolwiek, ale już bardzo poważnie i cicho. Śród tej ciszy spostrzeżono, że już północ dochodzi. Rozeszli się więc jedni na odpoczynek, a drudzy się poróżjeżdżali do domów, roznosząc ową fatalną wieść o Bierzyńskim po całym województwie Sieradzkim.

## VI.

Tak opowiedziawszy te wiadomości, które o Bierzyńskim zaczęły krążyć po województwie Sieradzkim — trzebamy nam wrócić do niego samego.

Zostawiliśmy go w położeniu nadzwyczaj opłakanem i prawie straszmem. Siedział okuty na wozie i był więziony przez owo pobojoywisko okropne, na którym wszystko utracił. Po lewej ręce widział płonący dwór swojej matki, po prawej zamek swojej oblubienicy w dymiących zgłiszczach, pod jego nogami łamały się kości trupie i krew niezakrzepła bluzgała mu w oczy, wołając pomsty na niego. Jadąc przez te straszliwe miejsca zdawało mu się, że go wieziono w piekło! To straszliwe uczucie rozdarło mu serce, piekielnym wichrem zasumiało mu w głowie i odebrało wszelką przytomność...

Kiedy się zbudził, noc już minęła i świt ranny zaczął się pokazywać na niebie. Otrzeźwiony przenikającym chłodem mroźnego ranka, wrócił całkiem do przytomności i obejrzał się najpierw, co się z nim dzieje w tej chwili? — Ale położenie jego nie zmieniło się wcale, siedział on bowiem jeszcze zawsze na wozie, oficer przy nim, żołnierze przed nim, a wóz pomykał jakąś szeroką nieznaną mu drogą. — Przekonawszy się o tej smutnej rzeczywistości,



zaczął sobie przypominać koleją to wszystko, co się z nim stało od wczoraj. Były to przypomnienia okropne!

Wczoraj jeszcze rycerz wspaniały, okryty sławą, samowładny dowódca kilkotysięcznej armii, szczęśliwy oblubieniec najpiękniejszej dziewczyny i mający na wszystkich drogach najpiękniejszą przyszłość przed sobą — dzisiaj oddał na rzeź całą swoją armię, na mord i pożogę dom swojej matki, na wściekłą pomstę zamek swojej oblubienicy i z miejsca swoich najpiękniejszych tryumfów, zalanego morzem krwi bratniej i otoczonego dymiącymi zgłiszczami, ujeżdżał jako jeniec wojenny, dźwigający na swoich rycerskich rękach ohydne więzy niewoli!

Przypomnienia te były okropne!

Bierzyński wstrząsł się przed niemi, jakby góry lodowe obaczył, i zakłapał zębami, jakby mu same piekło zajrzało w oczy.

Pojął on już w tej chwili całe swe położenie, uczuł całą doniosłość swojego czynu, uczuł żal palący ogniem piekielnym jego zbudzone sumienie!

Pod olbrzymim ciężarem tego uczucia jego dusza się na dwoje rozdarła, a jego skrawione boleścią serce objął żal, wstyd i skrucha najgłębsza...

Takie było jego uczucie pierwsze.

Ale tymczasem oficer, siedzący przy nim na wozie, widząc jak jego jeniec drżał, trząsł się i kłapał zębami, przypatrzył mu się z uwagą i spytał:

— Mroźny mamy poranek. Czy panu zimno?

— Zimno mi trochę... — odpowiedział bez myśli Bierzyński.

— Czy pan nie lubi zimna?

— A któż je lubi!

— A to źle, panie — zawołał oficer z pewnym naciskiem — bo to nie wszędzie tak ciepło jak w Polsce...

Te nieznaczące na pozór słowa, zrobiły jakieś dziwne na Bierzyńskim wrażenie. Zbladł jakby ściana, a na jego twarzy przerażająca odmalowała się zgroza. Widać było, że jakaś myśl całkiem nowa stanęła w tej chwili przed nim, myśl, którą bardzo żywo się zajął, i tak się zdało,

jak gdyby teraz porzucił nagle wszystkie swoje dotychczasowe uczucia, a zaczął natomiast silnie zimnym pracować rozumem.

Tak też było w istocie.

Dotychczas miał on tylko to przed oczyma, co się już stało, co się skończyło, co przeszło; ale teraz pomimo woli nasunęło mu się to na uwagę, co się jeszcze dalej stać miało, co się stać mogło. Myśl ta możeby była w kim innym poprzestała na pierwszych skutkach, możeby była tylko nową, wzniciła trwogę, powiększyła ból i żalobę, i nie więcej; ale Bierzyński był młodym — a młodość ma swoje przywileje osobne. Bierzyński oprócz tego był jeszcze zdolnym, miał wyobraźnię bujną i pracowitą, czuł w sobie zręczność do trudnych spraw tego życia i czuł w sobie nareszcie ową ciepłą i sprężystą energię, która mogła się dać uśpić zarozumieniu, szczęściu i rozbujalym uczuciom, ale nie mogła się dać złamać przeciwnym losom dopóty, dopóki zimny rozum jej nie powiedział wyraźnie, że już nie masz dla niej miejsca na świecie. Bierzyński tedy, lubo czuł to w swem sercu, że ten upadek może być takim, z którego nigdy się już nie powstaje, obudzony jednak ognistą siłą swej duszy, nie poddał się jeszcze temu uczuciu. On sobie powiedział w tej chwili: — Jeżeli upadł już tak zupełnie, że już nigdy nie wstanie, to na żal, skrucę, boleść, będę miał jeszcze czasu aż nadto; — tymczasem zaś, jakeśmy to zauważali powyżej, zaczął całym swoim rozumem pracować nad tem, czyli nie masz jeszcze dla niego ratunku?

Co natenczas wymyślił, co postanowił i jak sobie postąpił nareszcie? — czy do osiągnięcia swego zamiaru użył protekcyi Wessla, czy Branickiego przyjaźni i jak dwuznaczne były te drogi, którymi wreszcie dobiegł do końca? — nie będziemy już opisywać dokładnie.

Są rzeczy, którym nie można przypatrywać się z blizka. Są towarzystwa, w których inni umieją żyć całkiem swobodnie, ale w których nam byłoby duszno, nawet i w powieści. Są nareszcie karkołomne reprezentacye, w których ktoś z narażeniem życia jakiś cel sztuczny osiąga, — są

akrobaci, którzy po wiotkiej linie wdrapują się na szczyt wieży, tam się chwiewają na jednej nodze i spuszcza ją się na drugą stronę w całości, — ciekawe tłumy przypatrują się im z zajęciem i przyklaskują, ale dla nas ekliwie to widowiska!

Dlatego i tu o Bierzyńskim przemilczmy wiele, przemilczmy wszystko, — a poprzestańmy na tem, cośmy o nim słyszeli u bydgoskiego starosty... Jeżeli zaś nie wszystko to było prawdą rzetelną, jeśli tam było trochę próżnych a trochę złośliwych podejrzliwego stolnika dodatków: toż to jeszcze czas będzie i na to, jeszcze się nam prawda wyjaśni...

Bierzyński tedy po dwumiesięcznej niewoli został z niej uwolniony, a w naddatku wolności, dostał Klucz Złoty w dzierżawę. To było faktem istotnym.

Tu go tedy chwytały znowu i prowadzimy dalej.

Owóz wyrwawszy się wreszcie z owego królewskiego zameczyska, które pomimo biesiad i wesołych luszyków było dla niego najnieznośniejszą kaźnią, Bierzyński odechnął tak swobodnie, jakby mu skrzydła orle odrosły. Uczucie to było naturalnem i prostem, — bo jakiegokolwiek tam czyjej niewoli towarzyszyły okoliczności, któż nie odechnął swobodnie, kto się nie uczuł nieomal ptakiem, kiedy się z niej wydobył? — Ale u Bierzyńskiego powinno było zaraz za tem uczuciem nastąpić inne, boć u niego nie dosyć było odzyskać nazad swobodę; — on miał przecież przeszłość pewną za sobą i przeszłość taką, którą jeżeli nie naprawić, to trzeba było przynajmniej odpokutować. Cóż tedy wybrał z tego obojga Bierzyński? — Czy skromną, pokorną, poprzestającą na sobie samej, pokutę? — czy głośniejszą od niej i wszechstronniejszą w swych skutkach naprawę? — Oczywiście, że wybrał drugą — i wybrał ją nawet już dawno...

On ją wybrał jeszcze natenczas, kiedy po raz pierwszy po swoim upadku o ratunku pomyślał. Od tego czasu myśl ta była jego wyłącznem zajęciem. Do niej on zastosował całe swe zachowanie się w czasie niewoli, dla niej chodził po linach i piał się po najniebezpieczniejszych dro-

żynach, dla niej nareszcie i tylko dla niej wyrobił sobie dzierzawę Złotego Klucza...

Kiedy więc wreszcie wydobył się z zamku, to porwawszy pocztę, pędził bez odetchnienia do owych dóbr sobie nadanych i prosił Boga, żeby się jeno dostał tam jak najprędzej. Zdawało mu się bowiem, że jak tylko stanie na progu dawnego biskupiego pałacu, to w tem oka mgnieniu spadnie ten cały olbrzymi ciężar z jego sumienia, który go gniótł tak nieznośnie: w tem oka mgnieniu cała jego przeszłość ustąpi z pola, a na jej miejsce wystąpi teraźniejszość, może jeszcze daleko świetniejsza i większa, niżeli mogła być kiedykolwiek. Bujna jego wyobraźnia w spółce z gorącą chęcią wyprzedzała tu wszystkie chłodniejsze myśli, łamała naprzód wszystkie możliwe zapory i stawiała przed nim już prawie całkiem gotowe czyny. Bo dziwną to moc miewa czasem wyobraźnia młodości!

Ale od wyobraźni do rzeczywistości bywa zwykle bardzo daleko.

Bierzyński wiedział o tem, — lecz nie chciał wiedzieć w tym razie. On wiedział o tem, jak niebezpieczną grę tu zaczyna, — wiedział i o tem, że już tu nie gra z światem o szczyptę szczęścia lub sławę, lecz z samem piekłem o wieczność całą, — ale pomimo to stawiał tę stawkę, bo podług niego tylko taka wygrana mogła go zbawić. Głośny i nagły był jego upadek, — głośne i nagłe powinno być było powstanie. Więc choćby z piekłem samem przyszło stanąć do walki, — on i na to był gotów. On nawet wiedział, że przegrać może; ale sobie powiedział: Nie przegram! Muszę wygrać — i wygram. Tak silną była w nim żądza wygranej — i zdało mu się, że także tak silną była i wiara.

O! gdyby wiara! — Wiara góry przenosi, — lecz trzeba być godnym tej wiary!

Czy on był godnym jeszcze tej wiary, czy nie był, tego nie wiemy, — ale to wiemy, że zaraz na samym wstępie do owych dóbr sobie nadanych zaczęły go spotykać najboleśniejsze zawody.

I tak najpierwej nie dało mu się zebrać tyle pienię-



dzy, ile się zebrać spodziewał. Klucz ten był wprawdzie dawniej bardzo zamożnym, zagospodarowanym wybornie i obfitującym w niewyczerpane dochody, bo, jak wiadomo powszechnie, książę biskup krakowski, przy innych znamienitych zdolnościach, był mistrzem w zawodzie administracyjnym i finansowym. Przymiot ten był, jak się to pokazuje nawet z dyaryuszów sejmowych i konstytucyi, prawie rodową cechą Sołtyków — a tem piękniejszym jeszcze widzimy go w biskupie krakowskim, ile że mąż ten, pełen gorliwości i poświęcenia dla kraju, jeżeli się chętnie zaopatrywał w dochody, to tylko na to, ażeby nimi służył pospolitemu dobru. Ale później administracya ta zepsowała się prędko, a zamożność zniknęła. Wprawdzie opiekun dóbr tych, zacny i gorliwy ksiądz Michałowski, opierał się wszelkimi siłami temu wszystkiemu, ale opór jego nie mógł odnieść żadnego skutku już dlatego samego, że niebawem wybuchła wojna. Kiedy zaś za nią w ślad poszły pobory, kontrybucye, uciski a nareszcie i proste rabunki, to Klucz Złoty, jako czasowa własność wygnança, jeszcze tem pewniej musiał uleść takim uciskom, a nareszcie i zupełnemu zniszczeniu. Bierzyński tedy w tym Złotym Kluczu nietylko nie zastał żadnych gotowych zapasów, ale znalazł całą administracyę w tak oplakany stan, że dały mu się ledwie jakieś nic nie znaczące sumki wycisnąć. Był to więc zawód pierwszy.

Wszakże takiego samego zawodu doznał on także w zbieraniu ludzi. Nie mogło to nawet stać się inaczej, już dla samego braku funduszów. Lecz oprócz tego jeszcze kraj wówczas, kiedy już od półtora roku trwały ciągle wojny konfederackie, był tak wyczerpany na siłach, że aby jeszcze coś z niego wydobyć, potrzeba było albo przymusowego poboru, albo gorejącego niebezpieczeństwa, albo jakiegoś takiego wodza, któryby potrafił obudzić zapal nawet i tam, gdzie było już unuzenie i niemoc. A Bierzyński, jak to samo z siebie wynika, nie mógł ani poboru zarządzić, ani niebezpieczeństwa wywołać, a o obudzeniu zapalu niema co i wspominać. Tak więc na miejscu tych wszystkich nadziei, które jego bujna wyobraźnia

stworzyła, zebrał on ledwie garsteczkę ludzi, po największej części samego hultajstwa, którzy nawet za dobry dwór stanąć nie mogli — i z którymi osiadł w swoim pałacu, jakby w jakim hiszpańskim zamku, nie wiedząc dalej, co począć...

Taki fatalny zwrot jego losów, który jeszcze do tego nie odkrył mu się odrazu, tylko się powolnie odsłaniał, sprawił na nim zabijające wrażenie.

Niecierpliwy młodzieniec pasował się całą siłą z uporczywą rzeczywistością, walczył jak olbrzym z przeciwnościami, rzucał się sam po całych dobrach, prosił, błagał, zaklinał, — ale wszystko napróżno!

Byłby dał całe szczęście swoje za jeden marny wór złota, — byłby dał życie swoje za jedną tylko choragiew, — ale dziś nie chciał nikt dać grosza za jego szczęście, nikt jednego żołnierza nawet za niego samego!

A tu tymczasem mijał dzień za dniem. Każden dzień coraz dalej roznosił jego jawną już zdradę, każdy dzień walił głazy ciosowe, sypał żary piekielne na jego drżące sumienie, każdy dzień był jak wieczność potępienia i piekła! — Bierzyński czuł to, drżał jak zbrodniarz trwogą śmiertelną i ostatecznych sił z siebie dobywał: ale jego szalonym zapasom i olbrzymim cierpieniom odpowiadały tylko głuchym jękiem martwe ściany pałacu.

Ale niedosyć na tem. Na domiar bowiem jego nieszczęścia wszystko go zawodziło. Zaraz na samym wstępie w dobra biskupie, wysłał był jednego z swoich sług nowych z pieniędzmi i listem do Gozdawki. Matka jego już wtedy nie żyła, — ale żył tam gdzieś jego Pawełek i jego ulubiony Ordynat. Posłał więc po nich obydwóch. Gdyby był Pawełek przy sobie obaczył i dosiadł swojego ukochanego konia, byłby był może dawny duch wstąpił w niego, byłoby może dawne wróciło szczęście. Tak mu mówiło serce, — oczekiwał więc z wrzącą niecierpliwością posłańca. Ale posłaniec hultaj, jakby go w morze kto wrzucił. W kilka dni za nim wyprawił Bierzyński drugiego, — czekał dni sześć, ośm i dziesięć, — ale i drugi nie wrócił...



Widząc to wszystko Bierzyński, — widząc, że go każda rachuba zawodzi, każda omyła nadzieja, a wszędzie, nawet w najmniejszych rzeczach, jakiś fatalny, dziwnie zawzięty, nieubłagany spotyka opór, — zaczął się chwiać na duchu, a jego serce owionęły rozpaczliwe uczucia. I codzień było z nim gorzej. Im więcej bowiem doświadczał zawodów, im więcej się przekonywał, jak niepodobnem jest wykonanie jego zamiaru: tem jawniej występowała przed nim jego przeszłość straszliwa, tem okropniejszą postać przybierała ta przyszłość, która zaczęła coraz wyraźniej zabierać miejsce jego niknących nadziei. I kiedy spoglądał dzisiaj w tę przyszłość, to straszne rzeczy, jakie tam piekło obaczył! — I może dziś widział już jawnie, że w swoim nieszczęściu miał zawiele odwagi, że zanadto zaufał swojemu rozumowi i szczęściu, że tylko pycha i za nią w ślad idące szaleństwo mogły mu wskazać taką drogę naprawy, — dziś już może nawet przeczuwał, że tym Złotym Kluczem sam własnoręcznie się dobił, — ale dziś już było zapóźno! — Dziś już on zabrnął za daleko w to błoto, aby się mógł jeszcze powrócić. Dziś już trzeba było brnąć dalej i tym albo owym sposobem, ale wybrnąć koniecznie. Siąść i opuścić ręce, byłoby to jedno co samobójstwo.

Dlatego, chociaż po jego całym ciele była rozlana gorczyca piekielna, chociaż głowa mu ogniem pałała, a jego piersiom prawie już całkiem brakowało powietrza, zerwał się jeszcze, wydobył ze siebie ostatki sił swoich i nową stworzył sobie nadzieję. Nadzieja ta chociaż istotnie już rozpaczliwa, ożywiła go jednak. Zerwawszy się, mówił do siebie: — I dlaczegóż rozpaczam? czy żyję w puszczy między zimnymi głazami i dzikimi zwierzętami? czyż nie masz ludzi koło mnie? Czyż nie podadzą mi ręki, kiedy ich do tego zawezwę? A wszakżeż nie nadużyłem jeszcze ich dobrodziejstwa! nie znużyłem ich memi prośbami, nie potrzebowałem ich nigdy!

Bierzyński upadł już teraz tak nisko, że zaczął liczyć na ludzi. Co więcej! on nie znał siebie do tego stopnia, że myślał, iż jest godnym takiej pomocy. I jeszcze więcej!

on bowiem liczył dziś na pomoc tych ludzi, których niedawno jeszcze uważał za prostą gawiedź, bez wyższego uczucia, bez serca, bez ducha, pragnącą tylko chleba i igrzysk! — Ale nie dziwny się temu. On już był dzisiaj w szaleństwie.

Tą smutną tedy ożywioną nadzieją, wszedł na swój wózek ubogi i do kasztelana pojechał.

Był to ten sam kasztelan Żarnowski, który pisał ów list do stolnika. Był to istotnie mąż zacny, sędziwy wiekiem, poważny stanowiskiem swoim i charakterem, popularny bardzo i rzeczywiście mógłby być wiele. A Bierzyński dziś nawet już wiele nie żądał. Rozpacz go nauczyła choć troszeczkę pokory i umniejszała jego żądania o wiele. Więc chociaż zrazu marzył o ludzi tysiącu albo może i więcej, to później byłby przyjął i kilka setek; jeszcze później byłby był przestał na dwóchset; dziś byłoby mu dosyć i kilkadziesiąt. Tę tylko miał jeszcze żądzę, żeby to byli ludzie, żeby powołani żołnierze, żeby szlachta. Tych kilkadziesiąt ludzi mógł mu z łatwością dostarczyć kasztelan, bo miał powagę i wiarę u szlachty. Tak rozumiał Bierzyński i myślał sobie: — Jedno *conventiculum* szlachty, jeden zjeżdżik sąsiedzki, cóż za wielka historia? Tego mi przecież nie odmówi kasztelan. A zresztą, gdyby się wahał, wyperswaduję mu, będę prosił, będę błagał, w potrzebie rzucę się na kolana, nie ustąpię mu się, póki nie usłucha mej prośby.

Bierzyński już teraz był gotów nawet zebrać o pomoc. Z tem przedsięwzięciem zbliżał się właśnie do kasztełańskiego dworu.

Kiedy zjeżdżał z pagórka i mógł już dwór cały obaczyć, zaglądał ciekawie, co się tam dzieje. Niecierpliwością męczony, chciał napróżd zgadnąć, czy jest kasztelan w domu. I zdało mu się z pewnością, że jest, bo ruch był w dziedzińcu, kilku ludzi stało przed gankiem, a jakiś mężczyzna siedział w krześle na ganku. Bierzyński zatart ręce i z dobrą nawet fantazją zajechał w dziedziniec.

Leżąc kiedy zajechał przed ganek, jakoś dziwnie mu się na sercu zrobiło, bo w tej chwili już ani żywej duszy



nie było w ganku, a nawet i drzwi były zamknięte. Przytąpił do nich, ujął za klamkę, pociśnął mocno i jeszcze mocniej, ale drzwi nie puszczały.

— Co to jest? — mówił do siebie, a jego serce zaczęło bić mocno, jakby w jakim przestraszu. Pomimo to zaczął pukać do drzwi — ale nikt mu się nie odzywał. Przerażony najstraszliwszym przecuciem, chcąc się zapewne jak najprędzej dowiedzieć prawdy, zaczął szturmować. Ale i to nie pomogło, — drzwi były ciągle zamknięte, a cały dwór jak grobowiec umarłych.

Tu Bierzyńskiemu zimny pot wystąpił na czoło, — chwycił się obiema rękami za głowę, — pomyślał chwilę, — i wszystko odgadł.

Całe jego znaczenie dzisiejsze stanęło dopiero teraz przed nim jak żywe. Zbudził się wreszcie z swoich marzeń szalonych, — lecz na to, aby piekło obaczyć. Było to przebudzenie okropne!

Co się z nim dalej działo, już sam nie wiedział. Wskoczył milcząc na wózek, nie mówiąc nawet woźnicy, gdzie go miał zawieźć. Nie dbał już o to, gdziekolwiekby go zawieziono. Gdyby był zamiast woźnicy siedział sam szatan na koźle, to i ten jeszcze nie zawiózłby go był w takie męczarnie, jakie on miał w tej chwili w swej własnej piersi...

Woźnica wszakże zawiózł go nazad do biskupiego pałacu. Było już ciemno, kiedy przed wschody kamienne zajechał. Bierzyński zląkł z wózka o własnej sile i wszedł do komnaty; ale już sam nie wiedział, gdzie się znajduje...

Była to duża sala, z wysokimi, wązkimi oknami, z szeregiem kolumn przy jednej ścianie, z wysokim rzeźbionym stropem, z marmurową posadzką. Sala ta była na teraz Bierzyńskiego sypialnią. Nie było w niej żadnych sprzętów, tylko jedno łóżko stało w kącie przy ścianie, koło niego stół z wyszczerbioną płytą kamienną, a na nim płonęła smutno mała lampka oliwna.

Bierzyński wszedł do tej sali, zbliżył się do łóżka, — ale już ledwie tyle miał siły. Zamiast sięgnąć bowiem, padł raczej na nie i zgarbiwszy się we dwoje, zakrył twarz

obiema rękami. Zdawało się jakby chciał myśleć w spokoju...

Ale nie mógł myśleć zapewne, bo niebawem ręce odjął od twarzy i patrzył przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. Zdało się, jakby coś widział przed sobą, — i widział istotnie...

Widział siebie samego, jak był małym chłopięciem, jasne miał włosy, przejrzyste oczy, twarz białą lśniąca i białe skrzydła mu odrastały od ramion. Był natenczas aniołem. Znajdował się w jakimś małym, rajskiej piękności ogródku, kłęcząc na kwiatach, a mała dziewczynka, w mniszym habicie, kładła wieniec kwitnący na jego głowę. Bóg patrzył z nieba na te dwie dusze anielskie i wołając ich do siebie, wskazywał im drogę, którą miały obrać ku odprawieniu tej krótkiej wędrówki.

I widział się potem, jako poszedł tą drogą w świat. Z pokorą w duszy i pragnieniem w sercu, ażeby służyć swym bliźnim, przyszedł on w progi zacnej, starożytnej rodziny. Rodzina ta wypłynęła ze Złotego Potoka i wzięła krzyż za swe znamię, — i dlatego pielęgnowała zawsze wszystkie te cnoty, które się rozeszły po ziemi od krzyża, a te cnoty lśniły na niej jak złoto. Panowie rodem i krwią złączeni z tronami, ale bracia pomiędzy braćmi, trawili życie w krwawej pracy i trudzie — i błogosławieństwo Boże spoczywało nad nimi. On wszedł dzieckiem w te progi — a wyszedł już dorosłym młodzieńcem. I wyszedł czystym, silnym, zahartowanym na dalszą drogę...

I widział siebie, jako szedł potem na dwór królewski. Tu mu się jakieś dziwne zaczęły składać obrazy. Coś się tu nawet stało z jego sercem; przestał czuć, a natomiast zaczął myśleć dowcipnie.

Ale zarazem stało się jeszcze coś dziwniejszego. W tej chwili bowiem uczuł on jakieś ruchliwe stworzenie niby gdzieś w sobie samym. To stworzenie wlało najpierw w jego głowę i wybiło w niej z tyłu dwa małe otwory, w które wprawiło ócz dwoje, ażeby mógł patrzeć zawsze za siebie. Potem wydarło mu serce zpod żeber i wsadziło je w czaszkę, a mózg stamtąd wyjęty położyło na miejsce



serca. Potem ten dyablik usiadł na mózgu i urobił z niego machinkę, do której zaraz przykręcił korbę. Kiedy tą korbą pokręcił, to ta machinka wyrzuciła liczby ze siebie, a dziwnym jakimś sposobem znajdujące się w głowie serce nad temi liczbami wzdychało. Jakoż zaraz na pierwszą próbę pokręcił silnie korbą i wyrzucił z machinki liczby tyle, ile kasztelanka miała posagu...

Na widok tego obrazu Bierzyński wstrząsł się.

Ale widzenia nie ustawały.

Widział się wtedy uciekającym i uciekł gdzieś precz daleko. Był w pancerzu, na koniu, i w wojnie. Służył wiernie i bił się mężnie, — ale zawsze przytem, nawet śród najgorętszej bitwy, owa machinka w nim pracowała...

Bierzyński na to wykrzywił usta i uśmiechnął się śmiechem pełnym goryczy. Zdawało się, jakby nie wierzył temu, co widział...

Ale tymczasem wybuchła wojna. Na wielkiej pięknej równinie wystawiono ołtarz wspaniały i zapalono na nim śród nocy ogień grecki precudownej piękności. Ze wszystkich czterech stron świata zbiegali się ludzie i zagrzawszy się przy tym ogniu, rozbiegli się potem, roznosząc takiej samej natury płomyki w świat. I on tam przybiegł. Kiedy biegł, jego serce, choć uwięzione w głowie, szeptało mu, aby wyrwał ową machinkę z piersi i spalił ją na tym ogniu. I on tak chciał i tak już był postanowił. Ale owa wszystkowiedząca machinka, rozgniewawszy się taką intrygą serca, zaczęła w nim pracować jak najusilniej przeciwko sercu i dokazała tego, że gdy do ołtarza dojechał, sam własną ręką wyrwał sobie serce zpod czaszki i spalił je na tym ogniu. — A kiedy to serce skwirczało jeszcze w owych płomieniach, usłyszał wtedy gdzieś z za ołtarza te słowa: — „Biada temu! który tej sprawie poświęca pół serca...” Kiedy indziej byłby go na te słowa dreszcz przeszedł, lecz wtedy on się uśmiechnął i rzekł: — Pół?... cha, cha, cha! Nic.

Na widok tego obrazu Bierzyński wstrząsł się.

Ale widzenia nie ustawały.

Widział więc siebie potem w wielkiej wspaniałości

i mocy. Był potężny i silny, miał liczny zastęp pancernej braci i pędząc na jego czele, zaczął się uwijać po kraju. I uwijał się tak przez rok cały, a jego zastęp był coraz liczniejszy, a jego postać coraz wspanialsza. Gdziekolwiek przyszedł, witano go chlebem i solą, chylono przed nim sędziwe głowy i mówiono z zapalem: To dzielny rycerz! to nasz ojciec! to zbawca! — A kiedy odszedł, modlono się po świątyniach za jego powodzenie i szczęście, i ciche modły, w postaci białych aniołów, leciały za nim w powietrzu...

Ale przez ten czas jego machinka ciągle w nim pracowała, a nareszcie, wyrzuciwszy wielką liczbę ze siebie, powiedziała mu: Dosyć. I on wtedy przyszedł nad wielką rzekę i tam się rozłożył, ażeby się ludzie zbiegali do niego i dziwili się jego wspaniałości i mocy. A potem festyn wielki wyprawił i odbył zrekowiny z swoją oblubienicą. I stało się to z wielką wspaniałością i podziwieniem wszystkich.

A wtedy przyszła Pycha do niego. — Była to niewiasta bardzo wspaniała i piękna. Miała suknię na sobie od brylantów i złota, niosła głowę wysoko, wachlowała się wachlarzem z strusich piór malowanych, a szeroki i długi ogon jej sukni niosły dwa karłowate murzyny. Ta przystąpiła do niego i pokłoniwszy mu się, choć się nie kłaniała nikomu, prosiła go, aby jej pozwolił złożyć hołd sobie i stanąć niewolnicą u siebie. A on, mając już jedną taką niewolnicę oddawną, która nazywała się Duma, popatrzył na nią z góry, machnął ręką i rzekł: — Mniejsza o to! — Ale temu wszystkiemu przypatrywał się skrycie Szatan, który się był przyczołgał pod suknię Pychy. Chował się jeszcze dotychczas i tylko łeb wystawiał zpod długiego ogona sukni, — ale teraz wystąpił śmiało ku niemu i wziął go po przyjacielsku pod ramię. A był mu ten Szatan niby gdzieś dawniej znajomy. Był on niskiego wzrostu, nos miał potężnie duży, a oczy małe zielone. Suknię miał aksamitną ze złotem i dużą saską perukę. Kubek w kubek podskarbi, tylko że miał rogi na głowie i co chwila się na swoim własnym ogonie potykał. Kiedy



więc ten gość nieproszony wziął go pod ramię, zaraz go zaprowadził do króla. Bierzyński wtedy już sam nie wiedział co się z nim działo. Ale widział się sam własnemi oczyma, jako przyszedł do króla, uklęknął przed nim i rzekł: — Miłościwy panie! pozwól mi, abym ci jutro posłużył zdradą. Zaręczam ci, że jeszcze nie jadłeś takiej smacznej potrawy. — Ale król się fuknął na niego i rzekł: Daj mi waś pokój! Nie lubię potraw nowych, aż póki się do nich nie przyzwyczaje. Wolę baraninę, którą mi codzień gotuje Tremon. — A Bierzyński rzekł: — Miłościwy panie! Ażaż chcesz, aby konfederaci wytłukli ci wszystkie twoje barany? — A król siadł na ziemi i zaczął płakać i mówił potem przez łzy: — I nie chciałbym konfederatów wygubić całkiem, i boję się ich zostawić. Bóg sam wie, jakby to zrobić...

Tu wszakże zaczęły przed nim zjawiać się nagle całkiem inne obrazy.

Bierzyński wracał od króla, ale już nie szedł po ziemi, tylko ów Szatan niósł go w połowie w powietrzu, a w połowie włókł jego nogi po kamienistym gościńcu. Pilno mu było, i Bierzyńskiemu już było pilno, bo usłyszał ogień w swoim obozie. A przywlokłszy go do obozu, rzucił go tam na środek, a sam stanął na boku i patrzył. Ale Bierzyński był zmęczony podróżą i położył się spać. A wtedy przyszedł do niego człek jakiś dziwny i zbudził go. Był to mąż wysoki jak sosna, a chudy jak szczypta i mianował się królem murzynów. Ten podał mu rękę i rzekł: — Przyszedłem do ciebie, abym wziął pomstę na tobie. Doradzało mi ją dziewięćdziesiąt i dziewięć szatanów, których mam zawsze przy sobie; ale mam też niedaleko siebie jednego anioła, a ten mi doradził abym pomsty zaniechał i jam go usłuchał. Przychodzę więc do ciebie i mówię: obadwaśmy się omurzali po krętych drogach tego żywota, puśmy sobie dziś krew, a obadwa się umyjemy. Chodź, daj mi rękę, a pomagajmy sobie. — Ale Bierzyński fuknął też na to i rzekł z gniewem: — Ja mam dziewięćdziesiąt i dziewięć aniołów przy sobie, a jednego tylko szatana, a przecież słucham szatana! Idź więc precz, dam ja sobie

sam radę bez ciebie. A to mówiąc, zebrał zaraz swe wojsko i dał je własną ręką na rzeź. A kiedy im ucinano głowy i piersi rozrębywano mieczami a stąd krew płynęła strumieniami, on się położył na ziemi i pił tę krew. Nie chciał pić, bo go paliła ogniem piekielnym w język i podniebienie; ale musiał, bo jakaś moc silniejsza od niego, gniotła mu kark i topiła twarz jego w tej krwi...

Widząc to Bierzyński czuł męki piekielne.

Ale pomimo to, zerwał się i pobięł, ażeby własną ręką podpalić dom swojej matki. A kiedy rozgorzała pożoga i płonęły jej tyloletnie zbiory, to ta zacna niewiasta patrzyła na to spokojnie i mówiła: — Panie! przyjm to w ofierze odemnie i ostatnią suknię zdejm ze mnie, niechaj tylko mój syn będzie Ci miły! — A Bierzyński to słysząc, wtrącił ją w ogień i patrzył na to, jak jego matka gorzała. A kiedy ciało tej światobliwej niewiasty rozsypało się w popiół, a jej dusza biała jak anioł uniosła się w górę, to widział sam, jak jeszcze raz zawisa nad zgłiszczem i błogosławiła zabójcy.

Ale on uciekł stamtąd i poniósł w zamek swojej oblubienicy, głównie pożogi i mordu. I otworzył jego żelazne bramy i wpuszcł weń morderce i zbójce. A potem sam własną ręką ranił białowłosego starca, który mu był ojcem i opiekunem, a swojej oblubienicy zadał siedm śmiertelnych boleści. A kiedy starzec konał, to podniósł oczy ku niemu i podniósł swoją świętą prawicę, a błogosławiąc mu, mówił: — Wy, którzy pozostajecie na ziemi, nie zapomnijcie o nim! Jeszcze wtedy błogosławili mu wszyscy!

Widząc to Bierzyński, wiał się jak robak w boleści i targał włosy na swojej głowie. Byłby płakał krwawymi łzami, gdyby był mógł się jeszcze zdobyć na łzy! — Jednak nie mogąc już ani zapłakać, zakrył przynajmniej lewą ręką swe oczy, a prawą rzucał w powietrze, jakby chciał odegnać od siebie te straszliwe widzenia.

Ale widzenia nie ustawały.

W tej chwili bowiem, ów szatan w białej peruce znowu przystąpił do niego. I porwał go obiedwiema rękami swemi pod boki i wpoił w niego swe ostre szpony. A potem



zatrząsł nim silnie, przebił nim pułap zamkowej komnaty i uniósł go z sobą w powietrze. I niósł go ciemną nocą ponad wsie, które stały w płomieniach, ponad miasta, w których wyrzynano starce, niewiasty i dzieci, po nad rzeki krzyżujące się z sobą, które płynęły krwią. I niósł go tak coraz wyżej i dalej, aż póki się świt nie pokazał na niebie. A kiedy słońce wzeszło, wyniósł go nad najwyższą iglicę królewskiego zameczyska, a potem spuścił go na miedziany dach wieży i posadził na brzegu. A sam usiadł przy nim. Rozwijaly się stamtąd przed jego oczyma przeudowne widoki, ale on na nie nie patrzył, tylko ukrywając twarz w dłonie, wdychał i smutny był. A szatan rzekł: — Od czasu jak'em ciebie opuścił, upadłeś nisko, a jam cię znowu podniósł wysoko. A Bierzyński spojrział na niego i rzekł: — Urągasz mi. — A szatan na to: — Nie jestem głupi, abym urągał temu, który będzie miał tyle mocy na ziemi, jak ty. — A Bierzyński patrzył na niego zdziwionemi oczyma. Szatan zapytał: — Nie wierzysz mi? — Nie. — Tedy wstań, mówił Szatan, a patrz co ci pokażę. — I pokazał mu wtedy gdzieś w dali cały wieńiec wsi pięknych, a we środku nich miasto z wspaniałym zamkiem o czterech wieżach. I było widać, że to jest wielka ziemską posiadłość, prawie jak kraik osobny. A potem spytał: — A chcesz to mieć? — A Bierzyński rzekł: — I cóż z tem pocznę? — Poczniesz, co zechcesz, jeno mi na to przysięgniesz, że już nie będziesz odtąd wojował. — Poczem sam przysiągł i wziął przysięgę napowrót, a Szatan sam, własną ręką, sprowadził go z owej wieży po cienkim drucie i wyprowadził za mury miasta. Zostawiwszy bramę za sobą, Bierzyński biegł co miał tchu w piersiach do owego kraiku, ażeby jak najprędzej oszukał Szatana. A biegnąc, śmiał się. Spotkał Dumę po drodze i wziął ją z sobą, napotkał Pychę, i tę wziął, a lecąc z niemi, mówił do siebie: — Za małą chwilę świat uderzy pokłon przedemną, bo jeszcze nikt nie był tak mądry, jak ja...

Tu musiały się zmienić jego widzenia, bo zerwał się z ziemi i zaczął biegać po pustej komnacie i machać obie-

dwoma rękami. A biegnąc, wołał potężnym głosem: — Hej! otrąbić pobudkę! na koń! do broni! za mną! za mną i naprzód!

Słyszac to wszakże jego nowo zebrani słudzy, wierutni hultaje w dziwacznych strojach, którzy pili ze sobą w przyległej sali, weszli do niego z światłami w rękach. A widząc go jako szalał samotnie, patrzali z zadziwieniem po sobie, śmiejąc i szepczając:

— Albo się upił u kasztelana, albo też dyabli go biorą.

Wtedy Bierzyński się zbudził, lecz w tym momencie jakaś nadludzka siła porwała go z sali i uniosła w powietrze. Dzień był chmurny i mglisty, i zdało się, jakby był zmrok lub świtanie. Gęsto mgły jasne przesuwaly się z ciemnymi chmurami nad ziemią, i czasem dzień był, a czasem noc. A on przeszywał sobą te chmury i mgły, i leciał gdzieś w nieskończoność. A leciała z nim éma niezliczona jakichś istot dziwacznych, jak gdyby duchów z tamtego świata. Więc leciał po prawej niby duch kasztelana z białą brodą i w szacie srebrzystej, a po lewej różany duch Annuncyaty, owinięty w tęczowe zwoje. A nad nim ulatywał duch jego matki, osłoniiony mgłą białą i płaczący perłami nad jego głową. Lecz za nim i pod nim leciało duchów tysiące. Byli to bracia pancerni, których ciała oddał na rzeź. Ten więc był w pancerzu i hełmie, ów w konfederackim mundurze, trzeci w grubej siermiedze. Ten miał ranę na boku lewym, z której krew wytryskała strumieniem, ów twarz przeciętą i zakrwawioną, drugi był bez ręki lub nogi, inny biegł tylko oskrzydłonym tułowiem. I był szum wielki za nim, a z tego szumu wydobywały się jęków tysiące, a pojedyncze głosy wołały za nim: — Zbójco! oddaj mi rękę! oddaj mi nogę! zabiłeś żonę moją! pomordowałeś mi dzieci! Przekleństwo tobie! piekło duszy twej, po dzień wszystkich dni!...

Widząc to wszystko i słyszac te głosy Bierzyński, zachwiał się, uderzył głową o wyszczerbiony róg stołu i padł na kamienną posadzkę, a wytryskająca krew z świeżej rany, zalała mu całą twarz.

Tak się skończył dzień jego dzisiejszy.



Kiedy się zbudził nazajutrz rano, znalazł się na tem samym miejscu na kamiennej posadzce, gdzie upadł wczoraj. Jego dwór terażniejszy nie miał nawet tyle nad nim litości, aby go podnieść ze ziemi. Przypomniawszy sobie, co się z nim działo wczoraj, domyślił się łatwo, że był w gorączce. Na tę myśl zdjął go strach wielkooki, bo mu się zdało, że stąd w długą zapadnie chorobę. Lecz dzięki obfitemu upływowi krwi z rany wczorajszej, uczył się do syć cichym i chłodnym.

W takiej ciszy i chłodzie, zaczął on myśleć nad sobą. Zdaje się, że tu już nie było co myśleć teraz, bo jego sprawa była skończona. Dopóki siedział na zamku, jeszcze ten dramat grał się; ale na Złotym Kluczu w czarną się zamienił tradycję, a dnia wczorajszego dograł się akt ostatni i zasłona zapadła. Pozostałaby chyba śmierć jeszcze fizyczna: ale czyż tylko na niej może się kończyć tragedia?

Jednakże nie tak myślał Bierzyński. — On wprawdzie upadł tak nisko, że pod nim nie mógł się żaden płazik najmniejszy pomieścić: ale ten człowiek upadły był młody, a jego duch był tak uporczywy, że chociażby nawet sam już był znał, że się nie może podnieść z upadku, to byłby się przynajmniej ruszał jeszcze dopóty, dopóki w nim nie zamarła ostatnia sprężyna ruchu. Niestety! sprężystość ta obudziła się w nim dopiero natenczas, kiedy chodziło już tylko o niego samego — ale obudziła się w nim jeszcze o tyle silniej i działała tem uporczywiej, im głębsza była jego rozpacz i im mniej było czasu do działań. Z takim usposobieniem siedział on teraz na łożu i tak mówił do siebie:

— Z hańbą wypiętnowaną na czole, z przekleństwem braci, mamże wstępować do grobu, aby mnie ziemia wyrzuciła ze siebie? ażeby czart wyprowadził tumany na moim grobie, ażeby odeń uciekał podręczny, ażeby trup mój się walał bez pogrzebu po ziemi, aż po dzień ostateczny?...

Tu znowu myślał, ale rzekł prędko:

— Nie! tak nie umrę! A jeśli umrę, to taką śmiercią, aby mi mogli przebaczyć przynajmniej ludzie...

1 jeszcze myślał, potem mówił:

— Ale czyż nie masz dla mnie nic już, prócz śmierci? Tylko pokuta! a żadnej naprawy?... Czyż już nie masz na całym świecie ani jednego sumienia, któreby się ulitowało nademną? ani jednej siostrzanej ręki, któraby mnie nie odepchnęła od siebie i dopomogła?...

To mówiąc, znów się zamyślił. A wtedy najpierw łyzy przyszły do niego z pomocą i puściły się obfitymi strumieniami po jego twarzy. Łzy, to wielkie jest dobrodziejstwo dla ludzi. Łzy są rosą niebieską, która wszystko potrafi orzeźwić, prócz głazu. Łzy, owe smutne kwiaty skruchy i żalu, przynoszą ulgę w każdej boleści, a przybliżając przyjsie pokory, stają się często zwiastunami nadziei. Człowiek, który zapłakał w boleści, rzucił ze siebie jakby połowę bólu, który odszedł ze łzami...

Tak się stało zapewne i jemu. Jakoż zerwawszy się prędko, wsiadł na swój wózek i jak ptak strzałem spłoszony z miejsca, albo świeżym znęcony żerem, odleciał z biskupiego pałacu.

## VII.

Ale porzućmy Bierzyńskiego, który i tak już tylko jak widmo się nam pojawia — a przejdźmy natomiast do naszego starego zameczyska nad Wartę.

Zastaniemy tu może nie widma, lecz żywych ludzi — ale przygotujmy się na to, iż nim się do nich dostaniem, przejdziem przez bardzo smutne widoki.

Cóżbo się to nie stało z tym zamkiem! Ledwie go poznać można, tak się tu wszystko zmieniło. Przechodzący wędrowiec, który znał dawniej te miejsca, staje zdziwiony w swoim poślodzie i pyta: żali drogi nie zmylił? — tak niepodobna sterczy tu dzisiaj ruina, takie straszliwe zniszczenie koło niej... A kiedy się dowie, że to ten sam zamek tak niszczał, żegna się krzyżem i mówi: O! jakże marne to wszystko, co jest z tego świata!

Jakoż tak jest w samej rzeczy. Stary ten zamek cał-

kiem już dzisiaj niepodobny do siebie. Otaczające go dawniej budynki, które były z drzewa, nie zostawiły ani śladu po sobie, a które z muru, zamieniły się w kupy bezkształtnych gruzów. Gdzieś tam tylko pozostał szpiczasty węgiel, albo kawałek ściany, dymem umalowany na czarno, a na jego grzbiecie wyrosły już nawet chwasty i zielska kolące, smutne kwiaty zniszczenia. Mur, którym zamek był otoczony od ładu, porozpadał się w gruzy, w niektórych miejscach zrównał się z ziemią, a jego brama, żelaznymi niegdyś zjeżona kolcami, padła na ziemię jak ptak postrzelony, rozkładając obadwa skrzydła. — Wszakże daleko smutniej jeszcze wyglądał sam zamek i prawie strasznie. Patrząc na niego, zgroza przenika serce. Z baszty tej bowiem, która się odważyła dać ognia z śmigowni, nie pozostała teraz tylko jedna szczególna ściana, stercząca ostatnim zębem jakby Karpacka skała do góry. Wszystkie mury od strony północnej były podziurawione, w ich twardym tynku tkwiły kul całe setki, a ściana zachodnia pękła i rozdarła się przez połowę. Środkowy korpus, starszy o wiele od północnego skrzydła, i skrzydło południowe, podobno ze wszystkich części zamku najstarsze, uległy jednak jeszcze daleko większemu zniszczeniu: kiedy to bowiem przewaliło się na bok, nasypując całą górę kamieni i cegieł, ten osiadł jakby grzybek nadgniły, a ciężkie miedziane dachy wkleśły w jego otwarte wnętrza. Owa ogromna wystawa, z pod której ś. p. kasztelan dowodził obroną zamku, powaliła się całkiem i pozostało z niej tylko sześć kolumn stojących luźnie na swoich miejscach, jakby sześciu zakamieniałych żołnierzy na warcie. Tak podupało wszystko — a stary zamek, patrząc powybijanymi oknami w dziedziniec, zdawał się tego nie widzieć; zdawało się, jakby z wzrokiem stracił i czucie i czekał w obojętnej martwocie, póki gryzący wszystko żab czasu nie dokona dzieła...

Wszedłszy dziś między te ruiny i zgłiszczą, po pierwszym wrażeniu zgrozy, dziwnie smutne przejmowało uczucie, smutniejsze jeszcze dlatego, że w tym dziedzińcu tak

nieruchoma osiadła cisza, tak nie było śladu żadnego życia, jakby ze śmiercią kasztelana wszyscy tutaj wymarli...

Jeden wszakże staruszek, zgarbiony, gołowłosy, bezzębny, siedział pod kolumnami na głazie i patrzył nieruchomo oczyma w ziemię. Zdawało się, jakby błagał oczyma ziemi, ażeby się otworzyła i zabrała go także do siebie... A więc przecież błąkały się tutaj jeszcze jakieś resztki dawnego życia. Wszakże rozpatrzywszy się dobrze, było tu widać tego życia i więcej. W północnem skrzydle zamku było kilka okien świeżo wstawionych, a kto znał rozkład tego skrzydła wewnętrzny, nie trudno mu było poznać, że to była nieboszczykowska sypialnia. — Tak też było w istocie: parę komnat ostatnich, które w dniu owym fatalnym ocalone zostały od rabunku, utrzymały się jeszcze do dzisiaj, a lubo poginęło z nich wiele co cenniejszych ozdób i sprzętów, owa starożytna sypialnia pozostała przecież nietknięta. Widzimy ją dzisiaj taką samą jak niegdyś — i widzimy w niej chowającą się małą garsteczkę ludzi, którą w owym krwawym potopie czy los, czy szczęście, czy miłosierdzie Boskie, zachowało przy swobodzie i życiu.

Wszakże całą tę garstkę stanowią trzy tylko kobiety: poważna mniszka, ciężką okryta żalobą Annuncyata i wierna swojej pannie do grobu Marta Kowalka.

Smutne to było życie, które im się teraz dostało w udziale — ale wiedziały one, gdzie mają szukać pociechy i ulgi. Wielkość nieszczęścia zespoliła ich serca, a obróciwszy je społem ku Temu, który jest pierwszą i ostatnią ucieczką we wszystkich nieszczęściach, zamieniła je z wolna w ciche i spokojne cierpienie. Pomagały więc sobie i ratowały się wzajem jak mogły, a czego nie dokazała pomoc wzajemna, to przynosiła szczerą, korną, codzienna modlitwa. I tak byłyby może te cierpienia ukoili się pomatu, i przeminęły nareszcie, jak wszystko mija w tem życiu — gdyby jednakże nie to, że z tem nieszczęściem były powiązane i sprawy, które tocząc się gdzieś w nie-dojrzanej oddali, wzbudzały ciągle i niespokojne zajęcie.

Najważniejszą z spraw takich był los Bierzynskiego.



Cokolwiekby się stało i jak to się stało, Annuncyata nie mogła Bierzyńskiego zapomnieć. Było tu wprawdzie rzeczą niewątpliwą już na pierwszy rzut oka, że tych wszystkich nieszczęść on był przyczyną — dochodzące ze świata wieści wystawiały winę jego w bardzo niekorzystnych dla niego kolorach i podniosły ją z czasem do ogromnych rozmiarów — obrotne go umysłu i umiejętnej wymowy mniszka usiłowała na tę winę jaknajmocniejsze stawiać dowody — ale pomimo to wszystko Annuncyata nie mogła w swoim sumieniu uznać tej winy, a jej kochające serce zniewoliło ją nieraz nawet do bardzo wymownej obrony. A kiedy pod ową porę rozumna przełożona klasztoru, nie widząc w tym stanie rzeczy koniecznej tego potrzeby, nie upierała się bardzo przy swoich zdaniach, z drugiej zaś strony Annuncyata znajdowała silną podporę dla swoich uczuć w konsekwentnym staroście bydgoskim — to i przeważało nareszcie jej zdanie i powiedano na zamku powszechnie:

— Może Bierzyński jest winien, ale nie winien umyślnie.

Wszakże wśród tego czasu Annuncyata nie mogła przestać na tych-li wieściach o Bierzyńskim, które się same z siebie donosiły do zamku. Jej serce stroskane, jej charakter czynny i żywy, nie pozwalały jej zachowywać się biernie i nie myśleć o tem, ażeby w razie danym przyjść nieszczęśliwemu z pomocą. Jakoż w samym początku wyprawiła ona była swoją dawną piastunkę z tem zaleceniem, ażeby nietylko do samego Bierzyńskiego dotarła i starała się obaczyć go własnymi oczyma, ale ażeby usiłowała także koniecznie się z nim porozumieć. W porozumieniu tem powinna była najpierw jemu powiedzieć, że Annuncyata jest gotową wszystkie, wszystkie ze swej strony ponieść ofiary, aby mu pomódz; a potem dowiedzieć się od niego samego, jaki rodzaj pomocy byłby w tej chwili najskuteczniejszym?

Tej wyprawie nie sprzeciwiła się mniszka zupełnie. Czy czyniła to ze szczerego współuczucia dla nieszczęśliwego? czy w przekonaniu, że żadna pomoc z tej strony na nie mu się nie przyda? to tylko Pan Bóg wiedział na-

tenczas. Annuncyata zastanawiała się nad tem, bo to ją uderzyło, ale nie przyszła do żadnego przekonania w tej mierze. Tymczasem wysłana Marta wróciła aż we trzy tygodnie z okładem, ale ze swego poselstwa wywiązała się tylko w połowie. Przyniosła bowiem pewną wiadomość, że Bierzyński się znajduje na zamku w Krakowie — ale się z nim nie widziała.

Jednak i tej wiadomości było dosyć dla Annuncyaty, aby się w jej sercu rozbudziły daleko żywsze uczucia. Mówiła wtenczas:

— Ja sama do Krakowa pojadę. Ja się koniecznie z nim porozumię!... Sprzedam dobra litewskie, i te sprzedam nareszcie, i muszę go postawić w takiej samej pozycji, w jakiej był przedtem! On tylko dla mnie, on tylko przeze mnie to wszystko utracił!... A gdyby i nie to, to mój ojciec kazał mi go ratować: — a czyż może być chwila, w którejby bardziej potrzebował ratunku?

Takie postanowienie jednak nie podobało się mniszce. Sprzeciwiła się ona jemu całą siłą, całą swoją wymową.

Wyniknęły stąd długie, uparte spory, które Annuncyacie wiele przyniosły zmartwienia...

Jedno serce ludzkie zostało jeszcze przy niej — a i to przeciw niej powstawało! Zamiast pociechy, ulgi, pomocy, przynosiło jej tylko opór i zabierało ostatki nadziei. Wprawdzie mniszka zgadzała się z nią we wszystkim innym, jej zdaniom, jej uczuciom, zamiarom umiała dziwnie wdzięcznie wtórować; była jej matką, była siostrą, a często prawie chciała być służebnicą; — ale wszystko to tylko trwało dopóty, dopóki o Bierzyńskim nie było mowy. Tu rozchodziły się ich zdania, odrzucały się wzajem uczucia i ledwie się nie rodziły niechęci. Annuncyata pojmowała dokładnie, jaki był powód do tego, boć to leżało na dłoni — ale jakie było właściwe źródło tego powodu, nie mogła sobie wyjaśnić. Miałaby mniszka pragnąć tylko jej fortuny dla swego klasztoru? — Nie! tego o niej na żaden sposób pomyśleć nie mogła, bo i cóżby jej na tem, jej, wiekiem zgarbionej, już nad grobem stojącej i już tak wielkie zasługi około swego klasztoru mającej, zależeć mo-



gło? A gdyby miała nawet próżność jeszcze i tej sławy dla siebie, że o milion pomnożyła zasoby klasztoru, to czyż mogłaby tej próżności poświęcać szczęście swej siostrzenicy wbrew przekonaniu? — Nie, to być nie może. A więc cóż jest w istocie? czyż w samej rzeczy niema innego szczęścia dla człowieka na ziemi, oprócz w murach klasztornych? — Annuncyata myślała nad tem niejednokrotnie, ale nie postanowić nie mogła.

A tymczasem to zachowanie się jej ciotki przynosiło jej niewymowną zgryzotę. Mniszka bowiem była nieubлагana, nieugięta, a często nawet tak surową w swoim uporze, że gdyby nie powaga jej wieku, nie świątobliwa jej suknia, nie cnoty jej zresztą, które Annuncyata знаła od dawna, to możeby się była kiedykolwiek wyłamała z pod jej przeważnej władzy i byłaby ją może nawet wprost odrzuciła od siebie. W tem położeniu i nawet przy jej przymiotach byłby to pewnie uczynił każdy mężczyzna — ale Annuncyata była kobietą. Kobieta, anioł cierpliwości na ziemi, duch pokoju i zgody — Annuncyata cierpiała i ulegała.

W tym wypadku musiała nawet uleść nareszcie, bo mniszka, jak wszędzie, tak i tutaj, postąpiła sobie bardzo rozsądnie. Nie sprzeciwiała się ona tej zamierzonej do Krakowa podróży i zanieśieniu pomocy dlatego, żeby Bierzyński miał być jej z pewnością nie godzien — ona tylko powątpiewała, ażeby Bierzyński, po takich czynach dokonanych, był godzien tak nadzwyczajnych poświęceń, a utrzymywała z pewnością, że poświęcenia się z jej strony w dzisiejszych okolicznościach na nic się przydać nie mogą. Kiedy zaś na to wszystko miała tak oczywiste dowody, że ich nawet nie potrzebujemy powtarzać, Annuncyata musiała uleść nareszcie i odstąpiła nateraz od zamierzonej podróży.

Wkrótce potem przybył z zwykłymi odwiedzinami do zamku Gałęcki i pochwalił Annuncyacie jej uległość, bo jakkolwiek on sam, jak mówił, byłby w stanie jeszcze bardzo wiele poświęcić, ażeby Bierzyńskiemu dopomódz, w tym jednak razie był zupełnie zgodny w opinii z ksienią.

Ale Gałęcki za tą bytnością w zamku przywiózł był całkiem nową i na pierwszy rzut oka niby pocieszącą wiadomość. Dowiedział się był bowiem natenczas, że podskarbi Wessel zajął się losem Bierzyńskiego i już to wyrobił dla niego, że nie postąpiono z nim tak odrazu, jak postępowano zazwyczaj z innymi konfederatami — należało się tedy z wszelkiem podobieństwem do prawdy spodziewać, że Wessel mu z czasem i uwolnienie wyrobi. Była to więc niby pociesząca wiadomość — ale pomimo to starosta opowiadał ją nie tylko bez żadnego uczucia pociechy, ale nawet ze smutkiem pełnym jakiejś obawy. Annuncyata, zapatrująca się na świat i ludzi tylko z jednej, to jest z czystej, pięknej, szlachetnej strony, nie mogła zrazu tej obawy zrozumieć — ale doświadczeńsza od niej ksieni zrozumiała ją odrazu i nawet przyznała staroście słuszność zupełną. Zastanawiając się tedy nad tym wypadkiem, oboje starsi wzdychali tylko, mówiąc ze smutkiem:

— Oby tylko ta pomoc Wessla nie wyszła Bierzyńskiemu na gorsze!

— Ale zmiłujcież się państwo — mówiła Annuncyata natenczas — cóż stąd może wyniknąć złego? Przecież czy tym, czy owym sposobem się uwolni z więzienia, zawsze to bez żadnego wątpienia będzie sposób taki, który nie nie ujmie jego zacności. A gdyby nawet znalazł się ktoś tak złośliwy, żeby mu chciał z tego powodu uwłaczać, toż jego czyny następne zadadzą kłam temu wszystkiemu!

Zdanie to było bardzo piękne i nawet całkiem logiczne, ale przecież starsi mówili na to:

— Oby tylko po uwolnieniu przez Wessla takie czyny były jeszcze możliwe!

Te uwagi zaniepokoiły Annuncyatę do najwyższego stopnia. Nie czekając dalszych wypadków, wysłała ona Martę natychmiast i to z tem zleceniem, aby jechała wprost do Krakowa i starała się koniecznie widzieć z Bierzyńskim; widząc się z nim, aby mu powiedziała, żeby po uwolnieniu bez żadnej zwłoki w Sieradzkę przyjeżdżał,



gdzie wszyscy go oczekują; gdyby zaś jej się takie wידzenie nie udawało, aby siedziała w Krakowie dopóty, póki Bierzyński uwolnionym nie będzie, a wtedy będzie się przecież mogła z nim widzieć z łatwością.

Wyprawiwszy z takim poselstwem Martę, czemu się zresztą już nikt nie sprzeciwiał, zwróciła się do starosty, prosząc go najusilniej, ażeby na wypadek Bierzyńskiego powrotu przygotował ze swojej strony wszystko, coby mu do zawiązania nowej konfederacji mogło dopomóc. I poczeiwy starosta, pomimo to, że z jego przyczyny doznał już tylu strat i zawodów, jeszcze i to obiecał, mówiąc po prostu:

— Wlazłem już sobie po pas, wleżę jeszcze po uszy. Nie dla niego, a tem mniej jeszcze dla siebie, ale dla pani to zrobię.

Widzimy tedy, że kiedy Bierzyński siedział na zamku, jakiegokolwiek jego losowi towarzyszyły okoliczności, nie był jeszcze opuszczony zupełnie. Gdyby był poszedł drogą naturalną i prostą, byłby był w ten moment po uwolnieniu mógł stanąć znowu na nogach i stanąć nawet na dobrej drodze. Ale nad nim już wtedy spoczywało przekleństwo losu. Kiedy mógł jeszcze liczyć na ludzi, to liczył na siebie samego: a zaczął liczyć na ludzi wtedy, kiedy już może nawet w ich oczach nie był godnym ich ręki. Tak zawsze dzieje się z ludźmi, którzy zmylili swe drogi, a zmyliwszy je nie szukali zbawienia w pokorze serca i odzyskaniu straconej łaski, ale w uporze i pysze swego własnego rozumu.

Co się dalej stało, to już wiemy. Marta pomimo całej czujności swojej, nie widziała się z Bierzyńskim. Nie mogła się nawet z nim widzieć, bo on wyleciał w nocy ze zamku i nikt go wyjeżdżającego nie widział. Dowiedziała się ona o tem dopiero w dni parę i jeszcze dni parę potrzebowała na to, aby się dowiedzieć z pewnością, co się z nim stało?

Dzisiaj tedy dopiero wróciła — i wróciła z wiadomością okropną. Bierzyński z zamku wyjechał, lecz na to, aby dzierżawę Złotego Klucza odebrać!

Kiedy Annuncyata wysłuchiwała tej wiadomości, nie mogła jej wcale uwierzyć.

— Nie! to być nie może! — wołała ona do Marty — bo żeby Józef... nie! ja nie mogę o tem nawet pomyśleć! Ty mi jakieś plotki przynosisz Marto!

— Panno złota! — mówiła na to piastunka — Bóg widzi, jakbym pragnęła, żeby to była plotka, boć ja wiem, co to znaczy. Jakoż i sama zrazu nie chciałam wierzyć. Ale się przekonałam. Bo to samo mówił mi dzwonnik z katedry, toż ksiądz sam, który mnie słuchał świętej spowiedzi, ba i całe miasto już nareszcie wiedziało.

— To chociaż tak — mówiła Annuncyata, ledwie już sama wiedząc, co mówi — to en wyjechał z zamku, ale nie po Klucz Złoty... on tutaj jedzie... on lada chwila tutaj przyjedzie...

— Już to trzy tygodnie, moja złota panienko, jest temu, jak z Krakowa wyjechał... byłby już dawno tu przybył.

— Och! Boże drogi! — wołała Annuncyata, łamiąc ręce, drżąc całą i płacząc dużemi jak perły łzami — Boże! cóż to się stało takiego!? Ciotko moja! czy to być może? czy jest w tem jakie podobieństwo do prawdy?

Ale mniszka była sama przerażona w tej chwili. Stała ona na środku komnaty i patrząc nieruchomemi oczyma na Martę, zaczęła myśleć nad czemś mozolnie. Obudzona tem zapytaniem z zamyślenia, obróciła się do swej siostrzenicy i rzekła:

— Czekajno, moje dziecko! uspokój się trochę, bo w takich rzeczach nie można decydować pospiesznie. Klucz ten to była własność księcia biskupa, osoby świętej...

— Ach! ale o to już tu nie chodzi! — zawołała kasztelanka z pośpiechem — taki występek nie już nie może powiększyć... Tylko czy może to być, czy jest to podobne do prawdy, ażeby Józef, ten Józef, który miał tyle rozumu, tyle uczuć szlacheckich... Ach! jabym nie przeżyła tej chwili!...

— Poczekajno, moje dziecko — odpowiedziała ksiieni biorąc ją łagodnie za rękę — bo to wszystko być może

na świecie, każda rzecz stać się może, lecz aby ją słusznie osądzić, trzeba wiedzieć dokładnie, jakie jej towarzyszyły okoliczności. Może więc Józef był do tego zmuszony...

— Ach! — zawołała Annuncyata, oddychając z głębi ściśnionej piersi — ciotka wracasz mi życie! Tak! on był do tego zmuszony! Jego gwałtem tam zawieziono, jemu gwałtem ten Klucz oddano; ale on tam nie pozostanie! On się wyrwie im z ręki, on im ucieknie, on mury sobą przebiję i wróci tam, gdzie go woła powinność!

— Uspokójno się, moje dziecko kochane — mówiła na to mniszka — chodź, siądźmy sobie i pogadajmy o tem rozumnie. Wypytajmy jeszcze raz Martę o wszystkie szczegóły, rozważmy wszystkie okoliczności, starajmy się wyrozumieć dokładnie całe położenie Józefa, a wtedy domyślimy się tego z łatwością, co tu najpodobniejsze do prawdy...

Tak mówiąc, sędziwa przełożona klasztoru wzięła Annuncyate i pociągnęła ją za sobą w owo miejsce sypialni, gdzie naprzeciwko „żelaznego krużganku“ stała kanapka, stół i kilka krzeseł głębokich i gdzie zwykle siadano do poważnej rozmowy. Tam posadziła swą siostrzenicę w krzesło, sama koło niej usiadła i zaczęła rozbierać gruntownie to wszystko, bez czego niepodobna było zrobić sobie jasnego wyobrażenia o świeżo zaszłym wypadku. Ale Annuncyata, lubo ją niby słuchała, była jednak tak roztargniona, tak wzruszona i zaniepokojona do samej głębi, że tylko patrzyła nieruchomemi oczyma przed siebie i co moment się tak wzdygała, jakby jakieś straszliwe widma pokazywały się w jej wyobraźni. Mniszka to uważała i starała się tak mówić, ażeby przedewszystkiem ją uspokoić.

Wszakże w niedługiej chwili dał się słyszeć jakiś szelest w przyległej komnacie — a razem z nim dał się widzieć we drzwiach sypialni Gałęcki.

Gałęcki był w tej chwili blady jak ściana, a na jego twarzy było widać nie tylko smutek poważny, ale nawet jak gdyby ciężką jakąś zgryzotę.

Annuncyata od czasu śmierci ojca, ile razy obaczyła Gałęckiego wchodzącego na zamek, wybiegała zawsze ku niemu z radością. Zaczny ten starzec bowiem był tyle dla niej pocziwym, iż kiedy tylko do niej przyjechał, chociaż tak trudno było o pociechę w tych czasach, przecież ją zawsze czemsiś pocieszył, podniósł, umocnił a czasem nawet rozjaśnił. Dziś jednak kasztelanka, obaczywszy go, uczuła jakieś drżenie wewnętrzne, uczuła po prostu przerażającą trwogę, aby starosta tej wieści, którą Marta przyniosła, nowem i już niezbitem nie potwierdził świadectwem. Dlatego wstała tylko ku niemu i powitawszy go chłodno, nazad zajęła swe miejsce.

Widząc to starosta, patrzył na nią z uwagą. Zdawało się, jakby chciał naprzd odgadnąć, czy ona wie już o tem, z czem on do niej przyjeżdża, czy nie. Jakoż musiał istotnie odgadnąć, bo zaraz po przywitaniu, wpatrzywszy się w kasztelankę jeszcze uważniej, ujął jej rękę, przycisnął do ust i rzekł:

— Bóg nas ciężko nawiedza, moja pani najdroższa! Ale nie szemrajmy przeciwko temu, a mówmy raczej: Niechaj się dzieje Jego wola święta nad nami!

— Panie starosto! — zawołała na to Annuncyata ze drżeniem — pan mnie przerażasz! czy pan masz jaką wiadomość...

— Czy pani nie wie jeszcze? — pytał starosta.

— Panie! — zawołała Annuncyata, chwytając go konwulsyjnie za rękę — czy tak jest w samej istocie? Józef na Złotym Kluczu...

Starosta tylko patrzył na nią i milczał, bo nie śmiał tego słowa wymówić.

Ale ona jego milczenie odgadła. Patrzyła więc tylko przez okamgnienie na niego, a potem:

— Oh! więc już wszystko się stało! — zawoła z przerażającym jękiem i wybuchając w płacz głośny, upadła na kolana przed mniszką.

Ukrywszy twarz na jej łonie, jęczała w bólu, zalewając się łzami.

Wzruszona jej boleścią staruszka, położyła obiedwie



ręce na jej głowie, a z jej oczu przyémionych łzy wytrysnęły i popłynęły strumieniami po jej wywiedłej twarzy.

Nie mógł się także od współczucia powstrzymać starosta i przycisnąwszy chustkę do oczu, szlochał jak dziecko.

I tak trwała długa chwila milezenia.

Już słońce zaszło i zmrok się rozpostarł w komnacie. Przyniesiono lampę oliwną i postawiono na stole. Jej światłem dopiero obudzona Annuncyata powstała z kolan i siadła napowrót w swe krzesło. Opuściła głowę na piersi, ręce założyła przed sobą i patrzyła niewidzącemi oczyma w ziemię. Wszyscy milczeli. Po chwili dopiero ona sama wstrząsała głową i mówiła cichym, łzami dławionym szeptem, jakby do siebie:

— A więc już wszystko przepadło! Ostatni kwiatek, który kwitł dla mnie na ziemi — w proch się rozsypał! Ostatnia gwiazdka, która świeciła mi jeszcze w tem życiu — zagasła!...

Ostatnie jej słowa było słyhać już tylko jakby kwilenie — a nareszcie całkiem umilkła. Zaciśnięła ręce cokolwiek mocniej i zdawało się, jakby się modliła w milczeniu.

Starosta patrzył na nią z współczuciem dla jej boleści, ze czcią dla jej cichej i świętej prawie pokory — lecz widząc, że już noc zaszła, a mając jeszcze coś do mówienia, zabrał głos i rzekł:

— Tak, moja pani! stało się to, czego się nikt nie spodziewał. Do mnie wieść o tem doniosła się jeszcze przeszłego tygodnia. Nie chciałem wierzyć i posłałem konnego do mego brata, który mieszka przy Kielcach. Ale dziś odebrałem list, że się tak stało w istocie! Józef okupił hańbą swoją swobodę. Jeżeli pani pozwoli, to jej opowiem...

Ale tu Annuncyata zerwała się nagle z krzesła i zaslaniając się ręką od starosty, zawołała wyteżonym głosem:

— Oh! nie mów pan! nie opowiadaj mi nie już! Nie chcę nie wiedzieć o nim! nie chcę słyszeć nawet jego nazwiska! Niechaj nikt nie wie, że kiedyś... i dodała szepcącym głosem, wskazując ręką ku niebu: — Bóg tylko jeden! On wie, On wiedzieć będzie... Miłości tej nie prze-

baczą mi ludzie, ale On... On mi ją może kiedyś przebaczy!

Z temi słowami upadła napowrót w krzesło a starosta tak zaczął mówić:

— O! niechże pani o to będzie zupełnie spokojną! Czyż to ludzie przestali być ludźmi? czyż wzięli kiedykolwiek za złe choćby i zbyt miłości?... Ale idzie mi tu o co innego...

— Cóż jeszcze? — spytała kasztelanka.

— Idzie mi o to — mówił starosta — co dalej będzie. Bo widzi pani, ja świadczę się Bogiem, że pomimo tego wszystkiego, co nakreślił pan Józef, do przeszłego tygodnia jeszcze byłbym był gotów duszę moją oddać za niego. Takbym był radził i pani Ale dzisiaj...

— A cóż jeszcze dzisiaj?

— Ja nie wiem, co się stać może... Ale on tam za siadł w biskupim pałacu, dwór sobie składa, lada dzień może przyjechać...

— On!? — zawołała Annuncyata — on dzisiaj do mnie? on! z tą hańbą na czole, z tem sumieniem skalanem, śmiałyby mieć czoło... Marto! — wołała ona — niechaj mi od tego momentu wszystkie drzwi będą zamknięte, przez dzień i noc: a gdyby on się pokazał... ah! to już nad moje siły — dodała znowu szepcącym głosem — ty mnie przecież rozumiesz?...

Tu upadła znowu na krzesło i zdawało się, jakby była już całkiem bezwładną. Przyłożyła rękę do czoła i umilkła zupełnie.

Grobowa cisza zaległa teraz w komnacie, a była to cisza tak uroczysta, że nikt ją nie śmiał przerywać.

Pośród tej ciszy starosta, dopełniwszy już tego, co wedle swojego przekonania powinien był zrobić, a nie wiedząc, coby tu miał jeszcze do czynienia w tej chwili, wyniósł się milczkiem z komnaty i wyjechał.

Po jego odjeździe obiedwie kobiety siedziały jeszcze długo w milczeniu. Annuncyata nie ruszała się z miejsca, a chociaż niezmiernie bolała, zdawało się jednak, że w tej

boleści tu jej najlepiej. Uważała to ksieni i nie chciała jej przeszkadzać. Przysunęła się tylko z krzesłem do lampy, rozłożyła swoją książkę nabożną i zaczęła w niej czytać.

Wszakże po jakimś czasie, spojrzała na Annuncyate i rzekła:

— Może chcesz, moje dziecko, żebym głośno czytała? to ci ulgę przyniesie.

— Niech ciotka czyta — odpowiedziała kasztelanka z głębokim westchnieniem — może Bóg wejrzy na mnie łaskawie...

Tedy mniszka zaczęła czytać modlitwy głośno i czytała je całą godzinę, albo może i dłużej.

Annuncyata siedziała w milczeniu, patrzyła na przeciwną ścianę i niby słuchała z uwagą. Zdawało się nawet, iż te modlitwy istotnie przynosiły jej ulgę, bo na jej zbolalej twarzy występowały co chwila coraz jaśniejsze i łagodniejsze promienie, jak to się dzieje nam zwykle wtedy, kiedy na widnokręgu duszy naszej zaczynają się rozstępować czarne chmury cierpienia, a przez nie zaczyna przebijać jasność lazurowego nieba.

Jednakże nie tak było w istocie.

Annuncyata bowiem przy całej pokorze ducha, przy całej sile wzniosłego serca, miała zanadto żywy i samodzielny umysł, ażeby się zupełnie ślepo poddała swemu nieszczęściu, nie zgłębiwszy pierwej dokładnie jego natury i właściwego znaczenia. A więc pomimo tego, że pragnęła z całego serca słuchać z uwagą modlitw, głośno czytanych przez mniszkę, nie mogła jednak tego uczynić i musiała myśleć koniecznie. Tem myśleniem, ile się zdaje, musiała ona przebiegać to wszystko, co się od kilku miesięcy z nią stało i rozważała swoje położenie dzisiejsze. Myślała zapewne dalej i nad swoim postępkami dzisiejszym — wszakże tu uderzyła ją myśl całkiem nowa.

Z tą myślą zerwała się nagle z krzesła, chwyciła mniszkę za rękę i zawołała:

— Ciotko! ja popełniłam grzech śmiertelny...

— Jakież grzech znowu? — zapytała ksieni, odwracając głowę od książki.

— Grzech, ciotko! — wołała Annuncyata rozpaczającym głosem — ojciec mój, leżąc na łożu śmiertelnem, kazał mi o nim pamiętać; kazał mi pomódz jemu, kiedy będzie w nieszczęściu: a ja kazała drzwi zamknąć przed nim, ja go kazała odepchnąć!

To mówiąc, ścisnęła mniszkę z niecierpliwością za rękę — a mniszka patrzyła na nią, sama nie wiedząc, co mówić.

Wszakże w tej samej chwili dał się słyszeć jakiś szelst na „żelaznym krużganku“. Obiedwie kobiety podniosły tam swoje oczy — i obaczyły postać mnicha ze siwą brodą, który stał na tym krużganku. Trzymał on lewą rękę opartą o poręcz żelazną, a prawą podniósł do góry, a w tym momencie dał się słyszeć z ust jego głos wołający:

— *Absolvo te in nomine Domini! absolvo! absolvo...*

Przerażone kobiety rzuciły się obiedwie ku sobie — wszakże w tej chwili stół, potrącony przez nieuwagę, przeważił się nagle i upadł, lampa się zdruzgotowała w drobne kawałki, a w komnacie zaległa ciemność jak w grobie.

## VIII.

Dnia następnego, na chwilę jeszcze przed zachodem słońca, na owej przeprawie przez Wartę, przy której stała znana nam murowana gospoda, przewoził się jakiś wózek ubogi. Był to wózek zwyczajny, jakie naówczas karabonami zwano, ciągnęły go trzy niewielkie, lecz zwięzłe koniki, którymi fornał w sukmanie powoził, a w zapadniętem siedzeniu siedział jakiś dosyć zwyczajny podróżny. Kto to był, trudno było rozpoznać, miał on bowiem czapkę nizko nasunioną na oczy, a sam był tak starannie się zawiązał w obszerną szaraczkową opończę, że nie było mu widać tylko oczy z pod czapki. Dziwili się temu przewoźnicy, bo był to dzień, wprawdzie jesienny, ale całkiem pogodny i nawet ciepły — ze zwyczaju ciekawi, przypatrywali mu się z tem większą uwagą — ale on jeszcze



tylko o tyle staranniej się w swoją opończę zatulał, odwracając się nawet umyślnie, kiedy kto bliżej do karabonu przystąpił. Tymczasem fornał nagle na przewoźników, aby się pospieszali, kiedy się do brzegu zbliżali, rzucił im pieniądze srebrny za przewóz — a jeszcze statek nie całkiem przyparł do czekającego po tamtej stronie pomostu, kiedy on konie już zaciął i galopem na brzeg stromy wyjechał. Tam jeszcze raz éwioknął po koniach i zjechawszy z drogi prostej, prowadzącej do chaty Barnaby, na małą wąską drożynę, wiodącą w kierunku zamku, nią puścił się pędem.

Jak tylko wózek na brzeg wyjechał, siedzący na nim podróżny zrzucił ze siebie opończę, poprawił czapki i zaczął się po okolicy rozglądać. A widok ten, albo mu się niezwykajnie podobał, albo może wywołał w nim jakieś dawne wspomnienia; niebawem bowiem spojrzał na fornala i rzekł:

— Czegóż lecis? jedź wolno.

Potem się znowu rozglądał, patrzył na tę równinę, która się przed nim ścieliła, rzucił okiem na ślady dawnych obozowych okopów, zawisł na chwilę oczyma na zamku — i musiało go tutaj znów coś uderzyć, bo rzekł:

— Zaczekaj.

Fornał stanął — on jeszcze siedział przez oka mgnienie na wózk, ale nareszcie zlął, wyprostował trochę swą postać zgarbioną i zaczął się pilnie przypatrywać zamkowi. Stąd też już mógł on cały ten zamek, który dotychczas widział tylko od strony wody, jak najdokładniej obejrzeć — ale tu także można się było i jemu przypatrzeć dokładnie.

Jakoż na pierwszy rzut oka zdawało się to być dosyć pospolita figura. Smukły chociaż nie nadzwyczajnie wysoki wzrostem, z twarzą niby zawiędlą, z wąsem ciemnym na dół zwieszonym, miał on kontusz wytarty na sobie, czapkę wymiętą na głowie, buty grube przysypane prochem podróżnym i kord żelazny u boku — postać niby codzienna, z tą lub ową odmianą pojawiająca się wszędzie. Jednakże przypatrując się bliżej, dostrzegało się rzeczy, które wcale nie były zwykajne. Człowiek ten bowiem był jeszcze młody, można było być pewnym, że nie miał lat nawet

trzydziestu — a pomimo to włosy jego znaczna już przpruszyła siwizna, dwie grube zmarszczki wyglądały z pod czapki, a pod nią było ich zapewne i więcej. — Skądże te zmarszczki? skąd ta siwizna? skąd ta starość przedwczesna? — Tak przypatrując się dalej, widać było nie mniej wyrażnie, że chociaż barki jego były zgarbione, w postaci jego odbijała się przecież jakaś wyniosłość, jakaś duma świadoma siebie i będąca już drugą naturą. Stąd można było wnosić z pewnością, że człowiek ten nie był tem niegdyś, czem się zdawał być dzisiaj: on stał gdzieś w górze, on wodził rej kędyś, on rozkazywał. Skądże więc teraz ten garb na plecach? skąd ta twarz pochylona ku ziemi i jakby z prochu spoglądająca na zamek? — To spostrzeżenie wreszcie potwierdzała nawet twarz jego i nawet ubiór. Twarz ta bowiem, niby na oko zawiędlą, nie na wicrach szorstkich lub w ciężkich trudach, ale ją tak zwarzyły bóle, strawiły ją ognie jakieś wewnętrzne, które któż wie jakie tam piekła wyziewały ze siebie! I kontusz ten, tak ubogi i nędzny, nie był niegdyś własnością człowieka jeżdżącego wózeckiem — i kord ten nawet, ciężki, szeroki, z rękojeścią zasadną, nie był własnością sejmikowego gracza, zwijającego się pojedynkiem za burdą, ale musiał grywać na polach większych, może przywoził chorągwiom, może hetmanit wojnom!...

I któż jest ten człowiek, który niegdyś nosił się górnem, rej wodził w kraju i rozkazywał tysiącom — a który teraz zestarzał się nagle, zgarbił swe barki i tak się pochylił, że wygląda jak robak tarzający się w prochu? — Kto on jest? — Myśmy go już dawno poznali.

Teraz stał on i patrzył jakby wystraszonemi oczyma na zamek. Patrzył i widział tę straszliwą ruinę, która jak upiór wystąpiła z mogiły, ażeby straszyć podróżnych. Patrzył, a jego oczy zamieniły się jakby w gałki szklane, lśniące martwym połyskiem. Nareszcie twarz jego cała zaczęła się mienić, usta zadrżały jakby w przestachu, na pomarszczone czoło pot kroplisty wystąpił. Wyciągnął rękę przed siebie, jakby się chciał zasłonić od tego widoku, za-



chwiał się na nogach i oparł plecyma o wózek. Inne to były zamiary, z którymi tutaj przyjechał, — lecz stanąwszy na miejscu, uczył niedostatek odwagi. Było to może pierwsze zdrowe uczucie, które się teraz odezwało w jego schorzałem sercu...

Lecz taki niedostatek odwagi uczył on teraz po raz pierwszy w swem życiu, — i zaledwie mógł sobie uwierzyć. Więc chociaż czuł całą niemoc zwiędłego serca, choć całą postać jego owładnęła nieruchomość drewniana, — stał jeszcze i czekał. Myślał zapewne, że było to tylko pierwsze wrażenie, które wprędce przemienie, a odwaga powróci. Ale na próżno! Już słońce zaszło, już zmrok zaczął okrywać chłodem owianą ziemię, już zaczęły zniknąć przed oczu oddalęnsze przedmioty, — a on stał jeszcze zawsze przy wózku i czekał. Ocknął się wreszcie i spojrział znowu na zamek. Wpatrzył się weń namiętnie, — a na jego twarzy dziwnie głęboka rozlała się boleść. Zdawało się, jakby się żegnał z tym zamkiem na długo, jakby się żegnał na zawsze!... Było to pożegnanie bez łez, bez westchnień, bez jęków, ale nie mogło być inne. Cicha, mileżąca, kamienna jest zawsze boleść rzeczywiście głęboka i wielka.

W tem pożegnaniu, które go w taki zabijający sposób oddalało od zamku, w którym ostatnia dusza odlatywała od niego i ostatnia go opuszczała nadzieja, byłby może znów prześnił czas długi, byłby przestał nieruchomie na miejscu noc całą: ale natenczas zaczęły się zbliżać do jego wózka jakieś nieznane postacie, zaczęły krążyć około niego jacyś ludzie, nie śmiać przystąpić blisko, lecz zaglądając ciekawie. Widok ciekawych ludzi byłby go mógł oocuć i z najgłębszej boleści. — Ocknął się więc, wsiadł napowrót na wózek i rzekł do fornała:

— Jedź! jedź do Gozdawki do dworu... Albo nie! Widzisz tam tę kaplicę przy drodze, tam się zatrzymaj.

Woźnica ruszył i mijając rozmaite rowy i nasypiska, które od czasu bitwy tutaj stoczonej, okryły tę całą równinę, zaczął zmierzać pomału ku wskazanej kaplicy.

Kaplica ta, do której zmierzali teraz podróżni, jest nam

dobrze znajomą. Stała ona i teraz na swoim miejscu i patrzała przez drogę na ową kmieć zagrodę, która nam także znajoma. Dziwnym sposobem, chociaż tutaj niedawno taka straszliwa szumiała wojna, miejsca te ocalały zupełnie. Wszystko tu było tak samo, jak dawniej, — tylko kul kilka tkwiło w ścianie kaplicy i drzew niektórych konary popodstrzygały strzały armatnie... W cichej zagrodzie Barnaby nic się nie odmieniło. Ten sam dąb starożytny w dziedzińcu, te same lipy wspaniałe, ta sama chatka uboga stała nietknięta do dziś dnia...

Teraz, w szczupłej świetlicy tej chatki, płonął wesoly ogień na kominie. Trochę opodał od niego siedział stary Barnaba na stołku i założywszy ręce przed sobą, patrzył smutnemi oczyma w płomienie. Sędziwy wódz Gozdawskiego dworu także się nie odmienił. Ani jeden włos nie spadł mu z głowy, ani jeden zmarszczek nie przybył na czoło, a jego czerstwe rumieńce ani o jeden cień nie pobladły. Wszystkie te burze, które tyle nieszczęść rozsiała dokoła, przyszumiały nad jego głową jak chmury, ulatujące powietrzem i nie tykające się ziemi... Tylko na jego twarzy trochę smutniejszy, może nawet zgryźliwy, odbijał się wyraz, ale ten miał inne powody...

Pod ścianą bowiem, na długiej ławie, siedział syn jego. To niedorośle do niedawna pacholę wyrosło już dzisiaj w młodziana i zrobił się z niego nawet bardzo piękny młodzieniec. Dość słuszny wzrostem, był przytem barczysty i silny, i widać było po nim, że cokolwiekby chwycił w rękę, toby się z niej nie tak łatwo wydarło. Jego twarz białą okraślił wąsik brunatny, lecz na tej twarzy jaśniał już teraz i wyraz inny. Dawniej nieśmiały z obawy, skromny i korny przez nieświadomość siebie samego, a do tego jeszcze w nieubłaganej ryzie utrzymywany przez ojca: dziś już widocznie pozbył się niepotrzebnej obawy, poczuł się sercem i myślą w swoim własnym jestestwie i wyrwał się wreszcie z owej zakamieniałej w staroświeckich zwyczajach niewoli, nieodpowiedniej naturze, a jeszcze mniej odpowiedniej jego już dojrzałemu wiekowi. Młody Wojciech kochał dziś swego ojca taką samą a na-



wet daleko obszerniejszą i zrozumiajszą dla siebie miłością niż dawniej, czuł on dla niego głęboką cześć i szacunek, był mu nawet uległym w tem wszystkim, co wchodziło w zakres nigdy niezmiennych obowiązków synowskich, — ale dzisiaj znał on już swoim rozjaśnionym umysłem ten zakres i wiedział o tem, że nieograniczona władza ojców nad dziećmi trwa tylko do czasu, a potem zamyka się w kole spraw tylko rodzinnych. Miał on i w innych rzeczach teraz już całkiem inne pojęcia, jego wiedza się rozszerzyła, a jego serce, nie tracąc nic na swojej dawnej czystości i niewinności, nabrało owego świadomego poczucia i rozumienia się w sobie, bez którego żaden rozum się na nic nie przyda i bez którego, właściwie mówiąc, nie jest się nawet człowiekiem. Wszystko to miał on do zawdzięczenia szkołom i temu światłu, które lubo w bardzo skąpych rozmiarach, jednak z czystego źródła zlało się na niego, — a to wszystko także odbiło się już dzisiaj wyraźnie na jego twarzy, która jasna, pogodna, otwarta, jak książka wielkimi drukowaną zgłoskami, już na pierwszy rzut oka przekonywała każdego, że ukrywa za sobą człowieka, który, co czuje, to zdrowo, a co postanowi, to robi.

Wszakże to wszystko wcale nie radowało starego i zasniedziałego w swojej starości Barnabę, i stąd to podobno wypływał ów zgryźliwy wyraz na jego twarzy. Teraz ocknął się on ze zamyślenia, w które pośród rozmowy zapadł był na chwilę, i tak mówił do syna:

— Już ta gadaj ty sobie co chcesz, ale taki mnie to zawsze gryźć będzie, żeś ty te szkoły już do reszty porzucił...

— Nie porzuciłem ich ojcze, z mej własnej woli — przerwał mu Wojtek — jeno mnie okoliczności do tego zmusiły. A może też jeszcze kiedy do nich powrócę...

— Co tam takie wracanie, kiedyś się nie wyświęcił! Jeszcze się też i do wojny tej wmieszał! Co cię tam temu popełnęło, anoż to trudno jest i zrozumieć...

— Już wy tam, ojcze, jak widzę, nie zrozumiecie tego przenigdy. Bo wy siedzicie na swoim zagonie i zdaje wam

się, że krom tego zagona już nic niema na świecie. A kiedy się gdzieś zapatrzycie, to już pewno nie dalej, jak wasza wieś. A to niesprawiedliwa jest rzecz. Boć za tą wsią jest przecie powiat, a za powiatem jest województwo, a za województwem jest przecie kraj cały, wielki i piękny jak świat. A już to nietylko ten zagon jest nasz, ale i powiat nasz, i województwo jest nasze, i cały kraj ten jest nasz, bośmy też jego synami. A stąd też rosną i obowiązki nasze: jedne więc względem zagona, drugie względem powiatu, toż znowu trzecie dla województwa, a zasie czwarte dla kraju.

— Ot! pleciez także trzy po trzy, co ci ślina na język przyniesie! Już więc ja nie wiem nic! Już nie wiem tego, że są powiaty i województwa i kraj; już też nie wiem i tego, że jest król także w tym kraju, który w Warszawie siedzi, a o którym i tyś w twej mądrości zabaczył, jakby go też nie było! Jużes mi widzę okrutnie zmądrzał w tych tam krakowskich szkołach! Ale tak mi się widzi, że to nie w szkołach cię tego uczono, ani ci tej mądrości nakładali w głowę doktory. Bo już to setnie głupia jest taka mądrość. Tobie się zrywać do obrony kraju? Kiedy kraj potrzebuje człowieka, to się to znaczy, że potrzebuje żaka? Już ci się widzę jakoś dziwnie poprzewracało w głowie. Więc kiedy nie wiesz, to ja ci powiem, chociaż do szkół nie chodził, że już tam około tych obowiązków inaczej jest pomyślono i podzielono inaczej. Już tak każdy ma swoją wydzielkę, na której ma swe obowiązki sprawować. A więc co się tkanie kraju całego, to od tego jest król, są biskupi, hetmani i inna rozmaita starszyzna. A do spraw województwa jest wojewoda z kasztelanami i starostami. A do powiatu jest podkomorzy ze szlachtą. A taki chłop, jako ja, albo jak i ty będziesz, kiedy się nie wyświęcisz, ten już jest tylko do swojego zagona i tam ma siedzieć, a nie wtykać się w to, co nie należy do niego. Więc kiedyby kto jego zagon najeżdżał, albo chatę mu palił, tedy on ma ją bronić, bo to należy do niego; ale co powiat, co województwo, co kraj, już to nie jego jest rzecz.

— Ej! już to podobno na nie nasze gadanie — zawołał na to z westchnieniem młodzieniec — bo to na jedną rzecz dwóch patrzy ludzi, ale ten widzi inaczej, a tamten znowu inaczej. Już to więc darmo. Abyście to obaczyli, co ja widzę, a czego wy nie możecie obaczyć, trzeba wam inne zaprawić oko, a może też i inne serce wsadzić do piersi. Ale kiedy tak powiadacie, że kraju ma bronić król z biskupami i hetmanami, czemu go więc obroni, gdy przyjdzie wojna? anóż do wojny potrzeba wojska, a z czegoż wojsko?

— Wojna! wojna! — powtarzał sobie Barnaba — to inna rzecz! Jużci do wojny potrzeba wojska, to prawda, ale czy to nie masz u nas i wojska?

— Jest, ale z czegoż się składa to wojsko, jeśli nie z ludzi takich, którzy to czują w swem sercu, że trza służyć krajowi i życie poświęcić za niego w potrzebie?

— A któż to czuje?

— A jużci każdy, kto ma serce po temu.

— Anóż to znowu pleciesz trzy po trzy! Bo żołnierstwo jest takie same rzemiosło, jak i drugie. A nie czuje go nikt, jeno się zda do niego ten, który na to jest przeznaczony i którego też za to płacą sowicie. A to jest szlachta. Dają im za to porucznikowstwa, pułkownikowstwa nuż i hetmaństwa, obkładają ich starostwami, to też oni mają i serce do tego. Ale głupiby to był chłop, któryby szedł tracić rękę lub nogę, kiedy nie musi, a nie wiem za co? To więc jedna jest rzecz. A co się tknie wojny i owej obrony kraju, to mi także nie gadaj. Bo wojna jako się poczyna, tak się też kończy, a nigdy nie trwa wieki. A o cóż się to biją w tej wojnie? czy to o kraj? a jużci nie. Boć go nikt nie zabierze ze sobą. A więc biją się o to, czy ten ma w nim rządzić, czy tamten? A już, czy ten, czyli tamten, ty się o to nie frasuj. Wygra-li ten, wygra-li ów, straci-li szlachta czy zyska, chłop zawsze chłopem po wieki wieków. A więc też ty na twoim zagonie siedź i jego pilnuj; broń twojej chaty, a spalą ci ją, to nową postaw; a o resztę się nie troszcz, bo już to nie dla ciebie.

Młodzieniec spojrzał smutnem okiem na ojca i westchnął, a potem tak znowu mówił:

— Trudnaś to sprawa! Może wy tam i prawdy trochę mówicie, ale przecie ja czuję inaczej. Wiem też dobrze, dlaczego; ale już wam tego wykladać nie będę... Powiem wam więc tylko tyle, że dziwną ma moc serce ludzkie, kiedy czuje swój obowiązek jak trzeba. A już mu się wtedy i nie sprzeciwiać. Tak, kiedyś tu był u was w miesiącu czerwcu i chciałem się w pana naszego obozie meldować, a wyście mnie napędzili do Krakowa napowrót: tom już tak sobie powiedział, że niechaj się dzieje co chce, taki zostanę księdzem. Odrzucało mnie serce od tego, bom widział, że nie stworzony na księdza: alem sobie już tak przedsięwziął, żeby wam koniecznie dogodzić. Jakoż wziąłem się pilnie za książki, aby się do tego zgotować. Aleć tu niebawem krzyk w mieście: że nieprzyjacieli się zbliża. Generał Szaniawski ogłosił, żeby się wszyscy brali do broni. A mnie wtedy tak coś za serce schwyciło, że i trudno powiedzieć! Upierałem się z sobą, ale już mi nie było usiedzieć przy książce! Wszystko, co żyło, biegło na zamek; sami księża nawet co młodsi, chociaż już wyświęceni, rzucali brewiarz, a przypasywali szablę do boku; mnichy opuszczali klasztory i przypinali kordy do swoich habitów: miałyże kleryk zasłaniać się księgą od wojny? — A więc poszedłem i pozostałem na zamku. Potem panowie starsi tak uradzili, że pomiędzy takimi słabymi murami, nie sposób się bronić, i wyszli z miasta: trudnoż mi było już wtedy porzucać moich nowych braci, a jeszcze do tego w takim niebezpieczeństwie. Wyszedłem więc z generałem, a kiedy nas na drodze dzielono, dostałem się do pana Dzierżanowskiego...

— Jeszcze ci i tego było potrzeba! — rzekł na to frasobliwie Barnaba.

Wojtek patrzył na niego takimi oczyma, jakby go nie rozumiał, i trwała chwila milczenia. Późem wszakże starzec zabrał głos i tak mówił:

— Bo to i ten Dzierżanowski nie wart podobno więcej jak drugi! Podobał on mi się był bardzo, kiedy mi



tu chatę wyratował od ognia. Pan Bóg pozwolił wywdziżyć mu się za to sownie, bom też jego samego potem jeszcze z lepszego ognia wydobył. Ale bodaj, czy tam komu wyszła na dobre ta pomoc!

— A toż czemu, mój ojcze?

— Alboż to nie wiesz? a toż to on zdradził tu podstolica i przez niego tu tyle krwi się wylało...

— Ej! panie ojcze! — rzekł na to z pocziwym zapalem Wojtek — tylkoż tak zaraz nie wyjeżdżajcie ze zdradą! Bo wy powtarzacie bez myśli, co wymyślają źli ludzie, a przez to popelnianie grzech ciężki przed Panem Bogiem. Komu się noga powinie, już też zaraz i zdradził! A to tak nie jest. Niemasz tu nikogo w tej wojnie, któryby zdradzał, bo tu się nie biją ludzie o marne splendory lub światowe bogactwa, ano o rzecz, której i wypowiedzieć wam trudno. A kiedy się kto bije o pocziwą sławę swego narodu i własnej duszy zbawienie, to tam niema na całym świecie tych skarbów, którymiby go można do zdrady pokusić. Nie widzę ja też tutaj zdrady na nikim: bo widzę dobrze, jaka to nieszcześliwa jest wojna. Bronią się niebożęta sami przeciwko zdradzie, którą król na nich nastawił, bronią się sił swych ostatkiem, a żywa dusza im nie pomaga: a co się tu dziwić, że temu albo tamtemu braknie siły nakoniec, a przeparty przemocą, upada? Dajcie więc pokój tym ludziom! Nie następujcie na nich i wy jeszcze, — mają oni już dosyć przeciwko sobie! A wamby raczej klęknąć a westchnąć za nimi, aby ich Pan Bóg znowu jako zapomógł.

— Jać tam nie następuje na nikogo — rzekł na to Barnaba — ale też i wiedzieć nie chcę o niczem. A co mi tam do tego? Niech się tam biją, albo niech się zgodą położyć, to mnie na jedno!

— Ej! — zawołał wreszcie Wojtek z niechęcią — już też tak powiadacie, że i słuchać nie można. I kawał drzewa albo i kamień, żeby miał mowę, takżebym inaczej nie gadał. A przecież wy jesteście człowiekiem!

To rzekłszy, wstał z ławy i odszedł w inną stronę

światlicy, aby już przerwać tę rozmowę nareszcie, która mu niewymowną sprawiała przykrość.

Wszakże w tej chwili dał się słyszeć ruch jakiś w sieni i macanie koło drzwi, a niebawem też drzwi się pomału otwały i wszedł przez nie ten sam podróżny, któregośmy dopiero widzieli żegnającego się z zamkiem.

Zjawienie się jego w tej chacie, o takiej porze i w sposób taki eichy i prawie pokorny, sprawiło na obydwóch rozmawiających osobliwsze wrażenie.

Młody Wojciech, poznawszy go na pierwszy rzut oka, załamał ręce i zawołał więcej ze zadziwieniem, niżeli z radością:

— Chryste Panie! toż to nasz pan podstolic!

Ale stary Barnaba tylko krzyż zrobił na piersiach i cofnął się o dwa kroki, sam dobrze nie wiedząc, czy ma się kłaniać, czy już się może teraz bez pokłonu obejdzie?

Tymczasem zaś Bierzyński zbliżył się do nich i rzekł:

— Jak się macie moi kochani?

— Ot! jak się mamy — rzekł na to Wojciech — jak to my zawsze! I co tam na nas zależy! Ale żeś to jegomość zdrów i swobodny, to już wielka łaska od Boga. A myśmy tu już jegomości oplakali po tysiąc razy, bo nam powiadano napewno, że jegomość w niewoli i już nigdy z niej nie powróci... Ale przecie to jakoś!... Niechże Bóg będzie pochwalony na wieki!

A kiedy to mówił wesołym głosem młodzieniec, jego ojciec się jakoś dziwnie zachmurzył i odsunął się na bok, stojąc pod ścianą tuż przy kominie. Bierzyński zaś, nie odpowiadając nic Wojciechowi, siadł naprzeciw komina, rzucił czapkę na przypiecek, a z jego piersi tak głębokie wydarło się westchnienie, że żal było patrzeć na niego w tej chwili. — Obrócił się wszakże wnet do Barnaby, patrzal na niego przez oka mgnienie, a potem rzekł:

— No i cóż, mój Barnabo! cóż tu słyszać w Gozdawce?

— A cóżby słyszać! — odpowiedział starzec pochmurno — od owej wojny, która nas wyniszczyła do szczytu,

już tu u nas jak w grobie. Już to nie wiem, mój panie kochany, już to jest cmentarz.

Bierzyński milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Przecież wsi samej, o ilem słyszał, nie się nie stało; dwór tylko spłonął, dworskie budynki i dworskie także dobytki. Nie wiem więc, na co się skarżysz tak bardzo?

— Ja się tam panie nie skarżę. Nic mi tam teraz do tego...

Bierzyński patrzył na niego z uwagą.

— Proszę cię — spytał po chwili — powiedzże mi, co się tam dzieje we dworze? Czy wszystko wygorzało do szczytu?

— Do szczytu panie — mówił zimno Barnaba — ani jeden węgiel nie został.

— I co się tam dzieje teraz?

— A cóżby się działo? pustka, pogorzelisko i koniec. A zresztą i nie wiem dobrze, bo jużem dawno tam nie był...

— A to źle, mój kochany! — rzekł na to podstolic — ja się spodziewałem, że przecież nie opuścisz tych sierot, które nieboszczka pani zostawiła po sobie.

— A coż, mój panie! Jegomość mnie ze służby odprawił, w ostatnich latach pani mnie nie używała do niczego, już tam obcy w tym dworze! Nie było też tam i komu radzić i dbać o kogo. Budynki się wypaliły, inwentarze porabowano, zboże wytrącono na pniu, ludzi jednych wybito, drudzy pouciekali: a coż tam robić?

— Jakże? to już i mego Pawelka tam niema? — spytał smutno Bierzyński.

— Gdzieś ta jest pono...

— A koń mój żyje?

— Już ja tam nie wiem, mój panie! ale są tam pono i jakieś koniska...

Bierzyński znowu patrzył na Barnabę przez chwilę, a potem wstał trochę raźniej, obrócił się do niego i tak mówił:

— Zestarzałeś się już jak widzę, mój Barnabo na piękne! Wszystko ci już zobojętniało i nie cię już nie obcho-

dzi. Ha! taka to kolej człowieka na ziemi!... Trudnoż się temu sprzeciwiać. Nie będę więc już i ja mącił twego spokoju i nie chcę cię do żadnej nowej pracy zaprzęgać. Ale mam jeszcze jedną prośbę do ciebie — a o to musisz mi zrobić. Oto pójdziesz mi na wieś... Dziś jest niedziela, zastaniesz wszystkich gospodarzy w gospodzie. Pójdziesz mi więc do nich, pogadasz z nimi tak jak to wiesz, po twojemu — a na jutro wybierzesz mi z każdej chaty po jednym żwawym parobku, a gdzieby można, to i po dwóch. Każdy ma się tak stawić, jak na pospolite ruszenie: z koniem, z ubraniem i z bronią, jaką ma na doręczu. Który się tak postawi, temu koszt zaraz powrócę, a który przyjdzie z gołymi rękami, tego już ja sam jakoś uzbroję. Proszę cię, idźże zaraz i zrób mi to tak, jak to umiesz, raźnie, pięknie z szczerego serca, a bez hałasu. No coż?

Ale Barnaba cofnął się tylko jeszcze o jeden krok dalej od niego i rzekł:

— Już ja ta panie tego nie zrobię.

Na tę odpowiedź Bierzyński jakoś dziwnie się zmieształ. Widać było po nim, że nigdy a nigdy nie spodziewał się tego oporu. W pierwszym momencie sam nie wiedział, co mówić, ale tymczasem Wojtek zawołał prędko do ojca:

— Ej! coż tam znowu gadacie, ojcze! Weźcieno prędko sukmanę na siebie, pójdę ja z wami i posłuchamy pana, jak trzeba.

Ale Barnaba zawołał na to tylko z tym większym gniewem do syna:

— Idźno, idź! a nie mieszaj się w rzeczy, które się ciebie nie patrzą. Trza mi też palce między drzwi wkładać, a nie wiem za co!

— Ale stary! — zawołał na to Bierzyński, podnosząc obiedwie ręce do góry — miejże też rozum! Alboż ty wiesz, na co mi parobcy potrzebni? Mnie oni potrzebni ku obronie mojego dworu! A zresztą, gdyby i do czego innego, to czyż ty jesteś za co odpowiedzialnym? Ty robisz to, co ja ci każę, a ja odpowiadam za wszystko...

— Już ja ta nie chcę odpowiedzialności niczyjej! —



rzekł cofając się jeszcze dalej nieubłagany starzec — już ja ta wiem, jak to się dzieje. Dzisiaj nie, bo dziś cicho, ale przyjdą jutro i uczynią to z moją zagrodą, co się stało ze dworem. — A na co mi tego? albo ja głupi!

— Ot! mielibyście też o co dbać — zawołał na to, inaczej wcale widzący te rzeczy Wojtek — ta o tę głupią chałupę! Już też na niej świat stoi! Spalą ją, to pal ją kat! postawi się druga — a tu o ważniejszą rzecz chodzi, niżeli te wszystkie wasze chałupy!

— Już ta u ciebie nie i chałupa! — odpowiedział mu, hamując się w gniewie Barnaba — będziesz ją sobie palił, ale aż będzie twoja! A ja nie chcę się walać po cudzych kątach; nieprzymierzając... bom też i nie głupi!

Tu umilkł i odszedłszy w najodleglejszy kąt chaty, tam siadł na ławie.

Widząc to Wojciech, stał przez chwilę w milczeniu i to na ojca, to na Bierzyńskiego spoglądał. Bierzyński był dziwnie gorzki w tej chwili, zdawało się, jakby się cała żółć w nim rozlała i odbiła na twarzy. Do niego więc przystąpił i rzekł:

— Ej! nie frasujcie się tem, mój panie! — Niech sobie ta ojciec robią co chcą, już ja was pewno nie opuszczę w nieszczęściu. Chodźcie, ja idę z wami.

Ale Bierzyński był jakby struty i to go wcale nie otoczyło. Siadł bezwładnie na ławie, chwycił się ręką za czoło i rzekł:

— Sto dwadzieścia osady — i jeden tylko!... a od czegoś was nosi ta ziemia?

— Ej! dajcie po kój, mój panie! — rzekł na to Wojtek, trzymając już czapkę w ręku — niema się tu co dziwić. Człowiek nie będzie człowiekiem, aż póki go nie zrobią ludzie. A kiedy wam pilno, to nie traćcie czasu na próżno, bo nie się samo nie robi. Jest teraz jeden, będzie może i więcej, jeno się zabierzmy a idźmy.

— Ha! to i chodźmy! Bóg ci to nagrodzi — odpowiedział na to smutno Bierzyński, włożył czapkę na głowę i puścił się ku drzwiom.

— Bywajcie zdrowi, ojczu! — rzekł jeszcze Wojtek, obracając się do Barnaby.

— Idź! idź!... — zawołał do niego Barnaba, zrywając się z ławy i zaciskając zęby od gniewu — ale ci mówię, żebyś tutaj nie wracał, bo cię wypchnę z chałupy. Proszę Boga, żebyś tam jeno nóg nie potracił i miał potem na czem chodzić po żebrach!

Ale pewny swoich przekonań młodzieniec, wcale się tem nie sfrasował i odpowiedział mu prawie wesoło:

— Ej! dajcie ta pokój tatuniu! Bo i ja z łaską Bożą cały powrócę, i wy mnie znowu do chaty przyjmiecie, i jeszcze mnie pochwalicie; jeno sobie to rozmyślcie, jak trzeba...

Barnaba chciał jeszcze i na to coś odpowiedzieć, — ale ich już nie było w świetlicy.

Kiedy wyszli w dziedziniec, Wojtek podał rękę swemu nowemu panu i rzekł:

— Dajcież mi rękę mój panie, bo tu ciemno w dziedzińcu choć oko wykol, tobyście nie trafili.

A potem, pełen serdecznej pociechy ze swego czynu, a może jeszcze więcej z tego przypadku, który mu podał sposobność posłużenia wedle swej chęci krajowi, w całej swej naiwności młodzieńczej, tak mówił:

— A nie frasujcież się tem już, mój panie, tak bardzo, żeście mojego ojca zastali tak nieużyty. Bardzo to jest pocziwe człeczysko, ale z tem chłopsstwem, to trudno. O jakiejbądź sprawie z nim gadaj, co nie wychodzi za jego wieś, to już jak groch o ścianę. Aleć to niema się temu co dziwić. Bo to siedzi na swoim zagonie, jako wilk w jamie, i nawet nie wie o Bożym świetle. Żeby to umiało czytać na książce, toby się może rozciekawilo do czego, a z czasemby też nabrało rozumu. Ale dopóki tak, to nie. A może też ojciec dlatego tak zatwardział dla was na sercu, że to tu wieś jest, jakoby jegomość zdradził. Już to mówiąc po prawdzie, żebym ja wiedział, że to tak jest, to i jabym się jegomości nie tykał. Aleć to tak nie może być. Bo jako widzę, dziwnie to chudo jest koło jegomości i jegomość sam jeździsz, jak palec — a już to tak nie

wyglądałby ten, któryby zdradził. A więc tak myślę, że to jeno nieszczęście jegomości spotkało, jako też i innych nachodziło w tej sprawie. Miał też i pan Dzierżanowski piękną garstkę żołnierza, kiedyś był podszedł pod jego chorągiew w Wieliczce...

— To Dzierżanowski siedzi w Wieliczce? — spytał, budząc się z zamyślenia Bierzyński.

— O! już nie siedzi. Bo jakeśmy tylko wyszli stamtąd, a przyszło do sprawy z nieprzyjacielem, zaraz nas roztrzęsiono.

— Gdzież tedy teraz jest Dzierżanowski?

— Już to Bóg tylko wie, bo jak tam prysnął, tak i nie wiedzieć gdzie. Powiadano, że tylko samoczwart się z ognia wydobył, chociaż cudnie się bił. Ale kiedy się tylko wydobył, to on znowu wyrośnie, tak jak i jegomość wyrośniesz przy łasce Boskiej. Bo też to i nie sztuka; byle głowa po temu, toć ludzi świat! A ja już się jegomości nie puszcę i może także coś zdradzę. Żeby się tak to zrobiło, jaka u mnie jest wola, to już ja wiem, jakby to było! Bo to powiem jegomości, że mi okrutnie serce się rwie do tej służby. Nie będę ja żołnierzem na wieki, dogodzę ja kiedyś i ojcu i taki przecie zostanę księdzem; aleć to trudno tak zaraz z młodu do brewiarza zasiadać. Posłuży się Panu Bogu i kościołowi, a przy kościele i ludziom; ale póki niespokój w sereu, nie brać się jeszcze do tego. Coby to był za ksiądz, któryby przy ołtarzu nastawiał ucha, a za gdzie nie strzelają? Ale to ojciec nie chce tego zrozumieć...

Z temi słowami doszli nareszcie do bramy i zaczęli wołać na czekającego woźnicę, aby podjechał z wózkiem.

## IX.

Przejdźmyż teraz z kolei do Gozdawskiego dworu.

Co się tu stało od tego czasu, jakeśmy tutaj nie byli, nie potrzebujemy już opowiadać obszernie. Wszakże te smutne wypadki wykryły nam się mimochodem przy in-

nych. To tylko chyba wypada nam powiedzieć wyraźnie, że Bierzyński w swych gorączkowych widzeniach wyobrażał sobie śmierć swojej matki prawie tak samo, jaką była w istocie. Pani podstolina nowogrodzka umarła wprost wskutek pożaru...

Nie opowiadają owoczesne podania dokładnie, jak się to stało, — z niektórych jednak wzmianek ubocznych można się z pewnem podobieństwem do prawdy domyślać, iż kiedy rozwścieklone żołnierstwo wpadło w dworskie obejście i jednocześnie zaczęły gorzeć wszystkie budynki, ona wybiegła w dziedziniec, podobno już tylko na to, aby choć własne ratować życie. Ale na uciekającą pomiędzy gorejące stodoły, upadła głównia płonąca i raniła ją w głowę śmiertelnie. Tak ranną i leżącą bez przytomności na ziemi znaleźli słudzy domowi i wynieśli do ogrodowej altany, która na wysypanej mogile stała opodal od dworu. Niebawem znalazła się tam i panna Jukunda, która z wężelkiem swoich kilku uratowanych sukienek i klejnocików biegła samopas w ogród. Za jej pomocą i przewodnictwem powrócono jeszcze podstolinę do przytomności, ale już tylko na to, aby się okazała w skonaniu, jaką była przez całe życie. Umierała ta zacna matrona prawie jak święta. Bez szemrania i żalu ofiarowała Bogu stratę całej swojej fortuny i wszystkich tak mozolnie uzbieranych zasobów, ofiarowała rany swoje i cierpienia przedśmiertne, ofiarowała życie samo bez żalu: a za to wszystko prosiła tylko o łaskę i błogosławieństwo dla syna. Imię jego, kończące tę serdeczną modlitwę, było jej ostatniem słowem na ziemi...

Nazajutrz rano przyszedł pleban miejscowy i odprawił jej pogrzeb, razem z kilkunastą sług dworskich, którzy poginęli podczas wczorajszego napadu.

Panna Jukunda, ledwie przytomna od niespodziewanych strat tyłu i tyłu bólów, odprowadziła jej zwłoki do grobu, — miała jeszcze sił tyle, że zaszła pieszo na cmentarz i miała siłę, wrócić nazad do dworu, — ale tu już zwiędła zupełnie, tak ją zmęczyły cierpienia, tak jej serce omdlało na widok jej terazniejszego sieroctwa!



I było to położenie rozpaczliwe istotnie. Z całego dworu pozostały tylko stopy niedopalonych belek i zgłiszczów, — naokoło szumiała jeszcze zawzięta wojna z całym swym korowodem mordów, napadów i rzezi, — a wśród tej wojny, w tej wygorzałej pustyni, została się ona dziś sama jedna, sama jedna tu i sama jedna nawet na całym świecie! I nie tylko nie miała oprzeć się o kogo na przyszłość, ale dziś nawet nie miała gdzie schronić swojej strudzonej głowy i łyżki strawy nie miała, aby nią głód dzisiejszy odpędzić...

Ale na szczęście swoje była ona tak utrudzona, tak zważona w tej chwili, że nawet nie była w stanie objąć tego wszystkiego myślą. Ona czuła boleść tak wielką w swem sercu, że krom niej nie widziała innego. Jakis kącik cichutki, gdzieby się mogła położyć i zasnąć, to było wszystko, czego pragnęła w tej chwili. Myślała może w swojej krwawej rozpacz, że kiedy zaśnie, to się już nie obudzi, — ot! i będzie koniec wszystkiemu. Są zresztą chwile w tem życiu, nawet i dla nas silniejszych, w których jesteśmy tak umęczeni, że cały świat byśmy oddali za jeden moment spoczynku. Choćby już nie wstać, chociażby w grobie, byle tylko odpocząć! — Tak myślała także panna Jukunda i zebrawszy resztki sił swoich, zawlokła się jakoś do owej ogrodowej altany i tam się na spoczynek układła.

Nazajutrz rano miała wstać i pomyśleć, co by tu począć ze sobą. Byłyby to były zapewne bardzo smutne myśli dla tej biednej dziewczyny, bo lubo już oddawna sierota i dotychczas uboga, była ona jednak urodzona w domu zamożnym i jakoś tak jej się wiodło szczęśliwie, że nie potrzebowała nigdy myśleć o sobie. Jednakże Pan Bóg nie zapomniał i teraz sieroty. Jeszcze się bowiem nie obudziła ze snu, kiedy się przy niej zjawiała zacna i zaradna kobieta, która przybiegła ku niej z pomocą. Była to stara nieboszczki podstoliniej klucznica. Znalazła ona dla siebie schronienie w jakiejś chacie wieśniaczej, lecz zbudziwszy się raniej, za pierwszą rzecz sobie miała, pannę

Jukundę odszukać. Odszukała ją wreszcie w altanie i już jej nie odstąpiła.

Długo się naradzały ze sobą te obiedwie rozbitki, gdzieby się miały choć do jakiegoś czasu uchować, bo położenie ich było istotnie trudne. O gościnę w którymkolwiek domu szlacheckim w sąsiedztwie nie należało im wprawdzie rozpaczać: ale jakże się dostać do którego z tych domów, kiedy po wszystkich drogach włóczyło się ciągle rozpasane żołdactwo, uganiało się za konfederatami po wsiach, folwarkach i miastach, a nawet ciągle jeszcze staczano i tu i owdzie potyczki? A gdyby się nawet i puścić do którego z tych domów, to gdzież jest pewność, że się tam nie stało to samo, co uczyniono w Gozdawce? A co począć natenczas? — Tak tedy radząc, postanowiły obiedwie sieroty, że już lepiej tutaj pozostać. Otuliły się więc w owej altanie jak mogły, urządziły sobie jakąś kuchenkę i żywiąc się to ogrodowinami, ocalonemi ze zniszczenia, to pomocą z chatek sąsiednich, czekały cierpliwie uspokojenia się okolicy, a z niem i jakiegoś lepszego ratunku.

Wszakże niebawem, ba zaraz dnia następnego, zjawił się przy nich Pawełek z koniem swojego pana. Doświadczniejszy od nich w takich zdarzeniach i więcej przedsiębiorczy niż one, pochwalił on im bardzo, że nie opuściły swojego dworu i nie puściły się na niepewną tułaczkę i wniósł natychmiast projekt, aby z pozostałych belek i ścian ocalałych jakiś domek zbudować. Podług jego zdania, nie było to nawet tak trudno, bo chociaż wszystko troje razem nie mieli biedni ani jednego szeląga, jednak dworowi należała się od gromady pańszczyzna, — a chociaż w tym dworze nie było teraz ani pana, ani żadnych umocnionych do gospodarstwa oficyalistów, to przecież panna Jukunda mogła doskonale reprezentować panią, a on sam czuł się jak najzupełniej zdolnym na ekonomą. Nie czekając zresztą potwierdzenia swojego wniosku, zabrał się zaraz do wykonania, a uzbroiwszy się w pogrzebanej już dzisiaj pamięci ekonomskie berło, poszedł natychmiast na wieś, aby się jak najprędzej w swojej nowej roli przedstawił gromadzie. I musiał on nie źle tą nową rolę zrozu-



mieć, bo jeszcze dnia tego samego, przed wszystkim innem, naznoszono tyle kur, gęsi, kapłonów do dworu, że dziedziniec pogorzeliska wyglądał jakby rynek targowy. Nie zapomniał on także o krupach, mąkach, omastach, a nawet o gorzałce i piwie, czego wszystkiego, nie wchodząc w to wcale, czy się to należało, czy nie, musiała gromada wraz z propinatorem dostarczyć. Tak ułatwiwszy sobie najpierwej największą trudność, bo trudność istnienia, wziął się nazajutrz istotnie do budowania; ażeby zaś z swojej roli ani na chwilę nie wypadł, naznaczył sam plan budowli, wedle którego na miejscu dawnego dworu miał stanąć budynek taki, w którymby się po jednej stronie znajdował pokój i kuchnia dla panny Jukundy, a po drugiej stajnia dla Ordynata i komórka dla niego.

Czyby i takie skromne schronienie zostało zbudowanem, trudno to zgadnąć, bo zdesperowany za swoim panem Pawełek, zaczął zaraz w dniach pierwszych tak sowiec zalewać swoje frasunki, że rzadko kiedy był sobie przytomny. Utopiwszy zaś swoje boleści w kubku, siadał na starych węglach i płakał, a tymczasem robotnicy opuszczali ręce i budynek wcale nie postępował. Panna Jukunda miała tedy z Pawełka tylko tyle pożytku, że była zabezpieczoną od głodu...

Wszakże natenczas zjawił się przy niej inny zupełnie zbawca, który tak dla niej jak i dla całej po podstolinie pozostałej fortuny, mógł wiele uczynić, a tym był dawny regimentarz Józefa, najzaciejszy pan Albin.

Pan Albin od tego czasu jakeśmy go po raz ostatni widzieli, przeszedł także nie mało zmartwień i bólów, które nas za nadto blisko obchodzą, abyśmy ich nie mieli z nim choć w małej cząstce podzielić. Owóż tedy pan Albin, który strzegąc czystości swego imienia, musiał jej nareszcie nawet najtkliwszą przyjaźń poświęcić, opuściwszy obóz nad Wartą, nie myślał ani chwili spoczywać. Mając wszakże swoją starą służbę rozpoczynać na nowo, znalazł on się w położeniu nie łatwem, bo jeżeli gdzie, to przede wszystkim w takiej nieregularnej, rozerwanej i słabemi siłami prowadzonej wojnie cały los żołnierza zależy od

tego, pod jaką należy komendę. A wybór tutaj, zwłaszcza dla kogoś takiego, który już służył w randze regimentarza, był nader trudny. Lenartowicz wahał się przez dzień cały, gdzieby się miał obrócić. Do takich wodzów jakimi byli: Morawski, Gogolewski, Maleczewski, że już nie nie powiemy o jeszcze mniejszych, chociaż byli to ludzie waleczni i nieskalanych dążeń, nie mógł on iść na żaden sposób: byli to bowiem naczelnicy nader małych oddziałów, przy których regimentarz konfederacyi Sieradzkiej nie mógł znaleźć odpowiedniego miejsca — a do tego jeszcze była to wszystko tylko waleczna szlachta, ale nie doświadczeni żołnierze, a dawny żołnierz chorągwi pancernej nie mógł wierzyć jak tylko w żołnierza. Do Kazimierza Pułaskiego bardzo ciągnęło go serce.

Pod komendą młodego Kazimierza byłby on walczył w jakiej bądź randze i byłby służył tam także z marszałkiem Sawą — ale ci obadwa znajdowali się wtedy gdzieś w górach, o mil kilkadziesiąt, i dobrać się do nich w całości, a zresztą nawet zastać ich jeszcze na miejscu, było prawie niepodobieństwem. Ze wszystkich tedy wodzów konfederackich został mu tylko jeden Zaremba, pod którego komendą służba mogłaby mu być odpowiednią, łatwo dostępną, a nareszcie może i znośną.

Ale Lenartowicz nie z chęcią szedł do Zaremby.

Zaremba bowiem, jak to już wiemy, był żołnierz wprawny i umiejętny, ale był zimny, gładkich form wprawdzie, jednak dlatego tylko tem więcej sztynny. Zaremba zresztą był to jeden z tych rzadkich jeszcze naówczas ludzi, którzy nigdy nie przedsięwzięją żadnego czynu, coby był tylko dobrym, pięknym, szlachetnym, lecz pragną zawsze, aby był także i pożytecznym. Zaremba, wzięwszy się raz do wojny, mógł ją prowadzić bardzo porządnie, umiejętniej daleko niż inni i niezawodnie skuteczniej; Zaremba mógł się podnieść do znacznej siły, najwspanialsze odnosić zwycięstwa i stać się najgroźniejszym ze wszystkich: Zaremba mógł przy szczęśliwych okolicznościach stać się nawet panem całego kraju i zawrzeć z królem bardzo korzystną dla narodu umowę — ale rozgorzeć niegaszonym płó-



mieniem czystej miłości i rzucić się na ołtarz całopalenia dla sławy narodu, tak jak Pułasey, bić się z miłości lub nienawiści, z pogardy albo rozpacz, i bić się do ostatniej krwi kropli, do ostatniego w piersi oddechu, tak jak wówczas mniej więcej bili się wszyscy — na to niestało było Zarembę. Taka była o nim opinia — która zresztą, mówiąc nawiasem, potwierdziła się potem zupełnie.

Lenartowicz wiedział o tej opinii, a wierząc jej, nie szedł z chęcią do niego. Ale poszedł, bo musiał. Został on go jeszcze siedzącego spokojnie w swoim majątku Kisielach. Zaremba miał już wtedy wszystko przygotowane do wystąpienia, miał już nawet nominację generalności; ale się jeszcze namyślał. Dał on był przedtem rewers na siebie w Warszawie, że do żadnej konfederacji przeciw królowi należeć nie będzie, i to go może przytrzymywało; chciał on zresztą wystąpić odpowiednio swojej ambicji, temu wystąpieniu stał oczywiście na przeszkodzie Bierzyński, który ze znacznymi siłami leżał nad Wartą, a to go powstrzymywało jeszcze tem więcej. Kiedy Lenartowicz przyszedł do niego, jego fantazyja trochę się rozegrzała, bo Lenartowicz był już znanym powszechnie jako młodzieniec prawy i jako żołnierz waleczny, i każdyby go był rad mieć przy sobie. Rozegrzany przez Albina, zaczął on nawet działać troszeczkę, bo zaraz nazajutrz uderzył na swawolących żołnierzy w Rozprze, miasteczku także należącym do niego — lecz poskromiwszy hultajów, znowu się cofnął do Kisiel i nie zdradziwszy się nieczem, jakoby miał zamiary konfederackie, znowu siadł cicho. Tego wahania się i takiej ostrożności, Lenartowicz, który już od pięciu kwartałów bił się otwarcie, nie mógł zrazu zrozumieć — ale niebawem cała tajemnica mu się wykryła. Zaremba bowiem, wnosząc bardzo logicznie, że Lenartowicz, kiedy Bierzyńskiego porzucił, to musiał z nim się pokłócić, a więc jest mu oczywiście nieprzyjacielem, przyznał mu się otwarcie, że nie tylko nie wystąpi dopóty, dopóki Bierzyński w jakibądź sposób z horyzontu województwa sieradzkiego nie zniknie; ale nawet, że wyprawił swoich agentów w Sieradzkę, aby go tam po wszel-

kiej formie obrano marszałkiem. — Wniosek ten był bardzo logiczny — ale się na nim omylił Zaremba. Lenartowicz bowiem opuścił wprawdzie Bierzyńskiego, ale ani się z nim nie pokłócił, ani przestał mu być przyjacielem. On tylko się zachwiał w zaufaniu do niego, on nie chciał przy nim swojej dobrej sławy na szwank narażać, on go wreszcie porzucił dla tego, że jego stosunek z nim teraz stał się dla Bierzyńskiego bezużytecznym, a dla niego samego nieznośnym: ale pomimo to wszystko zachował on całe serce dla niego i niczego tak gorąco nie pragnął, jak jego powodzenia i szczęścia.

Pocciwy Albin znajdował się tu w tem położeniu, w jakim czasem znajduje się ojciec, który swawolnego ma syna: gani on go sam, nieraz ostro strofuje, a czasem może nim nawet pogardzić; ale pomimo to, zawszeby stanął w jego obronie, kiedyby go obwiniał kto inny. Więcej jak przyjacielskie, ojcowskie prawie uczucia dla Bierzyńskiego miał Lenartowicz. W takim tedy usposobieniu jak tylko dowiedział się o tem, że Zaremba usiłuje doprowadzić do skutku obiór na marszałka w Sieradzkim dla siebie — stąd oczywiście musiałyby wynikać zaprzanie się Bierzyńskiego, który był takim marszałkiem dotychczas — opuścił on natychmiast Zarembę i pobił w Sieradzkę. Tam, jak to już wiemy z opowiadania bydgoskiego starosty, na zjeździe u Szadkowskiego stolnika, (który ówczesne pisma nazywają zjazdem Sieradzkim), skłócił się ze stolnikiem, najnieprzyjaźniej przeciwko Bierzyńskiemu występującym, skłócił się ze wszystkimi, a oświadczywszy, że Bierzyńskiego bronić będzie ze wszystkich sił swoich, posiedzenie opuścił. Na tem posiedzeniu napisano nie tylko akt oskarżenia przeciwko Bierzyńskiemu, ale zarazem akt zawiązania nowej konfederacji sieradzkiej, pod regimentarstwem nieprzytomnego na tym zjeździe Zaremby. Nominacja Zaremby regimentarzem a nie marszałkiem, była tu oczywiście względem, okazanym jeszcze dla Bierzyńskiego — ale pomimo to Lenartowicz nie wahał się ani chwili, aby napisać manifest przeciw temu obiorowi i przeciwko tej całej konfederacji, z którym to manifestem natychmiast do



Sieradza pojechał i tam wedle ówczesnego zwyczaju „osi-  
biście stanąwszy w grodzie“, dał go zaciągnąć do aktów.  
Obadwa te manifesty leżą dzisiaj przed nami — a lubo  
pierwszy z nich jest dokumentem bardzo zwyczajnym, po  
tysiąc razy powtarzającym się podczas konfederacyi —  
z drugiego jednak widzimy aż nadto jawnie, do jakiego  
stopnia żarliwości posunął był w owej chwili swoją przy-  
jaźń dla Bierzyńskiego poczciwy Albin: nie tylko bowiem  
nie waha on się stanąć otwarcie w jego obronie, ale się  
przeciw jego nieprzyjaciółom tak niepowściągliwie oburza,  
iż nazywa wyraźnie „kakolem“ tak samego Zarembe, jak  
wszystkich sprawców tego nowego obioru, nie wyjmując  
nawet i Gałęckiego, który może nie tak gorąco za Bie-  
rzyńskim obstawał, jak to sam o sobie powiadał, ale pe-  
wnie był najmniej winnym ze wszystkich.

Czyn ten Lenartowicza, był oczywiście dziwnie nie-  
zgodnym z jego dawniejszym względem Bierzyńskiego po-  
stępkiem: bo albo go było nie porzucać, albo teraz nie  
bronić. Jednakże u człowieka tak ciepłego i szlachetnego  
serca było to zdarzenie dość naturalnem: tam w bezczyn-  
ności miał czas do zastanowienia się i poszedł za głosem  
rozsądku — tu zaś w pośpiechu i pod naciskiem wypad-  
ków dał się unieść swojemu sercu. Wszakże dopełniwszy  
tego czynu i zastanowiwszy się nad nim cokolwiek chłod-  
niej, obaczył on zaraz tę sprzeczność. Nie wiele też czasu  
trzeba mu było na to, ażeby uznać, że na tem nie można  
zakończyć. Jakoż postanowił natychmiast, pobiedz bez  
zwłoki do Bierzyńskiego i znowu z nim się połączyć. Co-  
kolwiekby się stało, manifest taki trzeba było czynem  
potwierdzić, a choćby przyszło ową chwilę szlachetnego  
zapalu opłacić śmiercią, to i przed nią nie można było  
się wzdrygać, boć i śmierć jeszcze lepsza, niżeli współni-  
ctwo w hańbie...

Tak myślał zaorny pan Albin i palający żądzą jak naj-  
prędszego połączenia się z przyjacielem, zdecydowany na  
to, żeby wszystko poświęcić, ażeby go do bezzwłocznej  
pobudzić czynności, wiedzący najmocniej, że w teraźniej-  
szych okolicznościach musi się to stać nieuchybnie —

wsiadł na koń w Sieradzu i biegł z największym pośpie-  
chem do obozu swego marszałka.

Ale pomimo jego pośpiechu — było już teraz za  
późno.

Nie był on bowiem jeszcze ani w połowie drogi, kiedy  
już się dowiedział, że Bierzyński przegrał bitwę fatalną  
i dostał się do niewoli.

Jakie ten wypadek sprawił na młodym regimentarzu  
wrażenie, można sobie wyobrazić z łatwością. Gdyby był  
w jego oczach cały świat spłonął, gdyby się była ziemia  
pod jego koniem rozwarła, byłoby go to mniej zadziwiło  
i mniej zabolalo. Ale Bierzyńskiego upadek, i to upadek  
tak nagły, dorazowy, zupełny, był nad jego pojęcie i był  
nawet nad jego sily... Przepełniony niezmierną boleścią,  
zawrócił z drogi i zajeżdżawszy do wioski ojca, która na  
drodze do Sieradza wiodącej, leżała o parę mil od Go-  
zdawki, tam osiadł tymczasem, aby swoje cierpienia prze-  
boleć.

Ale nie były to cierpienia tego rodzaju, któreby się  
dały przeboleć tak łatwo. Nie dojmowało go tu bowiem  
to tylko, że tyle klęsk poniosła jego ziemia rodzinna, że  
tyle wojska utraciła konfederacya, że Bierzyński padł pod  
ciosiem tak ciężkim, że on nareszcie właśnie w tej chwili  
ów manifest ogłosił — ale do tego wszystkiego dołączyło  
się jeszcze dziwnie gorzkie rozczerzowanie...

Takiemu rozczerzowaniu ulegali kolejną prawie wszyscy  
konfederaci. Wybrani trwali tylko bez przerwy od po-  
czątku do końca. Inni, przy tej albo owej okoliczności,  
upadali na siłach i zwracali do domów, aby choć na  
chwilę odpocząć. I niema to być dziwno nikomu! W ta-  
kiej ogniowej próbie, na jaką oni się wystawili, mogły  
mięknąć z łatwością nawet i spiżowe posagi! — Lenarto-  
wicz osłabł na chwilę... Nie zwątpił, nie zaparł się, nie  
zamierzył całkiem się cofnąć od dalszej służby, ale uczuł  
potrzebę spoczynku...

Tak siedząc w wiosce ojcowskiej, zastanawiał on się  
najwięcej nad przyczynami Bierzyńskiego upadku. Nie do-  
szedł on tu niczego, tak jak nikt wtedy dojść tego nie



mógł — ale to go zaprowadziło na miejsce pobojuwiska.. Wracając stamtąd, zatrzymał się przy bramie Gozdawskiego dworu. Widząc te smutne zgłiszcza, a na nich stosy gruzów i węgli, serce jego napawało się żalem za tą pobożną matroną, która tutaj zginęła śmiercią niewinną, za tylu ludzi, którzy się tu pokładli, za dostatkami wreszcie, które się stały pastwą pożaru i gwałtu, a które zawierały w sobie tyle lat pracy i oszczędności — ale przy tej żalobie zdjęła go także ciekawość, co też tu dzisiaj się dzieje? Jakkolwiekbaż, jego przyjaciel mógł się kiedyś z niewoli wydobyć, a wtedy do czegoż wróci?

Ta myśl zaprowadziła go nareszcie do dworu, gdzie zastał właśnie pannę Jukundę, starą klucznicę i pijanego Pawełka krzątających się około odbudowania jakiegoś domku na zimę. Widok tej biednej sieroty, nie umiejącej sobie dać rady w niczem, widok tej nędzy, jaka tu panowała, a wreszcie myśl ta, że Bierzyński może nawet niebawem powrócić, skłoniła go bez długiego namysłu do tego, że postanowił zająć się gospodarstwem w Gozdawce i tak w domu jak polu przynajmniej choć fundamenty założył do dalszego istnienia.

Odtąd pan Albin był codziennym gościem w Gozdawce. Postawiwszy od dwóch tygodni założone przez Pawełka domostwo, zaczął budować inne, a tymczasem zbierał porożchwytywane podczas pożaru narzędzia i inwentarze, robił ożime zasiewy, zaopatrywał spiżarnię i zgromadził zresztą jaknajskrzętniej to wszystko, co do gospodarstwa wiejskiego potrzebne. Pod jego zarządem zaraz to wszystko poszło inaczej: mająca czem się zająć klucznica, pracowała od świtu do nocy, wzięty w ryzy Pawelek przestał topić swoje frasunki w kubku i kiedy się podjął roli ekonoma, musiał ją wypełniać rzetelnie, a przy nich nawet i panna Jukunda, chociaż tak niezaradna we wszystkim, zakasała z chęcią rękawy, przypięła gospodarski fartuszek i wzięta się do zatrudnień około kuchni, spiżarni i stajni, nie wzdrygając się nawet przed najprostszą robotą. Przy takich ustawicznych zajęciach około roli i domu i przy takich pocziwych współpracownikach, rozbolałemu Albinowi zrobiło

się jakoś łżej trochę na sercu. Nie przebolewał on przez to swych cierpień, nie przetrawił swoich goryczy, ale nie mając czasu wiele o nich rozmyślać, coraz więcej je w sobie zacierał. I byłby je może wreszcie i całkowicie zapomniał — bo praca około roli, zajęcie się temi wszystkimi drobnostkami, które stanowią wprost pierwsze potrzeby naszego życia, są podobno najwięcej odpowiednie naszej naturze. Zbliżenie się zresztą do ziemi, tej najczulszej matki i karmicielki, która jeszcze nigdy żadnego dziecka swego nie odrzuciła od siebie, zbliżenie się do niej, wejście z nią w bliższe stosunki, ustawiczna wymiana z nią myśli i uczuć, jest podobno najskuteczniejszem lekarstwem na wszystkie bóle i najcięższe nawet strapienia. Na jakiegokolwiek tam drodze spotkały kogo zawistne losy — czy pracujący na pocziw zaslugę odebrał w nagrodę tylko lodowate milczenie, czy sięgającego po wieńce sławy bezduszna zawiść zgmiotła i splugawiła — czy dobijający się zaszczytów, dóbr, znaczenia, władzy, został zepchnięty ze swojej drogi i odrzucony od szumiącego świata na zawsze, ta kochająca matka zawsze go jeszcze przyjmie na swoje łono, otuli, okryje i jeszcze tyle wdzięków i pociech przed nim rozwinie, że jeśli tylko nie sprzeciwi się temu jego własne sumienie, to owe straty, cierpienia, zawody, zginą jak sen po zbudzeniu i jak sen tylko pozostaną w pamięci. Tak uleczonemu z boleści, przeprowadzwszy w ciszy i szczęściu przez całe życie, jeszcze nawet przy śmierci pocieszy, otwierając taki sam grób dla niego, jak i dla tamtych, którzy go w osiągnięciu dóbr tego świata ubiegli szczęściem, mocą, podstępem, albo też złością. A chociaż na tamtych grobach staną może marmurowe grobowce, tu tylko drewniane krzyże, to ona i te jeszcze z sobą porówna za czasem, a nie zostawiając śladu, tak z tych, jak i z tamtych, sprawiedliwy sąd o nich zostawi Temu, który sam jest sumieniem świata.

Przy takiej tedy pełnej miłości matce i przy ludziach tak pracowitych, pocziwych i umiających się poświęcać dla cudzego nieszczęścia, byłby był Lenartowicz mógł z czasem przeboleć swoje cierpienia tak samo jak Annun-



cyata mogła znaleźć lekarstwo na nie w modlitwie — ale jak ona, tak i on także był niemal wszystkimi uczuciami swojemi związany z Bierzyńskim, a to nietylko rozrywało jego każde inne zajęcie, ale go nawet nabawiało dziwnej niespokojności. Po ogłoszeniu swojego manifestu był on nawet nietylko już sercem z nim powiązany, ale nawet i interesem, a to go niepokoiło jeszcze tem bardziej. Niespokojność ta zresztą musiała się ciągle jeszcze tylko powiększać, bo wszakże o Bierzyńskim coraz bardziej niepokojące rozchodziły się wieści. Na wieści te, które już znamy, rozmaicie zapatrywał się Albin. I tak, żeby Bierzyński zdradził umyślnie, nie mógł on żadną miarą wierzyć. Choć go sam i to pierwsi niż inni zaczął podejrzewać o małą wiarę, o chwiejność zasad, o niebezpieczne z Wesslem stosunki — czynu jednak samego nie mógł mu imputować. O naprowadzeniu przez niego nieprzyjaciół na Kraków, naturalnie ani mówić nie dał nikomu; potwarz tę mogła już tylko szatańska i żadnych granic nie znająca złośliwość wymyślić. Lenartowicz był gotów sprzeczać się o to do upadłego i nawet bić się. Tak trwał on stale przy swoim zdaniu i nie ustępował nikomu ani jednego kroku. Ale kiedy przyszła nareszcie wiadomość, że Bierzyński został oswobodzony z niewoli i nagrodzony dzierżawą Złotego Klucza — zastanowił się nad tem. Nie chciał on wprawdzie i temu uwierzyć — ale znał on Bierzyńskiego dziwne czasami serce, znał jego czułość na wygody i doczesne dostatki, znał wreszcie butność i zuchwalstwo jego rozumu — a to go bardzo zachwiała. Rozmyśliwszy sobie to wszystko, mówił tedy do panny Jukundy, jak miał zwyczaj mówić po prostu:

— Teraz już i ja nie wiem, co myśleć. Nie zdaje mi się, żeby to było, ale... i to być może nareszcie! Teraz więc tylko to mówię: że do dni kilku najdalej, albośmy tu powinni widzieć samego Józefa, albośmy powinni przynajmniej czytać jego manifest. Jeżeli się nie stanie ani to, ani owo, to już i trudna wątpić. Ale powiadam to waszmość pannie, że jeśli Józef tak sobie postąpił, to już ten

świat nie wart jest złamanego szeląga. Jużby tylko poszukać kapucynów a z nimi się zamknąć na zawsze...

Z niecierpliwością tedy największą czekał on albo manifestu, albo Józefa.

Ale mijały dni jeden za drugim napróżno...

Dzisiaj był to już wieczór. W małej drewnianej izdebce, zbudowanej wedle planu Pawełka, gorzał na kominie wesoły ogień — w oddalonym kącie siedziała nad pończochą sługa staruszka — a przed kominem siedział pan Albin z panną Jukundą.

Dawny regimentarz konfederacyi Sieradzkiej był dzisiaj jakoś dziwnie zgryziony i smutny — milczał przez długą chwilę — a potem westchnął z głębi piersi i tak mówił:

— Dziwne to rzeczy, zaprawdę, dzieją się na tym świecie! Dawniej, jak nam opowiadają dziadowie, także nie budowano ludzi z żelaza, a przy potężnych cnotach zdarzały się nieraz i wady. Dawniej, gdy przyszły czasy prób ciężkich i wielkich nieszcześć na naród, nie obywalo się także bez tego, żeby się ten nie poślizgnął, tamten nie potknął, a drugi zgoła nie upadł. Ale jakoś to zawsze tak było, że kiedy kogo bracia nie podniosła z upadku, to i sam zerwał się z ziemi, rzucił się tu i owdzie, zniknął z oczu na chwilę — ale wyrąbawszy hańbę ze swego imienia, znowu jakoś wypłynął, a jeszcze czasem i poszedł wyżej, niżeli stał kiedykolwiek. Ot! i zapomniano mu jakoś ten grzeszek, i przyciśniono napowrót do serca, a ten i ów jeszcze większą cześć oddał niż innym, bo wiedział o tem, że ten pokutnik nietylko siebie samego, ale jeszcze i dyabła zwyciężył. Ale dziś, jako widzę, już to jakoś nie idzie. Czy ludzie słabsi a czart mocniejszy, czy świat jest gorszy, czy może Pan Bóg się od nas odwrócił, już tego nie wiem, ale to widzę, bo i trudno nie widzieć. Dziś, kiedy który się potknie, to już pewno upadnie, a który padnie, to już pewno nie wstanie, a wlaższy w błoto, grzęznijże tedy po same uszy! po same uszy, ażeby już nawet nikt i wyciągnąć go nie mógł! — Tak się to nam popisało i nasz pan Józef. A muszę to waszmość pannie już wyraźnie powie-



dzień, bo jako widzę, wszystko to już przepadło. Kiedy on osiadł na tej piekielnej dzierzawie, to już my darmo czekamy na niego. Już mu się ani śni o tem, ażeby wrócił. A choćby wreszcie i wrócił, już on nie dla nas. Ja bym się go teraz ani ręką nie dotknął, ani bym spojrział w tę stronę! Pfe! to plugastwo! to hańba! to hańba taka, której nic już nie zmaże!

Powiedziawszy te słowa ostatnie z oburzeniem najgłębszem, wstał nagle z krzesła i zaczął się przechodzić po izbie. Poczciwej pannie Jukundzie łyż w oczach stanęły, które ocierała w milczeniu — a on tymczasem mówił dalej:

— I mówię to waszmość pannie nie bez kozery, bo kiedy tak jest, to już nie masz tutaj co robić. Poświęcać się, pracować, zbierać, zabiegać dla takiego człowieka, który własnymi rękami władował hańbę na swoje sumienie, którego za lada chwilą cały naród się zaprze, którego imię czarna ohyda będzie nieść na swych skrzydłach od pokolenia do pokolenia — a czy to warto? czy waszmość pannie tego potrzeba? — A potem przyjdzie tu pewnie niebawem całkiem inny ordynans! Dla tego pomyśl waszmość panna zawczasu, gdziebyś się miała pomieścić. Zbliża się też i zima żeby to więc potem nie było późno!

— Jam już pisała o to do mego wuja — odpowiedziała na to panna Jukunda — pana podkomorzego ziemi wieluńskiej, i już oddawna mam od niego odpowiedź pomyślną; ale o wyjeździe do niego jeszcze ja ani myślę. Bo powiedzże mi waszmość panie regimentarzu, czy godzi mi się Gozdawkę rzucić, nim się zgłosi pan Józef? Aż ja wiem, jaki on się tu zgłosi i w jakich celach? Być to może, że on osiadł na Złotym Kluczu, być tedy może, że już nie będzie potrzebował nikogo; ale jeśli tak nie jest? Być też może, że on jest winien, że się go świat zaprze i odepchnie od siebie; ale jeśli z tem tak nie jest? — A gdyby nawet i tak było, to czyż tak samo, jak sobie świat z nim postąpi, powinni postąpić także i jego krewni? — Nie mój panie Albinie, ja sąd marszałka zostawię Bogu, a nie opuszczę nieszczęśliwego człowieka i brata,

choćby go nawet już opuścili wszyscy. I tak rozumiem, że i waszmość nie uczynisz inaczej. Bo i waszmość byś nie mógł patrzeć się na to bez serca, gdyby jego przyjaciel i brat, leżał na samotnem łożu, a nie było nikogo, ktoby mu podał kawałek chleba i kubek wody i jego duszę zbolalą pocieszył...

— Hm! — rzekł na to pan Albin, kręcąc się w miejscu — waszmość panna tak mówisz, że mi aż serce się ścisła. Bo jużci pewna... nie ma co mówić... jużci trudno bym miał mu nie dać kawałka chleba, kiedyby go załaknął. Trudnoby także i od łoża jego odstąpić, kiedyby na niem leżał w boleściach. Hm! ale bo to... ale bo widzisz waszmość panna, jakże tu tknąć się człowieka, któryby taką na sobie miał zbrodnię? jakże tu się litować nad nim...

— Ej! nie mów no waszmość tak srodze! — przerwała mu prędko panna Jukunda — nie mów no waszmość; jeszcze kto to wie.

— No! to ja też jeszcze nie mówię. Ja jeszcze czekam i zaczekam jeszcze i trzy dni, i cztery, i tydzień cały, bo już chcę wiedzieć dowodnie, co jest. Ale jeżeli zdrada tam była, zdrada jawna i zamówiona, albo jeżeli tylko za przypadkową usługę dał się zapłacić, to już ja strudna mógłbym to przenieść na siebie, abym go się miał dotknąć. A żeby brat mój, ażeby ojciec!...

— I powiedzże mi waszmość, czy ty wierzysz istotnie w tę zdradę?

— Nie, moja mościa panno — odpowiedział Albin stanowczo — ja w tę zdradę nie wierzę, bo mi się to i w głowie nie mieści. Ależ ja w co innego mógłbym uwierzyć; mnie ten Klucz Złoty bardzo się widzi podobnym, bo też i znam cokolwiek Józefa. Ale jabym mu i tego nie mógł przebaczyć, boć to i Judasz przecie rzucił precz owe trzydzieści srebrników od siebie i uciekł. Aż i jego nie mogło by stać na to, choćby mu taki dar gwałtem włożono do ręki? Nie staćże jego było choć na manifest, kiedy z Krakowa wyjechał?... A już kiedy nie uciekł i nie manifestował się nawet, to już sam



przyjął winę na siebie; przecież wie o tem, bo też ma rozum...

To rzekłszy, zaczął w zamyśleniu chodzić po izbie — kiedy wtem drzwi otworzyły się nagle, a przez nie jakiś głos gromki zawołał w izbę:

— Pan nasz przyjechał!

Na tę niespodziewaną wiadomość wszyscy zerwali się z miejsc swych, a Lenartowicz stanął na środku izby i patrzył we drzwi otwarte, w których dopiero co było widać Pawelka, ale teraz już nie było nikogo.

Wszakże nim jeszcze pod głębokiem a prawie całkiem nieświadomem wrażeniem tej wiadomości mógł się zdecydować, czy ma wyjść, czy pozostać — wszedł do izby Bierzyński.

Bierzyński, wyglądający tak, jakbyśmy go widzieli pod zamkiem, w sukniach wytartych, ze zgarbionemi barkami, z widoczną już na głowie siwizną, sprawił na wszystkich wcale inne wrażenie, niżeli się spodziewali, i wzruszył ich serca do gruntu. Do tego jeszcze wszedł on do izby milczący — spojrzał na tę chatę ubogą, a twarz jego jeszcze głębszą się obciągnęła boleścią — spojrzał na Albina i nawet ręki nie wyciągnął do niego... Obawiał się pewnie, żeby i ta ręka ostatnia nie odepchnęła go jeszcze od siebie!

Widząc to Lenartowicz, uczuł się rozbrojonym zupełnie. Załamał więc już tylko ręce przed sobą, pokiwał głową i rzekł po swojemu, prosto ze serca:

— Ach! mój Józefie! cóż to się z tobą nie stało! — Żebyś mię spotkał na polu, ani bym cię poznał!

Ale Bierzyński siadł tylko bezwładnie na ławie, oparł się obiedwoma rękami na szabli i odpowiedział:

— Niełatwo to poznać człowieka, którego takie zbiły nieszczęścia! Ale przecież, powinni by go poznać przynajmniej ci, którzy tak długo w jego sercu mieszkali...

Lenartowicz patrzył przez chwilę na niego, a potem spytał:

— Mój Józefie! powiedzże prosto i szczerze, cóż ty zrobił takiego?

Tu Bierzyński zastanowił się trochę, a potem wstał i tak mówił:

— Są położenia w tem życiu, w których nie można długo rozmawiać. Na nie się tam nie zdadzą słowa, gdzie już są przekonania gotowe i wyrobione uczucia. A tu tak musi być, boć to już było czasu do tego aż nadto. Dlatego zamiast wszelkich usprawiedliwień, pytam się ciebie po prostu: czy i ty wierzysz temu, że na mojem sumieniu są plamy krwi zaprzędanej nikczemnie? czy i ty wierzysz temu, że m wiedział naprzód, co się stać miało, a potem wziąłem za to zapłatę? — Patrz na moje rany, dopiero wczoraj zagojone, patrz na te świeże jeszcze ślady od kajdan, na barki moje zgarbione, na ten włos siwy, na kontusz na mnie podarty, na tę czapkę dziurawą — a potem sądz! — I sądz, jak się tobie samemu podoba — ja się ani słowem nie odezwę do tego. — Jeśli uwierzysz temu, o czem świadczy rzecz sama w sobie i owe znaki, którem ci wskazał, to daj mi rękę: zmażemy wszystko co się stało dotychczas, boleści nasze oddamy na ofiarę za grzechy nasze a odprawioną drogę rozpoczniemy na nowo. Ale jeżeli inne masz przekonanie, to się mnie nie dotykaj, boby to było nadto wielką ofiarą, abym jej mógł wymagać od ciebie. Odwróć się wtedy odemnie i idź w swoją drogę, a bądź przekonany, że jeżeli żałuję się w mojem sercu odezwę, to żałuję tylko za tobą, lecz nie do ciebie. Znam ja już moje położenie dokładnie i na wszystko jestem przygotowany. Wszyscy mnie opuścili — a dla czegożby miał jeden pozostać?

— Nie, mój Józefie! — rzekł Albin na to, tak to nie będzie. Opuściłem ja ciebie w szczęściu, ale w nieszczęściu cię nie opuszczę. — Mam ja obowiązki dla ciebie, boś ty nie tylko był bratem, ale nauczycielem i prawie ojcem, a takie długie rad bym z serca wypłacił. Jakoż to wszystko, co jest z tego świata, zdrowie, fortunę, życie, to masz, bierz, jak tam kolwiekbaż jest — ani chwili nie namyślałem się nad tem, bom też za to nie odpowiedzialny nikomu — ale czyż ja nie słusznie obawiam się o to, abym i tobie nie pomógł i przy tobie jeszcze mojej



pocziwej sławy nie zgubił? — Powiedzże prosto, coś ty jest winien właściwie? gdzie twoja wina? nie jestże ona w sumieniu?

— W sumieniu nigdy — mówił na to Bierzyński — oh! tylkoż nie wińcie mego sumienia! Bom ja nigdy i nigdzie nie wiedział o tem, co się później stać miało! Wszystko upadło na mnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, jak głaz z powietrza. Ale głowa moja jest winna, głowa ta pyszna, która tak długo górowała nad wszystkim, a w końcu przecie się dała podejść i zawrócić... Ale dajmy już pokój!

— Ej! mój Józefie! nie w głowie to, widzi mi się, była to wina, ano wszędzie i zawsze w twem sercu. W sercu tem chłodnem a połowicznem, które mogło się oddać w całości każdemu, ale nikomu nie dało więcej ze siebie, jak połowinę! Wieszcy to duch był u tego księdza, który powiadał ci w Barze: — „Biada temu, który poświęca tylko pół serca...” To jedno było pamiętać, a byłoby wszystko dobrze do dziś dnia. — Ale i ja już mówię, dajmy temu pokój! Na nie się to nie zdało, stare rany odrywać; lepiej więc myśleć jakby je prędko wygoić. Cóż tedy myślisz? prędko zaczynać na nowo?

— Choćby i dzisiaj.

— Anoż i ja tak mówię — rzekł na to Albin — aleć to tak zaczynać nie można...

— Ha! nie ma kwestyi, że to szaleństwo — odpowiedział smutno Bierzyński — ale oprócz tej szabli nie mam dzisiaj nic więcej!

— Ależ nie o szablę tu idzie! — podchwycił Albin — moja szabla i twoja, i jeszcze kilka, które mamy pod ręką, czy to jest mało? A wszakżeż nie wiele więcej mieliśmy ongi, a doczegośmy wzrosli! Jeszcze to więc i teraz nie rozpacz. Ale manifest, Józefie, co najpierwej manifest! bez tego nic.

A na to Bierzyński:

— Manifest mam ułożony w głowie już dawno i mogę go zaraz napisać.

Zaproszono więc syna Barnaby natychmiast i wtedy to

podyktował Bierzyński ów rozgłośny manifest, który na długo potem był przedmiotem dysput powszechnych. W tym manifestcie bowiem, datowanym umyślnie z za granicy, jakoby ze Śląska, dotknął on najdrażliwszych kwestyi ówczesnych, a wyświecając całe zachowanie się ciągle się zmieniającej generalności, wypowiedział niejedną prawdę z taką nieubłaganą surowością, na jaką może się zdobyć tylko człowiek taki, który już nie dba wcale o swoją przyszłość, byleby tylko usprawiedliwił swą przeszłość. Wprawdzie te prawdy, chociażby nawet były i dowiedzione, nie mogą go nigdy usprawiedliwić zupełnie, bo wina jego, jak świadczą wyjaśnione dzisiaj zdarzenia, nie leżała w żadnych okolicznościach, tylko po prostu w nim samym — jednakże trza mu to przyznać, iż umiał on te okoliczności tak misternie zestawić i obrzucić je światłem tak dla siebie przychylnem, że bardzo wiele osób uwierzyło w jego niewinność zupełną, a wszystkie inne, krom może Szadkowskiego stolnika i zresztą interesowanych ośobiście w tej sprawie, zostawiły przynajmniej sąd Panu Bogu. Osiągnąć zaś taki cel było mu jeszcze tem łatwiej, ile że nie tłumaczył on się w tym manifestcie ani z utraty wojsk swoich, co uważa za rzecz zdarzającą się po kolei każdemu, ani ze swego zachowania się na zamku królewskim, ani też z chwilowego przyjęcia Złotego Klucza — usprawiedliwiając się zaś obszernie z tego wszystkiego, o co go obwiniała generalność konfederacyi, do niczego się nie przyznaje, coby było niewątpliwym występkiem, a winę przyznanej powolności swojej w działaniu i niesubordynacyi dla generalności, składa po części na to, iż go nie oświecono nigdy dokładnie o właściwych celach konfederacyi, a po części całkiem otwarcie na podskarbiego Wessla, którego obwinia wprost o intrygi i dyplomatyczne podstęp.

Nad manifestem tym, do którego zresztą prosto myślący Albin nie wiele sam się przyczynił, zostawiając go obrotnemu umysłowi Bierzyńskiego, strawiono całą noc aż do rana, po dniu białym przepisano go na kilka rąk — a z jednym egzemplarzem sam Lenartowicz pojechał rozstawionymi końmi do grodu.



Po jego odjeździe, mając już załatwioną jedną z spraw najważniejszych, wziął się Bierzyński do spraw pomniejszych. I tak najpierwej wymógł to na pannie Jukundzie, żeby dla jego przyjaźni nie poświęcała się z takim trudem jego lichemu gospodarstwu, i uprosił ją, iżby wyjechała do swego wuja, podkomorzego ziemi wieluńskiej, który miał już dla niej przygotowane pomieszkание daleko wygodniejsze i przyzwoitsze. Pocziwa panna Jukunda, lubo z zupełnem zapomnieniem o sobie, byłaby i najcięższe ponosiła trudy, aby tylko choć w małej części być Józefowi pomocną, uznała jednak sama konieczność tego wyjazdu — i przyrzekłszy tajemnicę zupełną, wyjechała jeszcze dnia tego samego.

Tymczasem jak tylko się zmierzchno, Bierzyński wysłał milczkiem Pawelka do wsi i kazał zaprosić do siebie miejscowego plebana i miejscowego propinatora. A kiedy przyszli zamknął się z nimi na klucz w izdebce i trzymał ich tam przez kilka godzin. Nikt nie wiedział natenczas, co się tam działo, lecz czas późniejszy wykrył, iż zostały tam wtedy sporządzone dwa dokumenty pełne znaczenia. Jednym z nich bowiem Bierzyński wypuścił propinatorowi Gozdawkę na lat sześć całkowitych i nie biorąc dla siebie więcej jak dwa tysiące, za resztę należytości zobowiązał dzierżawcę do wystawienia wszystkich dokładnie w tym dokumencie wyrażonych budynków i zaprowadzenia równie dokładnie opisanego ładu, pod pełnomocnym dozorem księdza plebana. Drugim zaś dokumentem był poprostu zapis formalny, mocą którego Bierzyński po leciech sześciu oddaje całą swoją majątność na rzecz miejscowego kościoła, a oddając ją w ręce swego plebana i jego dalszych następców, zastrzega tylko żywienie i odziewanie dwunastu ubogich i pięćdziesiąt dwie msze co roku, na ubłaganie miłosierdzia Bożego dla siebie. Tak rozdawszy wszystkie swe dobra doczesne i nie zostawiając dla siebie, tylko li tyle, ile mu trzeba było na drogę, uczuł się dziwnie lekko i na sercu i właśnie jeszcze rozmawiał z księdzem i swoim nowym dzierżawcą — kiedy Lenartowicz powrócił.

Ale Lenartowicz powrócił nie sam, tylko przywiózł ze sobą kilku swoich ludzi służebnych, przyprowadził swe konie, a przy nich jeszcze i trzech konfederatów, którzy od kilku miesięcy, odpoczywając w jego sąsiedztwie, oczekiwali sposobności do nowej służby. Zrobiło się tedy zaraz trochę weselej. Wszakże pocziwego Albina objęła radość już wcale wielka, kiedy się dowiedział o świeżym Bierzyńskiego postępkach. Podał mu wtedy rękę, przycisnął go do swych piersi i rzekł:

— Anoż tak, to rozumiem! Bo kiedy nowe zaczynać życie, to nietylko odepchnąć wszystko dawne od siebie, ale i własną skórę ściągnąć ze siebie, jeśliby to się dało bez szkody? A już teraz to i ja wierzę, że niema czego rozpaczać i tak rozumiem, że nam Bóg dopomoże zaraz na pierwszym kroku!

A Bierzyński się rozweselił i mówił:

— Już ja tam teraz głośnych sukcesów nie pragnę. Pocziwa służba a zresztą jak Bóg pozwoli. Ale kiedybym miał o co Boga prosić na pierwszym kroku, to chybali o Wścieklicę. Tego kiedybym dostał! — dodał z naciśkiem, a Lenartowicz dokończył:

— Bądź jeno spokojny, wpadnie on nam tak w ręce, że się ani spostrzeże. Inni konfederaci chcieli się także wmieszać do tej rozmowy, ale Lenartowicz nakazał *silencium* i odpoczynek, bo mówił, że tu najwięcej na tajemnicy zależy, na której też rzeczywiście zależało nie mało, tam gdzie wszystkich żołnierzy razem było dziewięciu, pomiędzy którymi jeszcze do tego znajdował się taki, który dał rewers za siebie na zamku krakowskim, że się bić więcej nie będzie, Lenartowicz zaś pragnął jeszcze tajemnicy dla tego, iż, jak mówił do Bierzyńskiego:

— Nie trzeba aby świat wiedział pierwej o tobie, dopóki nie będziesz miał z czem się przed nim pokazać.

Pogaszono więc światła i wszyscy udali się na spoczynek.

Ale chociaż się tak późno pokładli, nazajutrz, jeszcze ciemno było na dworze, jeszcze była z godzina do dnia, kiedy już wszyscy siedzieli na koniach i przejechawszy



w największej ciszy przez wieś, zajechali przed kościół. W kościele, oświeconym dwiema tylko świecami, czekał ich ksiądz w konfesyonale. Bierzyński odprawił spowiedź najpierwszy, za nim pan Albin, a potem inni kolejno, po spowiedzi ksiądz stanął do mszy, do której służył Wojciech, a której wszyscy na klęczkach słuchali, msza odprawiła się w moment, bo nie było czasu do stracenia, — a kiedy po mszy ksiądz wyszedł już rozebrany z zakrytych aby ich jeszcze pożegnać, to widział ich tylko już coraz głębiej tonących w gęstej mgle rannej jak gdyby jakie senne widziadło.

I wszystko to się zrobiło tak cicho, że nawet nikt o tem we wsi nie wiedział, i ci i owi wpadali wprawdzie na jakiś niby podobny domysł, ale kiedy nie było nikogo któryby Bierzyńskiego widział na własne oczy, utworzyła się z tego tylko jakaś wieść głucha i tak samo różnemi zmyśleniami omglona, jak wszystkie te wieści i bajki, które się blakają po chatach.

I sam Barnaba nawet chociaż go widział na własne oczy, dziwnym sposobem został zbity zupełnie z tropu, a nawet pozbawionym wiary w swoje własne świadectwo, kiedy bowiem w dni kilka po tem udobruchawszy się trochę dla syna, a nie znalazłszy go w pustym dworze, pytał tak o niego jak i o Bierzyńskiego zamieszkałego tam żyda, to go żyd wyśmiał mówiąc, że chyba mu się przysnił Bierzyński, boć go tu tymi czasy nie było.

Barnaba poszedł do księdza — a ksiądz go jeszcze ofuknął:

— A tobie co znów wlało do głowy! — A gdzież tu pan był tymi dniami we dworze? Bywam przecież codziennie, toć bym prędzej wiedział od ciebie. Idź ot! lepiej przed kościół a zmów modlitwę, bo jako widzę, coś cię zaczyna pętać na starość!

Barnaba wracał od księdza, ale jakoś dziwnie mu było. Idąc ulicą, potrząsał głową i mruczał sobie pod nosem;

— Hm! Jużbym też i przysiągł na to, że go widział na własne oczy! aleć to widzę jakiś tuman być musiał, boć ksiądz przecie nie kłamie.

## X.

Od tego czasu minęło kilka tygodni w największej ciszy.

Ową bitwę krwawą, stoczoną nad brzegiem Warty, owe klęski rozliczne, owe straty nareszcie w krewnych i przyjaciółach, wszyscy już przeboleli mniej więcej, — bo w czasie wojny trwającej, wobec ciągłej potrzeby dalszych strat jeszcze, dalszych poświęceń i ofiar, na długą boleść tylko tych starczy, którzy już wszystko stracili, — ale Annuncyata nie była w tem położeniu, to też jej boleść trwała wciąż jeszcze. Właściwie mówiąc, po ostatnim jej względem Bierzyńskiego postanowieniu, i ona nie miała już nic do stracenia, ale mogła mieć jeszcze, bo ostatni jej powód do boleści, nie był jeszcze zupełnie skończony. Bierzyński wprawdzie, wedle podań tak wiarogodnych, że im nie można było nie wierzyć, przepadł już całkiem dla kraju, — w skutku tego a z resztą w skutku własnej jej woli, przepadł on oczywiście i dla niej, — ale Bierzyński żył jeszcze. A czyż żyjący, choćby zaprzaniec lub zdrajca, choćby nawet wyklęty, nie jest zdolnym dalszych jeszcze uczynków? Te uczynki wprawdzie, to życie całe, nie miały ją już wcale obchodzić, — tak jej mówił rozsądek, tak kazało sumienie, tak nawet chciała jej własna wola, — ale oprócz rozsądku, sumienia, woli, miała ona jeszcze i serce, a serce ludzkie dziwnie jest samoistne, a nawet i buntownicze. Oświecone rozsądkiem, okiełzane sumieniem, podbite wola, skłoni się ono, ukorzy się, a nareszcie umilknie, ale pomimo to wszystko, nigdy nie oniemieje zupełnie. Zaprze się głosu, lecz pozostawi sobie jeszcze zawsze szept jakiś, szept przytłumiony, cichy i nadzwyczaj pokorny, lecz zawsze jeszcze dostateczny do tego, ażeby jak najdłużej utrzymywać dawne uczucie przy życiu, i nie dopuścić spokoju, owego nieomylnego znaku nicestwa, zapomnienia lub śmierci.

Annuncyata nie mogła jeszcze zapomnieć swych dawnych uczuć i była jeszcze wciąż niespokojną. Na ten



niepokój, który ją ciągle budził i napełniał jakąś nieświa-  
domą obawą, szukała ona wszędzie, gdzie tylko mogła,  
lekarstwa. I szukała go najpierw w modlitwie. Szukała  
potem u mniszki, która z niewymowną troskliwością i naj-  
względniejszą delikatnością, usiłowała naprzód odgadywać  
wszystkie jej myśli, uprzedzać wszystkie uczucia i zgoła  
tak osładzać gorzkie jej położenie, że Annuncyata, jeżeli  
miewała kiedy chwile pewnego chłodu dla swojej ciotki,  
to dzisiaj była dla niej jakby samą wdzięcznością. Wdzię-  
czność zaś ta była jeszcze o tyle szerszą, ile że mniszka  
teraz, chociaż stan rzeczy był może najwięcej po temu,  
ani jednym słówkiem nie wspominała przed nią o klaszto-  
rze, ani najdalszą myślą nie zdradzała swych dawnych  
względem swej siostrzenicy zamiarów. Szczegół ten, wpra-  
wiał kasztelanę nieraz w głębszą zadumę, — wszakże  
nie tłumacząc sobie tego czem innym, jak tylko tem, że  
ksieni tak głęboko szanuje ostatnią wolę nieboszczyka jej  
ojca, — tak w tem jak we wszystkim, co pochodziło te-  
raz od niej, znajdowała nie mało ulgi, a nawet czasem  
i znacznego uspokojenia. — Trzeciem jednak i to daleko  
skutecznijszem jeszcze lekarstwem było to, że powoli wy-  
nalazła dla siebie, nadzwyczaj odpowiednie swojemu sercu  
i zbawienny wpływ na nią wywierające zajęcie. Zajęcie  
zaś to polegało na tem, iż była przecież wedle sił swo-  
ich pomocną konfederacyi. Sprawę tę ukochała ona całem  
sercem od samego jej początku, a dopomagać jej ile mo-  
żności, należeć do niej chociaż pośrednio i choć od czasu  
nabrać w pierś swoją tego samego powietrza, którem od-  
dychali ci ofiarnicy, było zawsze i po wszystkie czasy jej  
najgorętszem pragnieniem. I dopóki jej ojciec żył jeszcze,  
dopóki się jeszcze trzymał Bierzyński, nie potrzebowała  
ona być czynną, bo oni byli czynni za wszystkich, a ona  
żyła jakby w samem ognisku konfederacyi. Ale po śmierci  
ojca, po Bierzyńskiego upadku, uczuła się prawie całkiem  
od tej sprawy odciętą. Było to dla niej niewymowną zgry-  
zotą; ale nie miała na nią lekarstwa, bo w jakikolwiek  
sposób dla kobiety przystępny, chciałaby była być czynną  
dla konfederacyi, nie miała do tego środków. Ale teraz za

poradą Oskierki, który zastąpił miejsce nieboszczyka Woj-  
skiego, — chociaż przeciwko woli swojego stryja Aleksan-  
dra, który po śmierci jej ojca został kasztelanem Sieradz-  
kim, — sprzedała ona swoje dobra litewskie i miała zna-  
czne sumy gotowe. Teraz więc mogła być bardzo konfe-  
deracyi pomocną — i była. Jakoż gdzie tylko się dowie-  
działa o jakiej potrzebie, gdzie który z wodzów pobliskich  
opadał trochę na siłach, gdzie byli ludzie, a nie było mun-  
durów, amunicyi i broni, — jak tylko dowiedziała się  
o tem, natychmiast przybiegła z pomocą. Tak dostał od  
niej Malczewski pięćdziesiąt tysięcy na ręce jakiejś niezna-  
jomej sobie cyganki, tak drugie tyle otrzymała świeżo co  
zawiązana konfederacya Kaliska, tak wreszcie „z rąk imé  
pana Oskierki, marszałka dworu ś. p. kasztelana Sieradz-  
kiego, odebrali sto tysięcy XX. Pauliny na Jasnej Górze,  
których forteczka była już znacznie poturbowana, a skarb  
wyczerpany<sup>4</sup>. Wszakże nie dosyć na tem. Urządziła ona  
bowiem natenczas kilka komnat obszernych w podziemiach  
zamku i przeznaczyła je na szpital dla rannych i na schro-  
nienie dla zmęczonych, albo odciętych na chwilę konfede-  
ratów. Ażeby te komnaty napełnić, wysyłała swoją nie-  
spracowaną Martę, dla wyszukiwania tych nieszczęśliwych,  
a Marta wiedziała dobrze gdzie kogo szukać. Do wyszuki-  
wania zresztą rannych i nieszczęśliwych, natenczas nie po-  
trzeba było wielkiej zręczności, — jakoż izby te wkrótce  
napełniły się całkiem. Mając już te sieroty u siebie, An-  
nuncyata stała się sama najtroskliwszą ich matką; na miej-  
sce dawnego zabranego do służby wojskowej lekarza, przy-  
jęła innego, zaopatrzyła apteczkę, urządziła stosowną ku-  
chnię i sama doglądała wszystkiego. Prócz tego jeszcze,  
jak tylko się dowiedziała o jakiej bitwie stoczonej w po-  
bliżu, o wsiach spalonych, o zrabowanych miasteczkach,  
wyjeżdżała natychmiast sama w towarzystwie swej ciotki  
na miejsce klęski, a syjąc dary z szcudroblivej swej  
ręki, podnosiła z upadku tamtych, którzy pozostawali na  
miejscu, a zabierała do siebie tych, którzy byli ranni, albo  
nie mieli przytułku. Tak roznosząc na wszystkie strony  
pomoc swą hojną i pociechę z ust swoich pełnych miło-



ści, a otulając płaszczem swego współczucia wszystkich osierociałych, stała się jakby aniołem opiekuńczym całej okolicy — i znano ją wtedy, już wszędzie witano z świątobliwym zapalem, nazywano posłannicą samego Boga i ze czcią niezrównaną wymawiano jej imię.

Rozgłos ten, chociaż zasłużony rzetelnie i bez żadnej za nim pożądlivosti, nie przynosił jej wprawdzie żadnej pociechy, — ale to żywe zajęcie się, te tak skuteczne dla nieszczęśliwych uczynki, przynosiły jej ulgi niezmiernie wiele, przynosiły jej ulgi tyle, ile zawsze zacnemu sercu przynoszą zacne i pocziwe uczynki. Wszakże natenczas zaszło jeszcze jedno zdarzenie, które wprawdzie nie uleczyło całkiem jej niezgojonej boleści, ale przyczyniło się znacznie do jej ukojenia. Był to Bierzyńskiego manifest, który i do niej dobiegł nareszcie. Manifest ten zrazu wielkie na niej sprawił wrażenie. Od czasu Bierzyńskiego upadku nie słyszała ona jego własnego głosu ni razu, teraz go usłyszała raz pierwszy, — przyzwyczajona wierzyć mu zawsze na słowo, uwierzyła mu teraz odrazu, — i wyniknął stąd w pierwszej chwili cały chaos najrozmaitszych uczuć w jej sercu. Dawna jej wiara w Józefa, później narzucone przekonania i terażniejsze znów wiadomości, dziwnie się w niej zakłębiły. Na jego zdradę nie było właściwie żadnego dowodu, prócz tego, że przyjął Klucz Złoty w nagrodę, — ależ on nie przyjął Złotego Klucza, kiedy tak się manifestuje i kiedy jest za granicą, — a więc on oczywiście niewinny! Jakoż gdyby Annuncyata była sama natenczas, kto wie, co by się było stało? — Ale od czegoż była przy niej imię panna ksieni?

A kto wie, kto była ta panna ksieni? Może to była jedna karta z tej wielkiej księgi, w której są zapisane nieubłaganej Opatrzności wyroki? może jej ręką powierzył swą wolę duch tego mnicha, który zawołał z ganku owe straszliwe: *Absolve!* a może zresztą pomiędzy nią a Bierzyńskim ta niewidzialna ręka, co trzyma końce wszystkich duchowych węzłów w swej dłoni, związała już dawno jakiś tajemny stosunek, który dopiero kiedyś miał wydać owoce? — bo dziwnie to z sobą są poplątane losy

tych ludzi, którzy się snują po tem olbrzymiem mrowisku. My widzimy tylko sprężyny i koła tych dziejów, tak maluczkich, jak wielkich, widzimy ich ruch bezustanny i dostrzegamy ich związek, ale jak one za siebie chwytają, które jest pierwsze a które drugie, gdzie są przyczyny, gdzie skutki, — pozostanie to dla nas wiekuistym domysłem.

Jakkolwiekbyż wszakże, mniszka była zanadto baczna, ażeby nie dostrzegła grożącego niebezpieczeństwa. Jakoż wzięła się zaraz do tego, ażeby Annuncyacie takie widzenie rzeczy narzucić, jakie ona sama miała w tym razie i jakie zresztą, przy latach sześćdziesięciu i żadnej dla Bierzyńskiego sympatii, mogło być przekonaniem rzetelnem. Podług jej zdania tedy manifest Bierzyńskiego nie dowodził niczego; bo gdzież jest występnik, gdzie zbrodniarz taki, któryby się nie starał usprawiedliwić? Że zaś Bierzyński ze swej dzierżawy wyjechał i jest za granicą, to także nie stanowiło jeszcze dowodu, boć przecie mógł on swoją dzierżawę na rzecz taką zamienić, która się dała uwieść ze sobą. — Jakkolwiek bardzo prawdopodobne, nie odpowiadały jednak te wnioski sercu kasztelanki, i odwołała się do Gałęckiego. Gałęcki czytał już dawniej ten manifest i miał o nim dobrze już wyrozumowane zdanie. Jakoż gdyby był ten dokument został ogłoszonym pierwój, nim on swoje ostateczne zdanie o Bierzyńskim wyjawiał tak przed Annuncyatą, jak i przed całym światem, to byłby on teraz pewnie stanął w Bierzyńskiego obrobie; bo byłoby to nietylko umocniło i niejako usprawiedliwiło jego konsekwentną wiarę w dawnego marszałka konfederacyi sieradzkiej, ale byłoby to było zapewne i miłem jego własnemu sercu. Ale starosta już rewokował tę wiarę i przyznał się publicznie do winy, a więc teraz już mu znowu trza było być konsekwentnym w swem zdaniu. Starosta tedy potwierdził zdanie mniszki zupełnie, a nawet wsparł je nowym jeszcze dowodem, bo mówił: że gdyby Józef miał rzetelne przywiązanie do tej sprawy, to po uwolnieniu nie byłby za granicę wyjeżdżał, ale byłby zaczął być czynnym na nowo.



Wszakże jak mniszka sama, tak i w spółce z Gałękim, nie przekonała kasztelanki dowodnie, bo zawsze jeszcze ów głos serca tajemny szeptał inaczej, — ale Annuncyata zachwiała się w swojej skłonności do uwierzenia w Bierzynskiego niewinność, a godząc swoje własne przeczucia ze zdaniem swych opiekunów, zakończyła tem wreszcie:

— Więc kiedy tak jest, toż go przynajmniej jeszcze nie sądźmy. Nie wierzymy jego własnemu wyznaniu, toż nie wierzymy i wieściom. Czekajmy — a przecież czas to kiedyś wyjaśni.

Nadzwyczajnie ostrożnie postępująca z nią mniszka, nie wymagała na teraz więcej — i nie było już mowy o tym przedmiocie. Annuncyata nie była z tego zadowolona zupełnie, — ale jakkolwiekby, zdarzenie to przyniosło jej ulgi nie mało i jakieśmy wspomnieli powyżej, przyczyniło się bardzo do jej uspokojenia. Kiedy się bowiem przygotowujemy na jakieś wielkie nieszczęście, a spotka nas tylko małe, zdaje nam się natenczas, jak gdyby nas małe spotkało szczęście. A kasztelanką znajdowała się właśnie w tem położeniu. Bierzynski, według dawniejszych wieści, upadł już zupełnie, z hańbą i bez powrotu, — ale teraz pokazało się, że tylko sam upadek jest niewątpliwym, hańba została zaprzeczoną przez niego i manifestem i czynem; a więc i o powrocie jeszcze można było pomyśleć. Nieszczęśliwa oblubienica, tak straszliwemi zawałami obalona na ziemię, nie budowała sobie na tem żadnych wielkich nadziei, — ale przecież się trochę podniosła na duchu i odzyskała tyle przynajmniej siły, że mogła czekać spokojnie.

W takim spokoju i ciszy, minął rok stary i nawet zima się już kończyła.

Przez ten czas cały, mało przybywało konfederatów do zamkowych szpitali i wiadomości ze świata także było nie wiele. W zimowej porze osłabł był trochę duch wojenny ze stron obydwoh, a tu i owdzie nawet przygaśł zupełnie. Pomimo to, jednak ruchliwa Marta nie spoczywała. Czy to przez wrozoną ciekawość, czy przez nawy-

knienie do ustawicznej włóczęgi, czy może wpadła na trop jakiejś zajmującej ją tajemnicy, dość, że i w zimie biegała ona ciągle po okolicy, a często nawet się zapuszczała i dalej. Z każdej takiej wycieczki przynosiła wiadomości i plotek bez końca i opowiadała je zawsze swojej złotej panience. Annuncyata słuchała tego wszystkiego z zajęciem, bo cokolwiekby dotyczyło konfederacyi, choćby to był szczegół najmniejszy, zawsze ją żywo obchodził, — ale to wszystko, co Marta przynosiła dotychczas, były to rzeczy bardzo małego znaczenia.

Jednakże z topniejącymi śniegami i z zagładającą już wiosną, zaczęły te wiadomości stawać się coraz ciekawszymi i to z rozmaitych powodów. I tak najpierwej z wiosną, zaczęły się ruszać wszystkie konfederacye, podczas zimy uśpione; który z konfederatów spoczywał w domu, zrywał się teraz nagle, brał z sobą ludzi i ciągnął w pole; szlachecka młodzież a nawet i starsi znikali nagle z swych domów, czasem żonaci już posiwiali, wczoraj dopiero z ran wyleczeni, wybiegali gdzieś w tajemnicy największej i już nie wracali... Wskutek tego wszczęł się teraz ruch całkiem nowy, przeciągały wojska we wszystkich kierunkach i poczęły się zierać ze sobą, to w pomniejszych potyczkach, to w wcale krwawych już bitwach. Oprócz tego działały się rzeczy jeszcze daleko ważniejsze; i tak w Poznaniu chciano gwałtem zawiązać unię patriotyczną na wzór Warszawskiej, czemu się Skórzewski i Mazowiecki sprzeciwili stanowczo; Malczewski zaatakował Warszawę i został nie bez strat znacznych odparty, — sam Pułaski nareszcie zbliżył się do Warszawy, a choć się potem z własnej woli odwrócił i siadł w Częstochowie wywarł tem jednak niepospolite i wielostronne wrażenie. Wszystkie te wiadomości przynosiła Marta swojej panience i zyskiwała w niej przez to coraz pilniejszego słuchacza.

Wszakże oprócz tych wiadomości przynosiła ona i inne, które były jeszcze ciekawsze, a przynajmniej ona sama opowiadała je z żywszem daleko zajęciem. Naówczas bowiem tak po województwie Sieradzkim, jak i po innych sąsiednich, rozeszła się była wieść głucha o jakimścale



nowym konfederacie, który się miał osobiłymi czynami odznaczać. Był to jakiś wódz luźny i od nikogo niezany, chodził drogami nadzwyczajnie skrytemi, zjawiał się nagle jak błyskawica i znikał także tak samo, a lubo miał siły wcale nie liczne, dokazywał jednakże rzeczy takich, które najżywszy wzbudzały podziw! Zjawiał on się najczęściej w miejscach takich, gdzie już wrzała gorąca bitwa, ale się zjawiał tak, jakby spadał z powietrza, uderzał z tyłu lub z boku w nieprzyjaciela, przeważał bitwę na stronę konfederacyi stanowczo, a potem znikał, jakby go nigdy nie było. Tak uratował on Malczewskiego od zguby niechybnej pod Nerem, tak przyszedł w pomoc Morawskiemu koło Kalisza, — tak się zjawił nareszcie w Wieluniu, osaczonych tam Ulejskiego i Żbikowskiego od napaści uwolnił, a zostawiwszy czyste pole po sobie, zniknął bez wieści. Wszakże oprócz tych zdarzeń, o których wiadomo pewnie, że były jednej i tej samej osoby, zaczęły się zdarzać naówczas i inne wypadki, o których sprawy wprowadzić nie nie wiadomo pewnego, ale chcąc nie chcąc musiano je przypisywać temu samemu tajemniczemu dowódcy, choćby tylko dlatego, że się nic podobnego nie działo dotąd. Tak dnia jednego w okolicach Bużenina, znaleziono na polu kilkadziesiąt żołnierzy pobitych, a nie można było dojść w żaden sposób ktoby ich pobili. Taki sam wypadek miał miejsce później koło miasteczka Warty. Prowadzonych kilkunastu konfederatów, których jeden z pułkowników królewskich schwytał znienacka i pod eskortą do Warszawy odesłał, ktoś odbił w drodze, eskortę wyciął do nogi a konfederatów zabrawszy ze sobą, jakby w morze ich wrzucił. Tak samo także generał Branicki w pofnej gawędce z dzisiejszym kasztelanem sieradzkim, skarżył się z wielkim żalem, że mu ktoś zabrał przed kilku dniami jego aryergardę i nie podobna mu było pomimo śledztw najściślejszych, dowiedzieć się na pewno, kto to był taki śmiały? Takie i tym podobne były te czyny, które wszystkie z zupełnym podobieństwem do prawdy przypisywano owemu tajemniczemu dowódcy, — ale ktoby nim był, dociekano napróżno i tylko same luźne a niezem

niedowiedzione tworzone sobie domysły... Powiadali więc jedni, że to był Kirkor, konfederat litewski, który tymi czasy z Litwy tutaj przyciągnął, zrazu się z Kazimierzem Pułaskim połączył, ale później odszedł od niego i bił się na własną rękę. Drudzy zaś byli zdania, że to był niejaki Oskierko, także konfederat litewski, którego jednakże inni nazywali Horainem. Domyślano się znowu gdzieindziej, że to był Dzierżanowski, a domysł ten dawał się słyszeć tem częściej, ile że sposób wojowania tego nowego wodza był bardzo podobnym do awanturniczey przedsiębiorstw marszałka ziemi Gostyńskiej. Jednakże niezwykłość czynów, a jeszcze więcej może tajemniczość głęboka tego nieznanego rycerza, naprowadzała niektórych na jeszcze śmielsze domysły; tak chcieli wiedzieć jedni z pewnością, że to jest książę Marcin Lubomirski, który doświadczywszy nie mało przykrości za swoje wystąpienie pierwsze, a chcąc być czynnym i dalej, taką się tajemnicą otacza, — tak znowu opowiadali drudzy, że to jest nie kto inny, tylko brat rodzony królewski, który doświadczywszy nielaski od majestatu, okazuje mu tym sposobem swą niezawisłość, — a nareszcie obiegała niektóre domki i taka wersja, jakoby to był jakiś zastęp nadziemski, zesłany z nieba na pomoc konfederacyi, a w czasie wielkiej wiary i jeszcze większej potrzeby nie brakowało na takich, którzy i temu wierzyli. — Wszakże te rozliczne domysły dowodziły najlepiej, że jeszcze zawsze nie nie wiadomo. Później umiano już nawet, choć w grubszych rysach, opisać postać tego rycerza. Widziano go bowiem raz w mieście Sieradzu jak zajęchał z swem wojskiem przed kościoł, kazał otworzyć świątynię, wszedł do niej z dwoma jeszcze z starszyzny i modlił się kłęcząc na głazach, więcej niżeli przez dziesięć pacierzy. Drudzy opowiadali, iż go widzieli leżącego krzyżem w farze Wieluńskiej, trzeci przy kaplicach przydrożnych, a jeszcze inni mieli go widzieć po kilka razy nocującego w polu. — Opowiadano więc, i wszyscy się w tem zgadzali, że był to mąż słuszny wzrostem i smukły, że nosił na sobie drucianą koszulę, a na piersi miał kawał blachy żelaznej z wyobrażeniem krzyża; przez



plecy miał przewieszoną burkę krymską, a na głowie mi-siurkę z czarnymi piórami, ale zawsze ze spuszczoną przyl-bicą. Bardzo do niego podobny był jego towarzysz, który się zdawał być młodym: lecz za to trzeci, który był zwy-kle przy nim, był to już mąż białowłosy, nieledwie sta-rzec, a ten się nosił w zwykłym konfederackim kontuszu. Jednakże i te szczegóły jeszcze nie oświeciły nikogo le-piej i krążyły zawsze tylko coraz dziwniejsze domysły... Takie to tedy były te wiadomości, które ciekawa Marta opowiadała z daleko żywszem niż wszystkie inne za-jęciem.

Wszakże pomimo tego zajęcia opowiadającej, Annun-cyata słuchiła zrazu tych wiadomości tak samo jak wszyst-kich innych i żadnej osobliwszej nie zwracała na nie uwagi. Były to czasy, w których wszyscy się bili walecznie, wszy-sey dokazywali cudów, ciągle się nowi pojawiali rycerze i ciągle mnóstwo krążyło plotek. Lecz kiedy później ten nieznamy wojownik zaczął prawie powszechną zwracać na siebie uwagę, kiedy jego nazwisko z powodu owych osobliwszych domysłów tylko jeszcze tem głębszą okryło się tajemnicą i kiedy wreszcie zaczęto opisywać dokładniej jego własną i jego towarzyszy postacie, — Annuncyata jakoś dziwnie się tem rycerzem zajęła i po każdej nowej wiadomości coraz ciekawiej dopytywała. — Jakoż w nie-długim czasie wpadła ona także na pewien domysł, a lubo w pokorze swojego skołatanego serca nie śmiała mu wcale uwierzyć, spytała jednak Marty w nieobecności ciotki:

— Cóż ty rozumiesz kochana Marto? a nie może to być kto z naszych znajomych?

— A Marta na to:

— Moja złota panienko! już i mnie także nieraz ta myśl przychodziła, bo tu się niby trochę coś na to składa. Rycerz ten ma być smukły i słuszny, a nosi hełmik na głowie, właśnie jak to lubił pan Józef. Ma on dwóch to-warzyszy przy sobie, z których jeden ma być młodym a drugi starym, — a tu jak na to i pan Lenartowicz gdzieś zniknął i pan Zembrzusi gdzieś się podział przed wiosną, co też wiem pewnie. Toż i Pawełka gdzieś niema

jeszcze od jesieni, i Ordynata niema, i już tak pannie mówię, że nikogo niema z tych ludzi, którzy niegdy z pa-nem Józefem służyli, a tu blisko bywali. Ale znów z dru-giej strony, i kto to wie! Bo żeby to był pan Józef, toć mu tak blisko do zamku, i do Gozdawki mu blisko, i prze-cie, przecieby to ktoś wiedział. — A już żeby też wie-dział kto bądź, czy żyd, czy ksiądz Gozdawiecki, czy panna Jukunda, to jabym pewnie wiedziała, bo jużem wszędzie tam była. A jeszcze i to powiem: że gdyby to był pan Józef, to jużby on się nie obszedł bezemnie, to darńo...

Annuncyata myślała nad tem.

— Ha! może to i nie on — mówiła potem, i pewnie nie on; ale ja przecież nie będę miała spokoju, póki się nie przekonam. Dlatego proszę cię, moja Marto, idź ty za tym rycerzem i staraj się o to koniecznie, żebyś go mo-gła sama obaczyć. Koniecznie, koniecznie, ja ci dam pie-niędzy na drogę, weź sobie konie, weź co chcesz, a obacz mi go koniecznie. Może to nie on, — ale gdyby to był on, to proszę cię, przystąp do niego zaraz i powiedz mu: że kiedy on się znowu bić zaczął, to bez żadnej potrzeby się kryje. Przecież kiedy się bije, to go znowu wszysey kochają i wszysey mu jeszcze lepiej pomogą, niż pierw-j. Powiedźże mu, że u mnie jest cały trzós złota, którybym była już dawno wydała, gdyby nie to, że cobądź ludzie mówią, ja zawsze pamiętam o tem, co mi ojciec nakazał na łożu śmierci. Rozumiesz mnie Marto? idźże więc jak najprędzej, a bez pewnej wiadomości nie wracaj.

Marta wyszła natychmiast.

Ale wyszła i powróciła, i znów wyszła i znów powró-ciła, — ale nigdy nie nie przyniosła.

Dziwnym sposobem nawet natenczas ucihły jakoś wie-ści o tym rycerzu, — zdawało się, jakby się wyniósł gdzieś w inne strony.

Tak minęła cała wiosna i już się lato zaczęło.

I był to właśnie dzień św. Jana.

Dnia tego Annuncyata wracała z mniszką od Gałę-ckiego. Jeździła ona do niego, aby się czegoś dowiedzieć.



Ale starosta bydgoski od niejakiogo czasu dziwnie się jakoś odmienił. Prosperował on jak najpiękniej tak na zdrowiu, jak na humorze, przez wszystkie czasy, upływające w spokoju; ale jak przyszły dnie cięższej cokolwiek wagi, nie dotrzymywał im kroku. Trzymał on się jak mógł przez całe dwa lata i nadstawiał sztuką, czego nie miał w naturze; ale nareszcie popryskaly te sztuczne szruby i starosta się ugiął przed czasem. Czy się zmartwił tak bardzo, czy się rozchorował istotnie, czy się już może zestarzał, to nie wiadomo; ale to pewna, że od wiosny całkiem podupadł, często dnie całe przepędzał w łóżku, a chociaż zdrów był, to nie wychodził z pokoju. Odciał się zresztą już zupełnie od świata i pomału tak się urządził, że nawet goście nie przyjmował u siebie. Annuncyata tedy nie się nie dowiedziała od niego.

Przepędziwszy z nim cały wieczór wczorajszy bez żadnego dla siebie pożytku, wstała dziś rano równo ze wschodem słońca i odjechała. Przez całą drogę była jakoś dziwnie zamyślona i smutna. Napróżno usiłowała mniszka zawiązać z nią jakąś rozmowę, — osmucona kasztelanka prawie nie jej nie odpowiadała. Tak w ponurem milczeniu dojechały one aż do Gozdawki.

Ale w Gozdawce Annuncyata się nagle zbudziła, przetarła ręką po czole i rzekła do ksieni:

— Już w tych nieszczęściach i pamięć mnie odstępuje. Toż to dziś imieniny nieboszczyka mojego ojca, a ja nawet nie będę słuchać mszy świętej. Nim dojedziemy do domu, nasz ksiądz kapelan będzie pewnie już po mszy...

A mniszka na to:

— O! zapewne, że będzie po mszy, bo już jest dawno po szóstej. Ale jesteśmy tu koło kościoła. Jeżeli chcesz moje dziecko, to wstąpmy tutaj: może tutejszy proboszcz jest jeszcze przede mszą...

— Wstąpmy tu, moja ciotko — odpowiedziała Annuncyata i kazała zajeżdżać przed kościół.

Kiedy weszły na plebanie, zastały poważnego proboszcza klęczącego przed ołtarzykiem domowym i zatopionego w modlitwach.

Prosiły go o otworenie kościoła i o mszę świętą.

Ale proboszcz się jakoś tem zakłopotał i mówił:

— Chciałbym to z duszy dla pań uczynić, ale sam nie wiem, co zrobić. Mam bowiem dzisiaj pogrzeb w sąsiedztwie i obiecałem się przybyć tam ze mszą i egzortą...

— Ha! kiedy tak jest — odpowiedziała mniszka — to nie chcemy już księdzu proboszczowi w jego obowiązkach przeszkadzać; ale jeżeliś łaskaw, to każ nam przynajmniej otworzyć kościół, abyśmy się mogły choć bezemszy pomodlić...

— Otóż tak będzie najlepiej — rzekł na to proboszcz z pośpiechem — ja paniom otworzę kościół, odmówię modlitwę za dusze zmarłe, panie je wysłuchacie, a tak rozumiem, że nam to Pan Bóg po nieprzebranej swej łasce przyjmie tak samo, jak i nabożeństwo solenne.

To rzekłszy, wziął książkę i klucze do ręki i poprowadził je do kościoła.

Otworzywszy drzwi główne i wpuściwszy najpierw ksiennię a za nią jej siostrzenicę do świątyni Pańskiej, szedł razem z niemi i już był na środku nawy, — właśnie w tej chwili pokazywał im ławkę, która była przeznaczoną dla znamienitszych gości, — kiedy w tem przed kościołem dał się słyszeć jakiś szczeł, tętent i taki zupełnie rumor, jakby się tam nagle jakieś liczne zjawily wojska.

Na ten odgłos wszyscy troje zatrzymali się przy ławkach, ksiądz spojrział z ciekawością, a nawet nie bez pewnej obawy we drzwi, — kiedy wtem we drzwiach pokazało się jakichś kilka postaci pieszych, a za niemi cała chimura konnicy, zalegającej kościelny dziedziniec. Z wnętrza ciemnego kościoła nie można było poznać tak łatwo, jakie to były te pojawiające we drzwiach postacie, bo na jasnym tle słonecznych promieni malowały się tylko czarne ich cienie, — ale ksiądz mimo to pobiegł natychmiast ku nim.

Annuncyata patrzyła pilnie. Ale widziała tylko, że na przeciwko księdza wyszło trzech mężczyzn ze drzwi, którzy kiedy z nim razem stanęli za kolumnami pod chórem,

jeden z nich rękę wyciągnął ku niemu i niby mówił niskim basowym głosem:

— Jak się masz, mój kochany pasterzu! otóż znów jestem...

Reszty nie można było dosłyszeć. A ksiądz, potrząsając dłoń jego, odpowiedział cokolwiek głośniej:

— Ach! to waszmość dobrodziej. No, niechże Panu Bogu będzie chwała na wieki! nie idą w las nasze modlitwy. Cóż? może pragniecie mszy świętej?...

Nie było słyhać, co na to odpowiedzieli goście, ale było potem słyhać księdza, jak odpowiadał wesoło:

— A to już musi być msza święta koniecznie, kiedy nam tak zacni zawitali nabożni...

Potem jeszcze przez chwilę trwała cicha rozmowa, której tylko niezrozumiały szept tutaj dochodził, — a nareszcie ksiądz pokazał się we drzwiach, przestąpił próg i zniknął za progiem w tłumie żołnierzy.

Annuncyate w tej chwili jakieś dziwne owładnęło przecucie i tak ją ścisnęło za serce, że nie śmiała nawet pa-trzyć w to miejsce.

Wszakże niebawem musiała się przecież oglądnąć. A wtedy widziała trzech mężów, idących środkiem kościoła różnym krokiem przed ołtarz. I widziała ich całe postacie dosyć dokładnie. Ten więc, który szedł po prawicy, był to niewątpliwie Lenartowicz — a po lewej Zembrzusi, — pierwszy, dawny regimentarz, drugi, obożny Józefa. Obydwóch ich Annuncyata знаła dobrze i poznała odrazu. Który zaś szedł między nimi we środku, był to mąż słuszny wzrostem i smukły, miał żelazną koszulkę na sobie, a na niej burkę krymską przewieszoną przez plecy; na piersi miał białą białą z czarnym krzyżem na środku, a na głowie hełmik z czarnymi piórami, ale z zapuszczoną starannie bardzo gęstą przyłbicą. Wszyscy trzej przeszli przez nawę kościoła, nie oglądając się wcale na ławki, a przybliżywszy się do presbiterium, uklękli razem na schodzie kamiennym. Tam ów rycerz nieznany zdjął hełmik z głowy i złożywszy ręce, zaczął odmawiać modlitwy.

Dotąd Annuncyata nie mogła poznać tego rycerza na

pewno, — ale jak tylko hełm zrzucił, serce jej uderzyło tak mocno, że na chwilę straciła przytomność.

Mniszka rzuciła okiem najpierwej na nią, a potem na klęczącego rycerza — i także wszystko odgadła. Ale w takim niespodziewanym wypadku, pod wpływem pierwszego wrażenia, nie wiedziała sama co począć i tylko patrzyła z ciekawością na siostrzenicę...

A tymczasem kościół napełnił się żołnierzami, u drzwi zakrystyi dał się słyszeć głos dzwonka i ksiądz wyszedł ze mszą.

Annuncyata się obudziła. Chwyciła ona teraz mniszkę za rękę, ścisnęła ją konwulsyjnie i rzekła:

— Chodźmy już moja ciotko!

Mniszka spojrzała na nią ciekawemi oczyma i rzekła także:

— Chodźmy!

Tak wyszły obiedwie z jak największym pośpiechem. Pilno było Annuncyacie, ale i mniszka się czegoś śpieszyła, — każda z nich miała zapewne inne do tego powody, ale że się obiedwie godziły na pośpiech, więc dobiegły w oka mgnieniu do swego powozu i zabrawszy w nim miejsca, kazały ruszać natychmiast. Kiedy powóz wyjechał na główną drogę, Annuncyata powstała i rzekła do woźnicy:

— Pędź co konie wyskoczą!

Woźnica zaciął konie i pędził, powóz się rzucał, odskakując od każdego kamienia wysoko i znowu na dół spadając, Annuncyata wstawiała i kazała jeszcze lepiej wyciągać, — a mniszka, choć nie wiedziała potrzeby aż tak gwałtownego pośpiechu, siedziała jednak spokojnie i patrzyła na nią ze zbudowaniem. Zdawało jej się zapewne, że ona tak od pokus światowych, tak od swych własnych uczuć ucieka...

Ale pocieszające te myśli dla zakonnic zaczęły się rozchwiewać już nie zadługo, a wkrótce przyszło i rozczarowanie zupełne.

Kiedy bowiem wpadły na dziedziniec zamkowy, Annuncyata wyskoczyła w ten moment z powozu i zapytała



pierwszego sługi, który jej się nawinał: czy jest pan Oskierko?

Sługa jej odpowiedział: że niemasz pana Oskierki, bo wyjechał z księdzem kapłanem do parafialnego kościoła, gdzie się odprawia nabożeństwo za nieboszczyka pana.

Annuncyata się zastanowiła na chwilę, jakby nie wiedziała, co począć, ale spytała zaraz:

— A Marta jest?

— Marta jest, pani.

— Biegnij więc prędko po Martę i każ jej, żeby zaraz przychodziła do mnie na górę.

To rzekłszy, pobiegła w ten moment na schody i nie oglądając się nawet za mniszką, dopadła do górnych komnat.

Mniszka nie mogła się pojąć, coby to wszystko mogło mieć za znaczenie, lecz biegła za nią.

Tymczasem Annuncyata, zrzuciwszy czepec i szal podróżny w ojcowskiej sypialni, pobiegła natychmiast do swojego gabinetu i wyniosła stamtąd trzos skórzany tak ciężki, iż go ledwie mogła udźwignąć.

Mniszka patrzyła na to z coraz większym zdziwieniem.

Ale w tej chwili była już i Marta w sypialni.

Annuncyata więc przystąpiła do niej z pośpiechem, a oddając jej trzos ów, mówiła prędko:

— Biegnijże moja Marto z tym trzosem do Gozdawieckiego kościoła i oddaj go Józefowi. On tam jest, samam go teraz widział! To on, ten rycerz z krzyżem na piersi! On znowu powstał i nie brakuje mu nic jak tylko pieniądze, aby się stał tak potężnym i wielkim jak nigdy!... O! Boże!...

Annuncyata odetchnęła z głębi piersi i chciała jeszcze słów kilka powiedzieć Marcie, ale w tem mniszka, która prawie obłąkanami oczyma patrzyła na nią, chwyciła ją za rękę i zawołała:

— A toż co jest takiego? cóż ty robisz?...

— Jakto co? — zapytała Annuncyata, patrząc na mniszkę. Ale mniszka w tem oka mgnieniu milczała.

— Idź! biegnij, Marto! pędź, jak możesz najprędzej! — odezwała się znowu kasztelanka do Marty.

Marta się już odwracała...

Ale wtem mniszka tupnęła nogą o ziemię i zawołała:

— Stój!... czekaj...

Marta skamieniała na miejscu.

— Ciotko moja! cóż to jest znowu? — pytała Annuncyata mniszki — ależ to on był przecie, to Józef! On się bije o własnych siłach! Przecież ojciec na łożu śmiertnem...

— Ale moje dziecko — mówiła mniszka, dziwnie jakoś zmieszana — cóż tobie się stało takiego? Jakto? takiego człowieka...

— Jakto takiego człowieka! — zawołała Annuncyata już niecierpliwie — toż przecie widziała ciotka krzyż na jego piersi, a szablę u boku... czyż to nie dosyć?

— Idź moja Marto i spiesz się!

— Nie idź! — zawołała jeszcze raz mniszka.

Ale Annuncyata już straciła cierpliwość.

— Idź! — krzyknęła ona rozkazującym głosem — ja tu jestem panią domu i ja odpowiem za moje sprawy przed Bogiem!

To rzekłszy, wzięła sama Martę za ramię i wyprowadziła ją do drzwi, mówiąc jeszcze we drzwiach:

— Biegnij i oddaj mu to złoto natychmiast, a powiedz mu, że co tylko zostało po moim ojcu, to jest wszystko dla niego!

Kiedy Annuncyata powróciła odedrzwii, zastała ksienię stojącą w dziwnym jakimś zamyśleniu na środku sypialni. Wyglądała ona tak oczywiście jak człowiek, który spadł z obłoków na nagą ziemię...

Ale nie każdy po upadku oddaje się tylko samej żalobie: inny, zaledwie upadł, już się ratuje...

Toż tak i mniszka. Była ona zamyśloną, ale w tem zamyśleniu przecie coś pracowała. Jakoż w króciutkiej chwili zerwała się nagle z miejsca, wybiegła do przedpokoju i kazała sobie natychmiast zaprzęgać.

— Ciotko moja! — rzekła do niej Annuncyata z nie-  
małym zdziwieniem — cóż to ma znaczyć? czy mnie ciotka  
opuszcza?

Ale mniszka spojrzała na nią zdaleka, zmierzyła ją  
okiem prawie z wyrazem pogardy i rzekła:

— Idź! ty!... ja się patrzeć nie mogę na ciebie!

— Na mnie? i cóżem ja zawiniła?

— Coś zawiniła? — mówiła mniszka, przyskakując do  
niej — i ty się jeszcze śmiesz spytać o to? Występujesz  
przeciwko Bogu i nie wiesz o tem?

— Przeciwno Bogu? — zawołała Annuncyata z spra-  
wiedliwym przestachem — o Boże! i w czymże ja wy-  
stąpiłam przeciwko Tobie?

— W czym? — zawołała mniszka, trzęsąc się cała  
i podnosząc pięść zaciśniętą do góry. — Aż to nie wiesz,  
bez czyjej wiedzy i woli żaden wróbel nie spada z da-  
chu, żaden włos z twojej głowy? Któż to więc rzucił  
w proch pysznego Józefa? — Przeciwno komuż ty wystę-  
pujesz, gwałtem podnosząc go z ziemi? — Idź! ja już nie  
chcę nawet wiedzieć o tobie!

Na te słowa, wymówione z osobiwszą energią, Annun-  
cyata zamyśliła się i siadłszy jakby bezwładnie w krześle,  
mówiła półgłosem do siebie:

— Ja występuję przeciwko woli Bożej?... Dziwnie tu  
jakoś nam się pomieszały uczucia. Ale kto z nas tu błę-  
dzi, przyszłość to wkrótce wyjaśni.

— O! to jest pewna — odpowiedziała ksieni, znowu  
odechodząc od niej. — Przyszłość wszystko wyjaśni! Ale  
ja tej przyszłości będę czekać w klasztorze. Tam czekam  
i ciebie, jeżeli się Bóg zmiłuje nad tobą! Ale na teraz  
bądź zdrowa!

To rzekłszy, puściła się ku drzewom.

Widząc to Annuncyata, zerwała się z miejsca i zawo-  
łała za nią prawie z żalem:

— Ciotko moja!

Ale mniszka już była za drzwiami.

Annuncyata została sama jedna w komnacie. Stała  
w zamyśleniu i smutku i zdawało się, jakby myślała nad

tem, czy ma pobiedz za ciotką, czy zostać. I stała tak  
przez chwilę, chwielejąc się w sobie jak listek. Ale nieba-  
wem dał się słyszeć turkot w dziedzińcu, — była to bryka  
odjeżdżającej ksieni. Annuncyata stała dotychczas z dzi-  
wnie ściśniętą piersią, ale teraz pomimowoli odetchnęła  
cokolwiek, — i zdało jej się, jakby od wieków, dziś po  
raz pierwszy odetchnęła swobodnie...

## XI.

Po odjeździe mniszki, Annuncyata uczuła się w jakimś  
dziwnym usposobieniu. Była ona niezmiernie zadowolona  
tem, co się stało; bo czyż mogło się stać coś pomyślniej-  
szego dla niej w tem położeniu? Zagasła gwiazda weszła  
na nowo, — cały świat zaumarzył, pogrzebiony i oplakany,  
znow się przed nią otworzył, najodleglejsze marzenia, które  
jak sny zagrobowe odpędzała od siebie, stanęły dziś przed  
nią w szacie rzeczywistości, — czyż mogła się kiedykol-  
wiek spodziewać więcej? — Ale pomimo to przecież dał  
jej się czuć jakiś dziwny niepokój.

I nie pochodził ten niepokój z pewnością z żalu za  
mniszką. Ciotki swej mogła ona dziś najmniej żałować.  
Gdyby była miała dość czasu na to, aby się zastanowić  
nad sceną ostatnią, to byłaby jej nawet nie żałowała wcale.  
Byłaby może nawet błogosławiła tę chwilę, w której ją  
przecie nareszcie opuściła ta nieubłagana jej opiekunka,  
wydzierająca ją z objęć ziemi tak uroczej i pięknej, a da-  
jąca jej za to tylko wilgoć murów klasztornych! Niepokój  
ten tedy nie miał żadnej styczności z mniszką.

Pomimo to, wszakże był on i dawał jej się uczuwać  
coraz wyraźniej. W jej sercu podnosiły się coraz żywsze  
uczucia i chwiały nią na wszystkie strony, budząc radość,  
nadzieję i zapalając czasem nawet uroczne światła zachwytu.  
Takich uczuć nie miała ona już dawno i nie śmiała wie-  
rzyć, aby je mogła mieć dzisiaj. Oprócz tych uczuć, w jej  
wyobraźni powstawały obrazy, tak wesołe, radosne, pro-  
mienne, że na ich widok serce jej drżało, pierś się wzno-



siła, a jej zarumienionym ustom brakowało powietrza. W jej głowie nawet tworzyły się myśli, tak idealnie piękne, a przecież tak rzeczywiste, tak czarujące, a przecież tak czysto ziemskie, że w pokorze swych dawnych cierpień, w usposobieniu ascetycznie duchowem, do którego się była przyzwyczaiła pod brzemieniem ziemskich boleści, musiała je nawet od siebie odtrącać. Pod wrażeniem tych myśli, obrazów i uczuć, drżała ona jak śpiewne ptasze, kiedy po długiej zimie znowu je słońce wiosenne ogrzeje, jej serce przebiegały płomyki niewymownej rozkoszy, a rozbudzoną jej duszę obwijała mgła jakaś cudowna, jak gdyby tęcza dziergana ze wszystkich najpiękniejszych barw nieba i ziemi. Było to więc po prostu uczucie ziemskiej rozkoszy — była to miłość do tej ziemskiej matki-dziewicy, która dziś znowu przed nią swoją uroczą twarz odsłoniła — było to zapragnienie tego zwykłego ziemskiego życia, które jej boleść krwawa w niej utłumiła, a które teraz znowu się w niej odezwało — i stąd to pochodził u niej w tej chwili ten niewymowny niepokój.

Aby się od niego choć na tę ważną chwilę uwolnić, dopóki nie wróci Marta, przystąpiła ona teraz do okna. Z tego okna powinna była wiele obaczyć. Powinna była przedewszystkiem obaczyć Martę, na drodze do Gozdawki wiodącej. Spojrzała tam i zdało jej się, że istotnie ją widzi. Jakiś punkt białły było widać pod lasem brzoźowym; punkt ten posuwał się śpiesznie ku zagrodzie Barnaby; to była Marta.

Ale Annuncyata powinna była jeszcze tem pewniej widzieć jadącą mniszkę. Jakoż patrzała pilnie na skośną drogę, prowadzącą do przeprawy przez Wartę, tędy powinna była jechać przełożona klasztoru, bo za Wartą leżał jej klasztor. Ale Annuncyata nie nie widziała; ani na drodze ukośnej, ani koło murowanej gospody, ani na Warcie, ani za Wartą, nigdzie tu mniszki nie było. Wszakże natomiast zdawało jej się, że obaczyła brykę mniszki na drodze, prowadzącej ku zagrodzie Barnaby i ku Gozdawce. Przypatrzyła się pilniej — i tak było w istocie.

To ją zadziwiło cokolwiek — bo cóż tam miała chcieć na tej drodze mniszka?

Wszakże się domyśliła niebawem, że panna ksieni objężdża zapewne drogę gorszą dokoła... Poprzestając na tym domyśle, patrzała już całkiem obojętnie na drogę. I widziała jeszcze przez chwilę Martę, i brykę jeszcze przez chwilę widziała — potem bryka zasłoniła jej Martę — a nareszcie i Marta i bryka zniknęły razem, w głębi niedoścignionych dla oka zarośli...

Annuncyata patrzała jeszcze ciągle na owe błonia rozległe, ale już nie nie widziała. Wszakże niebawem na owem miejscu, gdzie niegdy stał obóz konfederacyi Sieradzkiej, pokazał się jakiś dość liczny zastęp konnicy. Zastęp ten wyjechał tu prosto od owego murowanego folwarku, który stał w plecach obozu. Nie można było stąd dojrzeć dokładnie, jakie to było wojsko, ale Annuncyata się domyśliła z łatwością. Na czele bowiem tego zastępu, stało trzech mężów na koniach, z których ten który był w środku, miał hełm na głowie z piórami. Musiał on nawet mieć jakąś lśniącą blachę na piersi, bo ukośne promienie wysoko już podeszłego słońca, odbijały się o nią, a blacha błyszcziała jakby płomyk promienny. Zastęp ten stał tam przez długą chwilę, a jego wodzowie widocznie coś rozmawiali ze sobą. Czy patrzeli na zimne zameczysko i rozpamiętywali jego dawną potęgę i świetność? czy oglądali przeszłorocznej bitwy pobojuwisko i opowiadali sobie wzajemnie jej dzieje? — trudno to było odgadnąć. Ale stali tam dosyć długo. Ruszyli potem z miejsca, spuścili się koło murowanej gospody ku Warcie, przeprawili się przez nią i pociągnęli precz w ową równą i piękną krainę, którą z zamkowej galeryi można było przejrzeć do nieskończonej oddali.

Annuncyata przeszła na tę galeryę i patrzała długo jeszcze za nimi. Patrzała wytężonemi oczyma, dopóki ich mogła tylko dosięgnąć — a kiedy jej z oczu zniknęli, patrzała sercem i myślą biegła za nimi...

Było już koło południa, kiedy wróciła do siebie, z tej

powietrznej wędrówki. Pierwszą jej rzeczą było o Martę zapytać.

Ale Marty nie było jeszcze dotychczas.

I minęła godzina, i druga i trzecia, i wieczór już się przybliżał — a Marty jeszcze zawsze nie było. Annuncyata była niespokojną do najwyższego stopnia. Już raz radziła się swego nowego marszałka dworu, jmé pana Oskierki — a teraz kazała go znowu zaprosić do siebie.

— Patrzajże waszmość — mówiła ona do niego — Marty niema jeszcze dotychczas. Co to być może takiego?

— Hm! — mówił na to Oskierko — muszę się przyznać jw. pani, że mnie to samego już niepokoi. Jeżeli pani rozkaże, to ja się sam chyba do Gozdawki przejadę?

— Ach! jedź pan, jedź pan! i to bez zwłoki. Gdybyśmy nie mieli jakiegś pewnej wiadomości o Marcie dziś jeszcze, to jabym oka nie zmrużyła przez całą noc.

Oskierko tedy pojechał.

Za godzinę powrócił. Lecz na nieszczęście nic nie przywiózł ze sobą. Był u księdza, ale go w domu nie zastał, bo jeszcze nie powrócił z pogrzebu. Pytał się ludzi we wsi, ale ci nie wiedzieli. Niektórzy z nich widzieli wprawdzie oddział konfederatów wynoszący do czterechset ludzi — widzieli go w kościele na nabożeństwie i widzieli go ciągnącego przez wieś ku przeprawie przez Wartę — ale Marty-kowalki nikt nie widział na oko, chociaż wszyscy ją znali.

— Mój panie drogi! — mówiła Annuncyata do niego — cóż to w tem jest? czego się waszmość domyślał?

— Jw. pani! — odpowiedział Oskierko, jakkolwiek bądź, nie mogę ja tu przypuścić, aby się stało coś złego, boć przecie Marta ma rozum. Nie uciekła z pieniędzmi, to pewna — a że ją nikt nie rozbił w dzień biały na środku drogi, to także pewna. Nie może tu więc być nic innego, tylko to: Marta się opóźniła i rozminęła z panem marszałkiem. Musiała się nawet rozminąć, bo ona poszła gościńcem a pan marszałek, jak mi to powiadali tameczni ludzie, pojechał drogą przez wieś prosto ku folwarkowi

i murowanej gospodzie. Otóż dowiedziawszy się o tem, Marta pewnie pobiegła za nim za Wartę...

Annuncyata pomyśliła nad tem cokolwiek i bardzo jej to przemówiło do przekonania. Zdarzenie to było bardzo do prawdy podobne...

Annuncyata rozmawiała o tem z Oskierką do późnego wieczora.

Wszakże kiedy tak rozmawiali, to siedząc przy stole, to chodząc wzdłuż po komnacie, Oskierko dostrzegł przez okno jakby jakieś ognie płonące za Wartą. Patrzano na to widowisko i myślano zrazu, że to sobótki. Był to właśnie dzień ś-go Jana. Ale rozpatrzywszy się lepiej, nie można było na żaden sposób przypisać tych ogniów sobótkom — były to bowiem pożary tak wielkie, jakby wsie całe płonęły, a od nich coraz straszliwsze łuny się rozpościerały po niebie...

Obaczywszy to Annuncyata rzekła do Oskierki:

— Co waszmość myślisz! to nie sobótki, to wojna?

— Wojna, jw. pani, ani chybi, że wojna. Ale kto to tam tak straszliwie wojuje? A już to pewnie nie który inny, jeno pan Franciszek Ksawery, bo to jego najulubieńszy sposób wojowania, nietylko mieczem, ale i ogniem. A jest tam teraz i nasz pan Józef. Kiedy więc zejda się oba, dopieroż będzie siekanina co daj Boże zdrowie! — Żebyż jeno pan Józef nie sam był! bo choćby miał i czterysta ludzi jak powiadają, toż to z tem dobrze drugim pomagać, nie źle czasem i na jakiego malca uderzyć, ale z panem Ksawerym...

— Ach! — zawołała Annuncyata, załamując ręce — ach! czemuż ja pierwej nie wiedziałam o tem, że on znowu się bije! byłby on dzisiaj miał nie czterysta ludzi, ale pewnie tysiące!... A tak!... żebyż tylko choć nie przyszła do niego za późno!

— Niech jw. pani będzie zupełnie spokojną — mówił na to Oskierko. — Ja ufam Marcie, bo to sprytna kobieta. Dościęgnęła ona pewnie pana marszałka...

Ale Annuncyata nie słuchała tego, co mówił Oskierko. Patrzała ona wytężonemi oczyma w owe ognie płonące



w dali, a na jej twarzy malowała się taka niespokojność trwożliwa, jak gdyby chciała dusza wydrzeć się z ciała i tam prosto polecieć. Chwyciła też niebawem Oskierkę za rękę i zawołała:

— Patrzajno waszmość, jak to tam gore! Ile to tam być musi łez, ile nieszczęścia, ile nędzy będzie na jutro! Ach! cóżbym za to nie dała, gdybym tam mogła być przy tych nieszczęsnych!... Słuchajno waszmość — dodała prędko po chwili — jeżeli Marta nie wróci, niechaj będą konie gotowe na jutro, ja tam pojedę.

— Jak jw. pani rozkaże — odpowiedział Oskierko — będę też i ja pani towarzyszył w podróży, przecież się czegoś dowiemy.

Annuncyata przepędziła noc tak niespokojną jak nigdy. Długo nie mogła usnąć — a potem marzyły jej się sny tak urocze i tak znów straszne na przemian, że ją zmęczyły daleko więcej, niżeliby ją była mogła zmęczyć bezsenność. Nazajutrz rano obudziła się z ciężką głową, ale jeszcze z daleko większym ciężarem na sercu. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć dokładnie, ale było jej tak, jak gdyby ją jakaś moc niewidzialna przygniatała do ziemi — a pomimo to przecież jakaś moc druga porywała ze sobą i unosiła w jakąś dal nieznaną, ale pociągającą ku sobie wszystkie jej zmysły. Pierwsza rzecz wszakże, o którą zaraz po zbudzeniu spytała, to była Marta...

Ale Marty nie było dotychczas.

Zerwała się tedy Annuncyata z łóżka i ubierając się czempredzej, kazała powiedzieć Oskierce, żeby miał wszystko bez zwłoki do podróży gotowe.

Za małą godzinkę siedzieli już oboje w powozie i wyjeżdżali ze zamku.

Kiedy byli na przeprawie przez Wartę, Annuncyata rzekła do swego towarzysza podróży:

— Pojedziemy za drogą prosto ku owym ogniom, któreśmy wczoraj widzieli. I pojedziemy tak daleko, póki się czegoś nie dowiemy koniecznie. A gdybyśmy się oddalali od domu tak bardzo, żebyśmy już nie mogli na

noc powrócić, to w każdym razie nie będziemy daleko od klasztoru panny ksieni i tam się przenocujemy. Daj tylko Boże! — dodała kasztelanka z westchnieniem — żebyśmy po dniu dzisiejszym mogli jeszcze o noclegu pomyśleć! Ja mam jakieś bardzo niedobre przeczucie...

— Niech-no mi pani będzie całkiem spokojną — mówił na to Oskierko — ja mam dobre przeczucie. Ja byłem dzisiaj o świcie jeszcze raz u księdza w Gozdawce i zastałem go w domu. Nie chciał on mi się przyznać od razu, że to pan Józef był wczoraj na mszy w kościele, ale jakem go przyparł nareszcie, tylko prosił o sekret jeszcze przynajmniej dwa dni. Otóż on mi powiedział, że nasz pan Józef pociągnął za Wartę dlatego, że już jest w porozumieniu otwartem, tak z panem Zarembrą, jak i z panem Kazimierzem Pułaskim. Pułaski jest w Częstochowie, a Zarembrą rozłożył się kędys po tych krajach za Wartą, a obadwa mają znaczne siły przy sobie. Otóż pan Józef, który teraz ten teatr wojny obszedł dokoła, ułożył jakiś plan wielki względem nieprzyjaciela, a porozumiawszy się już z tamtymi panami z grubszego, pojechał teraz ku nim, aby się porozumieć do reszty. Ksiądz wątpi o tem, ażeby coś być mogło z tego planu, bo do niego potrzeba, aby się Zarembrą złączył z Pułaskim, a jako żywo przyjsz do tego nie może, bo Zarembrą się za nic nie podda pod Pułaskiego komendę, a jużci trudno ma się jemu poddawać Pułaski. Pomimo to jednak, ksiądz zawsze dobrze stąd ominuje dla pana Józefa, bo, jak powiada, pan Józef przecież już raz wystąpi otwarcie i stanie znowu czysty przed ludźmi. Ja to przyznaję księdzu, bo też tak jest; ale dodaję do tego, co też i samo z siebie wynika, że kiedy tak rzeczy stoją, jako ksiądz mówi, to tam pan Józef, jeśli był w bitwie, nie był już sam, jeno miał i kolegów. A tak podobno w tych tam wczorajszych ogniach nie jemu przypieczono boków, jeno komu innemu.

— Bardzo mnie waszmość tem pocieszyłeś — rzekła na to kasztelanka — i daj to Boże, żeby to wszystko tak było.

— Ja mam nadzieję, że już tak jest — mówił na to



Oskierko, zacierając ręce — i tak sobie mówię, że chociaż tam pan Pułaski nie połączył się z panem Zarembrą, to za to my będziemy dziś święcić połączenie z panem Józefem.

Annuncyata na to już nic nie odpowiedziała, tylko kałała pospieszać.

Ale jechali do południa i po południu jeszcze z gozdinę — a tych ogniów wczorajszych nie widzieli ni śladu. Z okien zamkowych było widać daleko — a łuny wielkich pożarów rozpościerają się zwykle wysoko...

Wszakże wyjechawszy z południowego popasu, kiedy dojechali do tego miejsca, gdzie się łączyły ze sobą dwa główne trakty, zaczęły im się zaraz pokazywać te wszystkie ślady, które zwykle zostawia za sobą wojna. Widzieli więc kilka karczom spalonych, mosty na rzekach popusute i porozrzucone, a trochę dalej całą wioskę spaloną. Przy wiosce musiała mieć miejsce jakaś utarczka, bo na cmentarzu kopano grób wielki jakby na kilkanaście trumien, ksiądz tam stał z organistą, a od karczmy spalonej we wsi wieśniacy znosili ciała ludzkie na noszach...

Oskierko pobiegł tam, aby się ludzi rozpytać o dokładniejsze szczegóły bitwy. Wszakże tak ksiądz miejscowy, jak i wieśniacy nie wiele mu umieli powiedzieć. Z ich zeznań to tylko zdawało się być rzeczą pewną, że do dnia wczorajszego były po tych wioskach porozkładane małe komendy konfederackie, należące podobno do partii Zaremby. Wczoraj wieczorem nadciągnął od południa jakiś oddział większy konfederacki od zachodu, a jeszcze większy nieprzyjacielski od południa. Tu się zaczęły bić z sobą. W bójce popalili karczmy i wioski, i bijąc się pociągnęli dalej na wschód północny.

Pokombinowawszy te wiadomości jakoż i inne szczegóły drobnostkowe ze sobą, Oskierko był zdania: że Branicki musiał się ruszyć z Krakowskiego, gdzie dotąd leżał z swem wojskiem, i pociągnął tu, aby odciąć Zarembrę od Pułaskiego; Bierzyński zaś, czy to wiedząc o tem już na przód, czy trafiwszy na to przypadkiem, powstrzymuje ten

marsz na siebie, ucierając się z Branickiego awangardami. Tak się domyślał Oskierko i mówił do Annuncyaty:

— Jw. pani! trzeba nam podobno pospieszać, bo jak widzę jesteśmy tu w samym środku nieprzyjacielskiej siły, awangarda przed nami, a korpus główny ciągnie pewnie za nami...

Jechali tedy trochę pospieszniej — a wszystko potwierdzało domysł Oskierki. Nigdzie bowiem nie było widać śladu jakiejś bitwy walnej, a natomiast wszędzie ślady drobnych utarczek. Popalone karczmy i inne budynki przy drogach, czasem koń jakiś zabity, gdzieindziej człowiek położony strzałem przy drodze...

Wszakże tak jadąc obaczyli niebawem ślad trochę znaczniejszej utarczki. Na środku drogi bowiem leżało kilkanaście ciał martwych, a krew jeszcze nie całkiem zakrzepła błyszczała ciemno-czerwonym zwierciadłem do słońca. Dojeżdżając do tego miejsca, Oskierko stanął na nogi w powozie i przypatrywał się porozrzuconym tam i sam trupom z uwagą. Rozglądał się także i poza drogę i mówił:

— Już się tu taki zwarli ze sobą! a musieli się uporczywie borykać, kiedy aż tak daleko poza drogą znać ślady krwi i kopyt końskich, ba i ludzie tam leżą. Patrzo pani, jak się to musieli zasadzać, kiedy konie aż takie jamy powyrywały kopytami w murawie!

Ale to mówiąc, wyprostował się nagle i zawołał do woźnicy:

— Stój!

Woźnica stanął — Annuncyata spojrzała na Oskierkę, coby to było — a Oskierko stał wyprostowany w powozie i wyciągnawszy szyję, wpatrzył się z takim wyteżeniem w drzewo przy drodze stojące, jakby tam osobliwsze zjawisko obaczył.

I było to istotnie zjawisko niepospolite. Na drzewie tem bowiem, schowany przez połowę w gęstą gałęzie, wisiał człowiek. Nie było można zrazu rozpoznać twarzy wisielca i było tylko widać buty wielkie palone i wywiksowane starannie, które chwielejąc się razem z nogami na wietrze, uderzały ogromnemi ostrogami o siebie. Widok ten



powieszonego człowieka był właściwie przerażającym, ale ów brzęk ostróg w powietrzu musiał tu zmieniać całkiem pierwsze wrażenie, patrzący bowiem na tego wisielca Oskierko miał raczej wyraz uśmiechu na twarzy, niżeli przerażenie lub zgrozę.

— Przez Pana Boga żywego! cóż to jest takiego? — zawołała Annuncyata, zrywając się nagle z siedzenia i patrząc także na to widowisko.

— A cóżby było? — odpowiedział Oskierko — ot! powiesili i koniec. Ale patrzno pani, jeszcze i tańcuje w powietrzu.

— Któż to jest taki? — pytała Annuncyata, zaglądając z trwożliwą ciekawością w twarz wisielca, zakrytą trochę gałęziami i liśćmi.

— A czyż go pani nie poznała? — odpowiedział Oskierko — toż to nasz rotmistrz Wścieklica. Brzęczał ostrogami za życia, brzęczy też i po śmierci, co mu się też dawno już należało.

Annuncyata spojrzała w twarz jego, a obaczywszy tę twarz pyzată, nabrzęklą dziś jeszcze bardziej, już zeszyniała i wykrzywioną okropnie, wstrząsła się cała i zawołała:

— Jedź! jedźmy już!... Nie wiem jak waszmość możesz się przypatrywać takim widokom!

Powóz ruszył, Oskierko zabrał nazad swe miejsce i odpowiedział:

— Napatrzyłem się dosyć na klęski, które ten człowiek rozsiał po kraju, trudnoż się nie przypatrzeć z uwagą, jaką wziął za to zapłatę.

Powóz pospieszał dalej — i jechano jeszcze z godzinę. Już też nareszcie i słońce się zniżyło ku zachodowi i zaszło — a na drodze nie było nic widać nowego. O Bierzyńskim i Marcie nie było nawet i wieści. Podróżni zaczęli się już trochę kłopotać, a Annuncyata mówiła:

— Już też mnie tylko moja niecierpliwość tu wypędziła, bo zresztą nie wiem, ani pociągnę tu wyjechali, ani dokąd jedziemy... Trzeba by nam podobno wziąć się gdzieś tutaj na lewo i do klasztoru dojechać.

— A to ta droga — odpowiedział Oskierko — będzie aż owo tam za tamtym lasem.

Jechali więc, już i nie myśląc o niczem — ale tymczasem całkiem nowe otworzyło się im widowisko.

O tysiiąc kroków na lewo od drogi był las. Las ten, choć nie na górze, stał jednak na miejscu znacznie wyniosłym. Od jego brzegu ku drodze spuszczała się łąka gładka jak dłoń i dopiero niedawno skoszona. Jeszcze stały na niej gdzieniegdzie kopce siana, a tu i owdzie było widać wozy wyładowane, lecz bez zaprzęgów. Wszystko to jeszcze nie przedstawiało nic tak osobliwego — jakoż byliby na to żadnej nie zwracali uwagi podróżni — gdyby jednakże nie to, że przy jednym z takich wyładowanych wozów leżał przy dyszlu koń wyciągnięty, a tuż koło niego parobek wznak wywrócony. Obaczywszy to Oskierko zdaleka, rzekł do swej towarzyszki:

— Patrzajno pani, gdzieś się tu znowu musiano bo-rykać, bo owo koń leży a i człek przy nim bez duszy.

Annuncyata była tak smutnie zadumaną w tej chwili, że się wprawdzie zbudziła, ale zaledwie wiedziała, co do niej mówił Oskierko. Pomimo to wszakże Oskierko kazał przystanąć i znów powstawszy w powozie, zaczął się rozpatrywać po łące.

Było już wtedy po zachodzie słońca, a ziemia się oblokła w coraz ciemniejszą mgłę błękitną, do tego jeszcze ów las czarny i gęsty rzucał coraz mocniejszy cień koło siebie, ale zawsze jeszcze dość było światła, ażeby Oskierko obaczył pod samym lasem dosyć znaczne pobo-jowisko.

A było to pobo-jowisko w samej rzeczy nie małe, na kilkaset kroków bowiem wszcz i wzdłuż łąki leżały całe stosy ciał ludzkich i konskich, a ziemia była czarna pod niemi. — Wyteżywszy słuch w ciszę, było nawet słyhać jakieś jęki zgłuszone, jakby westchnienia śmierci...

— Boże mój! — zawołała Annuncyata, widząc to wszystko — jakże mi się serce ścisnęło! Józef tu jest gdzieś w tych stronach, czy tylko nie on poniósł tę straszną klęskę! On jest taki szalony, a miał siły tak słabe! —

Żebyż się nam przynajmniej ktoś znalazł, któregośmy mogli o tę bitwę rozpytać!

Oskierko się obejrzał na wszystkie strony, ale nie widział nikogo. Dlatego rzekł:

— Nie masz tu kogo się spytać... ale tak mi się zdaje, jakby się tam jakiś człek żywy błakał po tem pobojuwisku. Niech się pani tutaj zatrzyma, a ja pójdę do niego i spytam.

Ale noc była a Annuncyata, i tak już zaniepokojona do najwyższego stopnia, uczuła jeszcze tem większą trwogę. Rzekła więc do swego wiernego litwina:

— Poczekaj waszmość, i ja pójdę z waszmością.

Szli więc oboje. A jak się zbliżyli do pobojuwiska, obaczyli tam istotnie jakiegoś człowieka, który błdził z głową schyloną pomiędzy ciał pobitych i czegoś szukał. Odsuwał on nawet z tych ciał niektóre i patrzył pilnie po ziemi — niektórzy z konających jęknął boleśnie, inny jeszcze stłumionym głosem błagał o pomoc, a trzeci wołał rozdzierającym jękiem, aby go tylko dobito — ale on jakby tego wszystkiego nie słyszał, tylko szukał skwapliwie swej zguby. Widząc tego człowieka podróżni, poznali już zdala, że to był żołnierz — przyszedłszy bliżej, dostrzegli ku wielkiemu zdziwieniu, że ten żołnierz płakał tak rzewnie, że aż łkał głośno i zachodził się w płacz jak dziecko — a jeszcze bliżej oboje go razem poznali.

— Pawełku! — zawołała Annuncyata do niego — przez Pana Boga żywego! cóż ty tu robisz? czego tak płaczesz?...

— Ot! czego płaczę! — odpowiedział Pawełek, patrząc z zadziwieniem na kasztelanekę — pan mój już dogorywa...

— Pan twój! — zawołała Annuncyata, załamując ręce z rozpaczą — a gdzie on!?

— Ot! tam w tej chatce pod lasem!... Ej! kiedy Pan Bóg panią tu przyniósł, to niechże pani idzie do niego! On panią ciągle wspomina... może choć skona przy pani!...

— Chodźmy tam! — zawołała na to kasztelanica, biorąc Oskierkę za rękę — chodźmy! prowadź nas Pawle.

Pawełek się zastanowił na chwilę, lecz rzekł stanowczo:

— To chyba pójdę!

I szedł razem z niemi. A przez drogę tak mówił:

— Pójdę choć wiem, że mnie pan regimentarz nazad tutaj napędzi. Bo widzi pani, pan mój, gdzieś tutaj w tej bitwie, a może też już i przedtem, zgubił krzyżycek złoty, który zawsze nosił na piersi. Otóż teraz konając chciał go wziąć do rąk, a nie znalazłszy go, tak okrutnie zapłakał, żeśmy wszyscy ryknęli. — A potem mówił pan: — Idźcie kto w Boga wierzy i szukajcie mi tego krzyżyka! Ja nie skonom bez niego! — A pan regimentarz mnie wypchnął, abym poszedł poszukać. Och! gdybym mógł — kończył Pawełek ze łzami — z własnego serecabym mu krzyżyk wykroił, ale gdzież go tu znaleźć teraz po nocy? Annuncyata łkała jak dziecko — i biegła coraz pośpieszniej.

— O! Boże! — szeptała ona, podnosząc oczy ku niebu — jeżeli masz najmniej miłosierdzia nademną, daj mi umrzeć z nim razem! Jam miała być jego życiem, ałem ja jego śmiercią się stała!... Och! gdzież ta chata? mnie już sił nie wystarcza...

— Ot! tam pani, pod lasem, już nie daleko — odpowiedział Pawełek.

Oskierko spojrział na chatkę, która się zdradzała światłem, a widząc, że to jeszcze paręset kroków, spytał Pawelka:

— Proszę cię Pawle, i czegoż wy dali pole temu hultajstwu, kiedyście byli tak słabi?

— Ba, panie! — mówił Pawełek — kiedy bo nas przyparli! Myśmy już prawie od samej Widawy nieśli nieprzyjaciela na naszych barkach. Powstrzymywaliśmy go tylko zabawką, bo nam nie było do niego — a tymczasem pan pełną depezę do pana Zaremby, który tu porostawał swoje komendy, a sam jest gdzieś pono aż u Piotrkowa. Takeśmy szli, a pan Lenartowicz szedł z tyłu. Pan mój zbierał po wsiach komendy, a on się z forpo-cztami ucierał. Aż tu tymczasem dowiadujemy się, że ten,



który na naszych karkach tak jedzie, to jest ten zdrajca Wścieklica. Pan mu chciał zaraz dać pole, ale Lenartowicz odradził, bo nam powiadały języki, że Wścieklica się liczy na tysiąc ludzi i ma sześć armat przy sobie. Ale kiedyśmy przyszli do takiej wsi, która leżała przy drodze, tośmy tam mileżkiem zasiedli. Nuż jakby na to dojeżdża ku nam Wścieklica sam i ma tylko kilkunastu ludzi ze sobą. Jego wojska popasały gdzieś daleko na polu, a on się tak z drogi chciał troszkę rozejrzeć. Nuż my wtedy z zasiadki — i ludzi w pień, a Wścieklicę na gałęź! bo już to taki dekret był dawno na niego u pana. A potemśmy szli dalej. Ale tamci jakoś się obaczyli — a więc za nami. Już też nam nie źle zaczęli dogrzewać, ba! co-raz lepiej; Lenartowicza postrzelili koło lewego ramienia, a kilku i na śmierć ubili. — Więc kiedyśmy tutaj doszli, a pan się rozejrzał dokoła, wskazał zaraz na tę tam łękę pod lasem i rzekł: — Tutaj damy im pole. — Stanęliśmy więc pod lasem i myśleliśmy zrazu, że może sobie przejdą do tysiąc katów, a nam dadzą pokój. Ależ obaczywszy nas, i oni także stanęli i sprawili się. Sprawili się i my i czekamy — a kiedy zaczęli na nas następować, my tedy w nich! — I jakoś zrazu wsiedliśmy na nich — jakoż kto wie, jakby to było? — Ale w tym zgiełku jakiś łotr poznał mego pana, podsunął się kniemu i palnął z pistoletu do niego. Nuż za nim drugi, nuż też i trzeci. Widział ci ja to na własne oczy, bom przeciw zawsze przy panu, a że to pan miał drucianą koszulkę na sobie, która już nie mało kul wytrzymała, myślałem sobie: — Strzelaj ty, strzelaj, choćby też z muszkieta! — Aleć patrzę, a pan czegoś zająknął i leci z konia. Ba i Ordynat się zachwiał i klęknął pod nim. Obskoczyliśmy pana — pal tam kat bitwę! — ale już darmo... Wpadł ci tam zaraz z gościńca, jak gdyby na to, tegi wichier konfederatów i tego ich za to wyczubił. Widział jegomość, co tam tego natłukli, a jeszcze i popędzili za resztą! Ale już pan nasz sam nie wstał, jenośmy go na płaszczach zanieśli ot! do tej chaty... Tak opowiadał Pawełek.

A w tej chwili już i oni sami dobiegli do owej chatki, w której był złożony Bierzyński.

Annuncyata pierwsza próg przestąpiła i wpadła do świetlicy.

Była to szczupła i zakopcona izdebka, ale jasno w niej było — na kominie bowiem gorzał suty ogień, a na stole pod ścianą palił się olejny kaganiec. W izdebce było pełno konfederatów — a na łożu pod oknem, leżał w znak wyciągnięty Bierzyński.

Był on wpół rozebrany, burkę miał podłożoną pod głowę i był takąż burką nakryty. Twarz jego była biała jak papier, ale gorączka wycisnęła na niej dwa prawie krwawe rumieńce. Oczy miał przymrużone, ale usta na wpół otwarte, którymi silnie i z widocznym natężeniem oddychał. Rękę prawą trzymał zgiętą przy prawej stronie piersi, gdzie zdaje się, że był ranny — a jego lewą rękę trzymał w swych dłoniach sędziwy obożny, który siedział nisko przy jego łóżku i właśnie w tej chwili podniósł głowę do góry, mówiąc coś z cicha do stojącego przy nim Lenartowicza.

Tak ich zastała Annuncyata, która przebiegłszy prędko pomiędzy rozstępujących się przed nią konfederatów, stanęła z załamanymi rękami nad konającym. Stanąwszy tam, pochyliła się nad nim w połowie i wpatrywała się w twarz jego wybladłą tak wyteżonymi oczyma, jak gdyby chciała tym wzrokiem śmierć samą odegnąć, a uciekające życie zatrzymać...

Na jej zjawienie się, siedzący po tamtej stronie łóżka, poważny obożny zerwał się z miejsca i stanął obok najmniej zadziwionego pod ścianą.

Wszyscy byli zadziwieni do najwyższego stopnia — i cisza była w świetlicy, jak w wypróżnionym kościele.

Annuncyata stała tak przez chwilę i patrzyła na jego oczy i usta — widząc zaś, że te usta oddychały jeszcze tak silnie, rzekła jakby z radością:

— On żyje.

Poczem spojrzała na Lenartowicza, pytając go wzro-

kiem, czy nie jest to tylko złudzenie? — A Lenartowicz rzekł smutno:

— On żyje jeszcze... ale myśmy stracili już resztę nadziei!

Ale Annuncyata tych słów nie słyszała, tylko z tem większą uwagą patrzała w twarz Bierzyńskiego. W tej chwili bowiem on właśnie otworzył pomalu oczy i patrzył na nią. Patrzył tak zrazu, jak na którego z swych towarzyszy codziennych. Nie musiał jej poznać zapewne... Wszakże niebawem twarz jego zaczęła się jakby rozjaśniać, uśmiech okrażył spalone gorączką usta, w oczach blask jakiś zabłysnął... widać było po jego twarzy, że w tej chwili wszystek ból z serca ustąpił, a jego duszę objęła błogość niewysłowiona.

— Tyś to? — rzekł wreszcie głosem łagodnym — oh! jak mi lekko...

I odetchnął z głębi piersi tak silnie, jakby mu z tym oddechem miało nowe powrócić życie.

Przez chwilę jeszcze patrzył na nią z nadzwyczajną lubością — zdawało się, jakby czuł rozkosz najwyższą — wszakże niebawem twarz jego obciągnęła się wyrazem jakiejś strasznej boleści, a jego oczy zwilżyły się łzami. W tej chwili przycisnął obiedwoma rękami prawy bok swojej zranionej piersi i znów odetchnął, ale już krótko.

Widząc to Annuncyata, jakimś złowieszczem przecuciem dotknięta, ukłękła przy nim i złożywszy ręce, mówiła przez łzy:

— O Boże! miejże litość nad nieszczęśliwym! On nie zasłużył Twej kary... — Wszakże w tej chwili Bierzyński podniósł obiedwie ręce, zacisnął je konwulsyjnie nad swoją twarzą, a kiedy z oczu jego puściły się dwa obfite strumienie łez, zawołał dziwnie wyężonym, łzami dławionym, rozdzierającym jękiem.

— Oh!... biada temu, który tej sprawie poświęcił tylko pół serca! Oh biada temu!...

Ale tutaj głos jego nagle się urwał — a na jego ustach, ostatniem natężeniem wyciśniona, pokazała się krew...

Na widok krwi, Annuncyata zerwała się z kolan i por-

wała go za ręce, aby twarz jego odsłonić. I on się podniósł cokolwiek i chwycił konwulsyjnie jej rękę, aby ją jeszcze po raz ostatni uściśnąć — ale w tej chwili śmierć stanęła pomiędzy nimi, zazdroszcząc im nawet tego ostatniego uścisku. Bierzyńskiego głowa opadła na burkę — twarz obciągnęła błądząco śmiertelna — a jego oczy się zamknęły na zawsze.



## EPILOG.

Tak się skończyły losy doczesne tego człowieka, który był bezzawodnie jednym z najzdolniejszych wodzów konfederackich, — ale który swoich zdolności używał w sposób taki, że nie mogły się one na nic przydać podjętej przez niego sprawie, a jemu samemu musiały przygotować zgubę konieczną.

Tak padł Bierzyński.

Ale cóż się stało z jego oblubienicą?

O niej nie mamy już wiele do powiedzenia. Bo i cóż jeszcze można powiedzieć o życiu takim, którego wszystkie węzły się zerwały ze światem? — Takiego życia można już dosnuć tylko, jak pajak snuje swe nici w murach samotnych, — ale nie dosyć, jak żyją ludzie...

Annuncyata nie miała już nic dla siebie na ziemi.

Po Bierzyńskiego pogrzebie, który się odbył w największej ciszy, a z powodu przeciągających wojsk nieprzyjacielskich, nawet z największym pośpiechem, powróciła ona do siebie, — dźwigając na swoich barkach krzyż ten, który nareszcie wtłoczył się na nią z całym swoim ciężarem..

W boleściach takich, których doświadczamy od ludzi, w zgryzotach i stratach takich, którebyśmy mogli jeszcze naprawić, burzymy się zwykle i buntujemy przeciwko siłom, które nas przemogły, — lecz z drugiej strony w stratach takich, w których widzimy jawnie nieodwołalne zrządzenie Boże, w cierpieniach takich, na które nie masz za-

dnego ratunku w tem życiu, chyli się serce chrześcijańskie w pokorze i niesie krzyż swój w milczeniu. Nie taki to krzyż był, który wziął dobrowolnie na siebie Syn Boży, nie taka boleść, którą na wieki wieków swemu duchownemu potomstwu przekazał, — i już te same wspomnienia uczą nas cierpieć i milczeć w cierpieniu...

Annuncyata była pełną tych wspomnień świętych — i w swojej nowej boleści była cichą jako woda stojąca.

A kiedy sobie wspomniała, że jej oblubieniec tylko śmierć poniósł fizyczną, a przed śmiercią odżył jeszcze moralnie, — kiedy sobie wspomniała, że ona tylko taką stratę poniosła, kiedy już była przygotowaną na większą i kiedy zamiast bólu swój zatruchać pogardą, mogła go teraz słodzić żalobą; — to jeszcze błogosławiła Temu, który ją dotknął, i mówiła w swoich modlitwach: — O Panie! uczyniłeś nademną daleko więcej, niżelim godna! Wola Twoja święta niechaj się dzieje na wieki!

Przy takim usposobieniu serca dziwnie jej była przyjemną ta cisza, która teraz ją otaczała. Umiejąc znaleźć pociechę w samej sobie, do swojego cichego cierpienia nie potrzebowała nikogo. Annuncyata była zadowoloną nawet i z tego, że panny ksieni przy niej nie było. Prosiła Pana Boga, żeby tylko tak mogło pozostać na zawsze...

A chociaż się w głębi serca tego nie spodziewała, bo nie mogła dopuścić, aby ją ksieni opuściła już bez powrotu, — jednakże dziwnym dla niej sposobem długo tak było. Minał tydzień i więcej — a ksieni nie przyjeżdżała...

Annuncyata nie wiedziała sama, co o tem myśleć, — ale w dzisiejszem swem położeniu nie pragnąc żadnej odmiany, tylko się temu dziwiła...

Wszakże co jeszcze daleko dziwniejszem stało się dla niej, to to, że razem z ksienią także i Marty nie było. Obiedwie kobiety, jak opuściły zamek prawie w jednym i tym samym momencie, tak przepadły bez wieści...

I długo Annuncyata śledziła ich tylko myślą, nie mogąc wcale zatęsknić sercem, — ale tak nie mogło pozostać na zawsze. Bo chociaż niby właściwie nie było się czego obawiać o mniszkę, która prawdopodobnie siedziała

w swoim klasztorze, toż pocziwiej piastunce, której całe życie było tylko długim łańcuchem poświęceń dla swej wychowanki, należała się od niej zawsze, tak wdzięczność, jak i opieka. Prócz tego jeszcze piastunka ta wzięła ze sobą tyle pieniędzy, a to jeszcze tem bardziej niepokoiło gospodarnego Oskierkę.

Skończyło się tedy na tem, że Oskierko wyjechał umyślnie na śledztwo, tak za ksienią, jak i za Martą.

Oskierko bawił w tej podróży dni kilka, — lecz kiedy wrócił, sprawa ta przybrała jeszcze daleko dziwniejszą postać. Nietylko on bowiem nie odszukał Marty, ale przywoził jeszcze wiadomość, że panny ksieni nie masz już od kilku dni w klasztorze, a zakonnice są o nią w największej trwodze...

Rozbudzona tem Annuncyata jeszcze raz wyprawiła Oskierkę, — wzięto się oprócz tego do innych środków, któreby mogły wykryć tę tajemnicę zadziwiającą wszystkich, — ale ani to ani owo do żadnego nie doprowadziło ich skutku.

Panna ksieni i Marta zaginęły bez śladu, pozostawiając za sobą pole do najdziwniejszych domysłów...

I domysły te musiały być istotnie dziwaczne. W parę tygodni bowiem rozeszła się była wieść głucha, jakoby Marta była przez kogoś przyprowadzona do miasta Sieradza, tam jako czarownica pod sąd oddana, na męki wzięta i chciano wiedzieć, że na mękach umarła... Razem z tą wieścią opowiadano także, że niedaleko Sieradza tamtejsi rybacy znaleźli w Warcie trzech konną brykę zatopioną w wodzie, przy której nie było żadnych ludzi, bo ich woda zapewne uniosła, ale z niektórych rzeczy, które były zapakowane w bryce, domyślano się, że to był kwestarz jakiś, który się puścił w bród nieznamy i zatonął... Inni zaś powiadali, że te habity, które znaleziono w owej bryce, nie były męskie, tylko kobiece...

Ciekawy prawdy Oskierko jeździł sam, tak do Sieradza, jak i do owych rybaków. Ale jak w Sieradzu się nie dowiedział o Marcie, tak znowu owych rybaków wcale nie zastał na wymienionem miejscu, skąd wyniknęło, że

do owych dziwacznych wieści dołączyła się jeszcze i ta wiadomość, jakoby ci rybacy w owej bryce znaleźli skarb jakiś, którym się podzielili i pouciekali z swej wioski...

Annuncyata słuchała tych wiadomości z jakimś dziwnie niemiłym uczuciem. Pozostawiawszy ze sobą te wszystkie podania, przypomniawszy sobie, wśród jakich okoliczności opuściła ją mniszka i przypomniawszy sobie to wrzście, że Marcie na widok ksieni przewidywał się zawsze mistrz i konfesaty katowskie, mogła i ona przyjść tutaj do jakiegoś prawdopodobnego domysłu, — ale ona nie umiała o tem nawet pomyśleć... Annuncyata odrzuciła to wszystko od siebie i nie nie myślała. Nie dowiedziawszy się nic pewnego, pragnęła tylko, ażeby i te podania jak najprędzej umilkły i żeby tylko cisza była koło niej...

Ale to być nie mogło. Annuncyata bowiem skończyła już wszystko ze światem, ale świat z nią nie skończył. Ona już wszystko zerwała z ludźmi, ale ludzie z nią nie zerwali. A ludzie, to są najuprzykrzeńsze stworzenia na świecie. Opasz się od nich potrójnym murem, odgródź się od nich twą silną wolą, módl ich na klęczkach o samotność i ciszę jako o jedyny balsam na twoje bóle, — wszystko to na nie się nie zda, — bo oni i mur potrójny przełamia, i twoją wolę unudzą, i będą cię przekonywać koniecznie, że cisza to zabójstwo dla ciebie...

Tak się stało i z Annuncyatą. Zaledwie bowiem się przekonano dowodnie, że jej obłubieniec życie zakończył, zaczęły się na jej zamku zjawiać coraz to nowsze postacie... Co było właściwie ostatnim celem tych rozmaitych odwiedzin u panny posażnej, a pozostawionej bez żadnej opieki, Annuncyata nie mogła się zrazu domyśleć. Nie wyjawiano jeszcze swych myśli otwarcie i tylko się wyprzedzano w oświadczeniach przyjaźni, — i dlatego te odwiedziny, choć zawsze niesłychanie nużące, były jednakże jeszcze przynajmniej znośne. Ale kto ją oświecił dokładnie, jaki jest jej właściwy stosunek do świata, to był jej stryj Aleksander, dzisiejszy kasztelan sieradzki.

Ze stryjem tym, jako z człowiekiem całkiem odmiennych opinii, nie wiązały ją nigdy bardzo przyjazne sto-



sunki. Stosunki te jeszcze więcej się oziębły wtedy, kiedy mu podczas trwającej jeszcze konfederacyi Barskiej król konferował kasztelanę sieradzką. Od czasu śmierci jej ojca nowy kasztelan, lubo uproszony na opiekuna przez nieboszczyka, niebardzo trudnił się tą opieką, pozostawiając ją prawie w całości ksieni. Ale jak ksieni gdzieś niepowrotnie przepadła, stryj ten zaczął się coraz częściej zjawiać na zamku. Już sama przytomność jego i to wszystko, co wychodziło z ust jego, było dla rozbolelej Annuneyaty nieznośnem. Ona bowiem, po tylu cierpieniach i w takiej głębokiej żalobie, podniesiona duchem nad wszystko, co należało do ziemi i żyjąca już tylko tam, gdzie dziś żyły jej wszystkie dusze pokrewne, ona była tu tylko jakby cień jakiś zaledwie widzialny, utkany z mgły rannej i tęczy, — a ten jej nowy opiekun był jak pień w ziemię wrośnięty i nie znał smutku, którego by nie można zabić butelką. Kiedy więc ten człowiek zaczął ją po swojemu pocieszać, doradzać otwarcie nowej miłości, a nareszcie i konkurentów nawozić, — to można sobie wyobrazić z łatwością, w jakim położeniu znalazła się Annuneyata. Z swoją nieuleczoną boleścią w sercu, niewolnica w swym własnym domu, niemająca już na tej ziemi nawet cichego kąta do cierpień, trawiła ona dni swoje w najokropniejszych męczarniach, czuła się nieraz jakby we wnętrzu piekła, a czasem nawet sama rozpacz ją obejmowała...

Byłaby wtedy opuściła dom własny i uciekła z niego na zawsze, gdyby tylko wiedziała, że jeszcze znajdzie jakieś ciche schronienie dla siebie.

Wszakże przez ten czas cały, czy to przez wdzięczność za dar kasztelana, czy może w jakiej dalekiej chociaż ukrytej myśli, od czasu do czasu, odwiedzały ją zakonnice z klasztoru ksieni. Te pobożne niewiasty nie wspomniały jej nigdy o tych nadziejach, jakie względem niej miała niegdyś ich ksieni, nie wspomniały także, jaką miał na nią rachubę cały ich zakon, opuszczony dziś przez jej ciotkę, — lecz o tej ciotce często z nią rozmawiały. A było tu nawet o czem rozmawiać, ksieni ta bowiem była wcale niepospolitą kobietą. Zrobiła ona dla swego klasztoru tyle

dobrego, jak żadna z jej poprzedniczek. Poświęciła mu bowiem całą swoją fortunę, odbudowała klasztor od fundamentów, zrestaurowała kościół i zaopatrzyła jego zakrystę, ubrała w habit mnisi kilkanaście panien szlacheckich, a za każdą z nich uzyskała do klasztoru jakąś sumkę znaczącą, i wogóle klasztorowi przysporzyła tyle dochodów, o jakich mu się przedtem ani marzyło. O wszystkie zresztą sprawy klasztorne była ona tak dbała, że nie tylko nie dała jego funduszów nikomu uszczuplić, ale gdzie tylko był na rzecz jego jakiś zapis, choćby jak dawny, gdzie się jakie choćby najmniejsze zaległości znalazły, o wszystkie powydawała pozwy, a kierując sama tymi procesami, wiele z nich do szczęśliwych doprowadziła wygranych. W ostatnich czasach porozpoczynała ona nawet daleko ważniejsze procesy, zapozwała bowiem podkomorzego Radomskiego o wieś Słabociny, potomstwo starosty Piotrkowskiego, o siedmdziesiąt tysięcy, a o sumy pomniejsze prowadziła spraw kilkanaście.

Licząc na pewną wygraną i mając już wiele ustalonych wypłat nakazanych sądownie, pozawierała kilka kontraktów kupna, porozpoczynała nowe budowy, pourządzała kilka rozmaitych zakładów. I wszystko to byłaby ona pewnie doprowadziła do skutku, a w czasie niedługim, byłby jej klasztor mógł się liczyć do najbogatszych fortuną i najznamienitszych pożytkiem, — ale tymczasem ksieni gdzieś nagle zniknęła, a wszystkie jej prace zawisły. I gdyby to jeszcze było skończyło się na tem, byłaby mniejsza, — ale po jej zniknięciu sprocesowani przez nią dłużnicy, jedni pozatrzymywali wypłaty, renowowali procesy, a inni nawet całkiem nowe powydawali pozwy. Dziś tedy klasztor znajduje się w tem położeniu, że nie tylko na owej gorliwości swej przełożonej nic nie zyskał, ale jeszcze niezmiernie wiele utracił, — pozawierane bowiem kontrakty grożą ogromnemi stratami, powiększonych przez nią wydatków niema czem zastępować, a kiedy przez niechęć dla klasztoru, obudzoną przez zbytecznie gorliwą ksienię, niemal wszyscy się dzisiaj odsunęli od niego, liczna drużyna zakonnic, znajduje się w coraz dotkliwiej czuć się dającym



niedostatku. Ani już śladu niema tej zamożności, jaką dawniej utrzymywała ksieni, — dziś mu już nie wystarcza na życie, a czasem nawet i chleba brakuje...

Takie smutne wspomnienia przynosiły zakonнице do zamku. Nie skarżyły się one na ksienię, ale się skarżyły na los swój i widać było po nich, jak głęboko go czuły...

Annuncyata słuchała ich z serdecznem współczuciem i szczerem żalem, bo jakżeż się nie litować nad temi, które tak mało wymagają od świata, a i tego nie mają? I ta litość na różne naprowadzała ją myśli. Lecz rozważając to sobie, do czego ją czasem na widok tych sierot pociągało serce, mówiła w myśli do siebie:

— Odpokutowałam już wszystkie grzechy, które może kiedyś były popełnione przez moich ojców. Przyjęłam to brzemień na siebie z pokorą i poniosę je z wytrwałością do grobu. Mam-że jeszcze się brać do pokuty za grzechy, popełnione przez moją daleką krewną? Mam-że już pokutować za wszystkich, którzy się kiedykolwiek o ten zamek otarli?

Annuncyata zapatrywała się jeszcze wtenczas na życie klasztorne okiem światowem.

I nie ma to być dziwnem nikomu, bo była ona w tem wcale niewinną. Życie to wyobrażała ona sobie li z usposobień i czynów ksieni — a ksieni nie mogła jej nigdy przemówić do serca...

Ale zdarzyło się wkrótce, że zmęczona swoimi gośćmi u siebie, a nowo wzruszona nędzą owych sierot zakonnych, pojechała na parę dni do nich

I odwiedziny te sprawiły gruntowną zmianę, tak w jej uczuciach jak przekonaniach.

Annuncyata bowiem nigdy nie była w klasztorze. Kiedy więc dzisiaj w nim się znalazła i obaczyła tę ciszę, jaka tu panowała, nie mogła wyjść z podziwienia. Cisza ta, której tak gorąco pragnęła, a o której myślała, że jej nigdzie nie masz na tym gwarliwym świecie, napeliła jej duszę taką błogością, a jej serce zboleć tak niewymowną rozkoszą, jakiej nigdy jeszcze nie czuła w swem ży-

ciu, zdawało jej się, jak gdyby nabląkawszy się przez całą wieczność po czyściu, pierwszy raz dzisiaj się przeszła po raju...

Annuncyata została przez dni kilkanaście w klasztorze.

Był to dla niej prawdziwy nowicyat, który najszczęśliwiej przebyła. Tu bowiem dopiero obaczyła jasne oczy, na co dotąd jakby przez mgłę patrzała. Tu odgadła całe znaczenie tego ziemskiego życia, które z takim szelestem za murami szumiało. O jakże marnem, jak znikomem jej się wydało! — Jesteśmy rzuceni na tę ziemię, abyśmy się na niej przygotowali do tego żywota, który ma trwać całą wieczność. I jakże my się przygotowujemy do niego? Czyż te zgiełki, te gwary, te ustawiczne wyścigi za szczęściem chwilowem, zbliżą nas choćby najmniej do Tego, który na nas czeka z otwartemi ramionami? Zostawiwszy na ziemi uzbierane przez nas dostatki i wszystkie świecidła, któremiśmy tutaj błyszczeli, zostawiwszy nawet wspomnienie szczęścia, któregośmy tu dostąpili, z czemże się zbliżymy do niego? Mogąc się tylko o tyle przygotować do wiecznego żywota, o ile nas nad poziom ziemi podniesie dobrowolna ofiara, czyż nie uczynimy najlepiej, jeżeli się od razu wyrzekniemy wszystkiego? A chcąc się wyrzec tego wszystkiego, co jest z tego świata, czyż możemy to lepiej uczynić gdzieindziej, jak w miejscu takim, które na to jest przeznaczone?

Zastanowiwszy się nad temi wszystkimi myślami i znalazłszy je w takiej harmonii ze swoim sercem, jak jeszcze nie nigdy w swem życiu, Annuncyata nie była już daleką od ostatecznego postanowienia...

Kilka dni jeszcze, — a to postanowienie dojrzało.

Dwudziesto-kilkoletnia dziewica, jaśniejąca jeszcze najświetniejszą pięknnością, pozostała w klasztorze na zawsze.

W parę tygodni potem przywdziała habit zakonny i uczyniła profesję.

Wszakże jak niewiele czasu potrzebowała na to, ażeby to postanowienie uczynić, tak stosunkowo mniej jeszcze do tego, ażeby się przekonać, jak odpowiedni i wdzięczny dla siebie obrała zawód. Zaledwie bowiem rok jeden mi-



nał, kiedy już to przez wdzięczność za odebrane od niej dary, już przez wzgląd słuszny na znamienite przymiety jej umysłu i serca, oddano jej przełożęństwo klasztoru. I przy tej to sposobności odkryła jej się ta tajemnica, o której odgadnienie napróżno się dotąd kuśiła.

A stało się to w sposób następujący.

Kiedy po nominacyi na ksienię dotychczasowa przełożona oddawała jej wszystkie zasoby klasztoru, przyszła z nią także do jednej maleńkiej celi, która na końcu korytarza dolnego zajmowała miejsce ostatnie. Była to cela już na pierwszy rzut oka przerażająca, znajdowała się ona bowiem w najwilgotniejszej części klasztoru, a wprowadzały do niej drzwiczki wąziutkie, ale mocno żelazem okute, na wielką kłódkę zamknięte, i małym kratowanym okienkiem zaopatrzone. Była to raczej kazamata niż cela, — było to proste *Obsequium*.

Kiedy prowadząca ją mniszka włożyła klucz do kłódki tego więzienia, Annuncyata spytała ze zdziwieniem, na coby to czyniła?

— W tej celi — odpowiedziała jej mniszka — znajduje się także nasza własność klasztorna. Jest to jedna z sióstr naszych, która z reszty swojego życia uczyniła Panu Bogu ofiarę i kazała się zamknąć tutaj do śmierci. Wzniosła się ona do takiej ofiary, jakiej żadna z nas nie jest godna, włożyła bowiem pas gwoździemi nabity na swoje biodra, oblokła włosienicę na siebie, a żyjąc tylko chlebem i wodą, nakazała sobie jeszcze do tego wiekuiste więzienie...

— Czy zawiniła co kiedy, że sobie tak surową oznaczyła pokutę? — spytała Annuncyata, wysłuchawszy tej wiadomości z zajęciem.

Ale mniszka zamiast jej odpowiedzieć, drzwi otworzyła.

Annuncyata spojrzała w wnętrze tej celi — i była to cela rzeczywiście przerażająca. Niema ją co opisywać, bo były to tylko cztery półciemne, wilgotne ściany, pomiędzy którymi nie było ani jednego sprzętu. Pusto tu było jak w grobie. Pokutnica sypiała na głazach, którymi była wyszczelona posadzka...

Wszakże rozpatrzywszy się w tej ciemnej przestrzeni, można było dojrzeć na drzwiom przeciwległej ścianie, krzyż duży drewniany, pomalowany na czarno. Na tym krzyżu jednak nie było wizerunku Chrystusa Pana. Widok Zbawiciela świata, wyciągającego ze swego krzyża ku zbawionej przez siebie ludzkości ramiona, przynosi każdemu niewymowną pociechę, — korząca się w prochu pokutnica odmówiła sobie nawet i tego widoku...

Jednakże pod tym krzyżem dojrzała Annuncyata jakąś postać kobietą, która klęcząc na głazach z głową schyloną i prawie zgiętą we dwoje, zdawała się być zatopioną w modlitwie.

Na widok jej, Annuncyatę owionęło jakieś dziwne, nieopisane uczucie, — zdawało się jej, jakby stanęła wobec jakiegoś ducha nie z tego świata, — ale pokutnica była w tej chwili w takim oderwaniu od siebie, że nawet przeraźliwe skrzypnięcie drzwi, nie przywołało ją nad zad na ziemię...

I minęła tak długa chwila w milczeniu.

Wstała nareszcie i stanęła na środku celi.

Obaczywszy jej twarz, Annuncyata się wstrząsnęła i taki zimny dreszcz przeszedł jej ciało, jakby w jej oczach trup powstał z trumny.

I był to w istocie trup jeszcze żywy, — była to ksieni.

Stojąc na środku celi, patrzyła przez chwilę na swą siostrzenicę, a na jej zzieleniałej, wychudłej twarzy, odbił jasny promień pogody. Wyciągnęła ku niej ramiona, przycisnęła ją do swej piersi, a z jej przygasłych oczów, dwie łzy wytrysnęły. Wszakże w ten moment odsunęła ją lekko od siebie, zrobiła krzyż nad nią w powietrzu i odeszła w milczeniu w głąb celi.

Annuncyata schyliła głowę i wzruszona do samej głębi, z twarzą łzami zalaną, wyszła w korytarz...

Tak obaczyła ona jeszcze raz w swoim życiu tę osobliwszą kobietę, z którą lat tyle przeżyła, a której przecież nigdy nie rozumiała. Dzisiaj ją rozumiała zupełnie, a zbadawszy dokładnie wszystkie jej enoty i wady, wyciągnęła z nich nieocenioną naukę dla siebie, której się



potem przez całe życie trzymała. Ale obaczyła ją wtedy już po raz ostatni, widziała ją bowiem potem już tylko na katafalku, odprowadzając jej zwłoki do grobu.

Annuncyata żyła jeszcze potem lat wiele — a jej życie pełne chwały dla jej klasztoru i pełne pożytku dla otaczającego ją świata, dla którego nigdy takiej pogardy nie miała jak ksieni, byłoby zaprawdę daleko godniejszym osobnego opisu, niżeli to, cośmy o niej powiedzieli dotychczas. Lecz rzeczy takich półświątych nie śmie się dotknąć pióro światowe, pozostawiając je namaszczone do tego, którzy może kiedyś wpadną na ślady tego życia pełnego cnót i poświęceń i uczynią zeń piękny przyczynek do Żywotów błogosławionych i świętych.



*Paul J. Sandalga,*  
*Rector*





